

BESTSELLEROWA MIĘDZYNARODOWA SERIA THRILLERÓW

Najlepszy autor  
thrillerów w Europie.

Zenda

Bezkonkurencyjny  
thriller  
ostatnich lat.  
ABC

CZARNA WILCZYCA

# LOBA NEGRA

JUAN GÓMEZ-JURADO

SON  
WYDAWNICTWO  
FANTASY

**CZARNA WILCZYCA**

# **LOBA NEGRA**

**JUAN GÓMEZ-JURADO**

**TŁUMACZENIE: BARBARA BARDADYN**

**KRAKÓW 2023**

*Dla Babs,  
bo ją kocham  
Dla Artura, Javiego i Rodriga  
za cokolwiek*

# Otchłań

Antonia Scott jeszcze nigdy nie stała przed tak trudną decyzją.

Dla innych osób taki dylemat mógłby być czymś nieznaczącym.

Nie dla Antonii. Powiedzmy, że jej umysł może pracować na wielu poziomach w przyszłości, lecz głowa Antonii nie jest jak kryształowa kula. Powiedzmy, że potrafi zwizualizować dziesiątki jednostek informacji równocześnie, lecz umysł Antonii nie funkcjonuje tak jak w tych filmach, w których widać całe mnóstwo liter na twarzy bohatera, gdy ten myśli.

Umysł Antonii Scott przypomina raczej dżunglę – dżunglę pełną małp, które z największą prędkością skaczą z jednej liany na drugą, przenosząc różne rzeczy. Mnóstwo małp i mnóstwo rzeczy, przecinających się w powietrzu i pokazujących sobie kły.

Dziś małpy przenoszą rzeczy straszne i Antonia czuje strach.

Nie jest to sytuacja, do której Antonia nie byłaby przyzwyczajona – bynajmniej. Ostatecznie znajdowała się już w takich miejscach i sytuacjach, jak:

- nocny pościg z dużą prędkością na łodziach motorowych w Cieśninie Gibraltarskiej,
- tunel pełen materiałów wybuchowych, w którym porywaczka celowała w głowę wyjątkowo cennego zakładnika,
- to, co się stało w Walencji.

Spryt uratował ją w czasie pościgu na łodziach motorowych (pozwoliła, żeby te z przodu się rozbiły), a wiedza (o ptakach po angielsku) w tunelu. W przypadku Walencji nie wiadomo, jak uszła z życiem (jako jedyna) z tej rzezi. Nigdy nie chciała o tym opowiedzieć. Ale uszła. I się nie bała.

Nie, Antonia nie boi się prawie niczego, z wyjątkiem samej siebie. I może jeszcze życia. Ostatecznie jej ulubioną rozrywką jest wyobrażanie

sobie przez trzy minuty dziennie, jak się zabić.

To jej trzy minuty.

Są święte.

To one utrzymują ją przy zdrowych zmysłach.

Zresztą właśnie nadeszła na nie pora. Zamiast jednak zanurzyć się spokojnie w swój rytuał, Antonia siedzi przed szachownicą. Bierki, białe i czerwone, w stylu angielskim. Goniec Antonii ma szansę na szach-mat.

Czerwone grają i wygrywają.

Prosta decyzja.

Nie dla Antonii.

Bo po drugiej stronie szachownicy siedzi Jorge i bardzo uważnie patrzy na nią przymrużonymi oczami. Przez te zielone szparki wyczuwa się całe wyzwanie i złośliwość, jakie mieszczą się w jego metrze dziesięciu centymetrach wzrostu.

– Mamo, przesun wreszcie – mówi Jorge, kopiąc ją delikatnie pod marmurowym stolikiem. – Nudzę się.

Kłamie. Antonia może nie wiedzieć, co zrobić. Ale rozpoznaje kłamstwo.

Jorge czeka niecierpliwie, jest ciekaw, czy przesunie gońca i go pokona, żeby mógł wpaść w szal z powodu przegranej. Czy wręcz przeciwnie, Antonia przesunie inną bierkę, żeby mógł wpaść w szal z powodu tego, że dała mu wygrać.

Z paraliżu wyrywa ją zakłócenie. Na leżącym na stoliku telefonie wyświeśla się czerwona twarz. Bardzo ruda i bardzo baskijska. Wibrujące urządzenie wprawia w drganie bierki na kwadratach.

Jon wie, że ona jest z Jorgem. To już trzecia wizyta, odkąd sędzia uznał, że wbrew opinii dziadka chłopca warto dać jej drugą szansę. To okres próbny. Jon nie dzwoniłby, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

Antonia przeprasza delikatnym wzruszeniem ramion i wstaje, żeby odebrać. Odwraca się plecami do frustracji swojego syna i do pracownicy z opieki społecznej, która siedzi w rogu pokoju i nie przestaje robić notatek z pokerową miną.

Choć Antonia nie lubi uciekać się do forteli, już wie, że to jest gra, której nie może wygrać.

A to podoba jej się jeszcze mniej.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

**ANTONIA**

*Człowiek mógł się zaprzyjaźnić z wilkiem, a nawet go złamać,  
ale nigdy nie zdoła naprawdę go oswoić.*

**George R.R. Martin**  
**(przeł. Michał Jakuszczyński)**



# 1

## Zwłoki

Jon Gutiérrezz nie lubi zwłok w rzece Manzanares.

To nie kwestia estetyki. Te zwłoki są wyjątkowo paskudne (wygląda na to, że leżą w wodzie już od jakiegoś czasu), z woskową skórą pełną sinych plam, dłonie prawie oddzielone od nadgarstków. Ale nie chodzi o to, by kręcić nosem.

Noc jest szczególnie ciemna, a latarnie, które oświetlają świat żywych sześć metrów nad nimi, służą tylko do tego, żeby cienie stały się gęstsze. Wiatr wyrywa z trzcin dziwne szepty, a woda, głęboka na osiemdziesiąt centymetrów, jest dość zimna. W końcu jesteśmy w Manzanares, mamy jedenastą w nocy, a luty wsuwa już swoją szarawą łapę pod drzwi.

Nic z tego nie przeszkadza Jonowi w zwłokach w Manzanares, ponieważ Jon jest przyzwyczajony do lodowatej wody (pochodzi z Bilbao), szeptów w ciemności (jest gejem) i martwych ciał (jest inspektorem policji).

Jona Gutiérrezza w zwłokach w Manzanares wnerwia to, że musi je wyciągać własnymi rękami.

„Ale ja jestem głupi”, myśli Jon. „To robota dla nowicjuszy. Choć oczywiście te trzy madryckie mięczaki nie radzą sobie nawet z własnymi futami”.

Nie żeby Jon był gruby. Ale kiedy przez pół życia człowiek jest największy w pokoju, powstają pewne nawyki – czy tego chcesz, czy nie. Negatywna strona pomagania. Które staje się koniecznością, kiedy widzisz trzech gamoni świeżo po szkole, jak w trzcinie robią z siebie idiotów, próbując wyciągnąć ciało. A zamiast tego o mało się nie topią.

Tak więc Jon wkłada biały kombinezon ochronny, zakłada kalosze i wskakuje do wody z „kurwamaćjapierdołę” na ustach, co sprawia, że policzki żółtodziobów oblewają się czerwienią jak po plaskaczu.

Inspektor Gutiérrez zbliża się wielkimi krokami, rozchlapując na boki wodę i odsuwając policjantów nowicjuszy, i dociera na wysepkę roślinności, gdzie osiadły zwłoki. Ciało zaplątało się w korzenie i jest zanurzone w wodzie. Wystaje jedynie część bladej twarzy i jedna ręka. Wydaje się, jakby poruszana przez rzekę ofiara próbowała płynąć, żeby uciec przed nieuniknionym losem.

Jon żegna się w myślach i zanurza ręce pod ciało. Jest miękkie w dotyku, a podskórna tkanka tłuszczowa porusza się niczym balon wypełniony pastą do zębów. Inspektor ciągnie. Z całych swoich sił, jak przystało na *harrijasotzaille*, czyli podnoszącego kamienie. Kiedy ma dobry dzień, dźwignie nawet trzysta kilogramów. Zapiera się nogami.

„Zobacz, jak to się robi, gołowasy jedne”.

Jego wielkie ramiona się napinają i dzieją się dwie rzeczy jednocześnie.

Drużga – ciało nie przesuwa się ani o centymetr.

Pierwsza – piaszczyste dno rzeki połyka prawą stopę inspektora, który ląduje na dupie w wodzie.

Jon nie jest facetem skłonny do płaczu, z tych, co to skarżą się bez powodu. Lecz śmiechu nowicjuszy nie tłumią ani szum rzeki, ani szepty wiatru w trzcinie, ani jego własne przekleństwa. Tak więc Jon, w wodzie po ramiona i z nadszarpniętą dumą, pozwala sobie na tę jakże ludzką chwilę, by zlitować się nad samym sobą, i winą za swoje nieszczęścia obarcza kogoś innego.

„Gdzie ty, do cholery, jesteś, Antonia?”

## 2

# Kabel

– W ten sposób się nie wyciągnie, inspektorze – mówi kobiecy głos przy jego uchu.

Jon łapie się przedramienia doktorki Aguado, która pomaga mu się podnieść. Ręce lekarzy sądowych go przerażają, ale kiedy człowiek ma dupę w piaszczystym korycie rzeki, chwytą się tego, co mu podają.

– Myślałem, że zwłoki unoszą się na wodzie. Ale ten chyba się uparł, żeby pójść na dno.

Aguado się uśmiecha. Musi mieć koło czterdziestki. Długie rzęsy, rozmazany makijaż, piercing w nosie, pozornie apatyczne spojrzenie. Teraz z iskierką radości. Jak głoszą plotki, spotyka się z jakąś dziewczyną.

– Ludzkie ciało w ponad siedemdziesięciu procentach składa się z wody. A woda się nie unosi, więc najpierw idzie na dno. W odpowiednich warunkach temperaturowych bakterie zaczynają rozkładać organizm w ciągu kilku godzin. Są cztery stopnie, woda ma jakieś sześć stopni, tak więc... raczej w ciągu kilku dni. Gazy wypełniają żołądek i jelita i *pop*. Znów do góry.

Aguado klęka, jedną ręką przytrzymuje ciało, a drugą wkłada pod spód i maca.

– Mam pani pomóc?

– Proszę się nie przejmować. Muszę tylko znaleźć to, co ją zatrzymało.

Jon rzuca okiem na bezkształtną i spuchniętą masę. Unosi się brzuchem do dołu, w pół zanurzona, naga. Włosy o nieokreślonym kolorze są bardzo krótkie. Jon się zastanawia, skąd ona, do diaska, wie, że to kobieta.

– Skąd pani, do diaska, wie, że to kobieta?

- Wiele o tym świadczy, inspektorze - odpowiada Aguado. - Kąt obojczyka, brak guzowatości potylicznej i dlatego, że choć pan tego nie widzi, w tej chwili trzymam pod wodą to, co z całą pewnością jest lewą piersią ofiary.

Doktorka wstaje i podaje mu swoją latarkę. Jest mała, lecz mocna. Jon przyświeca, podczas gdy Aguado wyjmuje zaokrąglone nożyczki z nieprzemakalnej torby, którą nosi na szyi. Ponownie kuca i szamocze się z czymś pod zwłokami. Nagle, gwałtownym ruchem, ciało się uwalnia i całkowicie wypływa na powierzchnię.

- Morderca przywiązał jej do uda kabel - mówi Aguado, wskazując cienką wklęsłą linię na tylnej części nogi. - Z pewnością z jakimś obciążnikiem. Proszę mi pomóc ją obrócić.

Teraz ciało nie jest ciężkie, więc obrócenie go nie wymaga od nich więcej wysiłku niż przewrócenie ostatniej strony książki. Oczy zniknęły, zjedzone przez ryby. Twarz wygląda jak maska, która chciała karnawału, a znalazła śmierć.

Zanim Jon przyjechał do Madrytu, kiedy jeszcze chodził po niebezpiecznych ulicach Botxo, sądził, że jest twardszy. W dzielnicy Otxarkoaga wszystko było hałasem z okien, gniazdami jabłek, które ostatecznie gniją. Tam, kiedy widział trupa, Jon nie czuł smutku, nie zaciskał zębów ze złości, niczym się nie przejmował.

Tam czuł się funkcjonariuszem.

Tutaj czuje odpowiedzialność.

Przeklęta Antonia.

bbJon, trzymając ciało pod pachami, wlecze je pośród trzciny i zostawia w suchym miejscu na wysepce.

- Nie znamy jeszcze przyczyny śmierci - mówi Aguado, jakby rozmawiała sama ze sobą. Robi pauzę, wygląda, jakby czegoś nasłuchiwała. - Poziom tłuszczowosku jest bardzo wysoki. Była zanurzona co najmniej tydzień, może dłużej.

- Po ludzku, doktorko.

Kobieta wskazuje guzy i wypukłości na sinym ciele zwłok. Amorficzny i spuchnięty brzuch zwisa na wysokości łona, zasłaniając owłosienie.

– Tłuszczowosk powstaje wtedy, gdy ciało leży w wodzie. Mikroorganizmy zamieniają tłuszcz podskórny w mydło. Jutro powiem wam więcej, teraz muszę zabrać się do pracy, zanim kontakt z powietrzem doprowadzi do naruszenia dowodów, inspektorze – mówi Aguado, wskazując brzeg rzeki.

Jon potrafi poznać, kiedy go wyrzucają. Gestem przywołuje nowicjuszy, którzy podchodzą do wysepki, wyposażeni w nosze i wielkie przezroczyste worki. Ciało jest w zbyt zaawansowanym stanie rozkładu, żeby wkładać je do standardowego worka. Inspektor zostawia im (teraz już tak, teraz już dadzą radę) brudną robotę. Stawiając długie kroki, brodzi z powrotem do murku kanalizującego rzekę. W tym miejscu nie ma schodów ani innej możliwości, by wyjść, ale policjanci zainstalowali drabinkę sznurową, po której Jon dźwiga swoje sto dziesięć kilogramów z powrotem na poziom ulicy.

Pustej, nie licząc mężczyzny opartego o radiowóz. To brunet ze sporymi zakolami, cienkimi przyciętymi wąsami i oczami jak u lalki, które wyglądają, jakby były namalowane, a nie prawdziwe. Krótki płaszcz w wielbłądzim kolorze. Drogi.

– Zimno – odzywa się Mentor, wydmuchując dym.

Nadszarpnięta duma Jona nieco się goi. Nie ma nic lepszego, co uleczyłoby własny dyshonor niż widok innego człowieka poniżonego jeszcze bardziej. A Mentor wapuje.

– Co to ma być? – pyta Jon, wskazując ustrojstwo.

Mentor wkłada ustnik do ust (cienkich, prawie niewidocznych), zaciąga się i znowu wypuszcza dym. Wiatr przyciąga w stronę Jona chmurę o zapachu mandarynki.

– Doszedłem już do trzech paczek dziennie. W zeszłym tygodniu zapaliłem papierosa pod prysznicem. Więc pomyślałem, dlaczego by nie spróbować.

– I działa?

– Co mam panu powiedzieć? Zażywam dwa razy więcej nikotyny niż wcześniej i mam trzy razy większą ochotę na palenie. Aguado już coś powiedziała?

– Że ofiarą jest kobieta. Zamordowana. Tydzień w wodzie, albo i lepiej. I żebym zostawił ją w spokoju.

– Jak na nią dość komunikatywna. Nie zauważył pan, że ostatnio jest weselsza?

– Myślę, że spotyka się z jakąś dziewczyną – mówi Jon (plotki to on).

Inspektor zaczyna się pozbywać kombinezonu ochronnego, choć odmawia przyjęcia koca, który podaje mu Mentor.

– Mam nadzieję, że się pan nie zamoczył. Woda w tej części rzeki nie jest zbyt dobra dla zdrowia.

– Jak to?

Mentor czeka, aż inspektor założy płaszcz oraz buty, i prowadzi go w stronę brzegu.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku w tajnym ośrodku eksperymentalnym niedaleko stąd pękła rura. Okazuje się, że *caudillo* się uparł, żeby za wszelką cenę mieć bombę atomową, i kilku naukowców wykonywało testy z użyciem plutonu. Nie ujawniono tego aż do dziewięćdziesiątego czwartego roku, ale przeszło sto litrów radioaktywnego materiału wylało się do Manzanares tym odpływem. – Mentor wskazuje punkt w ciemności. – Kilkaset przypadków nowotworów tu i tam, nic poważnego. Ale nie jest to miejsce, które wybrałbym na kąpiel.

Jon nie reaguje. Oczywiście czuje, że na całym ciele swędzi go skóra i że rude włosy z brody zaczynają mu wypadać. Ale nie zamierza otwierać ust. Bo może, gdy to zrobi, wylecą mu zęby.

Mentor, bardzo poważny, spogląda na zegarek.

– Gdzie Scott?

– Dzwoniłem do niej ponad trzy godziny temu – odpowiada Jon, przekonawszy się, że zatrucie promieniowaniem jeszcze się nie ujawniło.

- W sumie to nie ma konieczności, żeby przyjeżdżała. Z jej powodu jedynie odsunęliśmy od sprawy kompetentne organy i zmobilizowaliśmy jednostkę Czerwona Królowa w samym środku nocy.

- To niesprawiedliwe - protestuje energicznie Jon. - Mogłaby...

Zapalczliwość jest jednak tylko na zewnątrz. W środku kiełkuje w nim niepewność.

Minęło siedem miesięcy, odkąd Antonia i Jon uratowali Carlę Ortiz. Sprawa obiegła świat, zarówno ze względu na tajemnicze zaginięcie dziedziczki fortuny, jak i to, co stało się później między nią a jej ojcem. O Antonii Scott i projekcie Czerwona Królowa w mediach nie powiedziano ani słowa. O Jonie - niewiele. Po wyjściu razem z Carlą z kanalizacji zasłonił sobie twarz, chroniąc się przed fleszami fotografów. Zamazane zdjęcie, kwiat pozbawiony koloru.

W projekcie Czerwona Królowa nie ma nagród, jedynie anonimowość. Życie bez nazwiska, mnóstwo satysfakcji. A to było już wystarczającą nagrodą.

Wstrętny Bruno Lejarreta, który kosztem skandalu spodziewał się zrobić karierę telewizyjną w Madrycie, napotkał pewien problem. Na temat inspektora Gutiérreza nie wolno było mówić. Kiedy nie zapraszają cię już nawet do Trece TV<sup>1</sup>, przyszedł czas, żeby wrócić do domu z podkulonym ogonem. „Oj, jaka szkoda”, pomyślał Jon, gdy się o tym dowiedział. I otworzył sobie piwo.

Poranne śmieciowe programy przez kilka dni grzebały w sprawie Ortiz. Pojawiło się ciało jednego z porywaczy, ale drugie rzekomo zostało wśród gruzów w tunelu przy stacji Goya Bis. Zastanawiano się nad jego tożsamością. To. Tamto. Owamto. Wszystkolodzy i twitterowicze zabierali głos, nic nie wiedząc o sprawie, a potem zaczęli komentować, bez żadnej wiedzy, zupełnie inną sprawę. Życie toczyło się dalej, tak jak się toczą rzeczy, które nie mają większego sensu.

Świat zapomniał.

Antonia nie.

Antonia Scott nigdy nie zapomina.

– To mogłaby być ona... – stwierdza Jon, wskazując zwłoki leżące na plastikowym worku na środku wysepki.

Nowicjusze ustawili sześć mocnych lamp halogenowych na pomarańczowych nóżkach wbitych w ziemię wśród roślinności. Ciemna intymność śmierci zamieniła się w zdeformowaną lekcję anatomii.

Mentor potrząsa głową z niezadowolaniem.

– To tylko kolejne, jeszcze niezidentyfikowane ciało. Szóste, o ile się nie mylę. Kolejne, które okaże się dziełem złego tripu albo jakiegoś okrutnika. To nie należy do naszych kompetencji. Tylko tracimy czas.

Antonia nie przestała jej szukać. Ciągnęła za każdy sznurek. Analizowała najmniejszy strzęp informacji. Uparła się, by sprawdzać każde niezidentyfikowane ciało, jakie pojawi się w Madrycie i okolicy. I mimo że poświęciła na to mnóstwo czasu i środków, kobieta znana wcześniej jako Sandra Fajardo nie została odnaleziona.

Antonia odmówiła przyjmowania kolejnych spraw, dopóki jej nie znajdzie. A to jest poważny problem. Bez względu na to, ile swobody i nieoficjalnego zaufania dała im sprawa Ortiz, minęło już siedem miesięcy.

Kłopot z nieoficjalnym zaufaniem polega na tym, że jest tak ulotne jak pamięć polityków. A to oni wspierają Mentora.

– No ale nie było też innych spraw – upiera się Jon.

– A co pan może, do cholery, wiedzieć, inspektorze – wypala Mentor. Który wobec braku wsparcia, zimna i chęci palenia jest *umore txarra*. W złym humorze. Na jego twarzy nie maluje się żaden z tych łatwych i pustych uśmiechów. – Co pan może wiedzieć o rozkazach z góry, które musiałem powstrzymać. Albo o sprawach, przy których ona mogła pomóc.

Jon drapie się po głowie (z kręconymi rudawymi włosami, jak już wiadomo) i bierze głęboki oddech. Do napełnienia tego olbrzymiego torsu potrzeba kilku sekund i sporo litrów tlenu. Tyle właśnie potrzebuje, żeby się uspokoić i nie walnąć swojego szefa, aż wylądowałby na dnie rzeki.

– Porozmawiam z nią, ale...



Jon przerywa w środku zdania. Mentor odwraca się do niego zdziwiony i podąża za jego wzrokiem aż na środek Manzanares. Jakieś światło płynie w dół rzeki. Upiorne – jak gdyby duchy świeciły w kolorze fluorescencyjnego różu. Światło oddala się od wysepki znajdującej się na przeciwległym brzegu. Za nim podąża kolejne światło, płynąc bardziej na środek. W górnej części rzeki widać jeszcze jedno.

Pięćdziesiąt metrów od nich czwarte światło wyskakuje z murku, który ograda rzekę kawałek dalej, po czym uderza w powierzchnię z odległym ploff.

– Scott – mamrocze Mentor. Wścieklejszy niż kiedykolwiek przedtem. Odwraca się w stronę Jona, a jego wzrok mówi: „Niech pan ją znajdzie i przemówi jej do rozumu”.

Zaciśnięta w pięść dłoń Jona mówi: „Ależ mam ochotę walnąć cię w ryj”. Ale ponieważ trzyma ją w kieszeni płaszcza, nie przekazuje tej wiadomości. Inspektorowi Gutiérrezowi nie pozostaje nic innego, jak posłuchać i ruszyć na poszukiwania Antonii Scott.

### 3

## Most

Tak więc Jon Gutiérrez wchodzi na most Arganzuela (dzielnica Carabanchel, Madryt) w dość cierpkim humorze. Ze względu na upokarzający upadek w wodzie, późną porę, głód i to, że Antonii nie da się, do diabła, zrozumieć.

Podążał za nią w górę rzeki w pewnej odległości. Małe sylwetka, która co kilka kroków wrzucała do wody jedno z tych świateł, zatrzymywała się na parę chwil, po czym szła dalej.

Jon powoli skracał odległość, zastanawiając się w swojej wielkiej rudej głowie, jak podejść do sytuacji. Antonia Scott nie jest zbyt rozsądną osobą. Argumenty spływają po niej jak woda po kaczce. A tym bardziej, gdy w grze jest odnalezienie człowieka, który doprowadził do tego, że jej mąż zapadł w śpiączkę. Człowieka, który – jak podejrzewa Antonia – stoi za Sandrą Fajardo. Żeby jakoś ją nazwać.

Tajemniczy, nieuchwytny, legendarny pan White.

Mentor nie chciał nic wiedzieć o śledztwie Antonii w sprawie White'a. Początkowo Jon sądził, że Mentor nie wierzy w jego istnienie, że myśli, iż ten cały White to tylko legenda. Albo jeszcze gorzej: obsesja Antonii, której nadała nazwisko. Ale przestrzeń, jaką zapewnił jej Mentor w ciągu tych siedmiu miesięcy, dowodziła czegoś innego.

No i jeszcze te szeptki. Wystraszone spojrzenia. I enigmatyczne ostrzeżenie, jakie usłyszał od Aguado kilka dni temu. Cichym głosem, pospiesznie, na środku korytarza.

– Lepiej odpuścić.

Aguado zniknęła, zanim Jon mógłby o cokolwiek zapytać, zostawiając go wkurzonego jak indyk w Wigilię. I żadna z jego późniejszych prób

wyciągnięcia od niej tego, co chciała powiedzieć, nie przyniosły rezultatu.

Mimo wszystko Jon schował swoje zastrzeżenia i pozwolił Antonii działać.

Teraz czas się skończył.

Jon wchodzi na most Arganzuela, gdzie noc nie istnieje. Gigantyczna struktura w kształcie spiralnej rury, ultrametalowa, ultranowoczesna i ultrakosztowna. Jest pełna mocnych świateł, których metaliczne błyski tworzą na powierzchni wody niemal idealne odbicie. Jon nigdy nie cenił współczesnej architektury. Jemu wystarczy, że mosty go utrzymują (nie żeby był gruby). Docenia jednak ilość światła – wystarczy, żeby przeprowadzić operację na otwartym sercu, a w połączeniu z odgłosem, jaki wydają jego kroki na drewnianych listwach, zapowiada jego nadejście.

„Może przestaniesz się w końcu wymykać, neska<sup>2</sup>”.

Antonia Scott siedzi w kucki na środku mostu. Trzydzieści kilka lat. Ma na sobie czarny płaszcz i czarne spodnie. Białe sportowe buty. Obok niej, na ziemi, leży zielona plastikowa torebka, z rodzaju tych, jakie dają u Chińczyka, nie doliczając pięciu centów.

Jon podchodzi, stawiając swoje wściekle kroki trochę głośniej niż zwykle.

Antonia podnosi palec, co oznacza „nie przerywaj mi, to niegrzeczne”, zatrzymując nagle swojego partnera w odległości paru metrów.

– Mogłaś mi powiedzieć, że już tu jesteś – odzywa się Jon. – Albo przynajmniej wysłać...

W tym momencie wibruje mu kieszeń. Właśnie dostał wiadomość na WhatsAppie od Antonii. Odkąd odkryła naklejki, w większości przypadków komunikuje się za ich pomocą. Połowa z nich to pieski ze śmiesznymi pyszczkami. Jon się zastanawia, jaką informację usiłuje przekazać za pomocą naklejki z mopsem w kapeluszu.

– To niby ma oznaczać, że już jesteś?

– Tak to rozumiem – mówi Antonia.

– No to całe szczęście. Bo ja nie rozumiem niczego.

Antonia nie odpowiada. Grzebie w torebce, z której wyjmuje opakowanie przezroczystych plastikowych probówek i małą butelkę wody. Wylewa na listwy połowę zawartości, a ciecz skapuje z przerw między nimi i wpada do rzeki w dole. Bierze jeden z przezroczystych cylindrów i zgina go w palcach. Słyszcć delikatny trzask, gdy szklana kapsuła w środku pęka, uwalniając nadtlenek wodoru. Po zmieszaniu ze szczawianem difenylu probówka emanuje intensywnym pomarańczowym blaskiem.

„Ta kobieta przyszła badać sprawę morderstwa czy na imprezę?“, zastanawia się Jon.

– Przybliżony wiek ofiary?

– Aguado nie powiedziała. Właśnie zaczynała...

Antonia znowu unosi palec. Poirytowana.

Jon należy do tych osób, które, gdy się wkurzą, przechodzą do ataku. Prewencyjnie. Dla sportu. Dla swoich brązowych jaj. Jednak Antonia zachowuje się tej nocy bardzo dziwnie. A poziom dziwności u Antonii Scott jest bardzo wysoki.

Antonia wkłada świetlistą probówkę do na wpół pustej butelki. Zakręca nakrętkę, wstaje. Waha się przez chwilę, podnosi nos, sprawdzając wiatr. Kiedy ten zmniejsza się na moment, Antonia wrzuca butelkę do wody i obserwuje drogę, jaką pomarańczowy blask pokonuje w dół rzeki. Wielokrotnie mruga, niczym przysłona w aparacie fotograficznym.

Jon już wcześniej był tego świadkiem. Wie, że Antonia wykonuje mentalny rysunek. I teraz rozumie, dlaczego z różnych punktów wrzucała butelki do wody.

– Nie było bardziej ekologicznej metody?

Antonia, ze wzrokiem utkwionym w wodzie, ignoruje go.

Prąd wydaje się skręcać mniej więcej w połowie odległości, jaka dzieli ich od wysepki, jak gdyby chciał zabrać butelkę na północny brzeg. Ale

mały kawałek plastiku zatrzymuje się w trzcinie.

– Potwierdzone, doktoro. Zrzuciono ją z mostu. Prąd zmienia się w połowie drogi. Ciężar, jaki przytwierdzono jej do nogi, okazał się niewystarczający, by utrzymać ją pod wodą. W miarę jak puchła od gazów i nabierała wyporności, musiała ciągnąć ciężar po dnie, aż zatrzymała się przy wysepce.

Milczy przez kilka sekund. Potem dodaje:

– Sugeruję, żeby przyszła tu pani z luminolem. I niech pani poprosi Mentora, by nakazał zgaszenie światel na moście, jeśli byłby tak uprzejmy.

Antonia zakłada za uszy włosy (czarne i gładkie, średniej długości), odsłaniając bezprzewodowe AirPods. Opuszką palca wskazującego uderza dwukrotnie jedną z nich, żeby zakończyć połączenie, po czym odwraca się do Jona.

– A więc to dlatego żadna z was nie zwracała na mnie uwagi – skarży się zboląły Jon. – Mogłaś mi przynajmniej powiedzieć, że rozmawiacie przez telefon. Usmażyłem sobie jaja, próbując wyciągnąć z wody te twoje zwłoki.

Antonia unosi brew, zaskoczona.

– Mentor mi powiedział, że w tym miejscu był radioaktywny zrzut – wyjaśnia Jon, wskazując przed siebie.

– To kompletna bzdura – odpowiada Antonia.

– Całe szczęście – wzdycha z ulgą Jon.

– Radioaktywny zrzut był tam – mówi Antonia, wskazując następną rurę, jeszcze bliżej miejsca, gdzie zanurzył się inspektor.

Jon znowu wzdycha. Tym razem inaczej.

– Muszę się pożegnać z płodnością.

– Nie przesadzaj. Ilość, jaką mogłeś wchłonąć, odpowiada siedmiu lub ośmiu prześwietleniom. Twoja sperma jest w porządku. Poza tym sądziłam, że nie chcesz mieć dzieci.

– Lubię zostawić sobie otwarte opcje.

– Dzieci przynoszą jedynie cierpienie.

W tym momencie gasną światła na moście, a oni nagle stają się dwiema sylwetkami w ciemności. Jedna, potężna, miota się niespokojnie. Druga, malutka, wyjmując telefon z kieszeni i włącza latarkę.

– Widzę, że wizyta u syna nie przebiegła zbyt dobrze – mówi Jon, również wyciągając latarkę z kieszeni. Prawdziwą. – Czego szukamy?

– Śladów krwi. Zwłaszcza na metalowych krawędziach.

Paradoksalnie czasami łatwiej jest zobaczyć ślady krwi po ciemku. Bardzo pomaga luminol, cudowna substancja, która gdy spryskać nią miejsce zbrodni, sprawia, że krew i inne materiały organiczne błyszczą w ultrafioletowym świetle. Wobec braku luminolu, kiedy krew jest już stara, może przyjmować barwy od brązu po czern, w zależności od powierzchni, na jaką spadła, czasu, jaki upłynął, i stopnia utleniania. W takich przypadkach Antonia i Jon wolą pracować w ciemności, koncentrując się tylko na małym kręgu światła, który znajduje się przed nimi, stopniowo przeczesując cały obszar. Widzieć mniej, żeby zobaczyć więcej.

– Dlaczego nie zeszłaś na dół? Czekaliśmy na ciebie – wyrzuca jej Jon, nie przestając omiatać latarką najbliższych miejsc. Usiłuje zrozumieć zachowanie Antonii. Co nigdy nie jest łatwe.

– Nie umiem pływać.

– Jest osiemdziesiąt centymetrów wody. Nawet ty byś się nie zanurzyła.

– Wystarczająco, żeby się utopić. Nawet ty się przewróciłaś.

Jon zaciska usta. Chciałby, żeby Czerwona Królowa nie widziała, jak jej Giermek ląduje na dupie, wszak to mężczyzna, który ma ją chronić. Chciałby też siedzieć teraz w domu przed talerzem flaków po baskijsku. I żeby ten dwudziestokilkulatek, z którym flirtował przez Grindra, wreszcie się z nim umówił. I żeby na świecie zapanował pokój.

„Jak mawia *amatxo*<sup>3</sup>, wytrzymaj i tańcz”.

I to właśnie musi zrobić z Antonią. Wyciągnąć ją na tańce. Nawet jeśli muzykę będzie słyszeć tylko ona.

– To do ciebie niepodobne, że zostajesz tak daleko od miejsca zbrodni.

– Czasami lepiej widzę z daleka – odpowiada Antonia.

Inspektor Gutiérrez kątem oka zauważył symptomy swojej partnerki, symptomy zdradzające, że jej wyjątkowy mózg pracuje szybciej, niż powinien. W ciągu ostatnich miesięcy nauczył się już rozpoznawać tę szczególną sztywność ramion i szyi. Przyspieszony oddech. Głos wyższy o oktawę. Palce, które się zginają i odginają, choć ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

Jon wkłada rękę do kieszeni marynarki, gdzie czuje znajomy kwadratowy kształt pudełeczka z kapsułkami. Ale go nie wyjmuje. Zamiast tego przykuca i dalej powoli przygląda się balustradzie. Centymetr po centymetrze.

„Nie”.

„Nie, dopóki sama nie poprosi”.

Nie ma już więcej czasu, żeby o tym myśleć, ponieważ znalazł coś na krawędzi balustrady. Brązowa, zaschnięta plama.

– Spójrz tutaj.

Antonia się odwraca i podchodzi do niego. Teraz oboje siedzą w kucki przy balustradzie i spoglądają w górę.

– Tego szukasz? – pyta Jon.

Antonia mruga kilka razy. Kolejny sygnał, który Jon nauczył się odczytywać. To tak, jak wtedy, gdy słyszysz brzęczenie twardego dysku laptopa, podczas gdy głowica szuka informacji.

– Niewykluczone. Plama potwierdza, że zabójca zrzucił stąd ofiarę.

Na most przybywa Aguado z niezbędnymi narzędziami do kontynuowania pracy. Oboje wstają, żeby zrobić jej miejsce, i gaszą latarki.

– Nie chcesz się w to angażować, prawda? O to chodzi.

Antonia przytakuje w ciemności.

– Nie chcę jej widzieć. Nie chcę, jeśli to nie jest ona.

Jon wie – bo sam to przeżył – że oskarżycielskie spojrzenie martwych czasami wyciąga z człowieka obietnice, których nie da się spełnić. Antonia złożyła jedną pewnemu wykrwawionemu na śmierć nastolatkowi w pustej willi siedem miesięcy temu. Obietnicę, która kolidowała z tą

złożoną Marcosowi, jej mężowi, że już nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby narazić ich na niebezpieczeństwo. Złamała obie.

- Ja też wiem, co to znaczy patrzeć im w oczy, piękna. Ale tym razem nie musiałabyś się o to martwić. Wyjadły je ryby.

- Nie rozumiem, jak dzięki temu miałabym się przejmować mniej - mówi Antonia, która jest odporna na sarkazm tak jak Superman na kule. - Brak gałek ocznych zmniejsza możliwość identyfikacji.

Jon zwleka z odpowiedzią. Bo to, co musi teraz powiedzieć Antonii, to, co polecił mu powiedzieć jej Mentor, nie spodoba się jej ani trochę.



# Lola

## *Centrum Handlowe Raj, Marbella*

Lola Moreno ratuje swoje życie dzięki serii zbiegów okoliczności. Pierwszy jest taki, że wózek dziecięcy, który ogląda na wystawie sklepu Prenatal, jest granatowy. Gdyby był w jasnym kolorze, w szybie nie odbiłby się pistolet, który podniósł mężczyzna za jej plecami. Gdyby nie była żoną tego, kogo jest (i nie wiedziała, że morderstwo jest w jej życiu czymś całkiem możliwym), to mało prawdopodobne, że zareagowałaby prawidłowo.

Zamiast stać jak wryta, odwrócić się albo stawić czoło napastnikowi, Lola rzuca się na ziemię akurat w tym momencie, gdy trzy pierwsze kule z makarowa rozbijają szybę i rozrywają na strzępy daszek wózka.

Ratuje swoje życie... chwilowo. „Krótka trwa radość w domu biedaka”, powtarza jej zawsze matka. Lola Moreno, która ma na sobie džinsy od Balmaina, miękki kaszmirowy sweter i torebkę od Prady, nie jest biedna.

Nie brakuje jej pieniędzy.

Brakuje jej czasu, a to już inna sprawa.

Trzydzieści kilogramów szkła z wystawy rozsypuje się na Lolę, która zakrywa sobie kark rękami, ufając, że Tole wszystkim się zajmie. W końcu za to mu płacą, i to bardzo dobrze.

(Lola krzyczy coś na ten temat, ale nie da się jej zrozumieć).

Anatolij Oleg Pastuszenko zarabia dobrze. Tak dobrze, że pozwolił sobie na uzależnienie się od kawy ze Starbucksa. Żeby zachować czujność. Kłopot w tym, że osiemnaście łyżeczek cukru do każdego frappuccino venti sprawiły, że stał się powolny i nieuważny. „Ma gruby refleks”, mówi Jurij, który czasami bardzo trafnie myli słowa po hiszpańsku.

Trzymanie ogromnego napoju w ręce, którą trzeba wyciągnąć broń, również jest przeszkodą dla ochroniarza, zwłaszcza gdy w drugiej ręce masz telefon i sprawdzasz, jak poprzedniego wieczoru poszło Spartakowi. Bez względu na to, jak prędko rzucisz na podłogę obie rzeczy, uzbrojony napastnik odwróci się szybciej, niż ty wyciągniesz pistolet.

W Tolego trafiają cztery z pięciu kul.

Jedna w nogę, kiedy zabójca po raz pierwszy pociąga za spust, niemal bez celowania. To bolało najbardziej.

Druga i trzecia przebijają czarną kurtkę, żeby zatrzymać się w lewym płucu i w ramieniu, które zostaje rozerwane. Tolemu będzie znacznie trudniej oddychać i zwalczać infekcje w ciągu sześciu sekund życia, jakie mu zostały. Te ostatnie dwie kule nie powodują jednak żadnego bólu. Adrenalina i ból po pierwszej kuli nie zostawiają miejsca na nic innego.

Tolemu udaje się wyciągnąć broń między trzecim a czwartym strzałem przeciwnika. Strzela raz, ale tylko muska ramię napastnika, powodując, że ten traci celność. Czwarta kula odbija się od szyldu na ścianie i toczy się niegroźnie, spadając przez szczelinę pod szklaną balustradą na niższy poziom. Skąd dochodzą krzyki i tupot biegających ludzi, którzy usłyszeli strzały. Gdzie znudzony pracownik sprzątający zamiecie ją jutro, nie zwracając na nią uwagi, razem z pozostałymi odpadkami.

Piąta kula – ta, która go zabiła – robi idealną dziurę w lewej brwi Tolego, wykopując bruzdę w jego mózgu, tracąc impet, w miarę jak wyhamowuje ją tkanka mózgowa, i zatrzymując się przed kością ciemieniową.

Upada.

Lola przestaje krzyczeć w samą porę, by zobaczyć twarz Tolego opadającą na podłogę, na kałużę frappuccino, kilka centymetrów od niej. Z jego ust wystaje szkarłatna bańka. Miłe i lojalne spojrzenie jej szofera i ochroniarza, które od sześciu lat widziała każdego poranka w lusterku, teraz wyraża zdumienie i niezrozumienie. Tole umiera w wieku

czterdziestu siedmiu lat, nie dokonawszy w swoim życiu niczego wielkiego ani nie spełniwszy żadnego ze swoich marzeń.

Oczywiście ta myśl nie przemyka teraz przez głowę Loli. Ani nie przemknie później, kiedy bosa, z krwawiącymi stopami, przetnie parking centrum handlowego, starając się przeżyć. Przemknie dopiero tego wieczoru, kiedy zwinie się w łazience, żeby płakać (przykryta skradzioną kurtką, drżąc ze strachu), lecz łzy nie popłyną z jej oczu.

Bańka w ustach Tolego pęka, opryskując policzki Loli maleńkimi kroplami krwi i śliny. A to – bardziej niż strzały, bardziej niż potrzeba chronienia swojego nienarodzonego dziecka – wyzwala ostrą reakcję na stres. Ta bańka, która pękła wraz z ostatnim oddechem Tolego.

Gdy zazdrośnice mijają Lolę, kiedy ta wychodzi z drogich restauracji i modnych butików, szturchają się łokciami. Te szturchnięcia oznaczają tyle co „utrzymanka”, kiedy szturchają się Hiszpanki, i „żona trofeum”, kiedy robią to Brytyjki lub Rosjanki.

Prawda jest taka, że Lola ma więcej czasu niż inne kobiety po trzydziestce (według Loli pod trzydziestkę), żeby chodzić do siłowni. I to znowu ratuje jej życie, kiedy:

- wykonuje *burpee*, opierając ręce na podłodze, strząsając z siebie szkło i wyskakując w górę eksplozywnym ruchem pośladków i mięśni prostych uda (zumba w środy od 11.00 do 11.45);
- przeskakuje nad ciałem Tolego, nie tracąc równowagi (body balance we wtorki od 12.15 do 13.00);
- wymierza podwójny cios łokciem w kość policzkową zabójcy (cardio box w poniedziałki i piątki o 10.00, jej ulubione zajęcia).

Czystym przypadkiem (i dlatego że Lola nieco się potyka) podwójny cios łokciem trafia oba razy, choć niezbyt mocno. Lola jest wysoka. Metr siedemdziesiąt pięć. Ale w swoim życiu jeszcze nigdy nie wymierzyła prawdziwego ciosu, a cardio box jest dobry, żeby gospodyni domowa wzmocniła swój tyłek, a nie łamała kości policzkowe. Napastnik jednak cofa się odrobinę, zdezorientowany.

Poluźnia mu się też trochę chustka, którą zasłonił sobie twarz.

Rozpoznanie go zajmuje Loli pół sekundy.

A całą sekundę uświadomienie sobie, że ma przejebane.

„Niezły bajzel”, myśli.

Kiedy nasz mózg stawia czoło zagrożeniu, rdzeń nadnercza natychmiast wydziela adrenalinę, dostarczaną do krwiobiegu, błyskawicznie zapewniając nam energię niezbędną do walki albo ucieczki. Lola już walczyła – te dwa słabe ciosy łokciem były tego marnym rezultatem. Teraz strach nakazuje jej brać nogi za pas.

Podnosząc się, zgubiła jeden z sandałów od Miu Miu. Gdy odwraca się przerażona, poślizguje się na szkle i przewraca się twarzą na podłogę. Ale przypał, jak to się mówi. Traci drugi sandał, kiedy próbuje się podnieść, wbijając sobie odłamki szkła w bosc stopy. Ignoruje ból, bo czuje zbyt duży strach, żeby mu się poddać, i znowu się podnosi, oferując swojemu napastnikowi doskonały cel, kiedy ucieka w stronę wyjścia awaryjnego na końcu korytarza.

Zabójca, który pozbiarał się już po uderzeniach w twarz, podnosi pistolet i pociąga za spust. Różowy sweter jest łatwym celem z tak bliskiej odległości, ale żeby pistolet wystrzelił, w magazynku muszą być kule. W magazynku makarowa znajdowało się ich tylko osiem. Trzy w szybę, cztery w ciało Tołego, jedna spadła na niższe piętro. Tak więc wyczekiwane *bam, bam, bam* zamienia się w nieszkodliwe *klik, klik, klik*. Zabójca przeklina (jest przyzwyczajony do innych rodzajów broni z większą liczbą nabojów) i sięga do kurtki po drugi magazynek, choć nie spodziewał się, że będzie musiał z niego skorzystać. Walczy z zamkiem pistoletu i udaje mu się włożyć magazynek, nie ma jednak czasu, by strzelić do coraz bardziej oddalającego się różowego swetra, ponieważ za jego plecami rozlega się:

– Ręce do góry!

Zabójca unosi brwi (z pewnością myśli sobie: „Serio? Ręce do góry? Serio?”) i się odwraca. Ochroniarz ze sklepu jubilerskiego Chocrón

(rewolwer w dłoni, wąsy, piwny brzuch) wyszedł na korytarz i właśnie w niego celuje.

Zabójca nie daje mu żadnych szans. Dwa strzały w klatkę piersiową, jeden w głowę. Zostało mu pięć kul. Odwraca się w stronę Loli, jeszcze zanim kolana ochroniarza dotykają podłogi. Oddaje strzał, ale czwarta kula trafia jedynie w futrynę drzwi ewakuacyjnych, które zamknęły się już za plecami Loli, zagłuszając krzyk frustracji zabójcy.

Ale nie, Lola nie jest bezpieczna, jeszcze nie.

Ani trochę.

## Wideorozmowa

Antonia jest w bardzo złym humorze i babcia Scott to widzi.

– Jesteś w bardzo złym humorze, dziecko. Widzę to – mówi.

Babcia właśnie jest w kuchni, smaruje sobie tosta masłem i dżemem przed kamerą swojego iPada. Dżem z czerwonych owoców, domowy i pełen cukru, wygląda tak, jakby wypływał z ekranu. Antonia się powstrzymuje i nie przypomina jej, że nie powinna jeść cukru ani tłuszczu. Babcia Scott przypomniaby jej tylko, ile ma lat. Dziewięćdziesiąt trzy, w przyszłym miesiącu skończy dziewięćdziesiąt cztery. A wygląda kwitnąco.

Nie, Antonia nie mówi nic na temat tostów. Zrezygnowała już z kontrolowania poziomu cukru i cholesterolu swojej babci. Tak naprawdę przeszkadza jej to, że staruszka może się objadać, podczas gdy ona musi liczyć każdą kalorię. Mimo że bardzo słodkie smaki jako jedyne potrafią przedrzeć się przez mur jej anosmii, dla niej nie istnieją.

*Kummerspeck.*

Po niemiecku: bekon smutku. Kilogramy, które zyskujesz, kiedy jesz dla poprawy nastroju.

Odkąd siedem miesięcy temu wróciła do pracy, stara się nie zapaść. Chce zrekompensować trzyletnie ekscesy, kiedy to jadła tylko przetworzone śmieciowe jedzenie. Taki tost jak ten poszedłby jej prosto w biodra.

Tak więc siedzi w kuchni swojego poddasza w dzielnicy Lavapiés, z kawą z kapsułki na śniadanie. Zielona z zazdrości.

– Nie miałam zbyt dobrej nocy – odpowiada krótko.

Babcia mruży oczy, przysuwa się do ekranu. Właśnie zdała sobie z czegoś sprawę.

– Dzwonisz do mnie z domu?

Antonia stawia iPad na stole, żeby móc ukryć twarz w dłoniach.

– Przyszłam tu spać. Nie było sensu jechać do szpitala o tak późnej porze.

Nie mówi jej, że to już czwarta noc z rzędu, gdy śpi w domu. Że przy łóżku Marcosa spędza coraz mniej czasu.

Nie mówi jej, że kupiła materac i że nadmuchuje go co wieczór i wypuszcza z niego powietrze każdego poranka. Że chowa go do szafy, żeby światło słoneczne nie było świadkiem jej wstydu.

Nie mówi jej, że coraz trudniej jest odwiedzać męża, brać go za rękę i przy nim zasypiać. Że jego sylwetka, coraz bardziej zmęczona i skurczona, skóra coraz bardziej szorstka i zimna, są dla niej nieznośnym oskarżeniem. Że współczucie, jakie wcześniej żywiła dla Marcosa, poczucie winy, żal, zamieniły się w niechęć.

Empatia dla czyjegós niepowodzenia ma swoją granicę. Po której przekroczeniu zaczynasz czuć, że jego nieszczęście jest podłym czynem, którego ofiarą jesteś ty.

Tego też nie mówi. Możliwe, że Antonia Scott jest najinteligentniejszą osobą na świecie. Lecz nie daje jej to mądrości, by wiedzieć, co robić, ani siły, żeby stawić temu czoło.

Antonia nie mówi nic, ale babcia nie potrzebuje tego wszystkiego słyszeć.

Babcia wie.

– Wczoraj przyszedł ten od gazu, żeby zrobić przegląd. Przystojny chłopak.

Tylko babcia Scott potrafi nadać angielskiemu wyrażeniu nice ol' chap lubieżnego zabarwienia, nawet ze swoją sztuczną szczęką.

– Na Boga, babciu, jesteś od niego starsza o czterdzieści lat.

– Trzydzieści osiem, dziecko. Ale gdybyś zobaczyła, jakie z niego ciacho – mówi, gryząc tosta. – I jest wdowcem, biedaczek. Może któregoś

wieczoru zaproszę go na jagnięcinę w sosie miętowym.

Babcia Scott uważa, że jej jagnięcina w sosie miętowym ma niezaprzeczalne właściwości afrodyzjaku. Antonia się nie oburza, dobrze wie, że babcia będzie flirtować z grabarzem, kiedy ten będzie zrzucał ziemię na jej trumnę.

– Do czego to ja zmierzałam... – ciągnie babcia.

– Doskonale wiem, do czego zmierzałaś – przerywa jej Antonia. – Nie potrzebuję w moim życiu żadnego mężczyzny.

– Bzdury. Zobacz, co teraz czytam. To bardzo interesujący test.

Babcia podnosi jakąś gazetę. Antonia odczytuje dziewięć z dwunastu liter nagłówka. Czcionką Franklin Gothic w dyskretnym kolorze fuksji. Pozostałe litery zasłania czoło blondynki. Antonia nie rozumie, jak może się tak szeroko uśmiechać, skoro gryzie kciuk.

– „Czy to czas na znalezienie faceta? Przekonaj się, odpowiadając na pięćdziesiąt pytań”.

– Zamierzasz przeanalizować mnie tym prymitywnym narzędziem?

– Nie udawaj takiej niedostępnej, dziecko. Posłuchaj, pytanie trzecie...

Antonia pozwala jej chwilę mówić, aż babcia uzmysławia sobie, że jej nie słucha.

– W porządku. Co się z tobą dzieje?

Wnuczka zaczyna opowiadać.

Opowiada o swoim problemie braku komunikacji z Jorgem. O tym, jak nieznośny jest sposób, w jaki jej syn na nią patrzy, nie ufając jej do końca, udając, że jest to coś, co Antonia niezbyt dobrze rozumie, coś, do czego żadne z nich nie jest przyzwyczajone.

Babcia przytakuje i nic nie mówi.

Antonia opowiada, co czuje wobec swojego męża w śpiączce. Tutaj robi wiele uników. Ma czarny pas w okłamywaniu samej siebie i biało-żółty w wyrażaniu swoich emocji.

Babcia przytakuje i nic nie mówi.

Antonia się wkurza.

– Od dziesięciu minut mówię tylko ja.



- Od dziesięciu minut użalasz się nad sobą. Nie wychowałam cię, żebyś była jęczącą gąską. We mnie nie znajdziesz współczucia, dziecko. Jeśli chcesz płakać, wyplakuj się na ramieniu Jona. Płacą mu za to, żeby wspierał cię tym ogromnym umięśnionym ramieniem.

- No tak - mówi Antonia, kiedy udaje jej się dojść do siebie po złośliwym ataku babci, która swoją typową dla siebie szczerocię owinęła papierem ściernym i podała jej, wbijając młotkiem. - Z Jonem też nie układa się najlepiej. Nie wspiera mnie zbytnio we współpracy z Mentorem. Wczoraj w nocy...

- Och, jesteś taka uparta - przerywa jej babcia. - Posłuchaj mnie, ale posłuchaj dobrze, Antonia. Istnieje tylko jedno rozwiązanie twoich problemów, wszystkich. Zostaw to.

Antonia mruga zdumiona. Staruszka mówi dalej.

- Popełniłaś błąd, lata temu. Marcos umarł z twojej winy.

- On nie umarł, babciu.

- Obie wiemy, co jest napisane w raportach medycznych. Obie wiemy, że trzymasz się go tylko dlatego, że przyznajesz się do swojego błędu. Ale twojego męża już nie ma. Zachorowałaś dlatego, że nie chcesz się do tego przyznać. Zachorowałaś z pychy i to oddaliło cię od Jorgego i zmusiło twojego ojca do odebrania ci go.

Babcia robi pauzę, żeby upić łyk z kieliszka, który stoi na stole. Wygląda na sok z porzeczki, ale znając babcię, to z pewnością sok innego rodzaju. Z tych, co dojrzewają w dębowej beczce.

- Ponieważ nie byłaś przy nim od narodzin, nie nauczyłaś się, jaka powinna być matka. A przede wszystkim nie odrobiłaś najważniejszej lekcji. Nigdy nie robimy niczego jak należy, dziecko. Cokolwiek zrobisz, będzie źle. A kiedy dorosnie, zrzuci na ciebie winę za wszystkie swoje problemy i wady. Tak już jest.

Antonia doskonale rozumie tę ostatnią część. Ostatecznie ona obwinia swojego ojca o wiele rzeczy.

- Tak trudno?

- Dopóki nie pozwolisz sobie na popełnianie błędów, będziesz uważała, że jesteś złą matką. Że zawodzisz swojego męża. Że jesteś kiepską śledczą, ponieważ nie znajdujesz kogoś, do kogo nikt wcześniej nie zdołał się zbliżyć. Pozostaniesz zablokowana i będziesz umierać ze strachu. Będziesz sama w królestwie osamotnienia i opuszczenia. Zostaw to.

Antonia potrzebuje kilku sekund, żeby sobie przypomnieć, gdzie już wcześniej słyszała to zdanie, aż odszukuje w pamięci, że to było pierwsze, o co poprosił ją Jorge, żeby obejrzeeli, kiedy opieka społeczna pozwoliła jej znowu się z nim widywać. Niezrozumiały film z gadającymi bałwanami i księżniczką, która nie może wyjść z szafy. Dwie godziny z życia, których nigdy nie odzyska.

- Czy właśnie zacytowałaś Elbę, babciu?

- I to z dumą - odpowiada babcia, podnosząc kieliszek, który zdedytowanie nie zawiera soku porzeczkowego.

Antonia wzdycha niezadowolona, targając sobie grzywkę. Jej typowe krótkie włosy sięgają już za ramiona i wymagają cięcia. Nawet na to nie znalazła czasu.

- Chyba nie musisz się przejmować moją obsesją. Mam tylko kilka godzin, zanim Aguado przekaże oficjalny raport i potwierdzi Mentorowi to, co wszyscy wiemy. Że ciało z Manzanares nie należy do Sandry Fajardo.

- Jeszcze nawet nie znacie jej nazwiska, prawda?

Wciąż słyszy słowa Sandry w ciemnym tunelu. To zdanie, którego w dalszym ciągu nie może rozszyfrować.

„Ty, która pamiętasz wszystko, nie przypominasz sobie, komu wyrządziłaś krzywdę? Jakie skutki zostawiła twoja walka ze złem?”

- Nie mam nic, babciu. Wszystko, co wiązało się ze sprawą Ezequiela, było fałszywe. Religijne paraferalia, tak wyszukany *modus operandi*... to wszystko kłamstwa, zasłony dymne. A ja nadal nie rozumiem dlaczego. Wiem jedynie tyle, że ma to związek z White'em.

Babcia pociąga kolejny łyk, a na jej twarzy pojawia się błogi uśmiech, uśmiech z reklamy czekoladek. Ani trochę nie jest jej przykro, że Antonia

musi porzucić swój cel.

– Ten człowiek to szaleniec, Antonia.

„Nie, babciu, nie jest szaleńcem. Jest kimś znacznie więcej. Dlaczego nikt nie może go zobaczyć?”, myśli Antonia.

Ale nie odpowiada.

Ma ochotę się rozłączyć.

Ma ochotę wrócić do salonu i usiąść w pozycji kwiatu lotosu, aby mieć swoje trzy minuty. Nigdy nie potrzebowała ich tak bardzo.

– Wiesz, co zleci ci teraz Mentor?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Antonia, kręcąc głową. – Pewnie jakąś bzdurę.

– Uśmiechnij się, dziecko. Zobaczysz, że w końcu będziesz się dobrze bawić.

# Lola

Lola biegnie schodami w dół, powtarzając sobie istotną informację.

„Zawsze jest dwóch, zawsze jest dwóch, kiedy chcą kogoś sprzątnąć, zawsze jest ich dwóch”.

Strzęp uchwycony w przelocie w salonie ich domu, kiedy podaje bliny z węgorzem i szklanki z kisielem i przeciera ścierką blat. Rozmowy, które im dalej w noc, tym głośniejsze się stają i zagłuszają nieustanny dźwięk telewizora ustawionego na Pierwyj kanał, odbierany dzięki antenie satelitarnej zainstalowanej na dachu willi. Niebezpieczni i mocni w gębie faceci, przechwalający się na jej oczach, jak gdyby nie istniała. Cipka Jurija. Która najwyraźniej ledwo mówi po rosyjsku. Jakie ma znaczenie, co usłyszy.

To prawda, że nie mówi zbyt dobrze po rosyjsku, mimo że uczy się od sześciu lat, ale rozumie prawie wszystko. A przynajmniej wystarczająco, żeby wychwycić, jak jeden z kumpli (czy współników, bo to jest tożsame, a przynajmniej w przypadku Jurija) opisywał metodę działania typową dla płatnych zabójców, nawet sobie nie wyobrażając, że sama stanie się ich celem.

„Motor albo samochód czeka na zewnątrz, w miejscu publicznym, i *bam, bam*. Potem zabójca biegnie do pojazdu, który czeka na zewnątrz, podczas gdy kierowca stoi na straży i kryje wyjście. Później *brum, brum*, przyspiesza i da *swidania*. Tyle go widziano”. To ostatnie zdanie powiedział po hiszpańsku. Rosjanie uwielbiają hiszpańskie wyrażenia.

Lola, która centrum handlowe zna jak własną kieszeń, wie, co sama by zrobiła. Zostawiłaby pojazd na parkingu z włączonym silnikiem, a potem wyszła drzwiami ewakuacyjnymi.

Co oznacza, że ucieka w niewłaściwym kierunku.

Hałas dwa piętra wyżej to potwierdza. Zabójca za nią biegnie. Chcąc się upewnić, Lola wychyla się i spogląda w górę. Strzał mija ją o kilka centymetrów. Huk wypełnia jej uszy, odbija się od betonowych ścian.

Lola przeklina samą siebie i wciąż biegnie na dół. Skończyły się schody, możliwości, miejsce. Stopnie kończą się drzwiami ewakuacyjnymi, które prowadzą na tyły centrum handlowego.

I na parking.

Za sobą słyszy kroki zabójcy, który zbiega najszybciej, jak może. Nie ma czasu do stracenia. Lola otwiera drzwi i od razu go widzi, w odległości dziesięciu metrów, w poprzek jezdni.

Samochód z włączonym silnikiem.

Lola nie zaprzęta sobie głowy sprawdzaniem, kto siedzi za kierownicą (bo już to wie), tylko biegnie, żeby ukryć się między zaparkowanymi autami. Nie ma ich wiele o tak wczesnej porze (samo południe, kiedy zagraniczni turyści najpierw przyjeżdżają na obiad, a później czyszczą swoje karty kredytowe u Gucciego i Valentino). Tak więc Lola musi się schylić i biec między nimi, próbując się ukryć. Nieświadoma, że jej stopy zostawiają na asfalcie ślady krwi.

Za jej plecami słychać, jak otwierają się drzwi ewakuacyjne. Lola jest skulona za nowiutkim priusem, obok niej nie ma już żadnych samochodów, za którymi mogłaby się schować. Następny stoi w odległości trzech miejsc.

Zaczyna padać. Leje jak z cebra.

Lola jest sparaliżowana, trzęsie się ze strachu, nie wie, co robić, gdy nagle tylna szyba priusa rozpada się na tysiąc kawałków. Lola wydaje przerażony krzyk i pada na ziemię. Nie może widzieć zabójcy, nie może pobiec do drugiego samochodu, stoi zbyt daleko. Jedyne rozwiązanie to wpełznięcie pod priusa. Czołga się, na dłoniach i łokciach czuje lepka teksturę oleju silnikowego, który przedostaje się przez sweter za tysiąc dwieście euro.

Samochód przegrywa.

Lola też.

Rany na stopach sprawiły, że straciła sporo krwi, a tego ranka nie zjadła śniadania. Planowała pójść na kawę po zakupie wózka. Podobno kupowanie go tak wcześnie przynosi pecha. Lola jest dopiero w trzecim miesiącu ciąży. W luźnych ubraniach prawie nie widać. Ale ona tak bardzo chce mieć to dziecko. I jest tak niecierpliwa.

„To przynosi pecha”.

Lola czuje zawroty głowy, ma zamazany wzrok. Jej ramiona słabną, podłoże mocno ciągnie ją w dół, obiecując spokój.

„Nie, do cholery, nie mogę zemdleć”.

Jest w niej coś takiego, co docenia myśl o omdleniu, chce pozwolić, by ją zastrzelono, kiedy nie będzie tego świadoma. Zaciemnienie, koniec. Łatwo, bezboleśnie.

„Nie”.

Znowu się podnosi. Wymieszany z deszczem olej pozostawił na policzku opalizującą śliską plamę, która spływa do jej otwartych ust. Smak jest słodki.

Ale niedobry.

Wypluwa.

Czołga się dalej. Pełźnie między samochodami i znajduje schronienie pod tym obok, w samą porę. Przed nią stoją czyjeś buty. Grube, czarne. Jeden z nich jest pobrudzony krwią.

Czubek prawej stopy znajduje się kilka centymetrów od jej twarzy.

„Jeśli trochę się ruszy, złapie mnie”.

„Jeśli się schyli, złapie mnie”.

Ktoś oplakuje Lole, smutno i cicho. Ona sama, rzecz jasna. Nie robi żadnego hałasu, ledwie się rusza, ale płacze niepokieszona z powodu ogromnej niesprawiedliwości, jaką jest śmierć w takich okolicznościach, gdy Lola jest uwięziona pod samochodem, brudna i sama.

Wtedy rozlega się syrena. Nie w oddali, jak to bywa w filmach, lecz bardzo blisko, bardzo głośno. Co najwyżej przecnicę dalej.

Buty odchodzą.

Trzaśnięcie drzwiami, silnik samochodu przyspiesza i znika w oddali.

Lola znowu opada na ziemię (krótki odpoczynek, nie może się wszak zatrzymać, zagrożenie nie minęło) i płacze dalej.

Nie przestaje płakać nawet wtedy, kiedy telefon wibruje w kieszeni dżinsów.

Już nawet nie pamiętała, że go ma.

To wiadomość od Jurija.

*Idą po mnie. Wiesz, co robić.*

„Pieprzony idiota. Głupiec, skończony kretyń”, myśli Lola. Gdyby jej mąż tu był, wyrwałaby mu te włosy, które dopiero co przeszczepił sobie w Turcji.

„Teraz mnie ostrzegasz? Teraz?”

## 5

# Pośpiech

„Co jest najlepsze i najgorsze w Bilbao?”

Najgorsze w Bilbao jest to, że nie ma takiego miejsca jak Attack. Gdzie można poszukać przypadkowego partnera seksualnego i rozładować napięcie.

Najlepsze w Bilbao jest to, że nie ma takiego miejsca jak Attack, z którego Jon wychodzi z cierpiącą duszą, czując się jeszcze bardziej samotny niż wtedy, gdy tam wchodził.

„Ale lżejszy, trzeba uczciwie powiedzieć”.

Przed wszystkim chce, żeby odpowiedział mu chłopak z Grindra, ale wygląda na to, że po kilku czatach zapadł się pod ziemię. Choć wydawał się miły. A inspektor Gutiérrez, który jest seryjnym monogamistą, nie chce jeść jabłka dwa razy w tygodniu, mając przy tym ochotę płakać. Chce cywilizowanej miłości, tyle że jej nie znajduje.

Wychodząc, Jon zapina marynarkę, z włosów wciąż mu kapie po tej saunie w środku. Płaszcz nie wkłada, bo od domu dzieli go tylko sześć minut.

Jako wiecznie niepoprawny optymista, Jon włącza telefon. W Attacku komórki trzeba zostawić w szatni, razem z całą resztą, z oczywistych powodów. Może dopisze mu szczęście i pojawi się wiadomość od chłopaka.

Pojawia się pięć połączeń od Mentora.

Sześć, łącznie z tym, które przychodzi w tej chwili.

– Dochodzi druga w nocy – mówi Jon, odbierając.

– Mam nadzieję, że przygotował pan Scott, tak jak prosiłem.

– Ma pan już raport od Aguado – wzdycha Jon.



– Tego się obawialiśmy. Ta kobieta to nie jest Sandra Fajardo, więc zwalniam was z tej sprawy.

– A to nie mogło poczekać do jutra?

– Nie, bo wyniknęło coś bardzo ważnego. Musicie pojechać do Marbelli.

– W porządku, jutro z same...

– Teraz, inspektorze. Proszę mi wierzyć, to bardzo pilna sprawa. I bardzo, bardzo gruba. Niech pan powiadomi Scott i ruszajcie. Po drodze przekażę wam szczegóły.

Jon otwiera szeroko usta. Albo ziewa, bo nie da się tego rozróżnić. To już druga noc z rzędu, gdy kładzie się późno. Poprzedniej wyławiał zwłoki. Dzisiejszej zajmował się swoimi gejowskimi sprawami. A człowiek jest już w pewnym wieku. Tak więc to polecenie nie jest mu na rękę.

– To sześć godzin jazdy.

– Tym samochodem, jeśli się porządnie depnie, cztery. I proszę uważać.

– Czy właśnie poprosił mnie pan, żebym jednocześnie depnął i uważał?

– To się nie wyklucza.

– Zasypiam na stojąco.

– Jeśli potrzebuje pan chemicznego wsparcia, w schowku coś pan znajdzie.

„Tylko tego brakowało. Dwoje ćpunów w ekipie, w cenie jednego”.

– Moje ciało jest jak świątynia, niech pan zapamięta.

– Nie da się tego powiedzieć przy cholesterolu na poziomie dwieście osiemdziesiąt trzy, inspektorze.

– Wydawało mi się, że wyniki badań lekarskich są poufne.

– Są dość poufne. Niech się pan nie rozbije – nakazuje Mentor. Rozłącza się.

Tak więc pół godziny później ma Antonię na siedzeniu pasażera w audi A8. Czarny metalik, przyciemniane szyby, aluminiowe felgi, ponad sto

tysięcy euro. Jon ochrzcił go „Królowamobil”. Ksywka, która jest zabawna tylko dla niego.

– Jeśli jesteś zmęczony, mogę prowadzić – proponuje Antonia niewinnym głosem.

To trzeci samochód, jaki dał im Mentor, po tym jak Antonia rozbiła pierwszy podczas pościgu z prędkością przekraczającą dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Drugi Jon wbił w rolls royce’a sir Petera Scotta, ojca Antonii, niedługo potem. Ale zdaniem Jona to też była jej wina.

Z tego powodu Jon nie zamierza ustąpić jej miejsca za kierownicą aż do dwudziestego drugiego stulecia.

– Ty odpoczywaj, piękna. Odpoczywaj.

Rozczarowana Antonia odchyła się na oparcie. Zamyka oczy i udaje, że śpi.

Jon patrzy na zegarek i myśli o *amatxo*. O tym, jak się czuje. Bo ma już siedemdziesiąt jeden lat. A bingo Arizona jest zamknięte. Gdzie ona znajdzie rozrywkę. Biedaczka, jest taka samotna.

Taka samotna oczywiście dlatego, że tak jej się podoba. Bo wbrew wszystkiemu nie chciała opuścić swojego mieszkania w Bilbao, żeby przenieść się z synem do Madrytu. Gdzie ona niby ma się przeprowadzić na stare lata. Jedź sam, jeśli chcesz, jeśli nie obchodzi cię, że umrę tu samiuteńka. Nie, *ama*, rzecz w tym, że obowiązki wzywają i w ogóle. I że ona się nie przeprowadza, zostawiając mu zadanie prasowania własnych koszul po raz pierwszy od czterdziestu trzech lat. Tak się tylko mówi, bo teraz prasują je w pralniach. A tym bardziej z tą pensją, jaką co miesiąc wypłaca mu Mentor. Prawie pięciocyfrową. No ale tęskni za nią.

„Muszę do niej zadzwonić”.

Dzwoni jednak – kiedy jadą A czwórką na wysokości Valdemoro – Mentor. Na iPad Antonii. Przez FaceTime.

Ona umieszcza tablet na uchwycie na desce rozdzielczej i odbiera połączenie.

– Zastanawiacie się pewnie, dlaczego wysłałem was do Marbelli w środku nocy.

Kamera internetowa podkreśla Mentorowi zakola i worki pod oczami. Wygląda, jakby nagle postarzał się o dziesięć lat. I wciąż wapuje.

– Prawdę mówiąc, nie. Nie ma nic lepszego niż sześćset kilometrów, żeby rozprostować nogi.

– Pan niech patrzy na drogę, inspektorze.

– A pan niech nie dmucha parą w kamerę, bo nic nie widać.

– Było wiele spraw, w których domagano się Czerwonej Królowej, teraz, gdy zrezygnowaliśmy z poszukiwań Fajardo – mówi Mentor, ignorując go. – Musiałem odrzucić albo odwlec jej udział w nich. Teraz coś się pojawiło, szansa, jakiej nie mieliśmy od dawna.

Mentor podnosi wydrukowane zdjęcie. Wygląda jak wyciągnięte z paszportu. Młody śniady chłopak, jakieś trzydzieści pięć lat. Szeroki nos, krótkie włosy. Grube usta.

„Przeleciałbym go”, myśli Jon.

– Tak mniej więcej wyglądał Jurij Woronin jeszcze dwa dni temu.

Mentor podnosi drugie zdjęcie.

– A tak wygląda teraz.

To fotografia w dużej rozdzielczości, zrobiona z fleszem. W zbyt dużej rozdzielczości. Widać ramiona i podbródek Jurija. A nawet, gdyby zdobyć się na wysiłek, żeby odróżnić je od krwi i kości, da się dostrzec jego włosy. Nie widać natomiast nosa ani oczu, ani reszty twarzy Jurija, bo rozwalono mu ją strzelbą.

„Już bym go nie przeleciał”, myśli Jon. I odwraca wzrok.

– Kaliber dwanaście? Powiedziała bym, że z kulami ceramicznymi – zgaduje Antonia, przysuwając się nieco do ekranu.

– Jak dobrze zrobiliśmy, posyłając cię do prywatnej szkoły – potwierdza Mentor, pokazując więcej zdjęć.

Ciało leży na rozbitym szkłe. Z daleka wygląda tak, jakby brakowało mu części głowy, ponieważ brakuje mu części głowy.

– Jurij Woronin był rosyjskim biznesmenem, legalnym pod każdym względem – ciągnie Mentor. – Miał firmę importową. Agrochemikalia, fitoregulatory, akarycydy. Sprowadzał je z Sankt Petersburga do Algeciras albo Malagi. A także żelazo, aluminium i inne surowce. W ostatnich miesiącach interesował go głównie *funduk*.

– Co to jest *funduk*?

– Po rosyjsku to orzech laskowy – mówi Antonia.

„Zna też rosyjski”, myśli Jon. „Jakżeby inaczej”.

– To rosyjska nutella – wyjaśnia Mentor. – Najwyraźniej robi furorę na Costa del Sol. Eksportują ją nawet do Francji.

– Nutella tuczy – dodaje Antonia, której burczy w brzuchu, gdy tylko wymawia tych siedem liter.

– A *funduk* jeszcze bardziej. Rosjanie nie ulegli nawoływaniom, żeby przestać używać oleju palmowego. Podobno właśnie dlatego cieszy się taką popularnością.

– Niech zgadnę – odzywa się Jon. – Nie zginął za sprzedawanie mleka, kakao, orzecha laskowego i cukru.

– Nie, obawiam się, że nie. Uważamy, że Jurij Woronin był skarbnikiem klanu Orłowa. Głównego przedstawiciela rosyjskiej mafii w Hiszpanii.

– Po co zabijać skarbnika? Nie zgadzała się tabelka w Excelu?

– To ważne pytanie, inspektorze. Proszę pozwolić, że zadam panu inne. Co pan wie na temat przestępczości zorganizowanej na Costa del Sol?

– Że to nie są żarty – odpowiada Jon.

Chociaż nie należało to do zakresu działalności Jona, kiedy pracował jako zwykły policjant, od wielu lat czytał wewnętrzne raporty. Wie o prawie cotygodniowych obławach. O skonfiskowanych milionach euro i kilogramów. Dziesiątkach zabitych, których liczba rośnie, a o których nigdy nie mówi się w mediach. Ponieważ przede wszystkim trzeba chronić to, co daje nam jeść. A w tym kraju jeść daje nam sprzedawanie słońca i plaży.

– Nie, to absolutnie nie są żarty. To jest chaos, inspektorze. Kolumbijczycy, Szwedzi, Algierczycy, Kosowianie, wszyscy walczą o kawałek tortu. A ponad nimi wszystkimi Rosjanie kroją ten tort. To jest wojna, którą przegrywamy.

– Przez to, co zawsze?

– Nie ma żadnych środków dla lokalnych organów. Utworzyły się obozy. UDYCO<sup>4</sup> po jednej stronie, GRECO<sup>5</sup> po drugiej. Gwardia Obywatelska działa na własną rękę. Zawisać.

– A więc przez to, co zawsze.

– I teraz wkraczacie wy, inspektorze.

Mentor pokazuje więcej fotografii. Kobieta o jasnokasztanowych włosach i niebieskich oczach. Owalna twarz. Nawet na zdjęciu z dowodu widać, że jest cholernie ładna. „A przecież na tych zdjęciach wychodzi się fatalnie”.

– Lola Moreno Fernández. Urodzona w Fuengirolí w osiemdziesiątym dziewiątym. Uczyła się w szkole dla sekretarek, próbowała sił w modelingu, podawała drinki, pracowała w klubie go-go. Nic ciekawego. Sześć lat temu wyszła za Jurija i teraz mieszka w willi za pięć milionów euro.

– Zbyt ładna, żeby nosić żałobę – mówi Jon. – Co zeznała?

– Nic. Tego samego dnia próbowali zabić ją w centrum handlowym, o tej samej godzinie co jej męża. Sprzątnęli szofera, a ona zniknęła.

– Policja pewnie jej szuka.

– I płatni zabójcy Orłowa też, więc w tej chwili trwa wyścig z czasem. Waszym zadaniem jest go wygrać. Dlatego wysłałem was do Marbelli w takim pośpiechu, zanim ślad się zatrze. Lola Moreno to wasze jedyne powiązanie z Jurijem Woroninem. Jeśli dowiecie się, dlaczego zabito jej męża, jeśli dowiecie się, dlaczego usiłowano zabić i ją, być może uda nam się zrobić szczelinę w pancerzu klanu Orłowa. Jakies pytania?

Jon zaprzecza, pomrukując.

Antonia nie mówi nic.

Wszyscy wiedzą, że jest niezadowolona. Że chce jedynie zostać w Madrycie i szukać Sandry Fajardo. Czy jak się tam ona nazywa.

– Nie wyglądasz na zbyt zachwyconą – karci ją Mentor, który nie daje za wygraną.

– Mafiosi są nudni – mówi ona, wzruszając ramionami.

– Daj spokój. Będzie tak jak w Walencji.

– Ty i ja wspominamy Walencję w zupełnie inny sposób.

Mentor odchrząkuje.

– Taka chaotyczna sytuacja jak ta jest modelem, dla którego stworzono projekt Czerwona Królowa. Jeśli ktoś może zrobić z tym porządek, to właśnie ty, Antonia. Wszystkie zaktualizowane informacje zostawiłem wam na serwerze. Informujcie mnie na bieżąco – prosi Mentor i się rozłącza.

W samochodzie zalega cisza. Wzmocnione wnętrze audi A8 jest dziełem sztuki. Nie słyhać nawet szmeru kół na asfalcie, w miarę jak potężny pojazd pożera kilometr po kilometrze.

– Ja zawsze ubieram się na czarno – odzywa się po chwili Antonia.

Jon spogląda na nią, zdziwiony.

– Powiedziałaś, że ta kobieta jest zbyt ładna, żeby nosić żałobę. A ja?

„A ty... a ty już powinnaś przestać nosić żałobę”, myśli Jon. Ale mówi:

– Jak by ci to wyjaśnić – zaczyna, poważniejąc. – Możliwe, że nie nadajesz się do modelingu. Ale kiedy się uśmiechasz, to nawet wszystkie Lole Moreno na świecie nie dorastają ci do pięt.

I tyle.

Antonia się uśmiecha.

Uśmiech o mocy dziesięciu tysięcy woltów, znak towarowy.

Jon uświadamia sobie, że po raz pierwszy od kilku miesięcy widzi ją uśmiechniętą, i to roztopia mu serce. W tej chwili na środku klatki piersiowej ma fondant czekoladowy.

„Aj, piękna. Jaka ty jesteś trudna i jak bardzo dajesz się lubić”.

## 6

# Tabliczka

Najpierw najważniejsze. A najważniejsze jest śniadanie.

Jon trąca Antonię łokciem, żeby ją obudzić. Delikatnie. Ona obrusza się, skrępowana. Nie znosi, gdy się jej dotyka, ale tym razem nic nie mówi.

Jon nie wie, czy to postęp. Chce wierzyć, że tak.

– Jesteśmy blisko. Zatrzymamy się tutaj.

Antonia przeciąga się na siedzeniu, trze oczy. Stoją przed kawiarnią. Jeszcze nie świta.

– To nie jest właściwy adres.

– A ja ci mówię, że tak. Jestem głodny jak wilk. Albo dasz mi kawę i kanapkę, albo miejsce zbrodni będziesz oglądać sama.

Ona sięga do schowka. Pod instrukcją obsługi samochodu leży czerwona koperta. Antonia ją otwiera i wyjmuje torebkę z białymi pigułkami. Pokazuje je partnerowi.

– Nie wiem, czy Mentor cię o tym uprzedził, ale...

– Posłuchaj, piękna, nie wkurzaj mnie. I tak mamy wystarczająco na głowie. Zachowaj je dla siebie.

– Difenylmetylsulfinylacetamid? Jeśli dasz mi taką jedną, eksploduje mi głowa.

– Ja miałbym dawać ci narkotyki? Oszalałaś? – mówi Jon, wysiadając. Trzaska drzwiami.

Antonia zastaje go w środku, siedzi na taborecie. Z tyłu wygląda jak szara oliwka nabita na wykałaczkę. Nie żeby był gruby.

– Ostatecznie wychodzi na twoje. To miejsce jest strasznie drogie – odzywa się Jon z pełnymi ustami. – Dziesięć euro za małą kanapkę z

szynką i serem i kawę z mlekiem.

– *Pitufo mixto i mitad* – zamawia Antonia, gdy podchodzi kelner.

Krzyki w stronę kuchni. Kolba do ekspresu. Brzęk talerzyków, które po chwili lądują przed nią.

– Pięć euro – mówi kelner.

Antonia szturcha łokciem Jona, żeby zapłacił.

– Zaraz – mówi inspektor, podając mu szary banknot. – Ja zamówiłem to samo, a policzył mi pan podwójnie.

Kelner wskazuje tabliczkę za sobą. Małą. Specjalnie.

UWAGA: JEŚLI NIE ZAMAWIA SIĘ POPRAWNIE,  
LICZYMY PODWÓJNIE.

A niżej tłumaczenie wszystkich dostępnych pozycji na lokalny dialekt. W ten sposób Jon się dowiaduje, co oznaczają *largo*, *mitad* i *nube*. I pozostałych sześć miejscowych odmian. W myślach klnie, na czym świat stoi, milczy, żeby nie narobić bałaganu, puszcza w niepamięć. Kolejny raz, jeśli chodzi o jego czarną historię związaną z kelnerami

– Niemożliwe, żebyś zobaczyła tę tabliczkę.

Antonia atakuje kanapkę. Nie powinna, ale...

– Wytrenowali mnie, żebym widziała wszystko.

– Wszystko? W każdym miejscu, do którego wchodzisz, w każdej sytuacji?

Ona wzrusza ramionami.

– Taka już jestem.

– Nie chodzi o to, jaka jesteś. Tylko o to, co robisz, piękna. Jeśli będziesz się uważała za kogoś innego, skończysz jako zoro. Szalona. – Upija łyk kawy. – To znaczy jeszcze bardziej szalona.

– To jest to samo.

– Nie. W przeciwnym razie nie miałabyś pozwolenia na popełnianie błędów.

– Bo go nie mam.

Jon dopija kawę.



- Tabernari<sup>6</sup>, szklankę wody poproszę. Za to może mi pan policzyć potrójnie.

Kelner piorunuje go wzrokiem, potem rzuca okiem na budowę ciała Jona i w końcu podaje mu szklankę wody. Możliwie najcieplejszej.

- Antonia... wiem, że jesteś zła na mnie, na Mentora, na cały świat. Ale nic się nie stanie, jeśli popełnisz błąd. Nie znaleźliśmy Sandry, nie ma ani śladu White'a. Trudno. Życie toczy się dalej.

Mijają sekundy, odmierzane dźwiękiem z telewizora i migotaniem automatów do gry. Antonia zwleka z odpowiedzią półtora tygodnia. Kiedy w końcu to robi, nie patrzy mu w oczy. Patrzy na pustą filiżankę i oskarżycielskie okruszki na talerzyku.

- Nawet nie wiesz, jak trudno jest być mną.

Jon się śmieje. Przez nos. Zły.

- Jasne, że nie, do cholery. Nikt nie wie, jak to jest być kimś innym. Ale ty masz coś wyjątkowego. Coś cennego, czego nie możesz zmarnować. Jedyna supermoc, jaką mam ja, to rozpoznawanie z daleka butów od Manola Blahnika.

Antonia patrzy na niego zdumiona.

- W pewnych okolicznościach dokładne zidentyfikowanie obuwia podejrzanej...

- Nie znoszę cię.

Kiedy wstają, na antenie Canal Sur zaczyna się poranny serwis informacyjny.

„Policja wciąż nie ma żadnych tropów dotyczących wczorajszego nieudanego napadu na sklep jubilerski w Centrum Handlowym Raj. Złodzieje zabili ochroniarza i klienta centrum, który...”

Jon i Antonia spoglądają na siebie. Żadne się nie odzywa.

## Trójką

Na zewnątrz zrobiło się cieplej. Nie żeby od razu wkładać strój kąpielowy, ale płaszcz też nie jest potrzebny. I wreszcie świta, słońce oświetla maski samochodów.

Jon i Antonia jadą do centrum handlowego. Do otwarcia zostało półtorej godziny. Parking jest pusty, nie licząc radiowozu postawionego między siedmioma miejscami. Nic tak nie bawi policjantów, jak dawanie jasno do zrozumienia, że przepisy ruchu drogowego ich nie dotyczą. Jeden ubrany po cywilnemu, z odznaką zawieszoną na szyi i teczką pod pachą, czeka przy drzwiach ewakuacyjnych. Dostęp do budynku został ogrodzony białą taśmą z czarnymi paskami.

Jon podchodzi i pokazuje mu odznakę.

– Inspektor Gutiérrez.

– Ci z Madrytu, no tak. Wchodźcie, wchodźcie – mówi, podnosząc taśmę.

To młody mężczyzna, nie ma jeszcze trzydziestu lat. Wysoki, śniady, umięśniony. Przyjazne oczy, ostre rysy. Wygłodniała twarz, ale ładna. Trochę przygarbiony. Wyciąga do Jona rękę, kiedy oboje przeszli już pod taśmą.

– Podinspektor Belgrano. A pani to... – mówi, zwracając się do Antonii i znowu wyciągając rękę.

Następuje niezręczny moment w pięciu odsłonach, a mianowicie:

Antonia patrzy na rękę podinspektora Belgrano, nie mając najmniejszego zamiaru jej uścisnąć.

Antonia patrzy na Jona.

Jon bełkocze, próbując ją przedstawić, aż uświadamia sobie, że zapomnieli uzgodnić przykrywkę.

Podinspektor chowa rękę do kieszeni džinsów.

Antonia wkłada rękę do swojej torby przewieszanej przez ramię i wyjmuje granatową legitymację.

– Scott. Z OCO.

Belgrano robi minę pod tytułem „powiniennem kojarzyć, ale nie wiem”.

Antonia wyjaśnia.

– Organised Crime Office. Europol.

„Europol. Jak Interpol, tyle że w Unii Europejskiej. Europol. Nie mogłaś wybrać innej agencji, skarbie”, myśli Jon i w duchu przewraca oczami. Tak, on to potrafi.

– No proszę, jest pani pierwszą osobą, którą stamtąd poznaję – zdumiewa się Belgrano.

– Nie jest nas dużo. – Antonia wzrusza ramionami.

„Raczej mało, myśli Jon. W całej Europie liczba funkcjonariuszy nie sięga tysiąca. A oficerów łącznikowych z taką plakietką, jaką dał ci Mentor, jeszcze mniej. Jeśli ktoś o ciebie zapyta, będzie bardzo dziwne, że nikt o tobie nie słyszał. No ale wygląda na to, że tu atmosfera jest mniej wroga niż w przypadku Parry”.

– Mamy więc szczęście, że możemy liczyć także na was. Bo tu potrzebujemy każdej możliwej pomocy. Wchodźcie, wchodźcie. Tylko uważajcie przy wejściu na klatkę schodową, jest tam ślad krwi, proszę go nie nadepnąć – mówi Belgrano, przytrzymując im drzwi.

„Zdecydowanie mniej wroga”.

Na klatce schodowej nie ma innego oświetlenia oprócz awaryjnego. Mimo to żółty trójkąt do oznaczania dowodów wyróżnia się na podłodze razem z czerwonym śladem, na którym wyraźnie widać odcisk pięty i dwóch palców. Kilka stopni wyżej znajduje się drugi trójkąt. Pomiedzy nimi jest wiele krwawych śladów stóp, choć niewiele z nich jest kompletnych.

– Jest kilka nieoznaczonych śladów – zauważa Antonia.

– Cóż, wszystkie należą do pani Moreno.

– Skąd to wiecie? Udało wam się to zweryfikować z zaginioną?

Belgrano wygląda na zawstydzonego.

– Nie, ale wywnioskowaliśmy...

Antonia i Jon milczą i na niego patrzą.

– Proszę posłuchać, prawda jest taka, że nie zostało nam już więcej trójkątów – przyznaje w końcu. – A było mnóstwo śladów. Woleliśmy wykorzystać je na górze, na głównym miejscu zbrodni.

– Jest nienaruszone?

– Z Madrytu polecono nam, byśmy niczego nie dotykali, dopóki państwo nie przyjadą. Ale sędzia już tu był i zabrano ciała, nie mogli tam zostać. Reszta jest nietknięta. Piętro jest zamknięte do jutra.

– A technicy śledczy?

– W willi, przy drugim ciele. Zaczęli tutaj, bo to miejsce publiczne. I jest nas bardzo niewielu, nie możemy być w dwóch miejscach zbrodni jednocześnie.

Cała trójka zaczyna wchodzić na górę. Belgrano na czele. Antonia w środku. Jon z tyłu, w nieco większej odległości (nie lubi schodów).

– Macie skromny budżet, jak rozumiem.

– Nawet pan sobie nie wyobraża. W Madrycie mamy o osiemdziesięciu funkcjonariuszy mniej, niż przydzieliło nam ministerstwo. Ale nie przysyłają nam więcej ludzi. Wszyscy kadeci idą do Madrytu albo do Sewilli. A to, co nam przydzielono, i tak jest gównieście.

Podinspektor wymawia „itajegównowate” z trudnym do zrozumienia akcentem. Na pewno nie z Malagi. Z interioru. Z okolic Granady.

– Powinno nas być co najmniej dwa razy tyle. Żeby jakoś wegetować. Dosłownie. W ramach ćwiczeń co miesiąc dają nam po dziesięć kul. Jeśli chcę postrzelać więcej, muszę za nie zapłacić.

Jon, który stoczył setki batalii z policyjnym budżetem, zapomina, że teraz zarabia cztery razy więcej niż podinspektor Belgrano, i zaczyna sarkać na pokornych związkowców i na skończonych durni z ministerstwa, których interesuje tylko kasa, a nie ludzie, na co Belgrano

odpowiada energicznie, nie zauważając, że pewna uprzywilejowana głowa przemyka między nimi i otwiera drzwi na klatce schodowej z zamiarem zrobienia czegoś pożytecznego.

– Halo! Dokąd pani idzie? Nie może tam pani wejść bez obecności funkcjonariusza...

Jon chwyta go delikatnie za łokieć.

– Proszę posłuchać, Belgrano... Niech pan pozwoli jej pracować. Jeśli chce pan zobaczyć coś naprawdę ciekawego, proszę tu zostać. – Po czym dla bezpieczeństwa dodaje: – A jeśli nie, to też.

## Dziewięć strzałów

Antonia unika wymiany oczywistości i opuszcza klatkę schodową, żeby wejść na piętro centrum handlowego. Ale nie zajmuje się sceną zbrodni tak jak zwykle. Dziś zamierza spróbować czegoś innego. Może dzięki temu...

Zamyka oczy.

Sen, ta krawędź życia, od miesięcy odwracał się do niej plecami. Ta noc nie była wyjątkiem. Długa, lekka, półświadoma drzemka w samochodzie. Pełna niepokojących obrazów, które nie dały jej żadnego odpoczynku ani pocieszenia. W ciągu ostatnich miesięcy wypoczynek był luksusem, którego nie chciała sobie przyznać. I kiedy reszta jej ciała się poddawała, kiedy już nad ranem piekły ją oczy, mające dość informacji, zmęczone wielogodzinnym połykaniem ujęć z kamer monitoringu w poszukiwaniu Sandry, w poszukiwaniu twarzy, która zamieszkuje jej koszmary, kiedy jej mięśnie krzyczały po tylu godzinach bezruchu i Antonia ustępowała...

Jej umysł upierał się, żeby ją sabotować.

Mówi jej, że jest wypalona. Że w środku już nic nie zostało, że poniosła porażkę.

Dlatego zębami i pazurami broniła się przed przyjęciem innych spraw, nie chciała znowu zaczynać starej gry, nie zakończywszy poprzedniej partyjki, a nawet zbliżyć się do zwłok, jak tamte w Manzanares dwie noce temu. Być może z obawy (nie ze strachu, bo Antonia nie boi się prawie niczego), że jeśli znowu rzuci kośćmi, odkryje prawdę o samej sobie, którą podejrzewa i którą potwierdziła jej babcia. Że te wszystkie bzdury o obowiązku i odpowiedzialności są tylko pustymi frazesami. Że to, co się

liczy, co naprawdę się liczy, to władza. Odpowiedzialność to tylko VAT dopisany na końcu faktury.

A poza tym jest jeszcze ta druga sprawa. Główny problem.

Otwiera oczy.

Poranne światło wpada przez gigantyczne okno na wschodniej ścianie budynku, zamieniając to miejsce w ogromny aparat, w którym jej rzęsy są migawką, a mózg – filmem.

Zamyka oczy.

Obraz pozostaje w jej umyśle tak wyraźny, jakby miała otwarte oczy. Mniej nasycony. Łatwiejszy do opanowania.

Jej oddech przyspiesza, tętno rośnie, krew dudni w uszach.

Da radę. Da radę sama.

Próbuje uporządkować elementy miejsca zbrodni.

Wystawa rozbita w drobny mak.

Słuczone szkło tworzy na podłodze niezasłane łóżko.

Obok ślad, gdzie leżało ciało, już zabrane.

Kawałek dalej kolejny ślad ciała.

„Torebka,

dużo łupek pokulał dławce gotyle strzałów tonie jest normalna egzekucja potrzebują potrzebują kapsułek”.

– Nie potrzebuję ich – okłamuje siebie.

Nie działa.

Nie wyciąga ręki. Nie szuka spojrzeniem Jona, chociaż wie, że stoi kilka metrów za nią, nie spuszcza z niej oka, gotowy, by podejść, kiedy ona zażąda swojej dawki. Dawki, do której podania jest upoważniony wyłącznie on.

Nie prosi o nic.

Wkłada rękę do kieszeni spodni, starając się, żeby Jon tego nie widział. Opużkami palców wyciąga dwie czerwone kapsułki.

„Proszę, żeby wystarczyły. Proszę, żeby wystarczyły tylko dwie”.

Siekaczami rozgryza żelatynę pierwszej, uwalniając upragniony gorzki proszek, i przyjmuje go pod język, pozwalając, żeby błona śluzowa

wchłoneła koktajl substancji chemicznych i z największą prędkością wprowadziła je do krwiobiegu. Nie wystarcza. Rozgryza drugą.

Liczy do dziesięciu, oddychając między każdą liczbą, stopniowo schodząc w dół, aż do miejsca, w którym potrzebuje się znaleźć.

Nagle świat staje się powolniejszy, mniejszy. Znika mrowienie na rękach, klatce piersiowej i twarzy.

Wróciła. Wróciła jasność. A wraz z nią dziwne szczęście wymieszane z rozpaczą.

Antonia przeszukuje swój słownik trudnych słów, żeby zrozumieć, co czuje.

*Kegemteraan.*

W języku malajskim oznacza radość z potknięcia. Jednoczesne uczucie przyjemności i przygnębienia, kiedy wiesz, że zrobiłeś coś, czego nie powinieneś.

Z przygnębieniem poradzi sobie później. Teraz Antonia zanurza się w jasność, w której małpy w jej głowie przyczajają się w oczekiwaniu na jej polecenia. Nadal pokazują kły i się wiercą, ale robią to w ciszy.

Teraz mówi ona.

– Zabójca najpierw strzelił w szybę.

– Skąd pani wie? – pyta cichym głosem podinspektor Belgrano, który stoi przy drzwiach.

– Óśśś. Proszę milczeć i się uczyć – mówi Jon.

Antonia robi trzy kroki w stronę sklepu Prenatal. Wyciąga rękę, palcem wskazującym i kciukiem tworzy pistolet. Przy swoim niskim wzroście wygląda jak dziewczynka, która bawi się w policjantów i złodziei.

Lepiej ustawia ramiona, szuka odpowiedniego kąta. Naprzeciwko niej jest wózek ze zniszczonym daszkiem. Po lewej drugi, spacerówka w kolorze różowym.

– O której godzinie doszło do ataku?

Jon szturcha podinspektora łokciem.



– O jedenastej dwadzieścia jeden. Wiemy to dzięki zapisowi z kamer na dole, w tym momencie ludzie rzucają się do ucieczki i dzwonią na policję.

Antonia patrzy na podłogę, na cień, jaki tworzą jej ciało i ręka. Znowu patrzy przed siebie.

– Ona go zobaczyła. Być może w odbiciu szyby. Dlatego się schyliła. Sklep był zamknięty?

– Ekspedientka była w toalecie, kiedy to się stało. Wywiesiła tabliczkę WRACAM ZA PIĘĆ MINUT. I całe szczęście, bo jedna z kul utkwiała w ladzie.

– A kamery z tego piętra?

– Nie ma nic. Ktoś zniszczył nagranie – mówi Belgrano.

– Proszę, jak fachowo – mamrocze Jon.

Antonia wykonuje krok w bok. Sklep Prenatal jest ostatni przy wyjściu ewakuacyjnym. Wcześniej, po lewej stronie, jest korytarz prowadzący do toalet. Z tyłu – tylko metalowo-szklana balustrada, która otwiera się na drugie piętro. Obok Prenatal znajduje się sklep jubilerski Chocrón. Również jest zaplombowany, razem z wejściem na schody ruchome. Na piętrze jest jeszcze więcej lokali, ale nie są widoczne, gdyż ta część budynku znajduje się na rogu.

Idealne miejsce na zabójstwo. Pułapka, niewielu świadków i proste wyjście.

Znowu podnosi rękę z wyciągniętym palcem wskazującym.

– Strzelił. Spudłował.

Obraca się w prawą stronę. Jej stopy przechodzą nad trójkami, którymi oznaczono ślady.

– Pierwsze ciało, to po lewej, należy do szofera pani Moreno, prawda? Belgrano sprawdza swoje notatki.

– Anatolij Oleg Pastuszenko. Urodzony w Gruzji w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Były policjant z Tbilisi. Od wielu lat mieszka w Hiszpanii. Nie wiemy dokładnie od ilu. Oficjalnie ma status

rezydenta od siedmiu lat. Był pierwszą osobą zatrudnioną przez pana Woronina, męża Loli Moreno.

– Wiadomo, ile dostał strzałów?

– Cztery kule, według raportu lekarza sądowego. Dwie w klatkę piersiową, jedną w głowę, jedną nieco poniżej lewego kolana.

Z pozycji zabójcy Antonia robi trzy, cztery, pięć kroków do przodu, odwraca się, przykuca. Wyjmuje z torby długopis, wkłada go w pusty brzeg jednego z magazynków i podnosi go na wysokość oczu. Rozpoznaje cyrylicę, trzy charakterystyczne litery. M-A-K.

– Broń zabójcy to makarow kalibru dziewięć milimetrów.

– Tak, już to potwierdziliśmy – mówi Belgrano. – Tutaj jest ich mnóstwo, niestety.

No jasne. Po tym, jak słynny inżynier Makarow skonstruował go w latach pięćdziesiątych, Związek Radziecki i wiele państw satelickich wprowadziły ten mały pistolet jako broń przepisową w wojsku i w organach policji. I ciągle się upowszechniała. Teraz od Chin po Kubę i od Ukrainy po Zimbabwe w użyciu są miliony sztuk, praktycznie identycznych i wykorzystujących kompatybilną amunicję. Tani, jednorazowego użytku, idealny, żeby przemknąć niezauważonym i nie zostawić śladu.

Antonia wstaje i ponownie przygląda się miejscu zbrodni.

Mruga kilka razy.

– Szofer też strzelił – oznajmia.

Belgrano się wzdryga.

– Nic nam nie wiadomo, żeby szofer był uzbrojony...

Jon znowu go ucisza.

– I sędzę, że ktoś próbował to ukryć – dodaje Antonia.

## Rozczarowanie

Antonia wraca po swoich śladach, przyklęka, kładzie dłonie na ziemi, przykleja nos do płytek.

– Jon, chodź tu, proszę.

Inspektor Gutiérrez podchodzi.

– Powiedz mi, czy czujesz wybielacz.

Jon nie musi się schylać i ryc podłogi. Pachnie wybielaczem, i to mocno. Skinieniem głowy odpowiada na pytanie Antoni.

– Nawet ja mogę to poczuć – mówi Antonia. – Użyliście luminolu?

– Technicy śledczy tu byli, ale w raporcie nie ma słowa o tym, jakoby oddano strzał w odpowiedzi, ani nic o krwi, która nie należałaby do ofiar albo do kobiety – mówi zdezorientowany Belgrano.

– Zabójca krwawił w tym miejscu. Niedużo, ledwie kilka kropel.

Nawet Jon, który współpracuje z Antonią już od długiego czasu, jest zdumiony jej dedukcją.

– Jak...

Antonia wskazuje podłogę, a potem wystawę.

– Policz łuski. Trzy kule w pierwszej serii strzałów.

– Kiedy zabójca strzelał do Loli Moreno. I nie trafił.

– Idź dalej. Przyjrzyj się zachowaniu kul. Pierwsza rozbija szybę, ale trzy przebijają budkę wózka, z odległości sześciu metrów. To mały cel. Co ci to mówi?

– Bez dekoncentracji między strzałami. Z pistoletu kalibru dziewięć milimetrów. Precyzja. Duża – stwierdza Jon.

– Ręka podejrzanego nie drży, chociaż pułtuje. Nie trafia głównego celu, teraz musi się pozbyć szofera.

– Szofer, który z takim CV jest raczej ochroniarzem.

– Odwraca się w jego stronę. Szofer był niezdarny, nieostrożny. W jednej ręce trzymał telefon, a w drugiej kawę – mówi Antonia, wskazując zaschniętą plamę na podłodze. – Ale zabójca nie chce ryzykować, więc pierwszy strzał oddaje instynktownie. Dlatego trafia go w nogę.

– Skąd wiesz, że pierwszy był strzał w nogę?

– Spójrz na obrysowaną sylwetkę. Przyjrzyj się pozycji ciała i śladom krwi na podłodze. Nie ma rozprysków tylnych, nie ma odcisków butów szofera na jego własnej krwi, nie ma śladów czołgania. To oznacza, że po tym, jak dostał pierwszą kulę, nie ruszył się ani o centymetr.

– Kolejne dwa strzały trafiły w klatkę piersiową, co wskazuje na precyzję. A ten w głowę tym bardziej.

– Otóż to. A więc pierwszy strzał w nogę, kiedy instynktownie odwrócił się do szofera, on pada na kolana, dostaje strzał w klatkę piersiową, albo dwa strzały. Po nich, albo między nimi, on wykonuje swój. A potem pada na ziemię.

– Wow. Coś nie jest dla ciebie jasne?

– Nie mogę wydedukować wszystkiego – odpowiada Antonia.

– Co za rozczarowanie.

Ona krzywi się zmieszana, ale rozumie, że Jon próbuje błysnąć humorem. Kapsułki pomagają.

Nagradza go delikatnym rozciągnięciem ust. Niemal półuśmiechem.

– Ale wciąż mi nie wyjaśniłaś, skąd wiesz, że szofer wystrzelił.

– To proste. Spójrz na łuski na podłodze. Kiedy zabójca odwraca się w stronę podłogi, tworzy drugą strefę strzału. A teraz policz łuski w tej drugiej strefie.

– Pięć.

– Szofer dostał cztery strzały. Już wiemy, że pierwszy był w nogę. Ostatni w głowę. Dwa trafiły w klatkę piersiową. Ale zabójca, który ma znakomitą precyzję, oddaje strzał, po którym nie ma kuli. Gdyby strzelił w tym kierunku...

- ...kula trafiłaby w szofera, w ścianę albo w podłogę - kończą oboje jednocześnie.

Jon drapie się po głowie.

- A więc szofer strzela, trafia zabójcę, to sprawia, że ten traci celność i jeden z jego strzałów chybia celu, a kula leci nie wiadomo gdzie, i wreszcie szofer dostaje strzał w głowę.

- Właśnie.

- Nigdy bym na to nie wpadł.

- Co za rozczarowanie - mówi Antonia. - Ale ktoś rozlał wybielacz na podłodze. Ktoś, kto nie chciał, byśmy znaleźli właściwe próbki DNA.

Podchloryn sodu na gładkiej powierzchni niszczy resztki krwi. Po użyciu luminolu reaguje po prostu na całym obszarze, świecąc jak choinka w święta. Krew byłaby też niezauważona w przypadku bardziej złożonych testów, jak ten przy użyciu fenoloftaleiny czy test immunologiczny do wykrywania krwi.

- Czy ktoś jeszcze miał dostęp do miejsca zbrodni? - pyta podinspektora Jon.

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzecza Belgrano. - Kiedy dostaliśmy zawiadomienie, natychmiast przyjechał tu radiowóz, ale było już za późno. Zabójca uciekł. A potem zjawili się technicy, żeby zabezpieczyć miejsce zbrodni.

- A zatem on sam wylał wybielacz na własną krew? Albo miał współnika, który zdołał was przechytrzyć.

- Na pewno nie był nim ochroniarz - mówi Antonia, wskazując drugą obrysowaną sylwetkę.

Belgrano czyta swoje notatki.

- Mateo Lorente. Riojańczyk. Przeprowadził się do Marbelli dwa lata temu, razem z żoną i córką, kiedy dostał pracę w ochronie. No i widzicie.

- Strata uboczna - mówi chłodno Antonia. - Idźmy dalej.

- Ochroniarze to też ludzie - mówi urażony Belgrano (na pewno ma konto na Twitterze).

Inspektor Gutiérrez bierze głęboki oddech i próbuje złagodzić swój głos tak jak wtedy, gdy trzeba mówić do chihuahua mającego problemy neurologiczne (miał konto na Twitterze).

– Gdyby papież Franciszek oddawał mocz za donicą i wpadłby w krzyżowy ogień, pani Scott uznałaby go za stratę uboczną.

Antonia nachyla się do Jona i szepcze mu do ucha.

– Może w przypadku takiego dostojnika...

– Nie pomagasz.

– Przykro mi – rzuca Antonia, po czym kontynuuje: – Wiemy, że ofiara, pani Moreno, uciekła schodami.

– Zostawiła sandały – mówi Belgrano, wskazując buty leżące na podłodze, żeby dać jasno do zrozumienia, że on też jest spostrzegawczy. – Uciekła boso i z poranionymi stopami. Samochód został na parkingu. Kluczyki miał szofer.

– Nie rozumiem – odzywa się Jon. – Próbują cię zabić i uciekasz na piechotę, bez pieniędzy, bez torebki, bez samochodu i bez butów.

Antonia podchodzi znowu do rozbitego szkła, gdzie została torebka Loli Moreno, połowa zawartości jest rozrzucona na podłodze. Czubkiem długopisu przesuwając rzeczy, aż pod spodem znajduje mały niebieski plastikowy woreczek. W środku są dwa czerwone pojemniki. Na jednym z nich udaje jej się przeczytać TIMESULIN.

– I nie idziesz na policję – ciągnie Jon. – Musisz być strasznie wystraszona. Albo ukrywasz coś szemranego.

– Od wczoraj nie ma po niej żadnego śladu? – pyta Antonia.

– Nie, proszę pani. Rozesłaliśmy jej rysopis do wszystkich jednostek i posłaliśmy radiowozy, żeby sprawdzono okolicę, ale nikt jej nie widział.

Antonia wyjmując iPad i sprawdza położenie Centrum Handlowego Raj na Google Maps. Aktywuje widok trójwymiarowy. Na południe od obiektu biegnie autostrada AP-7, na zachód jest osiedle. W pozostałych dwóch kierunkach są góry. Całe kilometry gór, które rozciągają się aż do podnóża Sierra Blanca. Pomiędzy nie ma żadnych zamieszkałych miejsc, oprócz domu pogrzebowego San Pedro i cmentarza Virgen del Rocío.

- Jeśli nie chcecie, żeby skończyła tutaj - mówi Antonia, wskazując oba makabryczne punkty na mapie - lepiej, byśmy znaleźli ją przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Bo pani Moreno jest diabetyczką i jest w ciąży.

- Fatalne połączenie - kwituje Jon, mlaszcząc językiem.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która dorastała w smutnym domu pozbawionym miłości, gdzie jedzenie miało smak popiołu, a przyszłość malowała się w czarnych barwach. Dziewczynka, którą rodzice wcześniej porzucili. Dziewczynka, która – gdy dorosła – poznała księcia z bajki, przybyłego z odległej krainy, który zabrał ją do pałacu z białego marmuru i z mnóstwem mebli...”

Ojciec Loli był księgowym, matka – fryzjerką. W dzieciństwie dali jej tyle miłości, na ile pozwolił im czas pracy typowy dla klasy robotniczej. W domu nigdy nie brakowało chłodnika *ajoblanco* i sardeli oraz spoconego uścisku. Na co dzień. W święta Bożego Narodzenia były *gaspachuelo*, kozina, a na deser *bienmesabe* – wszystko przyrządzone przez matkę. A także czyste uściski, o zapachu perfum Farala i Brummel. Pod szopką Furby, zagroda Playmobil, tamagotchi, w zależności od roku. Kiedy wiodło się źle – jedynie tysiącpesetowy banknot. Zmarły ciocia Julia, ślepa i wpół głucha, a także jedna z babć, na wpół ślepa i całkiem głucha. Później, w zeszłym roku ojciec, na zawał. We śnie.

I tak wyglądał cały dramat.

Za mało na miarę Dickensa.

„Była sobie raz dziewczynka, która dorastała w smutnym domu pozbawionym miłości, gdzie jedzenie miało smak popiołu, a przyszłość malowała się w czarnych barwach”, powtarza sobie Lola. To tylko jedna z wersji bajki, którą Lola opowiada sobie w te noce, gdy nie może spać, gdy ścigają ją wątpliwości albo wyrzuty sumienia. Zaczyna opowiadać sobie tę bajkę i w końcu przychodzi sen.

Chociaż tej nocy ścigają ją ludzie, którzy chcą ją zabić.

„Przecież ja o tym wiedziałam”, lamentuje Lola.

Cofnijmy się.



Kiedy syreny są tuż-tuż (a hałas samochodu zabójców znika), Lola wychodzi spod auta, przecina parking i rusza przez pole. Nie ogląda się za siebie, nie przejawia się krwawiącymi stopami, aż pół godziny później ból bierze górę nad strachem i adrenaliną.

Wtedy znajduje się już pośrodku niczego. Przeszła błotnistą ścieżką i przemierzyła polną dróżkę, nie spotykając ani jednego człowieka. Po niedawnym deszczu ziemia jest miękka, a w promieniu wielu kilometrów nie ma nikogo.

Kilka minut później słyszy dźwięk silnika. Nie zastanawia się dwa razy. Stoi na skraju drogi. Po jednej stronie ma lasek porośnięty dębami i jodłami, po drugiej nasyp, gdzie teren obniża się dziesięć lub dwanaście metrów pod znacznym kątem. Lola zsuwa się z nasypu i kuli się za krzakami w samą porę. Hałas silnika ustaje i otwierają się drzwi. Ktoś podchodzi na skraj drogi, choć Lola nie ma odwagi spojrzeć kto. Słyszy tylko, jak ten ktoś głośno oddycha. Na chwilę w jej głowie pojawia się myśl, żeby wstać i poprosić o pomoc. Potem Lola czuje, że ciemna postać jej szuka lub też „wywachuje”, i ma już pewność, że nie chce, by ją znalazła.

Siedzi więc cicho.

Pozwala sobie tylko na obracanie obrączki ślubnej opuszką kciuka, jako jedyny sposób na złagodzenie niepokoju.

Kiedy ciemna postać wraca do samochodu i odjeżdża, Lola czeka jeszcze dłuższą chwilę, zanim wstanie. Obawia się, że ten mężczyzna nie był sam, że zostawił tu swojego współnika, który teraz się na nią rzuci, korzystając z okazji, że odetchnęła z ulgą.

Kiedy ośmiela się wstać, nie dzieje się nic.

Panuje cisza, przerywana jedynie śpiewem wczesnych cykad. Nie powinny wyjść aż do wiosny, lecz zmiany klimatu rozregulowały ich wewnętrzne zegary, te same, które sprawiają, że śpią w ziemi przez dokładnie siedemnaście lat. Jeśli wyjdą zbyt wcześnie, stają się pokarmem dla drapieżników.

Lola wie to wszystko, ponieważ raz oglądała na ten temat film dokumentalny na kanale drugim. I jest znacznie bystrzejsza, niż sugeruje

jej wygląd, jej CV, jej uległe zachowanie. Na dnie nasypu jest mały strumyk, prawie zawsze wyschnięty, lecz w te lutowe dni ciurka leniwie, niechętnie. Zmuszony okolicznościami. Lola schodzi do niego, idzie wzdłuż brzegu i szuka miejsca, w którym mogłaby choć trochę doprowadzić się do porządku. Kawalek dalej nieco większy kamień zapewnia jej pospieszny odpoczynek dla półtora pośladka. Lola zanurza stopy w wodzie. Chłód strumyka jest jak żyłki między palcami. Ale Lola wytrzymuje. Bez sensu unikać kul, żeby potem umrzeć na sepsę.

Lola zdejmuje poplamiony olejem sweter oraz koszulkę. Dziewięćset euro w butiku Michaela Korsy. Teraz użyje jej do czegoś innego. Za pomocą zębów udaje jej się zamienić ją w długie i nieregularne paski. Jedwabna tafta to wszystko, co ma, nici o różnej gęstości nie rwą się zbyt dobrze.

„Dlaczego, do cholery, nie założyłam dziś trampek?”, rozpacza. Nie po raz ostatni.

Wyjmuje stopy z wody i opatruje rany. W jednej z nich zostały jeszcze resztki szkła. Dwa kwadratowe kawałki, które wbiły się w kość. Lola wrywa je śliskimi palcami; gdy wychodzą, słyszy chrzęst i pozwala sobie na stłumiony krzyk, który odbija się o nasyp i powierzchnię strumyka, w odpowiedzi dostając jedynie krótką przerwę w śpiewie cykad. Potem bardzo powoli owija stopy paskami koszulki. Próbuje okręcać je spiralnie, lecz prowizoryczne bandaże się zwijają, przemoczone krwią i wodą kapiącymi ze stóp. Zajmuje jej to prawie godzinę, ale w końcu osiąga pewną kompresję, nieporadną, ale mocną. Ledwie może poruszać palcami u stóp, a to jedyne, o czym pamięta, że trzeba robić, odkąd jej matka skręciła sobie kostkę, poślizgnąwszy się na obciętych włosach w swoim salonie fryzjerskim. Bo nie zamiatała wystarczająco często.

Cały proces byłby prostszy, gdyby odważyła się użyć telefonu, by poszukać informacji w internecie, ale urządzenie wciąż jest wyłączone. Nie może ryzykować, że ją zlokalizują.

Kiedy kończy, na powrót wkłada sweter, opiera się o drzewo i ucina sobie drzemkę. To bardziej omdlenie niż celowy zamiar. Gdy się budzi, jest już późne popołudnie, burczy jej w brzuchu, krew dudni w skroniach.

Nachyla się i pije prosto ze strumienia, woda smakuje kwaśną ziemią i czymś zepsutym. Odbija jej się, żołądek jest pełen wody z braku czegoś innego. Lola głaszcze sobie brzuch, gdzie chłopiec (oczywiście to musi być chłopiec, mały Jurij) domaga się swojego pożywienia, wysysając je z niej.

Bez jedzenia może spędzić wiele godzin. Nawet w jej stanie, pomimo swojej choroby. Ale bez wstrzyknięcia insuliny sprawa się komplikuje. Doskonale zna objawy hiperglikemii, bo matka kazała jej powtarzać je w dzieciństwie raz za razem, gdy tylko zdiagnozowano u niej chorobę. Nigdy ich nie miała, ponieważ zawsze była bardzo ostrożna. Ale je zna.

„Zaczyna się bólem głowy, pragnieniem, chęcią częstego oddawania moczu”, myśli, masując skronie.

To ostatnie załatwia za drzewem, po czym rusza w dalszą drogę.

Nie wie, dokąd pójść, ale nie może zostać przy strumieniu. Teraz temperatura jest łagodna, ale w nocy spadnie do ośmiu stopni. A Lola jest zmarzluchem i wie, że bez dachu nad głową może umrzeć.

Idzie więc dalej, znów drogą, a stąd do najwyższego punktu, jaki znajduje. Nierówny teren wznosi się i opada wraz z kolejnymi pagórkami – geologiczny aperitif przed daniem głównym: Sierra Blanca w tle. A pomiędzy niski budynek z czerwonym dachem.

Właśnie tu jest teraz Lola.

Trudno jej się zdecydować na wejście do środka, bo doskonale zdaje sobie sprawę ze swojego katastrofalnego wyglądu. Nawet po przewróceniu swetra na lewą stronę nie da się ukryć tłustych plam. Zamaskować – tak. Ukryć – nie. Tak więc Lola kręci się przy drzwiach, na rogu parkingu, aż kilka kobiet z zaczerwienionymi oczami wychodzi na papierosa. Wtedy Lola zawierza się losowi i stanowczym krokiem wchodzi do domu pogrzebowego, nie patrząc na kobietę w recepcji (która jest zajęta próbą oszukania pewnej wdowy, sprzedając jej kwiaty w cenie tuszu do drukarki) i nie wymieniając z nikim spojrzenia. Modląc się, żeby nikt nie zwrócił uwagi na jej zabandażowane, ubłocone i zakurzone stopy.

Choć, tak szczerze, kiedy ostatni raz zwracałeś uwagę na czyjeś buty?

Dom pogrzebowy składa się z wielu pomieszczeń, każde ze zmarłym w środku i z żywymi na zewnątrz, zajmującymi znacznie bardziej niewygodne sofy niż trumna. Przed salą na końcu nie ma nikogo, za to parę prochowców i kurtek leżących na sofach. Żadnej torebki. Lola przechodzi pospiesznie obok pierwszej kurtki (jest granatowa, nie pasuje do dżinsów, ale co poradzić), bierze ją, zarzuca na ramiona, kuli się, jakby była zdruzgotana śmiercią bliskiej osoby, trze oczy, wraca tam, skąd przysłała, chowa się w damskiej toalecie. W trzeciej kabinie. Chowa stopy za każdym razem, gdy ktoś wchodzi. Zamek zasunięty.

„Była sobie raz dziewczynka, która dorastała w smutnym domu pozbawionym miłości, gdzie jedzenie miało smak popiołu, a przyszłość malowała się w czarnych barwach”, powtarza sobie, czekając.

Mijają godziny. Domy pogrzebowe nie zamykają się, dopóki w środku są czuwające rodziny. Te, które przyszły do zmarłych w sali numer jeden i w sali numer dwa, zaszyły się w środku, zostawiając wolną drogę Loli, która wychodzi około pierwszej w nocy. Potyka się, niemal pozbawiona sił. Głowa jej pęka.

Kobieta w recepcji jest odwrócona plecami i ogląda coś w telewizji. Głośność jest ustawiona bardzo nisko, ale Lola rozpoznała jeden z tych muzycznych programów, które bez powodzenia szukają talentów.

Idzie dalej w stronę sali numery trzy, gdzie jest pusto, za szybą nie ma trumny. Kilka krzeseł. Stolik. Telefon stacjonarny.

Lola wybiera numer Jurija i wstrzymuje oddech, czekając na potwierdzenie tego, o czym już wie.

Telefon jest wyłączony albo poza zasięgiem.

– Nie żyje – mówi po cichu. – Nie żyje ten skończony kretyn.

„Była sobie raz dziewczynka, która została sama”.

## Drugie miejsce zbrodni

Kiedy Lola siedzi przy strumieniu w pół przytomna, Antonia Scott i Jon Gutierrez podjeżdżają pod bramę posiadłości. To Jon musiał ją tu przyciągnąć.

– Powinniśmy szukać tej kobiety – protestuje Antonia.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że ci, którzy zabili męża, to ci sami, którzy próbowali zabić ją, skarbie?

– Duże. Całkowite – przyznaje.

– No więc? – krzywi się Jon.

To do niej niepodobne, że postępuje w tak nielogiczny sposób.

– Chcę tylko jak najszybciej wrócić do Madrytu – mówi Antonia, krzyżując ręce na piersi.

Miejsce jest wypasione. Ale w niezbyt dobrym guście.

Osiedle Solfiesta, kwadrans jazdy samochodem z centrum Marbelli, nie jest elitarne, swoich willi nie mają tu biznesmeni ani arabscy milionerzy, jak na La Zagaleta. Solfiesta jest tylko droga. Budynek wydają się rozrzucone pośrodku niczego – wygląda to tak, jakby planowanie urbanistyczne zostało wykonane przez dziecko, które przewróciło pudło z zabawkami. Zostały postawione wzdłuż zbrocza bez ładu i składu, ceglane murki i bielone ściany chronią dostępu do domów, które rywalizują między sobą o to, który ma najbrzydszy i najbardziej ostentacyjny marmur.

To wille wykonawców flamenco, piłkarzy klubów ze środka tabeli, zwycięzców konkursu Eurowizji.

- Raj tandety - rzuca Jon, parkując przy bramie. Popołudnie, lepkie i szare, grozi burzą i sprawia, że atmosfera staje się jeszcze bardziej przygnębiająca.

Antonia prawie nie odrywa wzroku od dokumentów, które przekazał im podinspektor Belgrano.

- Domy to domy.

- No już, przyznaj, że dla ciebie to lekki szok - mówi Jon, wychylając się przez okno, żeby wcisnąć przycisk domofonu. - Ty zawsze nosisz białe bluzki i czarne płaszcze. Masz styl.

Antonia czeka, aż przeczyta ostatnią literę na ostatniej stronie dossier (pięćdziesiąt stron przeczytanych w ciągu dziewięciu minut), zamyka teczkę zmęczonym gestem i odpowiada.

- Kiedy poznałam Marcosa, sama wybierałam sobie ubrania. To on mnie przekonał, bym przestała to robić.

- Dlatego zawsze nosisz to samo? - pyta Jon.

Czuje przypływ tliwości, kiedy wyobraża sobie Antonię, jak wchodzi do Primarka i bierze pierwszą lepszą rzecz z brzegu. I dopasowuje ubrania byle jak. Nagle rozumie ją trochę lepiej. Tak to właśnie jest z Antonią - żeby ją zrozumieć, musisz dokładać kolejne elementy puzzli w postaci wyłapywanych szczegółów.

„Tylko nie mrugaj, bo je przeoczysz”.

- Najwyraźniej ludzie oglądali się za mną na ulicy. Zdaniem Marcosa, kiedy wybierasz czerni, nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

Pełna pomyłek jest natomiast willa małżeństwa Woronin Moreno, o czym przekonują się Antonia i Jon, kiedy brama otwiera się z brzęczeniem. Wysiadają z samochodu. W ogrodzie stoi rzeźba siusiającego chłopca, przy wejściu leży wycieraczka z herbem Spartaka, a po wciśnięciu dzwonek rozbrzmiewa Kalinka.

- Wejdźcie - mówi Belgrano, otwierając im drzwi.

W środku impreza toczy się dalej. W salonie są kolumny w stylu romańskim, w głębi nalewak do piwa przy stole bilardowym. Drażek do

pole dance. Obicie kanap imituje krowią skórę.

„Boże, jestem w piekle”, myśli Gutiérrez.

Antonia delikatnie pociąga go za rękaw, a Jon nieco się ku niej nachyla.

– Chyba rozumiem, co chciałeś powiedzieć – odzywa się Antonia, wskazując ledowe światła w różowym kolorze zainstalowane pod stołem ustawionym na środku. Oraz stojącego na nim przynoszącego szczęście kota, który macha łapką; gest jest dwuznaczny.

– Jeszcze jest dla ciebie nadzieja, skarbie.

I taki szczegół: dom jest wywrócony do góry nogami.

Poduszeczki są porozcinane, ich zawartość porozrzucona dookoła. Beczka piwa wyciągnięta ze swojego miejsca i przewrócona. Gdyby były tu książki, zrzucono by je z półek. Jedyne ślady kultury to setki filmów i gier wideo, którymi usiana jest podłoga, pudełka otwarte i podeptane. Z pewnością pirackie kopie.

– Wy to zrobiliście?

– Kiedy przyjechaliśmy, już tak to wyglądało – mówi Belgrano. – Ktoś bardzo intensywnie czegoś szukał. Chodźcie za mną, zaprowadzę was do ciała.

Antonia i Jon obchodzą kanapę, ostrożnie stawiając stopy na resztkach płyt Blu-ray. Przede wszystkim dlatego, żeby nie poślizgnąć się na parkiecie w szachownicę.

– Żadnego śladu? – pyta Antonia, widząc resztki proszku daktyloskopijnego na niebieskawej powierzchni płyt.

– Tylko te należące do właścicieli domu. Ci ludzie użyli rękawiczek.

Przechodzą obok dziewięćdziesięcioośmio-calowego telewizora. Jest włączony, nastawiony na rosyjski kanał informacyjny.

Jon czuje ukłucie zazdrości, on, który tak lubi zasypiać przy oglądaniu swoich ulubionych seriali. „Przed takim ekranem jak ten musi się zająć spać”, myśli.

W tylnym ogrodzie, do którego prowadzą szklane przesuwane drzwi w salonie, horror trwa dalej. Mnóstwo sztucznej trawy. Tanie plastikowe

krzesła i zielone pokrowce. Fontanna z dwoma wyskakującymi delfinami pluje wodą na jeden z basenów. Ten duży.

Bo są dwa. Jeden w kształcie nerki. Drugi – okrągły. Mały, klimatyzowany i ogrodzony.

– Zapytajcie, po co jest ten mały basen. No zapytajcie – domaga się Belgrano.

– Dla psa – odpowiada Antonia.

Podinspektor patrzy na nią zaskoczony.

– Skąd...?

Antonia wskazuje namalowany ręcznie rodzinny obraz, który wisi na jednej ze ścian w salonie. Lola, Jurij i pies wielkości autobusu. Brązowy, o bardzo długiej sierści i czarnej masce obejmującej pysk i oprawę oczu.

– To owczarek kaukaski. Rodzą się w górach. Nie znoszą upałów.

– Myślałem, że nie lubisz psów – mówi Jon.

– Bo nie lubię – przyznaje Antonia. – Ale z jakiegoś powodu one mnie bardzo lubią. Tak więc staram się wiedzieć o nich jak najwięcej.

Jon otwiera ogrodzenie basenu i wsadza palec do wody.

– Zimna.

– Gospodyni powiedziała mi, że przez cały rok utrzymują w basenie dwadzieścia dwa stopnie, żeby pies się chłodził – wyjaśnia Belgrano, nieco spochmurniały, ponieważ jego rewelacja nie spotkała się z zaskoczeniem, jakiego się spodziewał.

– Gdzie jest pies?

– Kiedy przyjechaliśmy, był zamknięty w basenie. Wściekły jak nie wiem. Gdy się zbliżyliśmy, zaczął walić w ogrodzenie. Ci ze służby weterynaryjnej musieli go uspić, żeby móc zabrać go do schroniska.

– A ciało?

– Za rogiem.

Na drugim końcu tylnego ogrodu, za rogiem, znajdują grilla, szklany stół (roztraskany) oraz ciało na pozostałościach po stole. Ktoś okrył je litościwie kocem izotermicznym. Wystają tylko nagie stopy. Z brudnymi podeszwami.



Jon odwraca się do Antonii, czekając na polecenia. Ona jest sztwywniejsza niż zazwyczaj, ale mimo to nie prosi go o jedną ze swoich czerwonych kapsulek. Inspektor nie kryje zdziwienia. Może wyczuć jej napięcie, to jak energia z jej cudownego mózgu ładuje powietrze dookoła elektrycznością statyczną. A może chodzi tylko o to, że zanosi się na deszcz, a on sobie wszystko wyobraża. Najpewniej.

Nie wyobraża sobie jednak tego, że o nic go nie poprosiła.

„Coś jest nie tak”, przeczuwa Jon.

Antonia wykonuje gest (delikatnie przechyla głowę, niemal błagalnie) i Jon zabiera koc okrywający ciało.

Jurij jest mężczyzną dobiegającym czterdziestki, ma umięśnione ciało godne młodzieńca. Wyraźnie zaznaczone mięśnie brzucha. Naga klatka piersiowa. Twarzy brak. Muchy kłębią się na pozostałościach.

Miał na sobie jedynie kąpielówki Superdry. Czarne, w kontraście do bladej skóry na torsie. Plecy natomiast są fioletowe. Od zgonu minęło trzydzieści godzin, więc krew opuściła górne partie ciała, żeby wobec braku pompowania przez serce skumulować się w dolnej części.

Ta, która nie jest rozprysnięta na ścianie, rozlana na ziemi, na resztkach stołu i worku brykietu, ma się rozumieć.

Jon się wzdryga. Jest wstrząśnięty. Czuje obrzydzenie w połączeniu z przerażeniem. O mało nie dostaje mdłości.

– Pański pierwszy trup? – odzywa się kobiecy głos za jego plecami. Zabarwiony szyderstwem.

– Moja pierwsza roztrzaskana głowa – mówi Jon, odwracając się.

Za nimi stoi kobieta w średnim wieku, ubrana w mundur. Bardziej silna niż wysoka, czarne włosy zebrane w tak ścisły kok, że aż boli od samego patrzenia. Ma ciemne oczy, źrenice w niejednorodnym kolorze, jakby rozlany tusz. Poważny wyraz twarzy. Jest w niej jakaś precyzyjność. Kiedy wyciąga rękę, żeby przywitać się z Jonem, robi to krótkim i szybkim gestem, bez niepotrzebnego marnowania energii. Jak gdyby oszczędzała się na coś, co ją czeka.

– Nawet pan nie wie, jakie ma szczęście. Komisarka Romero. Z UDYCO Costa del Sol.

– Inspektor Gutiérrez. A to jest...

Jon wskazuje Antonię, lecz ona nawet nie zamierzała się odwrócić, by przywitać się z nowo przybyłą, i dalej analizuje miejsce zbrodni.

– Już wiem, kim jesteście. Z Madrytu, przekonywano mnie, że będziecie pomocni. Możecie już zaczynać, musiałam się kłócić z sędzią śledczym, żeby nie zabierano ciała, dopóki się nie zjawicie. To wbrew przepisom.

– Jesteśmy pani wdzięczni.

– Pan Woronin powinien już leżeć w kostnicy i być w rękach lekarza sądowego.

– Ale chyba nie ma wątpliwości co do przyczyny śmierci, prawda?

Romero się uśmiecha, to porozumiewawczy półuśmiech.

– Niezbyt wiele. Pańska partnerka jest niema?

– Tylko introwertyczna. Proszę posłuchać, pani Scott ma swoje metody. Są dość osobliwe, ale przynoszą rezultaty.

– O tym też mnie uprzedzono. Mam nadzieję, że to prawda. Potrzebujemy rezultatów.

– Już słyszeliśmy, że jesteście tu nieco osamotnieni.

Komisarka parska śmiechem. Niemiło, bez szczypty radości.

– Inspektorze Gutiérrez... proszę na chwilę usiąść, opowiem panu straszną historię.

## Przyspieszenie

Antonia prawie nie zarejestrowała rozmowy toczącej się za jej plecami. Jest zbyt zajęta sprawieniem, żeby świat trochę zwolnił.

Rano małpy w jej głowie uspokoiły się na tyle, żeby mogła przetworzyć miejsce zbrodni z centrum handlowego. Jednak w willi małpy dają Antonii jasno do zrozumienia, że zrobiły sobie jedynie przerwę. Gdy tylko widzi zrównany z ziemią salon, jej mózg stara się chłonać, klasyfikować, porządkować. Stara się znaleźć jakiś sens.

Nie działa.

W jej głowie

*(małpy żądają. Małpy walczą ze sobą  
o jej całkowitą uwagę, wrzeszcząc,  
trzymając w górze różne rzeczy)*

dżungla zamieniła się w żałosny dom wariatów.

Sama przed ciałem Jurija Woronina, Antonia Scott chwytą się za łokcie, próbując się objąć, żeby się uspokoić, żeby uporządkować małpy. Jedyne, czym odpowiada jej ciało, to władcze pragnienie, by połknąć więcej kapsulek.

Ale dziś rano wzięła już dwie.

Trzecia kapsułka nie wystarczy. Czwarta też nie.

Wie, że musi porozmawiać z Jonem o tym, co się z nią dzieje. Poszukać pomocy. Ale nie może.

Istnieje pewne słowo na określenie tego, jak się teraz czuje.

*Bakiginin.*

W języku karelskim, używanym od Zatoki Fińskiej po Morze Białe, oznacza smutek stawiającego ściany. Kontrast między potrzebą odsunięcia wszystkich od twojego życia a niemożnością zrobienia tego.

Przywołanie tego słowa momentalnie pomaga Antonii się uspokoić. Odrywa rękę od kieszeni, gdzie opuszki palców muskały już kolejną czerwoną kapsułkę.

Próbuje skupić się na ciele.

W jego pozycji jest coś dziwnego.

Leży na plecach na stole, który musiał rozpaść się na kawałki, gdy się na niego przewrócił. Strzał, z bliskiej odległości, rozpryskana krew

*(małpy podnoszą przedmioty, wyją,  
próbując zwrócić na siebie uwagę.  
Jednej z nich nie powinno tam być)*

i mózg na ścianie, kąpielówki, bladość skóry.

„Coś tu nie pasuje. Coś jest nie tak, bardzo nie tak”.

– Nie wiem, co takiego. Nie...

Informacja ją przytłacza. Zamyka oczy, zostaje uwięziona w swojej głowie. Otoczona przez

*(małpy)*

dane, które teraz oznaczają jedynie hałas i zamęt.

Antonia wybiega.

## 12

### Ostrzeżenie

Komisarka Romero rozsiada się na jednym z krzeseł ogrodowych po drugiej stronie basenu. Jon robi to samo.

– Ma pan bardzo ciekawy akcent, inspektorze.

– Mógłbym powiedzieć to samo.

Kobieta rzuca mu przeciągłe spojrzenie.

– Zastanawiałam się tylko, co ktoś z samej północy robi tu, na południu.

– Pomagam. Będziemy dalej się bawić w Hiszpański temperament czy opowie mi pani tę straszną historię?

Romero wyjmuje z kieszeni telefon, wyłącza go i chowa z powrotem.

– Jak rozumiem, poproszono was, byście pomogli zlokalizować panią Dolores Moreno, żonę ofiary. Wie pan dlaczego?

Jon potrząsa głową.

– Powiedziano nam tylko, że to ważne dla śledztwa.

– Proszę posłuchać, inspektorze. Codziennosc w UDYCO wygląda nieco inaczej niż w przypadku innych wydziałów. My mamy pewne... rozluźnienie wobec protokołów. Nie patrzmy na to, co dziś, raczej myślimy długofalowo. Pozwoli pan, że zapytam: przy ilu sprawach pan pracował?

Jon wzrusza ramionami.

– Wystarczy, że zajrzy pani do moich akt i sprawdzi.

– To nie w moim stylu – mówi Romero. – Wolę, żeby sam mi pan powiedział.

– Przy wielu.

– Ważnych?

– Niektórych.

– Pytam, bo tutaj, na południu, też się słyszy różne rzeczy. Plotki na forach i na grupach na WhatsAppie. Tak jak ta o anonimowym inspektorze, który wyciągnął Carlę Ortiz z kanalizacji. Rudy, potężny, tak mówią. Nie żeby był gruby.

– Zastanawiam się, kto mógłby odpowiadać temu opisowi – mówi Jon, parkując w swoim głosie ciężarówkę niewinności.

Romero zaczyna go denerwować. Z wyjątkiem chwili, kiedy wyłączyła telefon, siedzi na krześle całkowicie nieruchomo. Plecy proste, ręce oparte na udach. Czapka od munduru pod lewą pachą, w pozycji zalecanej przez regulamin. W gasnącym świetle zmierzchu wydaje się, jakby nie poruszała żadnymi częściami ciała oprócz ust i żuchwy.

„Przypomina lalkę brzuchomówcy na baterie”.

– Proszę sobie nie myśleć, że próbuję pana egzaminować, inspektorze. Jesteśmy bardzo wdzięczni, że słuchają nas w Madrycie, tak dla odmiany. Ale chciałam panu wyjaśnić, że tutaj sprawy wyglądają inaczej. Wyobraźmy sobie, że zaginęła bogata dziedziczka. Wy dostajecie zadanie, żeby ją odnaleźć. Podążacie za tropami, znajdujecie ją żywą. Po drodze umiera sześciu kolegów, ale przypuszczam, że to jest część pracy.

„Aha”, myśli Jon, który zaczyna rozumieć.

– Zapewniam panią, że...

– Proszę mnie o niczym nie zapewniać – przerywa mu Romero. – Tutaj sprawy wyglądają inaczej. My nie musimy szukać tych złych. Wiemy, kim oni są. Codziennie mijamy ich na ulicy, spotykamy ich w barach, w hipermarketach. Ich dzieci i wnuki chodzą do tej samej szkoły, co nasze dzieci.

– To, co się stało z...

– Proszę o ciszę, inspektorze. Jeszcze nie skończyłam. Was proszą o zatrzymanie seryjnego mordercy i wy to robicie. Ja nie mogę aspirować do skończenia z rosyjską mafią. Tutaj praca polega na zbieraniu przeciwko nim dowodów powoli, stopniowo. Znajdowaniu świadków krok po kroku. Nakłonieniu ich, żeby zeznawali. Utrzymaniu ich przy życiu, dopóki tego nie zrobią. Później też, jeśli warto i nie wychodzi zbyt drogo.

- To praca na wiele lat - mówi Jon.

- To wojna - poprawia go Romero. - Kiedy przyjechali tu parę dekad temu, wyglądali jak grupa wesołych emerytów, którzy chcą wygrzewać kości i tańczyć Kaczuszki. Okazuje się, że robili coś więcej. Zaczęli zakładać firmy. Kupować kluby piłkarskie. Budować tandetne wille, takie jak ta. I wszyscy szczęśliwi. Pieniądze Rosjan płyną niewyczerpanym strumieniem. Oczywiście problemem jest to, skąd pochodzą.

To Jon już wie. Święta trójca mafiosów.

- Narkotyki, wymuszenia i prostytutka.

- Przestępstwa, jakie w Rosji popełniają ich koledzy, przynoszą mnóstwo gotówki. Brudne pieniądze trafiają na Kajmany, do Belize czy Delaware. Odbijają się od rajów podatkowych i wracają czyste na kontynent przez nieprzeniknioną sieć firm. Nie tak dobrą jak Google i Apple, ale prawie.

- A potem zamieniają się w marmur - mówi Jon, wskazując fasadę.

- To są drobiazgi. Grosze. Mafie założyły tu franczyzę prania brudnych pieniędzy. Marbella i Malaga są przedostatnimi przystankami, zanim kasa wróci tam, skąd wyszła. Do Sankt Petersburga, do Moskwy. Do daczki Putina.

- Rosja to państwo mafijne, wszyscy o tym wiedzą - stwierdza Jon ze znajomością rzeczy, jaką wyniósł z filmu dokumentalnego na HBO.

- Wiedział pan, że Litwinienko był w Marbelli, zanim Kreml się go pozbył?

Jon pamięta tę sprawę. Litwinienko był szpiegiem KGB, który zdemaskował powiązania między mafią a rosyjskim rządem. Ktoś dosypał mu do herbaty radioaktywny polon i zamienił jego nerki w filię Czarnobyli.

- Wydawało mi się, że zmarł w Londynie.

- Był tu kilka miesięcy wcześniej. Osobiście z nim rozmawiałam. Wtedy byłam inspektorką, tak jak pan. Nauczył nas wielu rzeczy, a w ciągu tych piętnastu lat sami nauczyliśmy się jeszcze więcej. Wiemy, że rosyjska mafia nie istnieje. Że tak naprawdę jest to setka organizacji z

trzynastu krajów. Z tysiącem skomplikowanych układów. Gruzini nienawidzą Uzbeków, ale wspierają ich przeciwko Tambowskiej. Tambowska jest w stanie wojny z Małyszewską, ale tylko w Rosji. Tutaj się tolerują.

– Niezły bałagan.

– I mogłabym tak wymieniać całą noc, a przy śniadaniu połowa tych informacji byłaby już nieaktualna. Rozumie pan, co chcę powiedzieć, inspektorze?

Jon drapie się po głowie, ocenia to, co właśnie usłyszał.

– Myślę, że tak. Nie chce pani, byśmy mieszały jej w kurniku.

Romero przytakuje powoli. Jeśli wziąć pod uwagę oszczędność jej ruchów, jest to odpowiednik żywej gestykulacji.

– W zeszłym roku mieliśmy czterdzieści sześć ofiar, inspektorze. Cztery razy więcej niż w Madrycie. W prowincji zamieszkałej przez półtora miliona osób.

– Ile z nich było powiązanych z ich sprawami?

– Mieliśmy dwa porachunki z wykorzystaniem bomb. Zabójstwa strzałami z motocykli, rowerów, napady na takie rezydencje jak ta. Porwania, okaleczenia twarzy *a là* Joker, strzały z kałasznikowa w restauracjach... I po wyjściu z chrzcin.

– Jak w *Ojcu chrzestnym*?

– Jak w *Ojcu chrzestnym*. W ostatnim czasie sprawy się tu mocno komplikują. Konflikty, skrywana nienawiść, która za chwilę wybuchnie.

– O ile już nie wybuchła – mówi Jon, wskazując podbródkiem w stronę ciała.

– Wie pan, ilu policjantów straciłam, odkąd jestem komisarką?

Jon nie ma zielonego pojęcia. Wie, ilu zginęło na jego terenie, odkąd złożył ślubowanie. Oczywiście nie zabili ich Rosjanie. Im też wygłaszano podobne przemowy. Zaczynały się od odwagi i wytrwałości oraz ścisłego przestrzegania zasad. A kończyły żądaniem, by nie nadeptywać na odciski.



- Przypuszczam, że żadnego – odpowiada Jon. Przeciąga słowa, jakby były z gumy.

- I chcę, żeby tak pozostało, inspektorze. To jest mała miejscowość. Nie ma się gdzie schować. Za każdym razem, gdy dostajemy ważną informację, to za cenę ukrycia jej przed Gwardią Obywatelską, przed GRECO, a nawet przed innymi funkcjonariuszami, w razie gdyby donieśli tym złym. Kiedy idziemy z tym do sędziego albo do prokuratora, zawsze słyszymy, że to nie wystarczy. Kiedy robimy obławę i konfiskujemy tonę koki, informacja o tym nie pojawia się w telewizji. Kiedy udaje nam się posadzić kogoś na ławie oskarżonych, prawie zawsze przegrywamy. I nie przysyłają nam nikogo do pomocy. Dzieje się to tylko wtedy, kiedy ktoś w Madrycie wpada na genialny pomysł. Albo chce zapunktować. Tak więc proszę mi powiedzieć, inspektorze: po co was tu przysłano, pana i tę kobietę, o której oboje wiemy, że nie jest z Europolu?

Zmiana tematu jest tak gwałtowna, że niemal słychać igłę drapiącą po winylu.

- Już mówiłem. - Skrępowany Jon przytrzymuje jej wzrok. - Powiedziano nam, że Lola Moreno jest ważna i że trzeba ją znaleźć.

Romero zwleka z odpowiedzią tyle, ile zajmuje położenie jego wyjaśnienia pod lampę z regulowanym ramieniem i kloszem i zrobienie na nim pół tuzina dziurek.

- To prawda, że Lola Moreno jest ważna. Nie wyobraża pan sobie jednak, jak bardzo i dlaczego.

- I pani mi tego nie powie.

- Nie, dopóki nie uznam, że mogę wam ufać. Tymczasem...

Nie kończy zdania, ponieważ w tym momencie mija ich biegnąca Antonia. Jon nie prosi o pozwolenie swojej przełożonej ani nie przeprasza. Jedynie wykonuje skinienie głową w stronę komisarki i rusza za swoją partnerką.

# 11 (bis)

## Hamowanie

Antonia opuszcza dom biegiem. Opiera się o samochód, wkłada rękę do kieszeni i robi coś, czego od lat nie robiła z własnej woli. Od czasu treningów. Od czasu, gdy kontrola nad jej umiejętnościami była batalią niemożliwą do wygrania.

Wyjmuje niebieską kapsułkę.

Rozgryza ją wściekle.

Mija sześć sekund.

Siedem.

Dziesięć.

Małpy znikają.

Świat staje się miejscem płaskim, szarym, jednolitym.

Antonia nagle staje się pusta. Nie istnieje już ogłuszający hałas ani szybkość.

Dopóki utrzymuje się efekt niebieskiej kapsułki, której skomplikowany skład chemiczny został opracowany po to, by ją wyłączyć, Antonia jest po prostu normalnym człowiekiem. Jakby właśnie wstała z łóżka.

Moc zniknęła, lecz niepokój jej nie opuścił.

Jej umysł ogranicza się do jednej myśli w tym samym czasie. A teraz potrafi myśleć tylko o jednym.

„Przegrywam”, myśli Antonia, walcząc o złapanie oddechu. Ma odruch wymiotny, otwiera usta, próbując zachłannie łąpać powietrze. Łzy spływają jej po policzkach i wpadają do ust.

„Nie chodzi tylko o to, że nie mogę tego kontrolować. Przegrywam na całej linii”.

# 13

## Cisza

Jon Gutiérrezz nie lubi Antonii Scott.

To nie kwestia miłości. Jon ją kocha, to na pewno. Pomimo swoich dziwactw Antonia ma mnóstwo zalet. Nie potrafi wyrządzić krzywdy, jest niezadarna w uroczy sposób. Jest irytująco uparta – a skoro mówi to ktoś z Bilbao, to naprawdę musi taka być. Jest szczodra i odważna aż do przesady. I należy do gatunku zagrożonego wyginięciem: osób, które uważają, że sprawiedliwości się broni, a nie na nią czeka.

Jest trudna, ma paskudne nawyki. Milczy, kiedy nie powinna, mówi nie w porę i zwykle po to, żeby popełnić gafę. W tych nielicznych sytuacjach, gdy okazuje coś podobnego do uczucia, nie potrzebuje nawet pół minuty, żeby cię obrazić. Daje i natychmiast odbiera.

Nic z tego wszystkiego nie przeszkadza Jonowi w Antonii. Oddałby za nią życie.

Jona Gutiérrezza w Antonii Scott wnerwia to, że nie może jej pocieszyć.

Widzisz swoją partnerkę, swoją przyjaciółkę, załamana i płacząca, samą, zamkniętą w samochodzie, z butami na siedzeniu i obejmującą sobie kolana. Ścisza cię w środku. Czujesz ucisk w klatce piersiowej, elektryczność w przedramionach. Dyskomfort w stopach, które nagle drażni kontakt z podłożem.

W przypadku każdej innej osoby podchodzisz i ją przytulasz. „Chodź tu”, mówisz. Obejmujesz ją swoimi wielkimi ramionami, zdolnymi podnosić gigantyczne kamienie albo rozłupywać orzechy w zgięciu łokciowym.

Co robisz w przypadku osoby, która nie znosi, kiedy się ją dotyka, która unika wszelkiego kontaktu fizycznego czy jakiegokolwiek

okazywania czułości?

Co robisz z Antonią Scott?

Siedzisz cicho. A w środku rośnie w tobie *larritasun*. Niepokój, cholera, niepokój.

Próbujesz ją zrozumieć, lecz bez powodzenia. Bo wiesz, że dzieli was odległość nie do pokonania. Dzieli was mur, który ona sama wznosi. I zastanawiasz się, co dzieje się tym razem. Co się dzieje w tej genialnej, cudownej głowie. Co widzi, jakie toczy batalie.

Delikatnie stukasz w szybę. Może będziesz miał szczęście i otworzy.

*Piu, piu*, słyhać dźwięk odblokowywania.

Jon ma szczęście.

Zajmuje miejsce kierowcy. W powietrzu wyczuwa smutek. Lepki, gęsty. Można by tu w środku nakręcić wideoklip zespołu Maná. Antonia ma przekrwione oczy, skórę w kolorze starego papieru.

Czuje nieodpartą pokusę, by wyciągnąć rękę i jej dotknąć, ale Jon wie, że nie tędy droga.

Czuje też pokusę, by się odezwać. Wyjaśnić jej, że musi wytrzymać, że cokolwiek ją dręczy, być może nadal będzie to robić, że w takiej sytuacji pozostaje jej tylko stawiać opór. Ale Jon wie, że nie tędy droga.

Tak więc nie mówi:

– Nasze demony nigdy nie odchodzą, Antonia. Pozostaje nam tylko być jeszcze silniejszymi.

A ona mu nie odpowiada:

– Jestem zmęczona, Jon. Zmęczona osobami, które są okrutne wobec innych. Zmęczona całym tym bólem, który dostrzegam. To jak kawałki szkła w mojej głowie, których nie mogę wyciągnąć.

A on nie odpowiada:

– Jestem gejem, może jestem głupi. Niewykluczone nawet, że jestem gruby. Ale, Bogu dzięki, jestem tutaj. Jestem tutaj.

Nie mówią sobie żadnej z tych rzeczy, ponieważ życie to nie film, gdzie milion trudnych emocji wkłada się w świetny dialog, podczas gdy Michael

Giacchino, Thomas Newman albo Quincy Jones podkreślają całość wzruszającą ścieżką dźwiękową.

    Nie mówią sobie nic, tylko siedzą w samochodzie, razem. W ciszy.

# 14

## Kod

Łzy wysychają.

Jon opuszcza szybę. W tym czasie, gdy tak siedzieli, spadł deszcz. Wonny zapach wpada przez szczelinę, łagodząc smutek. Albo przenosząc go w inne miejsce. Z pewną małą pociechą: że kiedy już nic nie przetrwa z przeszłości, która teraz jest naszą teraźniejszością, zapachy pozostaną, wypełniając nasze wspomnienie.

– *Petrichor* – mówi Antonia.

– Słucham?

– Zapach po deszczu. Nazywa się *petrichor*.

Jon nie rozumie za bardzo dlaczego, ale wyczuwa, że to, co się właśnie stało (to słowo, którym Antonia się z nim podzieliła), jest ważne. Nie chce zniszczyć tego, czego nie pojmuje, więc nadal czeka, aż ona znowu się odezwie.

Żeby dać jej czas, rusza daleko od osiedla. Zapadła już noc. Pokonuje kilka kilometrów, bez konkretnego celu. Zatrzymuje się na pustym miejscu obsługi podróżnych. W oddali można dostrzec linię wybrzeża Marbelli, zamienioną w lśniący, idylliczny różaniec. Pomaga to, że nie widać budynków. Bliżej szyld stacji Repsol służy za oświetlenie i pozwala im widzieć swoje twarze.

– Coś tu jest bardzo nie tak – mówi w końcu Antonia.

– No, podsumujmy, mała... Facet, któremu odstrzelono głowę. Dwaj inni w kostnicy podziurawieni kulami. Trzech jednego przedpołudnia.

– Nie chodzi tylko o to. Mafie są brutalne, ale nigdy nie działają tak publicznie. Kryje się za tym coś więcej.

– Poznałem bardzo osobliwą kobietę. Komisarzkę Romero.

– Wroga? – pyta Antonia.

Kiedy przyjeżdżają w jakieś miejsce, zawsze jest tak samo. Zawsze jest ktoś z tych, którzy są po ich stronie, komu ich obecność jest nie na rękę.

– Na razie stoi z boku. Nie będzie zawracać nam głowy pod warunkiem, że nie narobimy bałaganu w jej kurniku. Z tego, co zrozumiałem, w każdej chwili może tu wybuchnąć wojna.

– A dlaczego jest osobliwa?

– Zadała mi bardzo dziwne pytanie. Nie takie gówniane, jak zawsze. Chciała wiedzieć, dlaczego tu jesteśmy.

– Nigdy o to nie pytają.

– Właśnie. Pytają, kim jesteś. Pytają, skąd przyjechaliśmy. Pytają, jak zamierzamy pomóc. A przede wszystkim pytają, kiedy wyjedziemy.

Ale nigdy „dlaczego”. To zwykle jest cholernie oczywiste.

Antonia mruga. Ten gest jest zazwyczaj przyspieszony, pięć razy otwiera i pięć razy zamyka oczy. Z prędkością ruchu skrzydeł kolibra. Tym razem robi to w zwolnionym tempie. To oraz powolny ton jej głosu powodują, że w Jonie uruchamiają się alarmy wytrawnego policjanta.

– Zadzwoń do Mentora.

„Gdybym nie spędził kilka nocy na parkingu przy Fever, konfiskując torebki z marychą różnym bandom, powiedziałbym, że ta dziewczyna jest ugotowana”, myśli inspektor Gutiérrez.

– Dobrze się czujesz, skarbie?

– Oczywiście, że tak – odpowiada Antonia w następny czwartek.

Jon nic nie mówi. Podłącza telefon do zestawu głośnomówiącego i wykonuje polecenie.

Mentor odbiera po szóstym sygnale. Jego głos rozbrzmiewa z głośników audi, jakby siedział z nimi w środku.

– To nie jest dobry moment.

– Proszę posłuchać, tu są martwi ludzie – protestuje Jon.

– Jestem w Brukseli, inspektorze. Spotkanie szefów ekip. Pojawiły się... problemy.

Jon i Antonia spoglądają na siebie zdziwieni.

– Jakie problemy?

– Problemy z kolegami z innych krajów. Nic, co mogę powiedzieć przez telefon. Opowiem wam, kiedy wrócicie. A teraz, jeśli wybaczycie...

– Dlaczego tu jesteście? – pyta Antonia.

Pauza. Z drugiej strony dobiegają odległe echa zmartwionych głosów.

– Co ci się stało z głosem, Scott?

„On też to wyczuł”, myśli Jon. Z ukłuciem zazdrości. Mentorowi wystarczyły tylko trzy słowa przez telefon, z odległości dwóch tysięcy kilometrów. Co za chemia. Ze swoim różańcem nieszczęśliwych rachunków, co więcej przemilczają, niż mówią.

– Scott. – Mentor nie ustępuje.

Antonia pokazuje Jonowi gestem, żeby odpowiedział.

– Nie chcemy zabierać panu czasu na tym spotkaniu. Ale prosił pan, byśmy informowali go na bieżąco. A Antonia jest...

– To ją pytałem, inspektorze – odpowiada Mentor oschle.

Pauza. W samochodzie słychać ciężki oddech Jona. Który być może oddycha tak celowo, ponieważ nie znosi ciszy.

– Jestem zmęczona, to wszystko – odpowiada Antonia.

Pauza. Tym razem dłuższa. Po drugiej stronie głosy się rozmywają, jak gdyby Mentor oddalał się korytarzem wyłożonym wykładziną.

– W porządku. W czym mogę wam pomóc?

„Nie wierzy jej. I ja też nie”.

– Chcemy wiedzieć, dlaczego Lola Moreno jest taka ważna – mówi Jon.

– Nie ma po niej śladu?

– Żadnego. Ale widzieliśmy, jaką mieli ochotę pozbyć się jej i jej męża. Streszczę to panu: wielką ochotę.

Mentor wydaje z siebie westchnienie uzależnionego, w którym mieści się wiele reklam Marlboro, z rodzaju tych, których już nie emitują, bo to brzydko zabijać ludzi.

– Wydawało się, że to prosta sprawa, Scott – mówi Mentor, bardziej do siebie niż do nich. – Znaleźć gospodynię domową i wrócić. Coś łatwego, żebyś zapomniała o tej dziwnej obsesji na punkcie tego twojego ducha.



Antonia nie odpowiada.

– Chcemy tylko wiedzieć, w co się pakujemy – wcina się Jon. –  
Dlaczego wybrał pan tę sprawę.

– Nie powie ci – mówi Antonia.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić, Scott. A tym bardziej przez telefon.

Antonia spogląda na Jona, a potem na ekran telefonu.

– Biorę za to odpowiedzialność.

– Nie do ciebie należy podejmowanie tej decyzji, Scott.

– W takim razie podaj mi tylko kod alfanumeryczny. Ja wyjaśnię mu resztę.

Pauza. Trwająca całą wieczność. Wydaje się, że po drugiej stronie linii Mentor wraca tam, skąd przyszedł, zmartwione głosy znajdują się coraz bliżej.

– Jeśli was poproszę, byście wracali, nie posłuchacie mnie, prawda?

Jonowi przychodzi na myśl widok pewnego boksera w pewnej kuchni z kością z szynki. Boksera, którego trzeba uśpić, zanim wypuści zdobycz.

– Znasz już odpowiedź.

Po drugiej stronie zmartwione głosy są teraz zmartwionymi krzykami. Być może to sprawia, że Mentor się poddaje.

– Pieprzyć to. Pod jednym warunkiem. Znajdźcie ją szybko i wracajcie do Madrytu jak najprędzej. Będziecie mi potrzebni. Zgoda?

– Nie możemy się doczekać powrotu.

Mentor robi ostatnią pauzę, jakby oceniał, czy te słowa to zadowalający kompromis. Potem podaje trzy słowa.

– Jeden. Pięć. Foxtrot. – I się rozłącza.

## Wyostrzony słuch

Jon się odwraca, by spojrzeć na swoją partnerkę. Brwi uniesione, dłonie zaciśnięte na kierownicy. Na twarzy zaskoczenie. Szok. Po jednej stronie porusza się świat, po drugiej, w przeciwnym kierunku, jej rozumowanie. Droga jest jednokierunkowa. Za kierownicą, jakżeby inaczej, siedzi Antonia Scott.

– Mogłabyś mi to wytłumaczyć, skarbie?

Antonia pociąga nosem, przesuwa dłonią po kolanach.

– Możliwe, że nie powiedzieliśmy ci wszystkiego.

– Możliwe, że zdałem sobie z tego sprawę – odpowiada łagodnie Jon.

Z wyborną łagodnością. Z tych, co spowijają sztormy.

– Nie czuję się zbyt dobrze – mówi Antonia, masując nasadę nosa.

– Możliwe, że z tego też zdałem sobie sprawę.

– Ale nie chcę o tym rozmawiać.

– Możemy pominąć całą tę część?

– Jaką część?

– Tę, w której zastanawiasz się nad wybraniem tego, co mi powiesz.

Odchodzisz w jakieś miejsce za tymi swoimi zielonymi oczkami i wracasz pół minuty później z półprawdami. Przemilczeniami, eufemizmami.

– Nie robię tego.

– Owszem, robisz.

Antonia poświęca trzydzieści sekund, myśląc o tym, jak zakwestionować to o pół minucie.

– Jest pewien software – mówi w końcu.

– Słucham?

– Software. Program informatyczny. Kiedy ruszył projekt Czerwona Królowa, w Brukseli zaczął się projekt równoległy. Znacznie bardziej sekretny.

– Jeszcze bardziej?

Antonia wykonuje gest ręką, żeby jej nie przerywał. Zamieniła się w sześćsetkę bez hamulców, jadącą w dół łagodnego wzgórza. Bardzo powoli, lecz nie do zatrzymania.

– Osoby odpowiedzialne za projekt uświadomiły sobie, że nie wystarczy zwykła obecność zespołów w poszczególnych krajach. To tak, jakby mieć broń, ale nie mieć tarczy. Tak więc stworzyli specjalny software. Nazywa się Heimdall.

– Jak ten czarny przystojniak z filmów?

Antonia, która w tym stuleciu jeszcze nie była w kinie, ignoruje go.

– Podobno Odyn podczas spaceru brzegiem morza zadurzył się w dziewięciu olbrzymkach. Przespał się z nimi, a one się połączyły, żeby dać mu jednego syna.

– Połączyły się. Jak Power Ranger?

– Ja też nie rozumiem tej historii z gołębicą i gałązką i nic nie mówię – wypala Antonia. – Dziewięć kobiet urodziło Heimdalla i karmiło go najlepszym, co miały. Kiedy Heimdall dorósł, odkrył, że ma wzrok, który sięga krańców świata, i tak wyostrzony słuch, że potrafi usłyszeć rosnącą trawę. Tak więc Odyn wyznaczył go na strażnika tęczowego mostu Bifrost, prowadzącego do Asgardu, świata bogów. I Heimdall musiał ostrzegać, czy nie nadchodzą olbrzymy.

Jon słucha, teraz bardzo poważny, bo zaczyna rozumieć, co może robić program, który nazwano imieniem nordyckiego boga o wyostrzonym słuchu.

– Software też miał dziewięć matek. Dziewięć państw Unii, wśród nich Hiszpanię. W jego rozwój zainwestowano dwieście milionów euro i kolejne pięćset na stworzenie największego superkomputera w Europie. Zainstalowano go w Barcelonie, jest zakopany pięćdziesiąt metrów pod Mare Nostrum V.

Jon słyszał o Mare Nostrum, superkomputerze naukowym. A to, że jeden superkomputer zakopano pod drugim, ma sens.

– Dzięki temu mogli uzasadnić zużycie prądu, wchodzenie pracowników, wszystko. Sprytnie.

– Przypuszczam, że wyobrażasz sobie, co robi.

Jon sobie wyobraża.

I to jest koszmar.

Ale chce, żeby to ona mu powiedziała.

Antonia mu tłumaczy. Ze szczegółami. Jak za każdym razem, gdy wchodzimy do internetu, Heimdall patrzy. Wie, co robimy, czego szukamy, co kupujemy. Każdy mail, który wysyłamy, każde zdjęcie, jakie wrzucamy na naszą grupę na WhatsAppie. Każda wiadomość tekstowa, każdy post na Facebooku. Wszystko jest przeanalizowane, zapisane, zmierzone i zważone. Każdy gest miłości, każde zdanie pełne nienawiści, każda poza przed lustrem, każda masturbacja przed ekranem. Każdy film z kotkami, każde polecenie wydane Siri, każda piosenka, każdy retweet, każdy lajk.

Wszystko.

– Wiedziałem, że Stany Zjednoczone stosują to wobec swoich obywateli. Ale nigdy nie sądziłem, że tu będziemy robić to samo – mówi Jon głosem tak zmęczonym, jak zmęczona jest jego dusza.

– Europa nie mogła zostać w tyle, Jon.

– Nie mogę uwierzyć, że tak mówisz.

– Taka jest prawda. System nie jest idealny. Sprowadzili ze Stanów jakiegoś eksperta od rozpoznawania obrazów i wielu matematyków, żeby pomogli z szyfrowaniem, ale dużo mu jeszcze brakuje do tego amerykańskiego. Nie da się analizować wszystkiego. Ale możemy przynajmniej mieć dostęp do ważnych informacji, kiedy ich potrzebujemy.

Jon kręci głową. Wciąż nie może uwierzyć własnym uszom. Czuje się tak, jakby znalazł się w jednym z odcinków serialu *Czarne lustro*.

Nagle mały element wpada na swoje miejsce. *Plim*, linia.

- Wyjaśnij mi jedno. Kiedy dostałaś się do skrzynki mailowej Carli Ortiz, żeby namierzyć jej telefon, powiedziałaś mi, że hasło miała zapisane na karteczce samoprzylepnej w szufladzie biurka. Jak wszyscy, dodałaś. Nie było żadnej karteczki, prawda? Użyłaś Heimdalla.

Antonia nie odpowiada. Ani po swoich obowiązkowych trzydziestu sekundach, ani po pięćdziesięciu, ani po półtorej minucie.

Jon wysiada z samochodu. Zostawia otwarte drzwi, wielkimi krokami obchodzi auto dookoła.

Potrzebuje odetchnąć.

- Cholera. Cholera jasna, Jezus Maria, kurwa, ja pierdołę! - krzyczy Jon do nikogo konkretnego. Do nocy. Do szyldu Repsola. Do graffiti na ścianie stacji benzynowej.

Przeszkadza mu krawat. Przeszkadza mu marynarka. Zdejmuje i to, i to, rzuca na ziemię. Wyciąga ręce. Szwy białej koszulki z egipskiej bawełny trzeszczą, kiedy opuszcza je z powrotem, napinając bicepsy wielkości piłki do nogi. Siada na masce audi. Zawieszenie protestuje.

Antonia wysiada z samochodu i sadowi się obok niego. Zawieszenie ani drgnie.

- Wolałbym, żebyś mi o tym nie powiedziała - odzywa się Jon i to jest prawda. W jakiś sposób krępująca i pocieszająca cisza sprzed chwili, cisza kogoś, kto ogranicza się tylko do czekania, że sprawy załatwią się same, była lepsza niż dźwiganie ciężaru, który Antonia zrzuciła mu właśnie na barki. - Muszę to wszystko przetrawić.

- Pomyśl o całym dobru, jakie możemy zrobić.

Jon nie myśli jednak o tym.

- Wiesz, co Heimdall może zrobić takim jak ja?

- Baskom?

- Pedalom, skarbie.

- Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Sytuacja nie wygląda już tak, jak dawniej.

Jon wybucha sarkastycznym śmiechem.

- Zawsze znajdzie się ktoś, kto chce, żeby sytuacja wyglądała tak, jak dawniej. Zawsze.

Schyła się i podnosi marynarkę oraz krawat. Potrząsa nimi i otrzepuje przed ksenonowymi reflektorami. Tysiące drobinek kurzu tańczą wściekle w promieniu światła.

- Jest coś jeszcze - mówi Antonia.

„Jakżeby inaczej”.

- No, słucham - wzdycha Jon.

- Heimdall nie tylko monitoruje komunikację. Jego podstawowym zadaniem w projekcie Czerwona Królowa jest koordynowanie nas. Łączenie wszystkich baz danych ze stu jedenastu organów policji w Europie w jedną.

- W jedną bazę, do której dostęp ma tylko kilka osób. Dlatego wszędzie nosisz iPad.

- Dlatego i ze względu na Angry Birds.

Jon poświęca pięć sekund ciszy tej niezdarnej próbie błysnięcia humorem.

- W porządku. Jest baza danych. I to wszystko?

- Heimdall analizuje możliwe sprawy, przy których możemy się przydać. Policyjne rejestry, doniesienia, połączenia na numery alarmowe. Nie tylko ze względu na przychodzące informacje, lecz także na to, co może się wydarzyć.

- Chwila. Chcesz mi powiedzieć, że sztuczna inteligencja decyduje, dokąd masz jechać?

- Nie decyduje. Proponuje. Decyzję podejmuje każdy Mentor. Nie ma żadnego komputera, który mógłby zastąpić ludzi.

- A co takiego zaproponował tym razem?

- Mentor nigdy mi nie mówi, dlaczego gdzieś jedziemy. Na początku przekazuje mi możliwie najmniej informacji, żeby mnie nie nakierowywać.

- Dlatego zapytałaś go o kod. Jeden pięć ef. Co to znaczy?

- Potencjalny tajny informator najwyższego stopnia.

- Cholera - mówi Jon, wydając z siebie gwizd.

Nagle wszystko nabiera sensu. Sensu o niebezpiecznych ostrzach.

- Heimdall miał oznaczonego Jurija Woronina. Jego śmierć uruchomiła alarm w oprogramowaniu. Woronin był skarbnikiem klanu Orłowa. Orłow jest przedstawicielem Tambowskiej w Hiszpanii. Nigdy nie mieliśmy tak cennego informatora.

- Jeśli Woronin był kapusiem, to by tłumaczyło brutalność jego egzekucji. I że próbowali zabić jego żonę - rozumuje Jon.

- I także to, że komisarka Romero tak bardzo chce wiedzieć, dlaczego tu przyjechaliśmy.

- Nie sądzę, by chciała nam o tym opowiedzieć. Jeśli zabito jej informatora, nie spocznie, póki się nie dowie, kto puścił parę z ust.

- A więc musimy jak najszybciej znaleźć Lolę Moreno. Tylko ona może rzucić jakieś światło na ten cały bajzel.

Jon wsiada do samochodu i uruchamia silnik.

- Bajzel? Nie, skarbie, nie. To nie jest bajzel. To jest pole minowe.

# Lola

W pustej sali domu pogrzebowego chce opłakiwać utratę mężczyzny, w którym jest szaleńczo zakochana. Chce opłakiwać siebie, bo nie wie, co robić. Dziecko, które jest w drodze. Chce płakać ze strachu i zmęczenia.

Chce płakać, ale nie potrafi.

„Była sobie raz dziewczynka, która straciła to, co kochała najbardziej, czarującego, odważnego i szczodrego księcia”.

Lola lubi się chwalić swoim mężem. Nie tym, co jej kupuje, to byłoby prostackie. Chwali się tym, że nie istnieje nic, czego nie potrafiłyby rozwiązać. Tym, jaki jest zabawny. Tym, jaki jest w łóżku.

– Mój mąż liże mnie tak, jakbym tam na dole miała grillowane krewetki.

– Niscy faceci to specjaliści od minety. Przypuszczam, że starają się bardziej, żeby zrekompensować swój wzrost – stwierdziła fryzjerka.

Inna fryzjerka, nie jej matka. Matce nie pozwala nawet dotknąć swoich włosów. Nie żeby nie łączyły ich dobre relacje, rzecz w tym, że zbyt duża poufałość rodzi pogardę. Ale się kochają – żeby nie było. Lola dzwoni do niej codziennie. Prawie zawsze po to, żeby wychwalać Jurija.

– Jest taki czuły i taki kochany.

Albo:

– Ostatnio przyniósł mi kwiaty.

Albo:

– Zanim wyszedł do pracy, zostawił mi na lodówce karteczkę, na której napisał, że mnie kocha. – To, przez telefon, z filiżanką kawy w dłoni.

A jej matka:

– Na pewno? Uważaj, bo Ruscy lubią bić swoje żony.

A jej matka:



- Uważaj, bo Ruscy są porywcy.

A jej matka:

- Uważaj, bo Ruscy...

Lola uważa, że nie ma większego rasisty niż Andaluzyjczyk. A przynajmniej większego niż jej matka, która przez cały dzień wspomina o narodowości. Ona chciała dla swojej córki dobrego męża z Malagi, lekarza albo dentystę, który kupiłby mieszkanie w Torremolinos, gdzie ona mogłaby spędzać lato.

I Lola oczywiście też chciała kogoś takiego. Ale spotkała Jurija.

„Była sobie raz dziewczynka, która tańczyła w dyskotecie, a kiedy wychodziła, kilku typów chciało ją zgwałcić”, myśli Lola. Przycisnęli ją już do ściany, z majtkami na wysokości kolan, choć próbowała się bronić. Ale przechodził tamtędy Jurij. A tamtych było siedmiu. Na pewno z Malagi. Może dentyści. Trudno stwierdzić, bo nie mieli na sobie fartuchów.

Jurij wpadł jak tajfun, bez pytania. Dostał w twarz i draśnięcie nożem. Lola dostała w twarz. Tamtych siedmiu też porządnie oberwało. Uciekli, aż się kurzyło.

Na pogotowiu, kiedy czekali, aż zostaną opatrzeni, Jurij mówi jej, jak się nazywa. Mówi jej też, że w skórze ma truciznę, że jest zrobiona z cienkiego plastiku. Próbuje skraść jej pocałunek.

Chwilę później, z twarzą palącą od uderzenia i bólem biodra od walnięcia kolanem, pojmuje, że Lola określiła granice swojej wdzięczności.

Miesiąc później biorą ślub.

Lola jest najszczęśliwszą kobietą na świecie.

„Była sobie raz dziewczynka, która pomogła księciu zbudować pałac”, mówi do siebie Lola, na próżno próbując znaleźć mniej niewygodną pozycję. Ma zmaltretowany tyłek, straciła czucie w biodrze.

Podłoga z lastryko jest znacznie lepsza niż pierwsze łóżko, jakie dzieliła ze swoim mężem. Bo Jurij nie miał grosza przy duszy. Mieszkał w mieszkaniu blisko plaży z trzema żalonymi Gruzinami, którzy nie znali słowa po hiszpańsku.

Lola, zakochana bez pamięci, przez pierwszy miesiąc nie ma nic przeciwko takiemu układowi. W drugim, kiedy ma okres i musi znosić walenie do drzwi łazienki, kiedy zmienia sobie podpaszkę, zaczyna mieć dość i przywołuje Jurija do porządku.

- Potrzebujemy mieszkania tylko dla siebie.
- Szef mało mi płaci.
- No to niech ci płaci więcej.
- To nie takie proste.
- A co właściwie robisz?

Jurij opowiada. Ze swoim słowiańskim akcentem, pełnym przeciąganych er. Ale przynajmniej po hiszpańsku, którym chciałoby mówić wielu. Wyraźnie.

- Spuszczam łomot.
- Jak to łomot?

- Normalnie. Ktoś płaci mojemu szefowi i szef mnie posyła. Pim, pam. Wałę po mordzie, da?

Lola patrzy na Jurija z góry na dół. Nie ma nawet metra siedemdziesięciu, koszulka w rozmiarze S jest dla niego za luźna. Lola wierzy w to, o czym jej opowiada. Choć na takiego nie wygląda, w żadnym razie. Ale w głowie ma nie po kolei. Kiedy traci nad sobą panowanie, widzi wszystko na czerwono i równie dobrze może mieć naprzeciwko siebie siedmiu, jak i dwudziestu siedmiu. A czasami wraca do domu i pierwsze, co robi, to napełnia miskę lodem i wkłada do środka rękę.

- No to właśnie dajesz sobie z tym spokój. Powiesz szefowi, żeby poszukał ci czegoś innego.

- Ale, Lola...
- Rzucasz to. Nie będziemy zarabiać na lód.

To było sześć lat temu. Sześć lat i cztery miesiące temu. Doskonale pamięta ten dzień. To się działo chwilę przed jej urodzinami i Jurij obiecał jej to w prezencie.

„Była sobie raz dziewczynka, która sześć lat temu nie miała nic”.

Lola czuje, że wreszcie uda jej się rozplakać. Czuje, że łzy zbierają się za oczami. Szloch zwinął się w gardle, niczym duszący i chciwy tasiemiec.

Przerywają jej hałasy.

Lola słyszy głosy ludzi, którzy wchodzą do budynku i zadają pytania. Wyrażnym, aroganckim tonem.

„Idą po mnie”.

„Jak to możliwe?”

Lola traci kilka niezwykle cennych sekund na próbę zrozumienia, jak ją znaleźli. Przecież bardzo uważała, nie włączyła telefonu. Nawet zadzwoniła do Jurija przez...

„Stacjonarny”.

„Telefon stacjonarny domu pogrzebowego”.

„Ale ja jestem głupia”.

Głosy się zbliżają, mieszają się z tymi z sąsiedniej sali. Nie ma czasu do stracenia. Musi uciec. Pytanie tylko – którądy.

W pomieszczeniu nie ma okien ani żadnego miejsca, w którym można się schować.

Jedynie drzwi prowadzą do westybulu. Wyjście przez niego oznaczałoby wpadnięcie wprost w ramiona swoich prześladowców.

Z sercem walącym w piersi Lola słyszy, jak stłumione głosy, które docierają do niej przez ścianę, teraz przemieszczają się w stronę wejścia. Mówią podniesionym tonem, nie tylko ze względu na bliższą odległość. Wydaje się, jakby między głosami wywiązała się dyskusja.

Wtedy Lola uświadamia sobie, że owszem, są tu drugie drzwi. Te prowadzące do przeszklonej sali, w której wystawia się trumny. Przechodzi przez pokój, naciska klamkę, modląc się, by nie było zamknięte. Nie jest.

Lola wchodzi do sali i zamyka za sobą drzwi akurat w tej samej chwili, gdy otwierają się drzwi do pokoju. Prostokąt światła maluje się na podłodze, na okrągłym stoliku i na krótko oświetla twarz Loli za szybą. Lola dostrzega silne ręce, pistolet, ciemną postać, być może to ten sam

człowiek, który przedtem wysiadł z samochodu na dróżce. Wie, że kiedy ją znajdzie, będzie po niej.

Nie ma zamiaru dać im takiej możliwości.

W kucki przedostaje się za zasłony (bordowo-szare, nadszarpnięte zębem czasu i kurzu), za którymi znajduje się tunel służbowy. Tutaj nie ma drzwi, jedynie luka, przez którą pracownicy domu pogrzebowego wkładają trumny przez ukryty korytarz. Ten sam, przez który Lola wymyka się na tyły budynku. Głodna, wyczerpana, odwodniona. Bez celu, lecz nie zagubiona. Bez nadziei, lecz nie zdesperowana.

„Była sobie raz dziewczynka, która nie zamierzała dać się złapać”.

# 16

## Obietnica

Hotel był dobry, odpoczynek – fatalny.

Jon nie mógł spać. Przez całą noc się wiercił. Pocił się, dużo rozmyślał.

Słowa, które usłyszał od Mentora w dniu, kiedy go zrekrutował, odbijają mu się w czaszce niczym *pilotak*<sup>2</sup> od frontonu. Tyle że teraz mają one o wiele mroczniejsze zabarwienie.

„Projekt Czerwona Królowa został stworzony do zadań specjalnych. Seryjni mordercy. Wyjątkowo nieuchwytni brutalni przestępcy. Pedofile. Terrorysty. Bez powiązań, bez hierarchii”, powiedział Mentor.

„Bez publicznej odpowiedzialności”, dodaje w myślach Jon.

„Dlatego chciał kogoś takiego jak ja. A przynajmniej kogoś takiego jak tamten ja, który podrzucił narkotyki do bagażnika alfonsa. Kogoś, dla kogo ważniejsza jest sprawiedliwość niż prawo”.

„Problem polega na tym, kto decyduje o tym, co jest sprawiedliwe”.

„Problem polega na tym, że nie jestem pewien, czy wciąż jestem tą osobą”.

To, co opowiedziała mu Antonia, jest przerażające. A jednak prawdziwe. W świecie, w którym granice dobra coraz bardziej się zacierają, w którym naszą prywatność i nasz intelekt oddaliśmy sieciom społecznościowym i wyszukiwarce, istnienie Heimdalla było nieuniknione.

Firmy już to robią. Jeśli rozmawiasz ze swoim partnerem przez zestaw głośnomówiący aktywowany głosem, chwilę później podczas przeglądania internetu natykasz się na reklamę sera Idiazabal.

„Ale w przypadku Heimdalla nie chodzi o sprzedaż sera. Chodzi o identyfikowanie niebezpiecznych obywateli”.

„A jak pokazała historia, to nigdy, nigdy nie poszło źle”, myśli Jon.

Swoje zmartwienia zabiera na śniadanie, a później do samochodu, gdzie czeka na Antonię przez dwie godziny. Umówili się na dziesiątą, ale on jest na dole już parę minut przed ósmą. Słucha kolejnych płyt Joaquína Sabiny, dowiadując się, że niektóre oszustwa są narkotykami na ból miłości.

Nie wie, co robić. Momentami kusi go, żeby odpalić silnik i zwiać.

Chrzanić to.

Za dziesięć godzin byłby w domu z *amatxo*. Zniósłby ruganie – normalna sprawa. Zjadłby *kokotxas*<sup>8</sup>, topiąc wszystko w *ardo beltza*<sup>2</sup>.

Ale Jon nie jest jednym z takich.

„Doskonale o tym wiedział ten skurwysyn Mentor, kiedy mnie wybrał. Że *amatxo* nie wychowała żadnego *beldurtia*. Żadnego tchórza, cykora, który boi się wszystkiego jak diabeł święconej wody. Przejrzał mnie na wylot”.

Owszem, uważa, że to, w czym bierze udział, to potworność. Ale (i Jon jest boleśnie świadomy niespójności i cynizmu tej myśli w momencie, gdy wpada mu ona do głowy) skoro Heimdall naprawdę musi istnieć, to już lepiej, byśmy mieli go my.

„Aj, jakie to wszystko skomplikowane, cholera jasna...”

Jon jest przyzwyczajony do jazdy na sprzecznościach. Bycie policjantem i homoseksualistą to kompromis, choć nie powinno tak być. Osądza się go podwójnie. Wcześniej, w czasach konfliktu, potrójnie. Możesz zarobić kulkę i splunięcie w twarz. Krawędzie twojego życia są ostrzejsze niż u innych. I godzisz się z tym, bo nie masz innego wyjścia. Bo sam to wybrałeś i wiesz, że jeśli przegrasz, to przegrasz z honorem i z „kurwa mać” na ustach.

Ale nawet jeśli nie możesz zatrzymać rzeki rękami, nie oznacza to, że przestaniesz też szukać ryb. A przede wszystkim nie pozwolisz, by twoi koledzy utonęli.

Wtedy przychodzi Antonia. Dziesięć minut przed czasem. W przypadku kogoś, kto zawsze się spóźnia, trzeba to docenić.

Nie mówią sobie dzień dobry. Nie żeby zawsze to robili, ale dziś zwracają uwagę, że tego nie robią.

– Jesteś pewna, że chcesz iść na pogrzeb Woronina? Nie wolisz szukać Loli Moreno?

– Policja kontroluje już typowe miejsca. Dom matki, przyjaciół. Nie, zostaw to im. Wolę poznać człowieka, przed którym ucieka. O której zaczyna się ceremonia?

– O jedenastej. Jedźmy wcześniej, to popatrzymy, jak przyjeżdżają. Powiedział „jedźmy”, ale nie ruszają.

Na tylnym siedzeniu wciąż siedzi słoń, opierając nogi na ich fotelach.

Jon nie wie, jak do tego podejść.

Ona zaczyna. W najbardziej głupio uroczy sposób z możliwych.

– Jesteś zły?

Jon się uśmiecha. Można być złym na wiele sposobów. Możesz żywić złość. Możesz chować urazę. Możesz czuć niechęć. Albo możesz mieć pewność, że ktoś, kogo lubisz, od dawna bierze cię za frajera. Teraz musi sprawić, żeby Antonia Scott to zrozumiała. Dla niej łamigłówką jest to, co dla niego jest oczywiste.

– Wciąż to przetrawiam. To, co mi wczoraj opowiedziałaś, to gruba sprawa. Muszę to przemyśleć i podjąć decyzję. Ale chcę, żebyś coś mi obiecała. Dobrze się zastanów, bo od twojej odpowiedzi zależy, czy tu zostaniemy, czy wrócimy do Madrytu.

Antonia przytakuje powoli. Nie jest do końca przekonana. Jon też nie. Ale jest gotów dać jej tę szansę.

– Jestem już duży, skarbie – mówi. – Pozwalają mi nosić pistolet. To ja kryję ci ten chudy tyłek.

– Wiem.

– Robię to dlatego, że chcę, już nikt mnie nie zmusza.

– To też wiem.

- No to jeśli chcesz, żebym robił to nadal, już więcej mnie nie okłamiesz. Od teraz koniec z sekretami. Pomóż mi, a ja pomogę tobie.  
Zgoda?

I co ona może na to odpowiedzieć?



# Aslan

Aslan jest uprzejmym człowiekiem – to przede wszystkim.

Wystarczy tylko na niego spojrzeć. Siedzi na tarasie u Kristin, jak każdego poranka. Patrzy na morze, je tosty z chleba razowego, kiełbaski *bratwurst*, jajka sadzone. Dziś nie świeci słońce, więc ochroniarze zabrali parasol. Nieliczni turyści spacerujący promenadą widzą go, jak pochyla się nad talerzem, zajęty swoim posiłkiem. Jeśli podnosi wzrok i jego szare oczy napotykają czyjeś spojrzenie, uśmiecha się grzecznie i wykonuje nieznaczny gest głową.

To powolne, eleganckie skinienie. Arystokratyczne. Aslan jest opalony, mocno opalony, niczym zmotywowany emeryt. Brązowa skóra tworzy niesamowity kontrast z jego białymi włosami, które nosi zaczesane do tyłu. Starannie obcięte, sięgające mu prawie do ramion. W całym swoim życiu nie stracił ani jednego włosa. Ta grzywa i jego imię – Aslan, lew – zapewniły mu tytuł *wor w zakonie*, złodziej w prawie.

Aslan Orłow, Bestia.

Talerz przynoszą mu na tacy. Je, krojąc precyzyjnie swoimi długimi, gładkimi palcami. Po każdym kęsie czyści talerz. Ani jednego okruszka na krawędziach, nóż i widelec wracają na obrus w pozycji na baczność. Rogiem serwetki wyciera kąciki ust, po czym znowu zakrywa nią kolana.

Zawsze dziękuje za każdą troskę, za każdą obsługę, zawsze zostawia napiwek. Uprzejmy, niemal czuły.

– Życzy pan sobie coś jeszcze, panie Orłow?

– Nie, dziękuję, Karino.

Kelnerka zabiera tacę i w tym momencie niepostrzeżenie trąca prawie pełną szklankę wody. Szklanka się przewraca, zawartość wylewa się na obrus i ochlapuje spódnie Asłana.

Przejęta kelnerka zabiera rękę, jakby się bała, że ją straci. Niemal jakby wiedziała, kim jest mężczyzna, któremu każdego poranka serwuje posiłek. Bo wie.

Aslan posyła jej żółtawy uśmiech.

– Nie przejmuj się. To tylko woda, widzisz? Wyschnie.

Dbą o dobre maniery. Zawsze to robił, od czasów młodości. W latach osiemdziesiątych prowadził burdel w dzisiejszym Sankt Petersburgu. Kiedy przybywała nowa niewolnica, porwana z gospodarstw w okolicach Pskowa czy Czudowa, zawsze traktował ją życzliwie. Zanim zgwałcił ją po raz pierwszy (warunek konieczny, żeby się nie buntowała), zawsze przepłukiwał sobie usta miętą. Pod jej nieobecność – płukał gardło wódką.

– Trzeba to robić, ale nie ma powodu, by cierpieć więcej niż to konieczne.

Jeden z podwładnych pomylił jego życzliwość ze słabością i podczas kolacji rzucił nieodpowiedni komentarz.

Aslan uśmiechnął się łagodnie, po czym wbił mu widelec w gardło. Raz, dwa, trzy razy. Przy ostatnim obrócił widelec, rozrywając skórę i robiąc dziurę, przez którą zuchwalec mógł jeszcze chwilę oddychać, rżąc zakrwawiony, zanim padł. Po wszystkim Aslan tylko wytarł widelec serwetką i jadł dalej.

Już nikt więcej nie zinterpretował niewłaściwie życzliwości Asłana Orłowa.

Inne czasy, inny kraj. Nie lepsze. Inne.

Poważniejsze, biedniejsze, dające znacznie więcej wolności.

Dawniej Aslan był silny jak dąb, ale nic nie trwa wiecznie. Kiedy podnosi swoje tyczkowate ciało, najpierw musi poprosić o pozwolenie kolana. Garnitur jest nowy. Czarny i skrojony na miarę, odpowiedni do miejsca i uroczystości, na jaką się wybierają. Ciśnie go trochę na brzuchu. Wolałyby jakieś sportowe ciuchy. Jedne z tych dresów, które zwykle kupuje w Carrefourze za jedyne piętnaście euro. Wygodne ubranie, łaskawe dla jego siedemdziesięcioletnich stawów. Ale trzeba zachować dobre maniery.

To ważne.

Nie wybiera lexusa ani ferrari. Nie są odpowiednie. Lepiej pojechać maserati quattroporte. Szare, eleganckie. Dwieście tysięcy euro na kółkach, ale z klasą. Oczywiście będzie prowadził Kirył. I zabierze jeszcze sześciu innych bojowników w samochodach jadących z przodu i z tyłu. Sześciu żołnierzy. Poprosił ich, żeby ubrali się dyskretnie. Żeby było widać, że są, ale nie przeszkadzają.

Wraz z każdym upływającym rokiem Aslan coraz bardziej martwi się swoim wizerunkiem. Nie lubi, gdy się go sprowadza do stereotypu. Kiedy wysiada z samochodu przed kościołem prawosławnym, po drugiej stronie ulicy czuje na sobie spojrzenia ludzi, uczestników pogrzebu, policjantów. Wielu z nich zna. Niektórzy są nowi. Wysoki mężczyzna i niska kobieta siedzą w audi. Ci są nowi. Może z CNI. Wyobraża sobie, że szperają w swoich papierach, w aktach policyjnych, sprawdzając zdjęcia.

Kobieta go wskazuje. Znajduje się w odległości zaledwie ośmiu metrów, ale nie widzi, czy jej usta się poruszają. Jego wzrok nie jest już taki jak dawniej. Wyobraża sobie jednak, że tak się właśnie dzieje. Pewnie czyta temu drugiemu jego biografię. Prawdopodobnie coś takiego:

*Aslan Orłow, urodzony w Leningradzie w 1951 roku. Studiował w Akademii Morskiej im. Lenina. W latach 1967–1980 miał się licznych zajęć, jak podchorąży w Szkole Morskiej, marynarz w rezerwie. W 1985 roku na sześć lat trafia do więzienia. To daje mu status wora, jako przedstawiciela rosyjskiej mafii. W latach 1991–1998 nieustannie awansuje w Tambowskiej, eliminując wielu przeciwników w latach otowiu, kiedy Sankt Petersburg staje się miastem bezprawia. Przypisuje mu się dwadzieścia trzy morderstwa, żadne nie zostało udowodnione.*

*W 2000 roku zostaje wysłany do Hiszpanii z grecką wizą, by tu kierował oddziałem prania pieniędzy Tambowskiej.*

*Nic na niego nie mamy.*

Z tych wszystkich zdań podoba mu się jedynie to ostatnie. Reszta to wakuum. Próżnia. Zwykły zbiór dat i miejsc, czasowników i rzeczowników. One nic nie znaczą, nie mogą niczego uchwycić. Ani człowieka, ani istoty tego, co się stało.

Wkurza go to.

Jak garść liter może oddać to, czym było dorastanie w Leningradzie pośród głodu i szczurów? Jak kilka słów może oddać brutalność Związku Radzieckiego i komunizmu? Sołżenicyn potrzebował trzech tysięcy stron, a i to nie wystarczyło. Jak ktoś ciepło odziany może zrozumieć kogoś, komu jest zimno? Co musi zrobić, żeby przeżyć?

Ludzie na niego pokazują, celują palcem. Chcą go osądzić, kiedy tak naprawdę nawet go nie znają, a tym bardziej go nie rozumieją.

Aslan Orłow czuje pogardę i złość wobec swoich prześladowców, którzy ścigają go od tyłu lat. Twarze się zmieniają, niepowodzenia pozostają. Ale wita się, podnosząc dyskretnie rękę w stronę samochodu niskiej kobiety i tęgiego mężczyzny. Trzeba zachować dobre maniery.

To ważne.

Na ulicy jest już zatrzęsienie luksusowych samochodów, tanich garniturów i złego gustu. Mężczyźni w średnim wieku z wydatnymi brzuchami. Młode kobiety, milczące, z mocnym makijażem, podążają za nimi na drugim planie, niepewnym krokiem na płytkach, tych marbellskich płytkach o żłobkowanej powierzchni, które są wrogiem wysokich obcasów.

Przybyli wszyscy. Zjazd mafiosów. Zatłoczony chodnik, gdzie pałą, opowiadają żarty i konspirują cichym głosem, przypomina mapę świata.

Aslan przechodzi między nimi, witając się, w kolejności ważności albo wielkości prowadzonego biznesu.

Najpierw z worami z innych bratw, z innych braci. Rywale. Dumni.

Później z Kolumbijczykami. Wynajmują płatnych zabójców, organizują porwania, importują kokainę. Klienci. Łagodni.

Z Algierczykami, którym pożyczka pieniędzy na import haszyszu. Podwładni. Kłamcy.

Ze Szwedami, którzy płacą trzykrotność za import kilograma koki do swojego kraju. Zawsze zebrzą o upust. Zbyteczni. Skapi.

Z Kosowianami i Rumunami. Złodzieje, fałszerze, importerzy broni. Mięso armatnie. Niestabilni.

Kiedy się upewnił, że nie został już nikt ważny, z kim powinien się przywitać, przystaje przed drzwiami kościoła, poprawia marynarkę i stawia stopę na schodach. To niepisany i nieuzgadniany znak, który wszyscy rozumieją i naśladują. Asłan zamienia się w wierzchołek fali przestępców, która wchodzi do kościoła.

W środku znajdują się pacholki. Plebs. Są nieliczni przyjaciele Jurija, którzy ośmielili się przyjść. Są najemnicy klanu Orłowa, którzy nie ośmielili się zostać w domach. Są posłańcy, pracownicy ich restauracji, kierownicy ich ciężarówek, ci, którzy tańczą w ich dyskotekach, ci, którzy sprzątają ich rezydencje, i ci, którzy naprawiają ich samochody.

Ci, którzy zjadają okruchy spadające z ust Bestii.

Polecenia były jasne, przekazane na grupach komunikatora Telegram, po rosyjsku i hiszpańsku. Obecność obowiązkowa.

Kościół jest pełny.

Asłan kazał go wybudować i zapłacił za to z własnej kieszeni, z ojczyzny sprowadził sobie popa. Ikony, niektóre pochodzące z XVI i XVII wieku, kupili albo ukradli z parafii i muzeów w Ukrainie i Białorusi. W jednej z bocznych naw znajduje się skała Poczajowska, niezwykle cenna relikwia. Jak głosi legenda, wgłębienie w niej zostawiła stopa Maryi Dziewicy w 1240 roku, kiedy to zstąpiła z niebios, żeby pomóc wiernym w najeździe tatarskim. Kilka wieków całowania przez wierzących sprawiło, że wgłębienie stało się większe, a pilnujący relikwii zakonnicy – bogatsi.

„Nic dziwnego, że nie chcieli się z nią rozstać. Żeby ją zdobyć, potrzeba było piętnastu ludzi z karabinami maszynowymi”, wspomina Asłan, nachylając się, by pocałować ją nabożnie.

Kieruje się na miejsce w pierwszym rzędzie.

Dziwny to pogrzeb. Tylko zdjęcie zmarłego umieszczone na pulpicie.

Bez trumny, bez kwiatów, bez żony zmarłego.

Nie urządzono go dla nich.

Ceremonię urządzono dla Asłana. Żeby przekazał odpowiednią wiadomość.

Kiedy pop prosi ochotnika, by powiedział kilka słów na temat nieboszczyka, nikt się nie wrywa. Powietrze w kościele jest ciężkie, gęste. I nie ze względu na mnogość świec, niedostatek światła, niski dach, kadzidło, śpiewy, które wciąż owijają się wokół kamiennych kolumn, nie chcąc ucichnąć.

Kto wstanie?

Co powiedzą?

„Jurij Woronin pomógł mi przewieźć sześćset kilogramów kokainy w przerobionych ciężarówkach”.

„Jurij Woronin stworzył strukturę korporacyjną, dzięki której piorę swoje dochody z prostytucji”.

„Jurij Woronin pomógł mi skłamać, przekupić, oszukać”.

„Jurij Woronin zlecił mi morderstwo”.

Nikt nie będzie przemawiał na rzecz Jurija Woronina.

Nawet Asłan, który wstaje i kieruje się do pulpitu. Pulpitu w kształcie orła z brązu na podstawie z czerwonego marmuru z Bałtyku. Leży tam Biblia Peszitta. Przetłumaczona bezpośrednio z syryjskiego. Czystsza, bliższa Słowu Bożemu.

Na otwartej księdze Asłan Orłów kładzie swoje długie, gładkie palce. Zaczyna mówić po rosyjsku.

- Jurij był moim przyjacielem. Bardzo drogim przyjacielem. Był dla mnie jak syn. Kiedy Jurij wyjechał z ojczyzny, nie miał niczego. Nie przybył tu, uciekając przed wrogami, którzy chcieli go zabić za dług w wysokości kilku rubli. Przybył tu, uciekając przed biedą. Pracował ciężko, dał mi wszystko, co miał.

Robi pauzę, by odetchnąć. Spogląda na najbliższe twarze (jego wzrok nie jest już taki jak kiedyś) i nie wszystko, co widzi, mu się podoba. Kiedy przedtem witał się z każdym z gości specjalnych, zauważył szacunek i

strach, ale nie da się (i nie jest to wskazane) czuć nic innego, kiedy Aslan Orłow ściska ci rękę.

Teraz chronione przez tłum spojrzenia ujawniają to, co skrywają serca. Aslan widzi wątpliwości. Kryzys. Sposobność.

„Orłow jest stary”, myślą.

„Bestia straciła zęby”, myślą.

„Orłow miał za zastępcę zdrajcę, kapusia, szczura”.

Aslan odchrząkuje.

Lekcje trzeba dawać wyraźnym głosem.

– Jurij zdobył moje zaufanie, zaufanie nas wszystkich. Był dobry w tym, co robił. Odniósł sukces. Kiedyś zrobił szczególnie dobry interes. Kiedy pojechałem do jego domu, żeby osobiście mu pogratulować, zobaczyłem, że kupił sobie nowe auto. Wspaniałe maserati quattroporte. Szare, piękne.

Rozchodzi się delikatny szmer. Wszyscy widzieli, jak wor przyjechał tym samochodem, ci, którzy tego nie widzieli, właśnie dowiadują się dzięki szeptom.

– Powiedziałem mu: Jurij, to bardzo ładne auto. A on zaczął mi opowiadać o szybkości, o koniach. O skórzanej tapicerce. Dałem mu mówić. Kiedy skończył, powiedziałem: Twój samochód jest droższy od mojego, Jurij.

Aslan przerywa, pozwalając, by niebezpieczeństwo zawisło w powietrzu.

– Wiecie, co wtedy zrobił Jurij?

Szepty umilkły. Jedyne dźwięk, jaki słyhać w kościele, to ocieranie ubrań o krzeselka, kiedy ktoś poruszy się niespokojnie.

– Wstał. Trochę się zachwiał, był nieco wstawiony, niedużo. Wziął kluczyki od samochodu i mi je przekazał. Trzymaj, wor. Teraz należą do ciebie. To twój samochód.

A teraz lekcja. Po hiszpańsku, żeby wszyscy zrozumieli.

– Jurij był dobrym chłopakiem. Wiedział, co to honor. Do momentu, aż o tym zapomniał. Dziś jesteśmy tu po to, żeby nikt o tym nie zapomniał.

Aslan odchodzi od pulpitu.

Przechodząc, muska zdjęcie Jurija.

Kieruje się do środkowej nawy, którą na pół dzieli pogrzebowa cisza, oddechy, które wszyscy powstrzymują, podczas gdy kroki Aslana niosą się bezlitosnym echem. Nikt się nie rusza. Nie wiedzą, czy iść za nim, czy zostać.

Aslan przechodzi obok policjantów, którzy stoją przy drzwiach. Komisarka Romero, jej podwładni. Również ci nowi, niska kobieta i krzepki mężczyzna.

Wiedzą, co się właśnie stało, ale nie mogą nic zrobić.

Odsuwają się na bok, żeby mógł przejść.

Pop znowu zaczyna śpiewać, kiedy Aslan wychodzi na ulicę, sam. Śpiewy zostają stłumione, kiedy drzwi kościoła zamykają się za jego plecami.

Kirył czeka na niego przy samochodzie.

Stary wor nie siada z tyłu, tylko na siedzeniu obok kierowcy. Spektakl dobiegł końca.

– Gdzie jest? – pyta.

– Nie możemy jej znaleźć – odpowiada Kirył.

– Jeśli się nie odnajdzie, mamy przejebane. Przeklęty Jurij. Przeklęta szczywana suka.

– Wszyscy moi ludzie jej szukają.

Aslan myśli. Myśli o policji, o całym zainteresowaniu, jakie wzbudziła śmierć Jurija. O spojrzeniach ludzi, pełnych wątpliwości. Niedopuszczalnych wątpliwości.

Kara dla tych, którzy zdradzają bratwę, jest ostateczna. Śmierć dla niego i dla jego rodziny.

Jak Orłow może utrzymać swoje imperium, skoro nie potrafi dopilnować, żeby przestrzegano prawa braterstwa?

Jak Orłow może utrzymać swoje imperium, skoro nie potrafi złapać nędznej gospodyni domowej?

„Być może nadszedł czas, by go zastąpić”, czyta w spojrzeniach.



– Odwołaj swoich ludzi, Kirył. Potrzebujemy kogoś innego. Kogoś, kto nie zawiedzie.

– Kogo?

Asłan wypowiada dwa słowa.

– *Czernaja Wołczyca.*

Kirył odwraca się w jego stronę.

Pracują razem od ponad trzydziestu lat. Asłan widział, jak Kirył podrzywał gardła, wybebeszał, strzelał i ćwiartował pół setki ludzi. Wyrządzał krzywdę, nie przestając się przy tym uśmiechać, a jego niebieskie oczy pozostawały niezmienione. Widział, jak z gołymi rękami stawiał czoło uzbrojonym ludziom, śmiejąc się przy tym na całe gardło.

Nigdy przedtem nie widział tego spojrzenia.

W spojrzeniu swojego zastępcy, urodzonego psychopaty, jest strach. I Asłan właśnie tego potrzebuje.

– Jesteś pewien, wor?

„Będę musiał poprosić o pozwolenie Pakhana. I będzie bardzo drogo. I niebezpiecznie”.

„Niech się mnie boją. Niech wiedzą, co się dzieje, kiedy rzuca mi się wyzwanie”.

– Jestem pewien. Wezwij Czarną Wilczycę.

**CZĘŚĆ DRUGA**  
**WILCZYCA**

*Mów na wilka – przemów też i za wilkiem.*

**Aleksander Sołżenicyn**  
**(przeł. Jerzy Pomianowski)**

*Nie wie, kim jest ani gdzie się znajduje.*

*Istnieje tylko ból.*

*Nie ma świadomości, nie ma wspomnień ze snów. Żadnego ciepła pościeli, delikatnej pieśzchoty poduszki. Spokojnego oddechu partnera, kochanka. Nie ma kaca po poprzedniej nocy ani irytującego brzęczenia alarmu w telefonie.*

*Istnieje tylko ból. Największy, nie do zniesienia. Prąd elektryczny, który nie zostawia miejsca dla „ja”. Zdobywa każdą kość, każdy mięsień, każdy centymetr skóry. Aż po ostatnie zakończenie nerwowe w jej ciele. Dla niej nie zostaje nic. Jedyne niesprawiedliwość polegająca na tym, że nie wie, jakie popełniła grzechy, żeby sobie na to zasłużyć.*

*Ekstremalne cierpienie trwa kilka sekund. Potem zmniejsza się na tyle, że przypomina sobie, kim jest. Co zrobiła. Życia, które odebrała. Z jej wyschniętego na wiór gardła wydostaje się ochryple szczekanie, coś między śmiechem a lamentem. Jeśli ten ból, który odczuwa każdego ranka po przebudzeniu, jest karą, to czuje wdzięczność, że jest on tak mały w porównaniu z krzywdą, jaką wyrządziła innym.*

*To, co odczuwa ciało, powoli przypomina jej, gdzie się znajduje. Leży na twardej podłodze. Na parkiecie. Naga, nie licząc stringów. Na plecach. Pot splywa jej po piersiach, pełźnie po wzniesieniach jej odznaczających się mięśni brzucha i tworzy słone jezioro w pępku. Czuje strumień powietrza, które przeciska się pod drzwiami, wibrację kroków na podłodze. Kelnerka puka do sąsiedniego pokoju. Rozpoznaje język. Hiszpański.*

*„Madryt. Jestem w Madrycie”.*

*Nie ma czasu na wspomnienia. Teraz najważniejsze jest to, by dać radę się ruszyć. Jej ciało nie odpowiada, jest sparaliżowana.*

*Jak co rano.*

*Podniesienie prawej ręki zajmuje jej całą wieczność. Zaczyna od palców, najpierw jeden, potem drugi. Następnie zgina nadgarstek, łokieć. Kiedy udaje jej się sprawić, by ramię jej posłuchało, to już tryumf.*

Teraz może sięgnąć do ud. Pod cienką skórą mięśnie są napięte niczym stalowe linki. Mocno masuje sobie mięsień czworogłowy prawej nogi.

Kończyna nie reaguje. Próbuje nadal. Wysiętek jest wyczerpujący. Nudny. Jedyne, co widzi w tym ciemnym pokoju, to zegar w telewizorze. Wskazuje jedenaście po siódmej. Skupia się na tym, jak zmieniają się minuty. Mija dziewiętnaście, zanim uda jej się odblokować nogę.

Opiera rękę o łóżko – twarde, kompaktowe. Delikatne w dotyku. Nieużywane. Może zasnąć tylko na podłodze. Uda jej się dźwignąć i obrócić. Człgając się na łokciach i prawym kolanie, dociera do łazienki.

Prysznic jest obok wanny. Zatrzymuje się tylko w nowoczesnych pięciogwiazdkowych hotelach. Oddzielny prysznic jest niezbędny.

Opiera się na łokciu, żeby się podnieść. Po wielu próbach udaje jej się opuszkami palców uruchomić natrysk. Woda leci pod największym ciśnieniem, prawie w najwyższej temperaturze. Z trudem staje pod strumieniem, starając się, żeby uderzał w plecy, dokładnie w to miejsce, z którego ból promieniuje na całe ciało.

Mija trochę czasu. Po wyczerpującym wysiłku na chwilę udaje jej się nawet zasnąć. Porusza się i podnosi na tyle, żeby usiąść. Gorąca woda zostawiła jej czerwoną, obolałą skórę. Kiedy woda przyniosła jej już całą możliwą ulgę, na czworakach rusza do łóżka. Wspięcie się na nie jest kolejnym cierpieniem. Negocjacjami między jej ciałem, bólem a grawitacją. Wszystkie strony domagają się czegoś dla siebie.

Kiedy pada na materac, czuje olbrzymią ulgę. Ucisk ustępuje. Ale tortura się nie skończyła, to tylko przerwa.

Dochodzi dziewiąta, kiedy otwierają się drzwi pokoju. Mężczyzna jest punktualny – rzadka cecha u Hiszpana. Chociaż on jest pół-Słowianinem, synem Ukrainki. A więc nie całkiem go to dotyczy.

Ona patrzy na niego z łóżka. Leży na boku, ale upewnia się, czy to on. Obserwuje go, gdy zdejmuje płaszcz.

– Obróć się.

Mężczyzna odwraca się z podniesionymi rękami. Jest młody, jeszcze przed trzydziestką, ale włosy przerzedzają mu się na przodzie i na czubku. Nosi cieniutki wąsik.

– Już wiesz, co masz robić.

Mężczyzna zdejmuje płaszcz, marynarkę. Podnosi koszulę, odstawiając zwisający walek tłuszczu. Jeszcze niewielki, ale już nie do zatrzymania.

Kiedy się przekonała, że nie jest uzbrojony, pozwala mu podejść. Już go zna. Spotykają się po raz trzeci. Ale w sytuacji, gdy jest całkowicie bezbronna, wszelka przezorność jest niewystarczająca.

– Chodź.

Mężczyzna bierze swoją torbę i podchodzi do łóżka. Jego oczy przebiegają po ciele kobiety z pożądaniem, choć nie wykonuje żadnego gestu. Nic też nie mówi, choć w jego kroczu powstaje widoczne wybrzuszenie.

Ona wyjmuje prawą rękę spod poduszki. Mocno ściska pistolet. Zbyt mocno. Ale nie strzeli. Chce tylko przypomnieć mężczyźnie, po co tu przyszedł.

On zaczyna wyjmować z torby różne przedmioty i kładzie je na nocnym stoliku. Włącza lampkę. Odstawia zasłony. Do tego, co zamierza zrobić, potrzebuje światła.

– Kiedy się pogorszyło?

– Przedwczoraj – odpowiada kobieta. – Do tej pory było prawie dobrze. Przynajmniej w ciągu dnia.

To wszystko z powodu L4 i L5. Dwóch dysków w kręgosłupie, które nigdy nie zostały do końca wyleczone po feralnym skoku z drugiego piętra na jadącą ciężarówkę. Każdy inny człowiek potrzebowałby po czymś takim jednej lub kilku operacji i wieloletniej rehabilitacji.

Ona nie zamierza przez to przechodzić.

Jej czas jest niezwykle cenny, podobnie jak jej umiejętności. Wie, że ciało krzyczy, że chce przestać robić to, co robi, lecz ona nie jest otwarta na dialog.

To wymaga nadzwyczajnych środków.

– Kiedy ukłuli cię ostatni raz?

Ona się odwraca, pokazując mu plecy. Powstrzymuje krzyk.

– Amsterdam. Cztery miesiące temu.

Kłamstwo. To było w Belgradzie, trzy tygodnie temu. Ale nie zadziało tak jak zawsze. Tego też mu nie powie, ponieważ obawia się, że on nie zechce dać jej tego, czego potrzebuje.

Ale nie ma to też wielkiego znaczenia, bo ślad po igłach wciąż jest widoczny na białej skórze.

– To bardzo niebezpieczne – mówi mężczyzna. – Zbyt wcześnie. Możesz kompletnie zniszczyć sobie rdzeń kręgowy. A wtedy...

Ona wie, że to niebezpieczne. Wie, że może zostać sparaliżowana. Nie musi mówić jej tego świeżo upieczony lekarz, który załatwia interesy pod stołem.

– Zrób to.

– Ale...

– Pieniądze leżą na stole.

Mężczyzna się odwraca i spogląda na stół. Z otwartej koperty wystają cztery fioletowe banknoty.

– To twoje ciało – mówi mężczyzna.

Wacik nasączony alkoholem jest zimny w dotyku. Mężczyzna dokładnie przeciera jej odcinek lędźwiowy. Po odłożeniu wacika przygląda się ranom na plecach. Pamiątkowy album jej stylu życia.

– Ta jest nowa – mówi, przesuwając po niej palcem wskazującym. Czerwona linia pod łopatką.

Nóż. Ona wciąż czuje ostrze. Twarz tego, kto jej to zrobił, wciąż dręczy ją nocami. Nie zgubiła się w tłumie twarzy, które czyhają na nią w ciemności.

– Uprzedź, kiedy będziesz wchodził. Żebym niechcący do ciebie nie strzeliła.

Mężczyzna śmieje się nerwowo. Potem kładzie na niej palce, szukając dokładnego punktu. Uprzedza, zanim wprowadzi igłę. Ona zaciska zęby, odsuwa palec wskazujący od spustu. Czuje zatapiający się w niej metal.

*Mężczyzna wstrzymuje oddech. Musi wprowadzić igłę do worka oponowego, nie dotykając rdzenia kręgowego. Jeden milimetr bliżej i zastrzyk nie przyniesie efektu. Jeden milimetr dalej i ona nie będzie już mogła chodzić.*

*Operuje igłą bardzo powoli, aż znajduje odpowiednie miejsce. Zwiększa ból.*

*Ona nie pozwala sobie na płacz.*

*Kiedy zaczyna naciskać tłoczek strzykawki, koktajl z kortyzonu, środków przeciwbólowych i innych sterydów wchodzi do jej ciała, obiecując ulgę. Siłę. Odzyskany czas.*

*Nie żegna się z nim, kiedy bierze pieniądze i wychodzi. Po upływie kilku minut wstaje i podchodzi do okna. Promienie słoneczne oświetlają jej nagą skórę, podczas gdy ona obserwuje dachy naprzeciwko swojego apartamentu. Z budynku po drugiej stronie spogląda na nią feniks. Jego rozpostarte skrzydła odcinają się na tle niesamowicie błękitnego i zwodniczego nieba madryckiej zimy. Ona zazdrości niezłomnej siły statui z brązu.*

*Wtedy odzywa się telefon leżący na nocnym stoliku. Przyszedł mail.*

*Otwiera go. Zawiera zaszyfrowany załącznik. Program jest zainstalowany na urządzeniu, więc tylko ona może go odczytać.*

*Jej zielone oczy przebiegają po tekście napisanym cyrylicą. Instrukcje. Fotografie.*

*Uśmiecha się.*

*Wzywają Czarną Wilczycę.*



# 1

## Matka

Pójdźcie na pogrzeb na niewiele się zdało. Oprócz tego, że uzupełnili album z kartami mafiosów. Popołudnie stracili na jeżdżeniu z miejsca na miejsce. Antonia na siedzeniu pasażera, próbując kontrolować delikatne drżenie swojej ręki.

Nie odzywa się słowem.

Następnego poranka spotykają się w hotelowym lobby.

Antonia wyjmując swój iPad i pokazuje mu zdjęcie ciała Jurija. Ręka już prawie, prawie nie drży.

– Myślałam o tym przez całą noc.

– Cieszę się, że dobrze spałaś.

– Coś mi się nie zgadza. Po co go zabijać, a potem przeszukiwać dom?

Jon świadomie drapie się po głowie.

– Łatwiej byłoby go przekonać, żeby najpierw zaczął mówić.

– Orłów czegoś szuka. Ze sporym zaangażowaniem.

– Może to nie jest tylko egzekucja kapusia – mówi Jon.

Antonia przytakuje.

– Moglibyśmy zapytać komisarkę Romero.

– Nic ci nie powie o swoim informatorze. Dała nam jasno do zrozumienia, że jeśli o nią chodzi, to jesteśmy tu tylko po to, żeby się przekonać, czy Lola Moreno wsiądzie przypadkiem do naszego samochodu.

– No to będziemy musieli zobaczyć się z matką.

– Policja już z nią rozmawiała, skarbie.

– Nie przychodzi mi do głowy nic innego.

– Nie możesz skorzystać z faszystowskiej magii swojego iPada?

– Po co?

– Nie wiem, przekierować satelity, może znalazłyby Lolę Moreno. Te magiczne faszystowskie satelity.

Antonia poświęca wiele minut na wyjaśnienie Jonowi, na czym polega konkretne działanie Heimdalla, w jaki sposób pomaga w śledztwach Czerwonej Królowej, tego, co może, a czego nie może robić. Włamywanie się do baz danych, łamanie zabezpieczeń kont mailowych, stosowanie algorytmów rozpoznawania twarzy na nagraniach z kamer i jeszcze kilka innych sztuczek. Wszystkie w fazie beta. Niedoskonałe.

– Krótko mówiąc, nie ma funkcji faszystowskiej magii.

Jon słucha pilnie, z poważnym wyrazem twarzy. Dostojnie. Później naciska boczny przycisk w swoim telefonie i mówi do mikrofonu.

– Hej, Siri, istnieją magiczni faszyci?

– Znalazłam Fast and Furious 7. Mam odtworzyć? – proponuje Siri.

– Widzisz? Działa tak samo źle jak ten twój – kwituje Jon.

Antonia się uśmiecha. To jeden z tych dobrych uśmiechów. Z rodzaju tych, które sprawiają, że po obu stronach ust powstają dołeczki, tworząc idealny trójkąt z tym, który przecina podbródek. Ostatnio rzadko widział ten uśmiech.

Dziś wygląda znacznie lepiej. Nie ma już śladów przygnębiającego ciężaru, który owijał ją poprzedniego dnia niczym kokon.

Jon wie, że coś jest z nią nie tak. Ale ten poranek, tak jak wszystkie inne, gdy nastają, obiecuje inne, nowe godziny, wolne od obowiązków i smutku. Wszystkie piegowate sieroty wiedzą, że jutro zaświeci słońce. Później dzień przypomina im, że wciąż nie mają rodziców, ale hej, jutro zaświeci słońce.

Tak więc Jon zamiata swój niepokój pod dywan.

I jadą, żeby zobaczyć się z matką.

Wszystkie fasady przy ulicy Salvador Rueda są pomalowane na biało. Z wyjątkiem salonu fryzjerskiego Tere's. Salon fryzjerski Tere's ma całą fasadę pomalowaną na wulgarny fiołkowy kolor. W środku też – w razie gdyby komuś było mało.

Tere, fryzjerka, nie jest pomalowana na kolor fiołkowy. Nie licząc paznokci. I kosmyka włosów. „Kiedy jesteś po pięćdziesiątce, fiołkowy pasuje ci raczej średnio”, myśli Jon. Nie mówi tego, ponieważ nie wolno obrażać osób, które pomagają w śledztwie. Ale bierze wizytówkę salonu, żeby wysłać anonimowego maila, chwalać dobry gust.

– Kiedy ostatni raz widziała pani córkę? – pyta Antonia.

– To się robi nieznośne. Powiedziałam już policji. Sześć dni temu. Chcę tylko, byście zostawili mnie w spokoju. Ja nic nie wiem – odpowiada arogancko kobieta, poprawiając włosy. – Straszycie mi klientelę.

Antonia i Jon się odwracają, patrzą na pusty lokal i pustą lutową ulicę. Widać tylko chwast ciągnięty przez wiatr.

– To spokojny poranek – zauważa Antonia.

– Jak tylko wyjdziecie, od razu wszystko się ożywi. Napijcie się kawy? Mam Nespresso.

– Zrobiłaby mi pani *mitad*? – odzywa się Jon.

– Skoro tak pięknie pan prosi.

Tere jest ładną kobietą. Nie tylko biorąc pod uwagę jej wiek, jest ładna i kropka. Jej piękno prześwituje przez tandetne pasemka. Nie jest pięknnością jak jej córka, żeby była jasność. Ale widać, po kim dziewczyna odziedziczyła urodę.

„Jest jedną z tych ładnych. Z tych, które przekonują, by im zaufać”, myśli Jon, który uczestniczył w zbyt wielu przesłuchaniach, by dać się nabrać. „Odpracowała formalności, mówiąc, że mamy zostawić ją w spokoju, ale jest zachwycona uwagą, jaką się ją otacza”.

Fryzjerka podśpiewuje, podczas gdy ekspres brzęczy pod ciśnieniem dziesiętnastu barów.

– Wasi koledzy byli tu kilka razy. Poprosili też, bym ich powiadomiła, jeśli jakoś się ze mną skontaktuje.

Jeśli Lola tu przyjdzie, matka nie będzie nawet musiała o tym powiadamiać. Dwóch policjantów w cywilu siedzi w samochodzie zaparkowanym w odległości kilku metrów. W budynku naprzeciwko paru facetów o słowiańskim wyglądem wynajęło mieszkanie z widokiem na fasadę w wulgarnym fiołkowym kolorze. Siedzą na plastikowych krzesłach na balkonie w podkoszulkach i z tatuażami na rękach. Pałają i piją, nie odrywając wzroku od salonu fryzjerskiego.

„Gdyby Lola się tu pojawiła, pani dowiedziałaby się o tym jako piąta”, myśli Jon, wyglądając przez okno.

– Proszę opowiedzieć o relacjach z córką – odzywa się Antonia.

– Dobre. Relacje są dobre. No cóż, wiecie, jakie są dzieci. Jeśli macie dzieci, dobrze wiecie.

– Ja mam jedno. I nie wiem.

– No to jeszcze się pani dowie. Człowiek obdarza je największą miłością, a gdy tylko dorastają, wyprowadzają się i robią swoje.

– A więc nie jesteście zbyt blisko?

– Przecież dzwoni do mnie codziennie. Ale dziewczyna robi to, co jej się żywnie podoba. Tyle razy ją ostrzegałam, że ten chłopak nie jest dla niej.

– Nie akceptowała pani Jurija.

– Przecież to Rusek.

Antonia kręci głową.

– Nie rozumiem.

– To jasne jak słońce. Co dobrego mogło z tego wyniknąć?

– W Marbelli mieszka dwadzieścia tysięcy Rosjan. Przypuszczam, że nie zna pani ich wszystkich.

Tere macha ręką, odrzucając możliwości, które jej się nie podobają.

– Ilu tu jest miłych chłopaków. Hiszpanów, jak Pan Bóg przykazał. A moja córka jest śliczna. Mogłaby być z kimkolwiek by tylko chciała, podrywają ją na ulicy. A tej zachciało się wiązać z przyjezdnym... I teraz, proszę bardzo. Wdowa w ciąży. Teraz nawet kijem nikt jej nie dotknie.

– Żle jej się układało z mężem? Nie kochali się?

– Nie, skąd! Była zakochana jak głupia. Jurij to, Jurij tamto. Gadała o nim cały dzień. To strasznie męczące. To był facet, którego postanowiła zmienić. Taką mamy rozrywkę. Wszystkie chcemy kogoś zmienić. A później: proza życia.

– Chciałabym zapytać o tamten dzień, kiedy...

Jonowi dzwoni w głowie alarm. Podnosi rękę i przerywa Antonii.

– Przepraszam. Co ma pani na myśli, mówiąc, że to był facet, którego postanowiła zmienić?

– Ten chłopak był oferumą. Kiedy córka się za niego wzięła, zrobiła z niego mężczyznę.

– W jakim sensie?

– Jak to w jakim? Nie miał grosza przy duszy. A teraz, patrzcie, jak im się wiedzie, willa na osiedlu, jak bogacze. Zawsze powtarzam, że w małżeństwie mężczyzna jest głową, a kobieta szyją. Gdzie patrzy głowa? Tam, gdzie wskazuje szyja.

– A więc wiedziała o interesach swojego męża.

W tym momencie Tere się zatrzymuje. Gwałtownie. Tak jak człowiek, który hamuje po przejechaniu na czerwonym świetle i musi się cofnąć przed przejście dla pieszych.

– Ach, tego to ja już nie wiem.

– Czym się zajmował Jurij? Wie pani?

– Sprowadzał z Rosji różne rzeczy. Ta dziwna nutella jest pyszna. O, mam tu trochę – mówi, biorąc słoik stojący przy Nespresso. Podaje Antonii czystą łyżkę. – Śmiało, śmiało. Proszę spróbować, jeśli pani chce.

Jon jest świadkiem walki dwóch niewidzialnych sił. Przyciąganie grawitacyjne słoika kontra siła woli Antonii, która kręci głową ze wzrokiem utkwionym w brązową masę.

– A ja chętnie spróbuje, jeśli pani pozwoli – mówi inspektor.

Ogromna nienawiść. Niezdrowa zazdrość. Najbardziej gorzka uraza. To wszystko posyła Antonia swojemu partnerowi w jednym tylko spojrzeniu. Co sprawia, że *funduk* smakuje mu jeszcze lepiej.

– Matko Boska, jakie to pyszne! – wykrzykuje Jon, oblizując usta.

– Prawda? Sama mu powiedziałam, że powinien się tym zająć, że zbija fortunę. Ta jest znacznie lepsza niż nasza, która jest zupełnie bez smaku.

Antonia podnosi rękę, żeby także wziąć łyżkę, ale Tere ją uprzedza i wrzuca ją do dużego pojemnika razem z filiżanką, w której Jon pił kawę. Dźwięk metalu uderzającego o ceramikę to łamiące się serce Antonii.

– Nie martwi się pani o córkę?

– Och, jasne, że tak. Bardzo się martwię – odpowiada kobieta. – Ale wiem, że nic jej nie jest. Zawsze potrafiła o siebie zadbać.

## 2

# Wiadomość

– Widziałas facetów na tarasie naprzeciwko? – pyta Jon, kiedy wychodzą.

– Zwróciłam uwagę. Jeszcze przedawkują fiołki, jeśli nie przestaną patrzeć na fasadę.

– To Rosjanie. Z pewnością przyjechali tu uodpornieni.

Samochód zostawili na promenadzie nadmorskiej, bo Jon chciał rozprostować nogi. Muszą więc iść. Powietrze pachnie saletrą i wilgocią. Jest przyjemnie. Nawet Antonia staje się lekko podatna na sarkazm partnera.

– Zauważyłam, że cię zdenerwowali.

– Samo życie – mówi Jon.

– Bardziej mnie martwi jej nastrój.

– Owszem, nie wyglądała na przejętą.

– Kiedy nie wiesz, gdzie jest twoje dziecko, nie reagujesz w taki sposób.

Spojrzenie Antonii jest zagubione w jakimś bardzo ciemnym miejscu.

Jon nie ma dzieci. Nigdy nie stracił też niczego większego niż papużka nierozłączka, którą miał w dzieciństwie. Pewnego poranka zastał pustą klatkę – jakiś smutek. Pewnie wyruszyła, by wieść szalone życie, a ty się nie martw. *Amatxo* przyznała po latach, że zjadł ją kot, ale nic mu nie powiedziała, żeby nie spowodować u niego traumy. „A potem się okazało, że jestem pedziem, *ama*”, narzekał.

Antonia straciła swojego syna Jorgego kilka miesięcy temu, w czasie najbardziej stresujących godzin swojego życia. To, co wydarzyło się w tunelu przy Goya Bis, zmieniło ją. Jon nie ma co do tego wątpliwości. Jak ją zmieniło – to się dopiero okaże.

– Rozmawiałaś z synem?

Ona kręci głową.

– Następną wizyta jest za jedenaście dni. Powiedzieli mi, że dopóki jestem na okresie próbnym, codzienny kontakt jest ograniczony.

– Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

– Nie wiem. Ostatnia wizyta była... skomplikowana. Zachowywał się bardzo dziwnie. Chciał mnie tylko sprowokować. Czekał, aż popełnię jakiś błąd.

– Może domagał się tylko jakiejś reakcji z twojej strony.

– Może nie jestem stworzona do bycia matką.

– Skarbie, żadna kobieta nie jest stworzona do bycia matką. Wsadzają wam do środka, a potem pop, wychodzi dziecko, które wywraca wasze życie do góry nogami, a wy myślicie, że hormony się pojawiają, śpiewając jak Mocedades, żeby zrobić z was supermamuśki. Spoiler: nie.

– Rzecz w tym, że ja tego nie rozumiem. I strasznie się boję, że zrobię coś źle.

– Rzecz w tym, że nie musisz tego rozumieć. Nie musisz wszystkiego kontrolować, Antonia. Musisz go tylko kochać. To i tak byłoby więcej, niż dostaje wiele innych dzieci.

Z miejsca, w którym się znajdują, widzą już morze. Szarawe, złowieszcze. Niebezpieczeństwo z trudem powstrzymywane przez zmęczonych bogów, gotowych się poddać. Na horyzoncie widać nadciągającą burzę. Przyspieszają kroku, żeby zdążyć do samochodu, nim zaczną się wyładowania.

– Myślisz, że ma kontakt z córką? – pyta Antonia, wracając do tematu fryzjerki.

– W moich stronach, w czasach, kiedy niektórzy ukrywali się przed policją, rodziny też się martwiły – mówi Jon z urywanym oddechem z powodu zwiększonego tempa. – A oni nie dzwonili, nie wysyłali listów ani maili, kiedy była już taka możliwość. Robili to, co się robi w małych miejscowościach. Przekazywali przez kogoś wiadomość. Powiedz *aitas*<sup>10</sup>, że nic mi nie jest, *muxutxus*<sup>11</sup>, *agur*<sup>12</sup>. I ten ktoś dzwonił do kogoś jeszcze



innego. Do sprzedawcy z warzywniaka, do córki sąsiadki. Do kogoś, kogo spotykasz na co dzień i kto może szepnąć ci jedno zdanie przy powitaniu.

– To by wyjaśniało zachowanie matki – mówi Antonia, zastanowiwszy się przez chwilę. – Tak więc Lola Moreno wciąż się ukrywa. Bez torebki, bez karty kredytowej.

– Bez żadnych krewnych, nie licząc matki, która jej nie pomaga, o ile nam wiadomo.

– Jest w ciąży i choruje na cukrzycę. Musi codziennie wstrzykiwać sobie insulinę.

– A jeśli tego nie zrobi?

– Konwulsje, utrata przytomności, śmierć. Oczywiście w takiej kolejności – wyjaśnia Antonia.

– Więc jeśli nie zaczniemy obserwować aptek...

– Już na to wpadłam. W Marbelli jest trzydzieści aptek. To niewykonalne.

– Przy założeniu, że sama to kupuje.

– Może należałoby obserwować lombardy. Skądś musi wziąć pieniądze.

– Może. Ale jesteśmy w takiej samej sytuacji. Chociaż... Należałoby raczej przyjrzeć się forsie matki.

– Dlaczego?

– Skarbie, jeszcze w życiu nie widziałem tak czystej podłogi w salonie fryzjerskim.

Błyskawica rozświetla twarz Antonii, przednią szybę samochodu i pustą wystawę sklepu z pamiątkami, naprzeciwko którego zaparkowali. Następujący po niej grzmot pojawia się razem z kubłem wody, grubymi kroplami, które rozbijają się o maskę audi. Jon otwiera drzwi od strony kierowcy, ale Antonia stoi nieruchomo przy swoich.

Małpy domagają się uwagi.

Jon wsiada, zdejmuje marynarkę i rzuca ją na tylne siedzenie. Zapina pas, włącza wycieraczki. Obserwuje, jak szczotki gonią się po szybie ze swoim szu, szu. Wcisną przycisk na podłokietniku. Szyba od strony

pasażera opuszcza się powoli, odsłaniając nieruchomą Antonię w deszczu.

– Wsiadasz? Czy chcesz dostać zapalenia płuc?

Zdaje się, że otrząsa się z letargu i uzmysławia sobie, że moknie.

– Jesteś geniuszem – mówi, wsiadając do samochodu.

– To wiedziałem. Ale powiedz mi dlaczego.

– Tabliczka na drzwiach do salonu fryzjerskiego. Tabliczka z godzinami otwarcia.

Antonia zbiera sobie włosy i ściska je. Strumień wody leci na tapicerkę i dywanik.

– Twoja cudowna pamięć fotograficzna. Co tam było napisane?

– Poniedziałek, wtorek i czwartek od jedenastej do trzynastej.

– Pracoholiczka.

– Na całym świecie nie znajdziesz salonu fryzjerskiego, który nie otwierałby się w piątek, Jon. To miejsce jest przykrywką do prania brudnych pieniędzy.

„To ma sens”, myśli Jon. „Woronin urządza lokal. Kobieta spędza w nim dwie godziny dziennie, trzy dni w tygodniu. Nieważne, że nikt nie przychodzi, ona zgłasza faktury na tysiące euro, bo u fryzjera nikt nie domaga się paragonu czy rachunku. Zięc wypłaca jej pensyjkę, a czyste »zyski« są przekazywane do firmy należącej do klanu Orłowa”.

– Musimy sprawdzić, kto jest właścicielem salonu.

– Zapytajmy Siri – mówi Antonia, wyjmując iPad i wchodząc na Heimdalla.

Jon patrzy na nią kątem oka.

„Nieźle, Scott. Pomału, ale się uczy, uparciucha”, myśli Jon, śmiejąc się w duchu.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która dorastała w smutnym domu pozbawionym miłości, gdzie jedzenie miało smak popiołu, a przyszłość malowała się w czarnych barwach”, powtarza sobie Lola i nawet w to uwierzyła. To nie jest jedno z tych miękkich kłamstw, które człowiek uparcie miętosi, żeby sprawdzić, czy wytrzyma. Nie, to kłamstwo twarde jak kamień, pełne viagry i posmarowane koką. Powtarzała je sobie tyle razy, z tyłoma warstwami zawitych detali, że zdołała zamazać rzeczywistość. Czy w jej domu musieli nocami cierpieć głód? Czy jej matka miała być wyeksmitowana, kiedy Jurij otworzył dla niej salon fryzjerski? Czy drwał uratował Czerwonego Kapturka? Czy Goku znalazł smocze kule? Wszystkie pytania są jednym i tym samym.

Jeżeli Lola nauczyła się czegoś w tym naszym nowoczesnym świecie, to tego, że prawda jest obojętna. Liczy się tylko ta wersja rzeczywistości, która pasuje do twoich pragnień i aspiracji.

Chyba że jesteś bez grosza, śpisz na kanapie koleżanki, której nie widziałeś, odkąd siedem lat temu uznałaś, że jesteś dla niej zbyt dobra.

Jest siódma rano, kiedy Yaiza wraca do mieszkania. Jest w złym humorze, wyczerpana i zmęczona. Rzuca na podłogę torbę sportową z ubraniami, w których tańczy w dyskotekach. Na twarzy ma jeszcze resztki brokatu.

– Zwolnili mnie – rzuca od wejścia.

– Niemożliwe. Jesteś najlepsza – mówi Lola, kiedy Yaiza opada na miejsce, w którym jeszcze kilka minut temu leżała jej głowa.

– Mam trzydzieści trzy lata. Jestem stara. I gruba.

Yaiza nabrała ciała. Normalne, kiedy śpisz w dzień, jesz żarcie z puszkki i pijesz, żeby zapomnieć o dniu, w którym przyszło ci do głowy, żeby

rzucić szkołę, bo tylko idiotka by się uczyła, kiedy można zarabiać kasę, kręcąc tyłkiem w rytmie Dragostea din tei.

– Kto cię wyrzucił? Samir?

Kierownik Copacabany był idiotą już wtedy, kiedy obie tam tańczyły.

– Ten skurwysyn chce tylko świeżego mięsa. Młodych dziewczyn, które może zaliczać w garderobach – wyjaśnia Yaiza. Ma przekrwione oczy i rozszerzone źrenice. Każdej nocy potrzebuje brać coraz więcej, żeby wytrzymać, tańcząc do jednej piosenki za drugą, całymi godzinami, mając zaledwie dwie piętnastominutowe przerwy.

– Co zrobisz?

– Wrócę do rodziców, do Estepony.

– Ale przecież się do nich nie odzywasz.

– Nie mogę tu zostać. Zalegam już za dwa miesiące czynszu. Zapłaciłam trzymiesięczną kaucję, więc właściciel musi oddać mi kasę za jeden miesiąc, jeśli jutro zwrócę mu klucze.

Lola czuje, że pali ją w piersi.

– Cholera, stara. Nie mogłaś wytrzymać jeszcze trochę?

Yaiza patrzy na nią zdumiona.

– Och, sorry, jeśli mój dramat jest ci teraz nie na rękę.

– Zostawiasz mnie na lodzie. Za ile? Za pięćset pieprzonych euro kaucji?

Lola jest bardzo niesprawiedliwa i ma tego świadomość. Po tym, jak Lola rzuciła pracę w klubie go-go, ich relacje sprowadzały się do kilku lajków na Facebooku. Miała szczęście, że Yaiza ją przygarnęła, kiedy stanęła przed jej drzwiami dwie noce temu, przemarznięta i bosa. Z zakrwawionymi stopami. Czas, jaki spędziła, siedząc przy drzwiach od ulicy, dłużył jej się w nieskończoność. Nigdy tak bardzo się nie cieszyła, że jej koleżance źle się powiodło w życiu. Tak źle, że wciąż tkwi w tym mieszkaniu w dzielnicy Albarizas. Jedna sypialnia, aneks kuchenny, dwuosobowa kanapa ustawiona tak blisko telewizora, że kanały można zmieniać rżęsami.

– Może dla ciebie pięćset euro to nic, ale to wszystko, co mam.

- A ja nie mam dokąd pójść!

- No tak, ja też nie. Nie mam pracy, nie umiem nic robić, a moi rodzice są bezrobotni. Będę musiała sprzątać domy albo wystawiać tyłek przy rondzie Guadalobón. Więc mnie nie wkurzaj.

- Jestem w poważnych tarapatkach i nie wiem, jak się z tego wyplątać.

- Słuchaj, od dawna prowadzisz życie księżniczki. Z tymi foteczkami na Insta, a to nowy samochód, a to spa. A to jesteśmy w ciąży. Pomogłam ci już wystarczająco. Posprzątaj swój syf i daj mi spokój.

„Nie da się naprawić tego, co zepsułam”, myśli Lola.

- Przepraszam - mówi. Ale jest już za późno.

Yaiza wstaje i odchodzi w kierunku sypialni.

- Masz czas do rana.

- Posłuchaj, ja...

Yaiza posyła jej „Nie lubię tego” w postaci trzaśnięcia drzwiami, aż zadrgało lustro wiszące nad kanapą.

Lola się ubiera. Ciuchy - pożyczone od Yaizy. Bluza z kapturem, spodnie bojówki z mnóstwem kieszeni. Badziewne trampki z Decathlonu, które są trochę za ścisłe. Jeszcze tydzień temu popatrzyłyby na te ubrania z przerażeniem. Wciąż to robi. Ale je wkłada. I są wystarczająco luźne, żeby zmieścił się brzuch, który rośnie dzień po dniu.

Została jej jedna dawka insuliny. Waha się, czy ją wstrzyknąć, czy zaczekać. Ostatecznie postanawia to zrobić, bo czuje zawroty głowy i odwodnienie. Nie ma przy sobie miernika hemoglobiny, ale nie potrzebuje go, by wiedzieć, że jej poziom glukozy jest zbyt wysoki.

Opuszcza nieco spodnie i kłuje się w tyłek. Boli bardziej niż w rękę, ale czytała kiedyś w internecie, że efekt trwa dłużej.

„Oby”.

Nie może kupić więcej. Bez recepty jest bardzo droga.

Mogła zaopatrzyć się w kilka dawek, bo Yaiza zostawiła jej czterdzieści euro, ale teraz ta opcja już nie istnieje. Nie może też ukraść, bo trzymają

je zawsze w lodówce na zapleczu.

Nie wiedziałyby, od czego zacząć. Lola od piętnastu lat nie zwędziła niczego w sklepie. Dawno minęły czasy, kiedy chodziła z przyjaciółkami do El Corte Inglés i wsadzała do kieszeni błyszczki do ust. Już wtedy wiedziała, że najważniejsze to być w tym dobrą. A ona była świetna. Była sprytna, ale liczyło się coś innego. Musiała tylko wykorzystać swoją szansę.

„Była sobie raz dziewczynka, która czekała na swojego księcia z bajki...”

Lola potrząsa głową. To nie czas na marzenia.

Trzeba zastanowić się, co zrobić.

Nie ma pieniędzy, nie ma czasu.

Opcje? Nieliczne.

Jedna.

Ale bardzo niebezpieczna.

### 3

## Świczka

- A teraz wersja dla opornych, skarbie.

Antonia wzdycha i zaczyna po raz czwarty. Stara się jak najbardziej upraszczać. Usiedli, żeby zjeść coś w La Bodega del Mar, teraz, gdy burza już przeszła. Jon zamówił miecznika z pisto, co smakuje mu wybornie. Antonia - sałatkę z kurczaka, której prawie nie tknęła, bo za bardzo pochłania ją bałagan Jurija.

- Woronin tworzy firmę na Kajmanach zwaną Balalaica Ltd. Nie musi już latać na Karaiby, wszystko załatwia przez internet. Założenie jej kosztuje go niecałe dwieście euro.

- Balalaica. Łapię.

- Balalaica jest właścicielką firmy w Luksemburgu, która z kolei jest właścicielką irlandzkiej firmy, która z kolei jest właścicielką lokalu w Marbelli.

- Salonu fryzjerskiego Tere's.

- Wszystkie te firmy zaczynają przysyłać sobie faktury i robić przelewy bankowe za nieistniejące usługi. Na końcu w tym łańcuchu jest salon fryzjerski. W ostatnim zeznaniu podatkowym salon Tere's zadeklarował przychód w wysokości dwóch milionów trzystu dziewięćdziesięciu czterech koma siedem euro.

Jon wydaje z siebie gwizd, wysoki i melodyjny.

- To sporo trwałych ondulacji.

- Skarbówka bierze swoje dwadzieścia procent i nie zadaje pytań. Z pewnością matka Loli każdego ranka poświęca chwilę, żeby zanieść do banku rzekome zyski z salonu. W torbach na śmieci.

- Na pewno we fiołkowym kolorze.

– Teraz zrozumiałeś?

Jon przytakuje.

– Zrozumiałem za drugim razem.

– To dlaczego kazałeś mi powtarzać cztery razy? – obrusza się Antonia z jękiem frustracji.

– Musisz poprawić swoje umiejętności komunikacyjne.

Ona odchyła się na oparcie krzesła, siedzi tak jak małe dzieci, kiedy krzyżują ręce na piersi i grożą, że nie będą oddychać. Może wskazać jedenaście powodów, dla których Jon się myli, ale nie jest w stanie przedstawić żadnego.

Jon spokojnie kończy swoje pisto i daje znak kelnerowi, z którym już wcześniej załatwił coś na stronie. Mężczyzna przynosi brownie z zapaloną świeczką. Cała restauracja – dwoje niemieckich emerytów, kobieta z pieskiem, kelner i Jon – niszczy, wlecze przez błoto, gwałci i morduje dwie pierwsze zwrotki Sto lat.

– Kto ci powiedział? – pyta Antonia, wciąż z rękami skrzyżowanymi na klatce piersiowej.

– Aguado, już jakiś czas temu. Zaznaczyłem sobie w kalendarzu.

– Nie zamierzam tego jeść. Muszę schudnąć.

– Bardzo mocne słodkie smaki to jedyne, jakie czujesz, prawda? No już, raz się żyje.

– Nie zamierzam tego nawet tknąć.

– To przynajmniej zdmuchnij świeczkę i pomyśl życzenie. A potem sam to zjem.

Antonia opiera łokcie o stolik, nie rozkrzyżowując rąk. Zdmuchuje świeczkę. Nie gaśnie. Jeszcze raz. Też nic. Ostatni. Teraz już tak.

Jon bierze łyżeczkę. Ona też. Bez słowa wyjaśnienia.

– Nie smakuje jak papier – mówi, kiedy wkłada łyżeczkę do ust. Mocno zaskoczona.

– Nadzienie jest zrobione z *funduku*, proszę pani – tłumaczy kelner, zabierając talerze. – Zaraz przyniosę kawę.



W ułamku sekundy Jon zaczyna walczyć o swoje życie za pomocą sztucców na polu bitwy o średnicy osiemnastu centymetrów. Antonia jest szybsza w jedzeniu słodyczy niż w myśleniu.

Nie ma takiego problemu, którego nie rozwiązałoby brownie.

– Możemy oskarżyć tę kobietę o pranie pieniędzy? – pyta Jon, gdy ocenia, że złość jej minęła.

– Nie – odpowiada Antonia z resztką urazy. – Matka pobiera pensję. Cztery tysiące euro miesięcznie.

– Nieźle za chodzenie do salonu na sześć godzin w tygodniu, żeby siedzieć tam z założonymi rękami.

– Poza tym prokuratura nie spojrzalaby przychylnie na niektóre aspekty śledztwa.

– Masz na myśli ten szczegół, że wszystkie informacje zdobyłaś nielegalnie – mówi Jon, wskazując iPad Antonii.

– I to nie było łatwe. Jedyne powiązanie między firmą irlandzką a salonem to pensja kobiety. Gdybyś wcześniej się nie zorientował, że to wydmuszka, nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– To komplement?

– Czasami coś wnosisz – mówi Antonia, skrobiąc łyżeczką talerzyk. „Daje i natychmiast odbiera”.

– Ile się dostaje za pranie pieniędzy?

– Nie mają umowy.

– Ale z twojego doświadczenia, ile to zwykle jest?

– Mało. Jeden procent.

– W takim razie prowizja Jurija za salon nie wystarcza na utrzymanie poziomu życia, jaki prowadziło tych dwoje, skarbie. Tak więc nadal niczego nie mamy.

Antonia zaczyna się zastanawiać. Przestaje nawet rzucać wyzwanie fizyce, próbując wydobyć resztki brownie ze środka ceramiki.

– Są tylko dwie możliwości. Pierwsza: porozmawiać z Aslanem Orłowem.

Jon spogląda na nią tak, jakby właśnie zaproponowała mu zorganizowanie wieczoru kawalerskiego dla Hitlera. Przy nieograniczonym budżecie.

– Zmierzyć się z głównym podejrzanym o morderstwo. Który oprócz tego jest szefem mafii. Którego nieustannie otaczają płatni zabójcy. Który nic nam nie powie. Zignorować zakaz komisarki Romero, która na razie daje nam spokój.

– Jest to jakaś opcja.

– To, że wygram konkurs Miss Universe, też jest jakąś opcją – odparowuje Jon.

Antonia analizuje możliwości i mówi bardzo poważnym tonem:

– To się nie zdarzy.

– To twoje też nie. A druga możliwość?

– Podjąć trop pieniędzy. Zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi.

– Wyczuwam w twoim głosie jakieś ale.

– Z salonem mieliśmy szczęście. Są regularne przelewy bankowe, które prowadzą do irlandzkiej firmy. Zwykle nie jest tak łatwo. Jak sądzisz, dlaczego UDYCO, Sepblac<sup>13</sup> i prokuratura nie mogą zatrzymać tych ludzi? Oni wykorzystują każdą najmniejszą szczelinę, podstęp, lukę prawną i furtkę, jaką znajdą. Mają ogromne ilości pieniędzy, żeby opłacić najlepszych adwokatów. Nurkowanie w tym gąszczu, który stworzyli, zajęłoby wiele miesięcy. Potrzebowałabym jakiegoś sznurka, za który można pociągnąć.

– Mogłabyś zacząć od *funduku* – mówi Jon.

Antonia patrzy na niego, mrugając bardzo szybko.

„Czasami coś wnoszę”, myśli Jon, upijając łyk kawy.

# Nagranie 01

*Jedenaście miesięcy wcześniej*

**Komisarka Romero:** Woronin, wpadł pan z całą swoją ekipą.

**Jurij Woronin:** Obawiam się, że mój hiszpański nie być tak dobry. Co ty mówić?

**Podinspektor Belgrano:** Nie zgrywaj głupka, Woronin. Mówisz lepiej ode mnie, słyszałem, jak żeś się popisывał przy barze w Astral.

**Jurij Woronin:** To pewnie ze stresu.

**Komisarka Romero:** Słuchaj, Woronin, są dwa sposoby, żeby to załatwić.

**Jurij Woronin:** Nie rozumieć za dobrze pani języka.

**Podinspektor Belgrano:** Nie zgrywaj głupka, mówię!

**Komisarka Romero:** Belgrano, usiądź. Jest pan bardzo dobry, panie Woronin, przynaję. Nasi eksperci są pod wrażeniem. To, co pan osiągnął, jest w zasięgu naprawdę nielicznych. Ale widział pan dowody. Możemy powiązać pana z zeszłotygodniowym transportem.

**Jurij Woronin:** Jestem tylko uczciwym przedsiębiorcą. Człowiekiem interesu.

**Komisarka Romero:** Tak, zawsze tak mówicie. Jestem człowiekiem interesu. Pracuję tylko po to, żeby zarabiać na życie.

**Jurij Woronin:** To prawda.

**Komisarka Romero:** W takim razie jak pan to wytłumaczy?

*(Szelest papierów na stole. Pauza trwająca trzydzieści trzy sekundy).*

**Jurij Woronin:** Niczego nie muszę tłumaczyć. Nie mam nic wspólnego z tą firmą ani z tą wysyłką.

**Podinspektor Belgrano:** Teraz wydaje się, że jednak rozumiesz hiszpański.

**Jurij Woronin:** Nie będę z panem gadał.

**Komisarka Romero:** Są dowody, które wiążą pańską firmę z firmą, która wysłała kontener z Sankt Petersburga.

**Jurij Woronin:** Dowodzi to tylko tego, że robiłem interesy z firmą, która według was popełniła błąd.

**Komisarka Romero:** To uzasadnione podejrzenie. Wystarczy, żeby prokuratura i Sepblac podjęły działania.

**Podinspektor Belgrano:** Wsadzą ci mikroskop w dupę, Woronin. Tak głęboko, że zobaczą twoje plomby.

**Jurij Woronin:** Powiedziałem, że z panem nie gadam. Niech mu pani powie, żeby się do mnie nie odzywał.

**Komisarka Romero:** Proszę więc rozmawiać ze mną. Jak pan myśli, co się stanie, kiedy pański interes zostanie wzięty pod lupę, Woronin?

**Jurij Woronin:** Nic. Już wiem, jak działa hiszpańska sprawiedliwość. Operacja Oligarkh zajęła sześć lat. Operacja Czerwony Marmur osiem lat.

**Komisarka Romero:** Sądy działają powoli. Bardzo powoli. To prawda. Ale teraz mamy pana na celowniku, Woronin. Możliwe, że zajmie nam to wiele lat, ale to nie jest dla pana dobra wiadomość.

**Jurij Woronin:** Nie rozumiem.

**Komisarka Romero:** Już wiemy, czym się pan zajmuje. Wiemy, że to pan odpowiada za *obszczak*. Wspólną kasę. Pan ma klucze do pieniędzy. I robi machlojki na własną rękę, prawda? Zlecenia. Jak to się nazywa w języku tych ważniaków, Belgrano?

**Podinspektor Belgrano:** Eeee... Nie wiem, co ma pani na myśli, komisarko.

**Komisarka Romero:** Sama powiem. Outsourcing. Podwykonawstwo. Oferuje pan usługi Kolumbijczykowi, Szwedom. Finansowe. Logistyczne. Doradcze. Urządził pan sobie narkotykową franczyzę.

**Podinspektor Belgrano:** Przeklęty McDonald's.

**Jurij Woronin:** Nie ma pani na to żadnych dowodów.

**Komisarka Romero:** Belgrano?

**Podinspektor Belgrano:** Proszę posłuchać, co ostatnio nagraliśmy.

*(Odgłosy rozmowy w innym języku. Niezrozumiałe).*

**Jurij Woronin:** To po prostu gadający ludzie. Wszyscy gadają ze wszystkimi.

**Komisarka Romero:** To prawda. Wszyscy gadają. A jak pan myśli, co powiedzą pańscy klienci, kiedy znajdzie się pan pod ciągłą obserwacją? Procedury są bardzo jasne. Pańskie konta zostaną zamrożone, pańskie zezwolenie na pobyt zostanie poddane analizie.

**Podinspektor Belgrano:** Rach, ciach. Krzyżyk. Naznaczony.

**Komisarka Romero:** A ilu pańskich obecnych klientów zechce pracować z naznaczonym człowiekiem?

**Jurij Woronin:** Ja...

**Komisarka Romero:** Pańscy klienci nie zechcą nawet pana tknąć. A pański szef... Dla Orłowa będzie pan zagrożeniem. Więc odeśle pana do Rosji. O której jest najbliższy lot do Moskwy, podinspektorze?

**Podinspektor Belgrano:** Jutro o dziesiątej rano wylatuje Aeroflot. Na obiad mógłbyś zamówić borszcz na placu Czerwonym.

*(Pauza trwająca pięćdziesiąt dwie sekundy).*

**Jurij Woronin:** Nie mogę wrócić do kraju.

**Podinspektor Belgrano:** No to masz przejebane.

**Jurij Woronin:** Nie rozumie pan. Jeśli wrócę, zabiją mnie.

**Komisarka Romero:** W takim razie będzie pan musiał nam pomóc, Woronin. Będzie pan musiał coś nam dać.

**Jurij Woronin:** Co?

**Komisarka Romero:** Informacje.

**Jurij Woronin:** *(Po rosyjsku, niezrozumiałe).*

**Podinspektor Belgrano:** Nie za dobrze rozumiem twój język.

**Jurij Woronin:** Powiedziałem, że nie jestem szpik. Nie jestem kapusiem. Jak puszczę parę z gęby, zabiją mnie tutaj. Nie będę musiał lecieć do Moskwy.

*(Pauza trwająca dwadzieścia siedem sekund).*

**Lola Moreno:** Przepraszam, komisarko. Chciałabym coś zaproponować.

## Opakowanie

Dwieście tysięcy.

Tyle kontenerów przewija się rocznie przez port w Maladze.

Trzy miliony.

Tyle ton przewożą.

Jedenaście.

Tyłu celników pracuje w porcie.

Jon pokazuje ochroniarzowi terminalu odznakę, a ten podnosi szlaban.

– Szukam kierownika – mówi inspektor przez opuszczoną szybę.

– Proszę jechać prosto, obok kosza zasypowego jest biuro.

– Obok czego?

– Wielkiego leja do rozładunku towarów sypkich – wyjaśnia Antonia.

– Budynek z blachy obok dźwigu.

– Dziękuję – mówi Jon.

Najpierw w lewo. Potem w prawo.

Marbellę dzieli od Malagi sześćdziesiąt kilometrów. Jon pokonał je w ciągu czterdziestu minut. Z tych czterdziestu Antonia potrzebowała dwudziestu trzech, żeby zidentyfikować firmę importową Woronina.

– Też nie była na jego nazwisko – mówi Antonia. – To spółka holdingowa z siedzibą na Barbadosie. Znalazłam ją dzięki filii w Makao, która jest właścicielką domu Jurija.

Przestępcy wcześniej czy później muszą uderzyć o ziemię. Ktoś musi posiadać domy, w których mieszkają. Samochody, którymi jeżdżą. Karty

kredytowe, które czyszczą w sklepach jubilerskich i restauracjach. Ale prawa tworzą ludzie, a ludzie są omylni. To nie jest nielegalne, że Jurij mieszka w willi za pięć milionów euro na nazwisko zagranicznej firmy zarejestrowanej w raju podatkowym. Dopóki społeczeństwo nie protestuje, wszyscy jesteśmy zadowoleni.

„Wystrój mógłby być nielegalny. I oby tak było. Ale sama własność – nie”.

Tak więc jedyne, co mogą zrobić, to podążać za okruszkami chleba, żeby nie zgubić się w lesie.

Ten las jest ze stali.

To olbrzymia przestrzeń. Dwanaście kilometrów kwadratowych solidnego baskijskiego betonu pełnego wielkich stalowych skrzyni o długości sześciu metrów. Ułożonych po pięć jedna na drugiej. Pomalowanych na podstawowe kolory.

Kilka lat temu prywatna firma Noatum Maritime przejęła koncesję na prowadzenie terminalu kontenerowego. Od tamtej pory ruch w porcie w Maladze znacznie wzrósł. Nieustanny przepływ towarów stopniowo osłabiał udział w rynku pobliskich portów.

Dyrektor terminalu stoi przed swoim biurem. W jednej ręce trzyma laptop, a w drugiej walkie-talkie. Ma na sobie pomarańczową kamizelkę oraz biały kask ochronny. Jest czerwony na twarzy, ma tak jasną skórę i tak jasne włosy, że spodziewasz się, że zwróci się do ciebie w obcym języku. Aż słyszysz, jak rozmawia z pracownikiem.

– Miej na oku strefę H cztery, dobra? Jak jutro przyplynie Karaboudjan, będziemy potrzebować miejsca. Niech najpierw zapełnią H pięć.

Mężczyzna odwraca się do nich.

– Z policji, tak? W czym mogę pomóc? Urząd celny jest już zamknięty. Zresztą ja też już wychodzę.

– Zajmiemy panu tylko kilka minut – mówi Jon. – Sprawdzamy działalność pewnej firmy importowej. Lemondrop Malaga Limited. Gdyby

mógł pan nam pomóc...

- Obawiam się, że nie - przerywa dyrektor. - Żeby zobaczyć formularze przywozowe, będziecie potrzebować celnika. Musicie wrócić jutro.

Mężczyzna się odwraca i oddala szybkim krokiem w stronę biura.

- Pańska żona wie, że ma pan romans z jedną z pracownic? - pyta Antonia.

Dyrektor się zatrzymuje, z jedną nogą na progu. Plecy sztywnieją.

Wraca.

- To wierutna bzdura, proszę pani - oznajmia, ścisząc głos i rozglądając się na boki.

- Rozszerzone źrenice, przyspieszony puls. Moim zdaniem nie - mówi Antonia do Jona.

- Też tak uważam - odpowiada Jon, wkładając ręce do kieszeni i unosząc ramiona.

Mężczyzna podchodzi bliżej.

- Proszę posłuchać, nie możecie powiedzieć o tym nikomu. Nie chcę stracić dziewczynek.

- Nam jest wszystko jedno. Interesuje nas tylko działalność Lemondrop Malaga Limited - mówi Antonia.

- Pańskie sprawy łóżkowe są nam obojętne. Pan nam pomoże, my będziemy milczeć - proponuje Jon.

Mężczyzna przeciera ręką twarz, która poczerwieniała jeszcze bardziej. Trochę go żal, tak jak pieska, który bez przerwy kręci się wokół stołu. Brakuje tylko, by merdał ogonem.

Decyzja jest łatwa.

- W porządku, cholera, w porządku - poddaje się, otwierając laptopa.  
- Jak się nazywa ta firma?

Jon powtarza.

- Zgadza się, to klienci terminalu - mówi dyrektor, przeszukawszy system. - Teraz zresztą ich TEU stoi w strefie *hot*.

- TEU?



– Twenty-foot Equivalent Unit. Tak nazywamy standardowe kontenery. TEU albo dwadzieścia stóp. Bo ma długość dwudziestu stóp, sześciu metrów. Ponieważ wszystkie mają ten sam rozmiar, z łatwością można je przenosić ze statku do ciężarówki albo pociągu. Ten zresztą mieli zabrać już kilka dni temu. Dziwne.

Antonia i Jon wymieniają spojrzenie.

– Już prawie jesteśmy – mówi dyrektor, oświetlając namalowane na ziemi znaki, które wskazują strefy. – Proszę tędy.

Szare i pochmurne popołudnie zamieniło się we wczesny zmierzch. Jon i Antonia idą za dyrektorem w pewnej odległości. Wystarczającej, żeby Jon zaspokoił swoją ciekawość.

– Jak to zrobiłaś? – pyta po cichu.

– Co takiego? – Antonia udaje głupią.

– Dobrze wiesz.

Ona wzrusza ramionami.

– Za każdym razem, gdy pytasz o coś takiego, czuję się jak wytresowana małpka.

– No już. Przecież nie możesz się doczekać.

Antonia wzdycha. I zaczyna recytować zmęczonym głosem.

– Nie nosi obrączki, ślad na palcu serdecznym jest dobrze widoczny i świeży. Krzywo zapięta koszula. Słyszałeś rozmowę z pracownikiem. To człowiek, który zwraca uwagę na szczegóły, zauważyłby to w ciągu dnia, chodząc do łazienki, więc musiał rozpinać koszulę całkiem niedawno. Poza tym, kiedy się od nas odwrócił, zobaczyłam podeszwy jego butów.

– I?

– Na lewej podeszwie ma przyklejone opakowanie po prezerwatywie. Może odpadnie mu, zanim wróci do domu. A może nie.

Jon powstrzymuje śmiech. Nie zamierza go o tym informować. I wie, że Antonia też tego nie robi. W takich chwilach jak ta inspektor Gutiérrez jest szczęśliwy. Nie zamieniłby się z nikim. Jaka szkoda, że takich momentów jest tak niewiele.

– To tutaj – mówi cudzołożnik, świecąc przed siebie latarką.

Kontener znajduje się na poziomie gruntu, a na nim stoją dwa inne. Kiedy do niego podchodzą, mężczyzna odczytuje w swoim laptopie.

– GD siedem siedem dwa pięć sześć dziewięć. Przypląnął trzy dni temu z Sankt Petersburga. Odbiór był przewidziany od razu tego samego dnia, dlatego jest tutaj, w strefie szybkiego wyjścia, ale nikt się po niego nie zgłosił. Importer będzie musiał wnieść dopłatę.

– I nie przeszedł kontroli celnej?

– Nie wszystkie kontenery ją przechodzą. Przypląwa ich mnóstwo, a urzędników jest bardzo mało. Nawet sobie nie wyobrażacie, co się dzieje w Algeciras. My mamy dwieście tysięcy TEUS rocznie, oni pięć milionów. Brakuje im ludzi.

Jon uderza dłonią o metal w ciemnoniebieskim kolorze.

– No więc przybyły posiłki. Proszę otworzyć.

Dyrektor kręci głową.

– Nie mogę tego zrobić bez urzędnika celne...

– Ach, idź pan do diabła – mówi Jon, po czym chwyta za rygle, ciągnie i pcha. Jak to coś się, do diabła, otwiera?

– Nie rozumie pan. Nawet jeśli coś znajdziecie, prawo mówi bardzo wyraźnie...

Zgrzyt stalowego drążka obracającego się wokół własnej osi zagłusza protesty biurokraty, który odwraca się sfrustrowany i wyrzuca ręce w górę.

– Ja umyвам ręce – mówi. – Ja umyвам ręce.

Jon uwalnia drążek. Ciągnie mocno. Kolejny przenikliwy zgrzyt. Drzwi kontenera wyrzucają kawałki saletry, gdy zaczynają obracać się na zawiasach.

Smród uderza ich w twarze.

Ostry. Trujący.

Nic, czego Jon nie doświadczyłby wcześniej. Kał. Mocz. Słodka zgnilizna rozkładającego się mięsa. Wszystko to wymieszane, tyle że odór jest tysiąc razy mocniejszy.

Dyrektor zasłania dłońmi usta, żeby powstrzymać mdłości, lecz bez powodzenia – wymiociny przeciekają mu przez palce i spadają na buty.

Jon ma więcej szczęścia. Udaje mu się odwrócić i oprzeć o boczną ścianę kontenera, zanim zwróci całą zawartość żołądka. Skurcze są tak gwałtowne, że z trudem panuje nad ciałem.

– Nie wchodź tam – mówi do swojej partnerki. – Niech zajmą się tym technicy.

Antonia go mija i kieruje się w stronę ciemnego prostokąta.

## Kontener

Niewzruszona Antonia patrzy, jak walczą ze smrodem.

Ona nie czuje niczego szczególnego. Jej anosmia nie jest całkowitym brakiem zmysłu węchu. Prawie wszystkie jej receptory węchowe są martwe. Zostało tylko kilka dogorywających. Wychwytyują ledwie wyziewy, które wydobywają się z otwartych drzwi kontenera. Niczym wspomnienie tanich i słodkich perfum.

– Nie wchodź tam – Jon próbuje ją powstrzymać. – Niech zajmą się tym technicy.

Antonia go ignoruje. Schyla się, podnosi latarkę z ziemi, gdzie rzucił ją dyrektor terminalu, i wchodzi do kontenera.

Jej stopy przywierają do podłogi. Jest drewniana, ale wilgotna, kleista. W środku ściany są ze stali, tyle że nie zostały pomalowane farbą antykorozyjną, tak jak na zewnątrz. Tak więc Antonia widzi na nich ślady krwi. Dłonie, które się o nie oparły i po nich przeciągały, zostawiając pięć nieregularnych rowków na falistej metalowej powierzchni.

Z jednej strony zamontowano wentylator wyciągowy.

„Nie to musiało zawieść, bo w przeciwnym razie nie przetrwałyby tak długo”, myśli Antonia.

Małpy zaczynają krzyżeć, zbierają rzeczy z miejsca zbrodni i próbują opowiedzieć całą historię.

Pełne wiadro z jednej strony.

Zbiornik na wodę, przewrócony w rogu, połamany i pokryty krwią.

Nóż na podłodze.

„Dość”.

Antonia nie może sobie na to pozwolić. Musi powstrzymać obrzydzenie (racjonalne, nie instynktowne) i wsadzić ręce do kieszeni. Otworzyć usta w tym miejscu zainfekowanym rozkładającymi się cząsteczkami, z których wiele jest zakaźnych.

*Zapomniałaś? Zapomniałaś o rzece?*

W jej głowie rozbrzmiewa głos Mentora.

*Nie możesz ujarzmić rzeki. Musisz ustąpić.*

„Nie”, odpowiada Antonia.

„Nie oddam kontroli”.

„Mogę”.

Tym razem wkłada do ust trzy czerwone kapsułki. Musi użyć zębów trzonowych, żeby je przegryźć i uwolnić drogocenną, gorzką substancję. Treningi przygotowały ją do liczenia wstecz, z wydychaniem powietrza między każdą cyfrą, schodzeniem po stopniach coraz niżej, aż do miejsca, w którym potrzebuje się znaleźć. Lecz dawka mikstury zmienia wszystko.

Nie liczy do dziesięciu.

Nie schodzi po stopniach.

Spada z nich, prosto w ciemność.

Gdzie czeka ją cisza.

Antonia czuje drżące ciało, jakby smagane wiatrem. A później osiąga ją jasność umysłu w sposób, jakiego nie doświadczyła nigdy przedtem.

To cudowne.

To przerażające.

To *chādanāca*.

W języku bengalskim oznacza zatrważającą radość z tańca na krawędzi dachu.

To jest ten sam spokój, jaki czuje, kiedy niebieska kapsułka redukuje jej umiejętności, ale je zachowuje. Po raz pierwszy, odkąd rozpoczęły się jej treningi, przygotowujące ją do stania się Czerwoną Królową, Antonia widzi, co się wydarzyło na miejscu zbrodni. Nie tylko dedukuje.

Widzi.

A jest to koszmar.

Widzi osiem martwych kobiet na podłodze. Wyplęły z Sankt Petersburga. Młode. Może ładne, teraz nie da się tego stwierdzić. Związane sznurami – ciała wciąż mają ślady na nadgarstkach. Dziewiąta nie jest związana, uwalnia pozostałe. Mają wodę i pożywienie, ale podczas transportu coś idzie nie tak. Klóczą się. Walczą o jedzenie i picie. Jedna z nich leży ranna w rogu. Pozostałe ją ignorują. Ona umiera jako pierwsza.

Potem druga, którą pozostałe kładą obok pierwszej.

Podróż przeżywa siedem dziewczyn. Ale nikt nie zgłasza się po kontener. W wentylatorze wyciągowym kończy się paliwo i urządzenie przestaje działać. Kobiety walą w ściany, desperacko próbując wydostać się na zewnątrz.

Kiedy uświadamiają sobie, że się tu uduszą, kilka z nich rzuca się na pozostałe. W świetle latarki, które skacze z jednej strony kontenera na drugą, Antonia nie widzi resztek krwi pod paznokciami, wyrwanych włosów, porwanych ubrań. Widzi walczące kobiety, widzi krzywdę, jaką sobie wyrządzają, jak jedna rzuca drugą o ścianę, zanim zostanie uduszona przez inną, szybciej zużywając resztki tlenu, o który walczą. Aż zabijają się nawzajem.

Oprócz jednej.

Ostatnią z nich, najmniejszą, Antonia widzi wspinającą się na wentylator wyciągowy, drapiącą urządzenie paznokciami.

Może.

„Może”.

Antonia rusza w stronę kobiety, która leży na plecach na zrzuconym silniku wentylatora. Jest cała we krwi, na twarzy ma straszne rozcięcie, które zniekształciło jej czoło i prawdopodobnie uszkodziło oko. Sukienka, którą ma na sobie, swego czasu była może w zielonym kolorze, ale teraz jest podartym łachmanem, który trzyma się tylko na jednym ramiączku. Jej lewa noga jest ułożona pod nienaturalnym kątem. Złamana wskutek upadku z wentylatora, gdy zabrakło tlenu.

Tak naprawdę nic z tego nie jest ważne.

Jedyne, co się liczy, to puls, słaby puls, który Antonia znajduje na szyi, gdy kładzie na niej palce.

„Żyje. O mały włos”.

Chwyta ją za ramiona, próbuje ją ciągnąć, ślizga się na krwi.

Woła Jona dziwnym, metalicznym głosem. Którego nigdy przedtem u siebie nie słyszała. Nie sądziła, że go ma.

Potem traci przytomność.

## Wyjście obronną ręką

– Czy kiedy pańska partnerka się przewróciła, uderzyła się w głowę? – pyta pielęgniarz, pokazując za siebie.

Antonia siedzi w karetce zaparkowanej przy moło. Ma brudne ubranie, twarz i ręce. Koc na zapadniętych ramionach, przygarbione plecy. Obojętne, półprzytomne, rozmyte spojrzenie.

– Nie wiem. Chyba nie – odpowiada Jon. – Próbowała wyciągnąć kobietę, którą zabrali pańscy koledzy. Myślę, że tylko zemdląła z powodu braku tlenu.

Pielęgniarz kręci głową i się krzywi. Coś mu nie pasuje.

– Możemy wykluczyć wstrząśnienie mózgu. A miała dziś wizytę u okulisty?

– Na pewno nie.

– Bo jeszcze nigdy nie widziałem tak rozszerzonych źrenic. Tak więc jeśli to nie krople do oczu ani wstrząs... będę musiał to zgłosić.

Jon tego się właśnie obawiał. Ostatnie, czego teraz potrzebują, to pielęgniarza, który idzie do komisarki Romero z bajeczką o narkotykach.

Tak więc kładzie mu rękę na przedramieniu.

– Proszę. Nie.

Oświetlające ich pomarańczowe światła karetki wydają się obracać wolniej, kiedy pielęgniarz taksuje go wzrokiem z góry na dół. Jon odwzajemnia spojrzenie. Przystojniak. Ogolona głowa. Starannie przystrzyżona bródka. Kolczyk z tęczową flagą stawia sprawę jasno. A jego następne zdanie:

– Jestem żonaty, inspektorze.

Jeszcze jaśniej.



Jon delikatnie zabiera rękę. Nie flirtował. Choć nie miałby nic przeciwko. Gość ma oczy dobrego człowieka, a to jest zwykle kanał, przez który inspektor Gutiérrez się zakrada. Później się okazuje, że przysłowie kłamie. Że oczy nie są zwierciadłem duszy. Że czyny znaczą więcej niż słowa. I Jon znowu zamyka swoje serce. Aż do spotkania kolejnych dobrych oczu.

– Niech pan odpuści sobie raport – prosi. – Ona przeżywa teraz trudny okres, sprawa opieki nad dzieckiem i w ogóle.

Pielęgniarz uważnie wpatruje się w czubki swoich butów, potem spogląda na Antonię i ponownie na Jona.

– Proszę przekazać partnerce, żeby uważała przy następnym teście narkotykowym – mówi, wkładając kurtkę i odchodząc w stronę umundurowanych funkcjonariuszy, którzy czekają przy wejściu na terminal. Kamery telewizyjne skierowane są na niego, dziennikarze celują w niego mikrofonami zza taśmy policyjnej. Pielęgniarz pokazuje palcem, że nie. Że nie będzie się wypowiadał.

„Ostatecznie to dobry chłopak”, myśli Jon, rzucając mu pożegnalne spojrzenie. „No jasne. Wszyscy dobrzy są już zajęci”.

Odwraca się w stronę karetki, przygotowując się na rozmowę z Antonią. Ale ktoś go uprzedza.

– Halo, proszę pani – mówi Belgrano. *Pom, pom.* Kostki dłoni uderzają o podłogę pojazdu. – Halo.

Antonia nie reaguje.

– Podinspektorze – woła go Jon.

Belgrano się odwraca. Nie wydaje się tak przyjazny jak parę dni temu.

– Ach, Gutiérrez. Co to za bałagan?

– Sam pan widzi. Wygląda na to, że wśród hobby pana Woronina był też handel żywym towarem.

Podinspektor wzdycha. Rozpina kurtkę, przeczesuje włosy palcami.

– Ile?

– Osiem martwych. Jedna żywa. Ledwo. Zabrano ją w stanie krytycznym do szpitala.

– Cholera, ciężki okres – skarży się Belgrano. – A wam skąd przyszło do głowy, żeby tu przyjechać?

– Podążaliśmy za pewnym tropem.

– Który przyprowadził was do kontenera. Proszę mi powiedzieć, że był przy tym obecny urzędnik celny.

Inspektor Gutiérrez drapie się po karku i czeka w milczeniu, aż czas przywróci porządek rzeczy.

– Pff. Komisarce ani trochę się to nie spodoba, inspektorze. Nie możemy wykorzystać tego przeciwko Orłowowi. A szczerze mówiąc, byłoby genialnie, gdybyśmy mogli oskarżyć go o śmierć ośmiu osób.

– Co mam panu powiedzieć?

– Przynajmniej uratowaliście tę kobietę. W raporcie możemy nagiąć fakty i napisać, że usłyszeliście krzyki i nie mieliście innego wyjścia, jak interweniować.

Jon patrzy na niego zaskoczony.

– Prokuratorka tego nie łyknie – wyjaśnia Belgrano – ale przynajmniej zaoszczędzi pan sobie nieprzyjemności.

– Dziękuję – mówi Jon, wyciągając do niego rękę.

„Dobrze, że chociaż wszyscy gramy w jednej drużynie”.

Belgrano ściska ją mocno. I uprzedza:

– Nie zaoszczędzi pan sobie jednak ochrzanu komisarki.

„Nie, wyobrażam sobie, że nie”, myśli Jon, obserwując Antonię. Która ma na oczach smolistą woalkę.

– Z pańską partnerką wszystko dobrze?

– Tak – kłamie Jon z wielką pewnością siebie. – Jest w szoku po tym, co zobaczyliśmy.

– Jeśli trzeba, mogę zadzwonić do koleżanki z pomocy psychologicznej.

Inspektor Gutiérrez kręci głową, odrzucając propozycję. W każdym innym momencie zapląciłby, żeby to zobaczyć. Dziś jest szczodry.

„Biedna psycholożka. Zaoszczędźmy jej traumy”.

## Kolejna obietnica

Ostatecznie chodzi o radzenie sobie z oczekiwaniami.

Na przykład, jeśli twoim zamiarem jest przeprowadzenie poważnej rozmowy z partnerką, ale ona jest nieobecna, musisz radzić sobie z frustracją.

A Antonia odeszła.

Są tacy, którzy wybierają się w podróż i zapominają o psie. O dziadku na stacji benzynowej. O małym dziecku, które samo musi stawić czoło złodziejom za pomocą pomysłowych pułapek.

Antonia zapomniała o swoim ciele.

Tak więc Jon pomaga jej wysiąść z karetki, prowadzi ją do samochodu, zabiera do hotelu. Odprowadza ją do pokoju, a ona wciąż nie reaguje. Zostaje przy drzwiach. W tym miejscu, gdzie wszystkie hotele na świecie ukrywają w zasięgu wzroku tę szczelinę, która włącza światła w pokoju. Gdzie macasz w ciemności, podczas gdy drugą ręką przytrzymujesz walizkę, a tyłkiem drzwi.

Antonia zgubiła się w tym samym miejscu.

– Ja pierdolę – mówi Jon.

Wchodzi do pokoju Antonii i prowadzi ją do łazienki. Jej ubrania są w opłakanym stanie, jej skóra jest brudna.

„Nie mogę jej tak zostawić, bo jeszcze złapie ebolę”, myśli Jon, odkręcając kurek z ciepłą wodą.

Kiedyś, wiele lat temu, razem z ekipą z katechezy poszli na grzyby. Musiał być rok dziewięćdziesiąty, może dziewięćdziesiąty pierwszy. On miał piętnaście lat. Był wyższy od pozostałych o pół głowy i połowę ciała. Nie żeby był gruby.

Szli przez las, bardziej zajęci opowiadaniem głupot niż szukaniem kurek. W pewnym momencie jeden z chłopaków, Gorka, który był niezłym łobuziakiem, wskazuje niską gałąź dębu. Gniazdo os. I mówi, nie dotkniesz go, Jon. A Jon, że tak. Podchodzi z kijem do szukania grzybów i trąca gniazdo. A Gorka mówi, że ręką. A Jon, że chyba oszalał. Na co Gorka, o co chodzi, Jon, pedał jesteś?

Dla Jona nie było gorszego oskarżenia. Siedział tak głęboko w szafie, że wieszaki nie pozwalały mu zobaczyć drzwi. Tak więc odrzucił kij i z wyciągniętą ręką zrobił trzy kroki do przodu. Bardzo powoli.

Najgorszy nie był wcale ból po kilkunastu użądleniach (przez jedno z nich, pod lewą brwią, przez tydzień miał zamknięte oko) ani śmiech reszty chłopaków. Najgorszy był strach, jaki czuł podczas tych trzech kroków do przodu. Ciężar w żołądku, który dźwigasz między tym, co cię napędza, a tym, czego się obawiasz.

Lęk, jaki czuł przed dotknięciem gniazda, jest żaloszny w porównaniu z tym, który odczuwa, gdy podnosi rękę, żeby zdjąć bluzkę Antonii Scott. Chwyta za brzeg i podnosi. Najpierw jedna ręka, potem druga i wreszcie głowa.

Zero reakcji.

Z niezwykłą delikatnością Jon zdejmuje jej spodnie, skarpetki, stanik i majtki. Bez ubrania wygląda na znacznie młodszą, z laserowo wydepilowanym wzgórkiem łonowym i piersiami wielkości cytryny. I tak, ma cellulit na tyłku. Ale nie aż tyle, żeby odmawiać sobie brownie.

Boi się, że Antonia potknie się przy wchodzeniu do wanny, więc łapie ją za plecy i uda. W jego rękach jest piórkiem, tak lekka, jakby jej kości wypełniało powietrze. Ostrożnie sadza ją w gorącej wodzie. Moczy sobie rękawy koszuli aż po łokcie, zmieniając kolor plam krwi na różowy.

Woda trochę parzy.

Musi tak być.

Kiedy wanna się napęlnia, Jon wkłada ubrania Antonii do torby na pranie. Zamierza wyrzucić je jutro rano, podobnie jak wszystko, co sam ma na sobie. Uszyty na miarę ciemnoszary garnitur z chłodnej wełny – jego ulubiony. Trzy tysiące euro z kawałkiem. Ale nie ma sensu go prać.

Może i w pralni usunięto by brud, ale nie ma sposobu, żeby pozbyć się odoru śmierci – co do tego Jon nie ma wątpliwości. Czasami mijają całe lata, zanim ten smród opuści dom. Samochodu nie opuszcza nigdy. Jeśli ktoś umiera w samochodzie i zostaje w nim dłużej niż jedenaście godzin, firmy ubezpieczeniowe nawet nie zadają sobie trudu, żeby wysłać tam bieglego. Auto idzie od razu na złom, bez względu na cenę ani na to, jak byłoby nowe.

Jon zawiązuje torbę na potrójny węzeł i wsadza ją do torby na śmieci w łazience. Potem zajmuje się Antonią.

Zaczyna od ciała. Bierze gąbkę i mydło – zielone, o zapachu cytrusowym. Naciera ostrożnie, ze szczególną uwagą szorując dłonie pod paznokciami oraz szyję. Zostawia odkręcony kran i stopniowo podnosi korek, aż woda wokół Antonii nie przypomina bajora. Pod brudem gąbka odsłania na plecach ślad wielkości pięćdziesięciocentowej monety. Pierwsza kula wystrzelona przez White'a weszła tędy. Druga trafiła w głowę jej męża.

Jon powstrzymuje chęć, by przeciągnąć po bliźnie palcami.

Nie jest to łatwe.

Osiem gramów może się wydawać śmieszoną wagą.

Osiem gramów ołowiu w dziewięćmilimetrowej kuli zdolnej w ciągu sekundy pokonać długość czterech boisk piłkarskich to już zupełnie inna historia.

Jeśli jesteś policjantem, często myślisz o tych ośmiu gramach. Identycznych jak te, które nosisz w kaburze na ramieniu. Prawie zawsze z niepokojem. Ale czasami, jeśli narobiłeś wielkiego bałaganu, niepokój zamienia się w żądzę.

Jon się zastanawia, czy Antonia myśli niekiedy o samobójstwie.

Na lewym barku jego partnerki znajduje się kolejna blizna. Większa. Nierówna gwiazda o pięciu ramionach poskręcanych tam, gdzie skóra się zagoiła.

Lekarz nazwałby to raną wylotową. Inspektor Gutiérrez nie. Może i osiem gramów ołowiu przecięło jej skórę, ale kula wciąż jest w środku.

Zmierza do serca Antonii.

Jon kilkukrotnie myje jej włosy, później wyciąga ją z wanny, czesze. Ubiera ją w szlafrok, zakłada kapcie. Podłoga jest zimna. Znosi ją do łóżka, sadza na brzegu.

Kiedy się schyla, żeby zdjąć jej kapcie, kropla spada mu na czoło. Jon podnosi wzrok i widzi, że Antonia płacze. Jon prostuje się nieco, siada na łydkach, tak że ich głowy znajdują się na tej samej wysokości. Antonia wbija w niego swoje oliwkowe oczy. Jej źrenice wróciły do normy. Łzy nadal płyną.

– Gdzie byłaś?

– Daleko.

– Daleko, czyli gdzie?

– Nie wiem – odpowiada ona. – Nigdy wcześniej tam nie byłam.

Jon myśli o wszystkim, co jest nie tak, o wszystkim, co powinien powiedzieć, o wszystkich milczeniach, w których jest zmuszony przebywać. Dochodzi do wniosku, że tej nocy nic z tego wszystkiego nie jest ważne.

– A kobieta? – pyta Antonia.

– W stanie krytycznym.

Antonia wciąga smarki, przytakuje, kładzie się na materacu, nie zdejmując szlafroka. Znają już zasady. Wszechświat pobiera od nich ogromną kwotę, ale nie zawsze przysyła towar. Nie ma sensu protestować ani tonąć w rozgoryczeniu. Należy się z tym tylko pogodzić.

– Postaraj się odpocząć – mówi Jon.

Wstaje i rusza do drzwi.

– Proszę. Nie wychodź – odzywa się, nie patrząc na niego.

Jon przystaje w połowie drogi. Czuje lepka skórę, jego ubranie wygląda fatalnie. Cuchnie tym samym, co tak długo usuwał ze skóry swojej partnerki. To ten odór śmierci, którego ona nie czuje, ale którego on nie może ignorować. Jest zmęczony, smutny, skołowany i sfrustrowany. Chce się tylko umyć, najpierw z zewnątrz, a później w środku.

Ale nie zostawi jej samej. Bo w jakimś sensie czuje, że to on jest elektromagnesem, który nie pozwala, żeby kula siedząca w Antonii podążała swoją trajektorią i dosięgnęła jej serca.

Tak więc gasi światło, kładzie się na łóżku obok niej i obejmuje ją od tyłu swoimi wielkimi ramionami. Czuje się tak, jakby trzymał lalkę.

– Te kobiety – odzywa się Antonia.

Te dwa słowa wystarczają, by przywołać okropności, jakie widzieli tego wieczoru. Możliwe, że mydło zastąpiło odór śmierci aromatem cytrusów – „Świeżość, słońce i odcienie Morza Śródziemnomorskiego!”, napisano na etykiecie. Nic jednak nie wymaże ze świata mrocznej plamy. Nic nie zdoła usunąć okrucieństwa z ich serc i umysłów.

Antonia porusza się niespokojnie.

– Ten, kto to zrobił, zapłaci za to – obiecuje.

Cichy szept małej i na wpół załamanej kobiety. Drobinki w obojętnym świetle.

Prawie nie zakłóca ciemności.

Ciemność o niczym nie wie. Jon – owszem. Dlatego kostka lodu ześlizguje się po jego kręgosłupie. Nie chciałby być adresatem tej obietnicy.

„Niech Bóg chroni winnego przed gniewem Antonii Scott”.

# Nagranie 04

*Jedenaście miesięcy wcześniej*

**Podinspektor Belgrano:** To gównno warte, Woronin. W tych papierach niczego nie ma.

**Jurij Woronin:** Nie mogę dać wam niczego bardziej konkretnego na temat Orłowa. Już powiedziałem. Zabiliby mnie.

**Komisarka Romero:** Nie tkną pana, jeśli tego nie zechcemy.

**Jurij Woronin:** Nie możecie mnie ochronić przed Orłowem.

**Podinspektor Belgrano:** Jesteśmy policjantami, Woronin.

**Komisarka Romero:** Ilu żołnierzy ma Orłow?

**Jurij Woronin:** Ośmiu bojowników, dwóch brigadirów.

**Komisarka Romero:** Ośmiu żołnierzy, dwóch szefów. To niedużo.

**Jurij Woronin:** Nie rozumie pani.

**Podinspektor Belgrano:** To proste. Nas jest pięćdziesięcioro. Ich dziesięciu.

**Jurij Woronin:** Nie chodzi o liczby. Tu nie Rosja. W Rosji miałby stu, dwustu. Ile tylko by potrzebował. Bo tam jest Dziki Zachód, rozumie pani? Do Tambowa nie wchodzi policja. Zostają na zewnątrz, pilnują. Oparci o samochód palą papierosy i patrzą na zewnątrz, nigdy do środka, bo jeśli spojrzysz do środka, możesz zobaczyć to, czego nie powinienes. Ale tutaj Orłow nie potrzebuje armii bojowników. Po co mu ona? Tutaj jest spokój. I ma inne metody.

**Komisarka Romero:** A więc nie boi się pan jego ludzi.

**Jurij Woronin:** Jasne, że nie. Boję się pewnej kobiety.



*Przydrożny bar jest jedyną opcją.*

*Minęła północ, a ona umiera z głodu. Tak więc wybiera zjazd numer dwieście czterdzieści cztery na autostradzie Madryt–Kadyks, na wysokości parku narodowego Despeñaperros, i parkuje jak najdalej od drzwi. Taras widokowy, który musi być otwarty tylko latem, wisi nad wąwozem. Wiatr wieje mocno, lecz nie udaje mu się zagłuszyć szumu rzeki, która płynie wartkim nurtem na południe, pięćdziesiąt metrów niżej.*

*Obraca nadgarstkiem i motocykl zatrzymuje się z szarpnięciem. Delikatnie klepie w zbiornik w dowód uznania. Nie podobają jej się japońskie motocykle, zawsze wolała nieokiełznany włoski temperament Ducati albo Aprilii. Dealer nie miał żadnego na stanie, więc zadowoliliła się kawasaki ninja H2R. Pomalowany na czarno oprócz logo marki. Pozbyła się uprzedzeń.*

*– Sześćdziesiąt tysięcy euro.*

*– Daj mi też farbę – prosi, wskazując puszkę metalicznego spreju.*

*Kierownik salonu podaje jej puszkę, a ona rzuca na ladę kartę kredytową. Zrobioną z tytanu, bez limitu wydatków. Środki nie stanowią problemu. Mężczyzna nie może powstrzymać chciwego uśmiechu, zobaczywszy słynną twarz rzymskiego centuriona. Ale bierze się w garść.*

*– To jest tylko model wyścigowy, nie do rejestracji. Jeśli Gwardia Obywatelska cię złapie, zatrzymają cię i go unieruchomią.*

*Rozszyfrowanie tego, co chce jej przekazać sprzedawca, zajmuje dłuższą chwilę. Jej hiszpański jest na poziomie bardzo podstawowym, choć rozumie prawie wszystko, co słyszy. Kiedy to przyswaja, oznajmia:*

*– Nieważne.*

*Spełniwszy swój obywatelski obowiązek, kierownik odwraca się, żeby włożyć kartę do czytnika. Ona tymczasem chowa próbną tablicę między kurtkę a koszulkę.*

Wiele godzin i dwieście pięćdziesiąt kilometrów później wykorzystuje postój na pustym parkingu, żeby zamontować tablicę rejestracyjną. To 0000 ABC, mało wiarygodna, ale będzie musiała wystarczyć do czasu, aż jeden z jej kontaktów prześle jej ostateczną. W każdym razie, jeśli Gwardia Obywatelska każe się jej zatrzymać, patrzenie, jak próbują ją gonić, będzie samą przyjemnością. Jeden z ich renault kadjar kontra ta bestia o mocy trzystu dziesięciu koni mechanicznych.

Ostatni krok to zamalowanie logo marki metalicznym sprejem. Trzeba przejechać wiele razy, żeby pokryć je całkowicie, z paroma minutami nudnego czekania między każdą warstwą, a efektem jest nieestetyczna plama o odmiennej teksturze niż podwozie. Ale warto. Nikt, z wyjątkiem fachowca, nie zdoła rozpoznać motocykla. Każdy głupiec potrafi przeczytać i zapamiętać osiem liter.

Puszkę wyrzuca w krzaki, wkłada pistolet do kasku i przykrywa go rękawiczkami, po czym kieruje się do baru. Nie wzięła żadnego bagażu, jej jedyne ubrania to te, które ma na sobie. Obcisła skórzana kurtka i takie same spodnie. Ze wzmocnieniami na przedramionach, ale dyskretnymi, nie zwracają uwagi. Na nogach martensy ze stalowymi noskami. Wszystko tak samo ciemne jak motocykl. Jedyne ustępstwo na rzecz koloru to czerwone sznurówki w butach. Nie mogła się oprzeć.

Idzie nieco skulona.

Nie z powodu zimna, choć temperatura na terenie Despeñaperros spada poniżej zera. Nie, ona przeżyła w Rosji takie letnie miesiące, które wywołałyby zapalenie płuc u hiszpańskich zim. Jej plecy protestują ze względu na czas, jaki spędziła przygarbiona na motocyklu. Chce wierzyć, że to dlatego. Chce wierzyć, że tym razem efekt zastrzyku kortyzonu utrzyma się dłużej niż parę dni, zanim kręgi znowu uczynią z niej kalekę, zamieniając ją w amalgamat bólu.

Wnętrze baru nie przykuwa jej uwagi. Już wcześniej bywała w podobnych miejscach. Pośrodku niczego trwają tylko dlatego, że są supermarketem, sklepem z pamiątkami, pisuarem. Na ścianach z gołej

cegły wiszą trofea myśliwskie, stare zdjęcia, czerwono-żółte flagi. Jedna z nich, ta największa, ma na środku orła ze złożonymi skrzydłami. Przypomina jej herb Rosji, tyle że ten ptak ma tylko jedną głowę.

Przy barze w półkolu siedzi tylko garstka mężczyzn, oglądają telewizję i piją piwo. Kiedy wchodzi, odwracają się, ale nic nie mówią.

Ona siada przy stoliku w pobliżu drzwi, ale tyłem do ściany. Kelner przynosi jej kartę. Jest dwujęzyczna, mówi po hiszpańsku i w języku, który w zamierzeniu miał być angielskim. Nie ma odwagi zamówić ośmiornicy, która idzie na imprezę, ani gotowanych lwów, więc tylko pokazuje zdjęcie w karcie. Kelner wzrusza ramionami i przynosi jej kanapkę z filetem z cielęciny.

Ona odkłada chleb i spokojnie, małymi kęsami, zjada białko, ucząc się hiszpańskiego na telefonie. Aplikacja pokazuje jej zdjęcia różnych przedmiotów. „Wskaż krzesło”. Wybiera poprawny obrazek, a w nagrodę telefon wydaje wesoty dźwięk.

Telewizyjne wiadomości pokazują właśnie zdjęcia, które zwracają jej uwagę. Nie rozumie prawie nic (głośność jest ustawiona na minimum), ale wie, co jest napisane na pasku. „HANDEL ŻYWYM TOWAREM”. Te słowa zna w wielu językach.

Chłonie te zdjęcia z poważnym wyrazem twarzy. Policjanci nie pozwalają dziennikarzom przekroczyć linii, ale kamera potrafi wychwycić poruszone fragmenty z tego miejsca. Flesze aparatów oświetlają pielęgniarzy wyciągających ciała w niebieskich torbach na zwłoki. Przy maksymalnym powiększeniu na jednym z trzęsących się kadrów widać niską kobietę owiniętą kocem, która czeka w karetce.

Szuka informacji w telefonie, za pomocą automatycznego tłumacza, równie złego jak ten, którego użyto do przetłumaczenia karty dań. Ale udaje jej się zrozumieć najważniejsze.

Przeklina po cichu.

To nie są dobre wieści. Będzie musiała zmienić swoje plany. To miała być dwudziestoczerogodzinna operacja. Przyjechać, wykonać, udać się do Lizbony i wrócić samolotem do Moskwy przez Rabat i Ankarę. Opuścić miasto w ciągu trzech minut, kraj w ciągu czterech

godzin, a Unię Europejską w ciągu dziewięciu. Przy takim planie nie mogliby jej złapać.

Teraz będzie musiała zmieniać wszystko na poczekaaniu. Podejmować ryzyko. Improwizować.

Improwizacji nienawidzi najbardziej na świecie.

Wstaje sfrustrowana i rusza w stronę toalety. Nie umykają jej szturchnięcia i spojrzenia grupki pijaczków przy barze. W tamtą stronę i z powrotem.

Ocenia zagrożenie.

Pięciu. Około trzydziestki, piwne brzuszki. Wysokie spożycie alkoholu. Jeden z nich jest duży. Ten po prawej umie się bić, może jest ochroniarzem albo był w wojsku.

Poziom zagrożenia: minimalny.

Podaje kelnerowi banknot dwudziestoeurowy. On go bierze, szepcze jej coś, czego ona nie rozumie. Ale spojrzenie w stronę końca baru, gdzie siedzi grupa pijaków, jest znamienne.

Ona przytakuje, bierze kask i wychodzi pomatu. Nie wykonała żadnego gestu w stronę piątki mężczyzn, ale wie, że za nią wyjdą. Wszystkie stada szkodników są takie same, nieważne, w jakiej części świata się znajdujesz. Psy. Pojedynczo nic nie znaczą. Kiedy łączą siły, uważają, że są zdolni do wszystkiego. Że mają prawo zrobić wszystko.

Kiedy wraca do motocykla, rozlega się odgłos stawianych powoli kroków na żwirze. Nie ma czasu na zabawę, ale nie zamierza też dać im satysfakcji, by zobaczyli, jak przez nich przyspiesza kroku.

Drzwi baru otwierają się z trzaskiem i cichym dzwonieniem. Głosy ją wołają. Początkowo tylko lubieżne, później wprost wygrażające. Jeden z mężczyzn wysuwa się na przód, drugi bierze z niego przykład, po chwili już cała piątka skraca do niej odległość. Coraz szybciej i szybciej.

Zostawia kask na siedzeniu kawasaki. Nie zaprzęta sobie głowy wyjmowaniem ze środka pistoletu, to nie jest potrzebne. Musi tylko

*wsiąść na motocykl, odpalić silnik i ruszyć. To byłoby najbardziej praktyczne.*

*Kiedy zakłada rękawiczki, powoli i skrupulatnie, pijacy ją otaczają, szczerkają wokół niej. Nie rozumie słów, lecz tonu nie da się pomylić z żadnym innym. To tylko kwestia czasu, kiedy pierwszy wyciągnie rękę, żeby jej dotknąć.*

*Ona unika kontaktu wzrokowego, nie chce ich prowokować. Nie do końca świadoma faktu, że niezwracanie na nich uwagi sprawia, że stają się agresywniejsi. Zamiast wsiąść na motocykl, robi parę kroków w stronę krawędzi tarasu widokowego. Przed pięćdziesięciometrowym upadkiem chroni ją tylko skromne osiemdziesięciocentymetrowe ogrodzenie. Stado zbliża się coraz bardziej, sądząc, że jest osaczona, ślinią się.*

*Kiedy jadła, poszukała w telefonie znaczenia nazwy wąwozu. Despeñaperros. Psy spadające ze skały.*

*Ciekawa nazwa.*

*Rzuca okiem na zegarek. Zostało jej jeszcze parę godzin jazdy. Ale motocykl ma dużą moc. Z łatwością nadrobi czas.*

*Uśmiecha się.*

*Chwilę może się zabawić.*

## 8

# Świt

Jon Gutiérrez nie lubi wstawać.

To nie kwestia godziny, bo jego zawód zmuszał go do pracy o najdziwniejszych porach, do okresów postu, wielkich biesiad, pięćdziesięciogodzinnych czuwań i jedenastogodzinnych drzemek.

Jon toleruje wstawanie, pod warunkiem że pozwala mu się wykonywać jego ulubiony rytuał hibernacji. Nastawić alarm w telefonie na godzinę wcześniej; kiedy zadzwoni, wcisnąć przycisk drzemki; powlec się do łazienki; odlewać się przez – jak się wydaje – całe stulecie („zobacz, mamo, z zamkniętymi oczami!”); powlec się z powrotem do łóżka; paść na nie; włączać drzemkę jeszcze czterokrotnie, chrapiąc pomiędzy; i wreszcie poddać się w obliczu wymogów pionu.

Jona we wczesnym wstawaniu wnerwia to, że musi zrobić to nagle. Gwałtowny elektryczny trzask w połowie drogi między uszami. Światło słoneczne, które rani go w oczy. Chroniczne zmęczenie. Ryzyko ciężkiego dnia. Absolutna pewność, że nie da się już zasnąć, choćby zakrywał głowę poduszką.

Antonia jest już ubrana, siedzi przy biurku z iPadem w ręce. Telewizor, bez dźwięku, jest nastawiony na kanał informacyjny. Pokazuje ujęcia z portu w Maladze.

„Zbyt dużo trupów, żeby upozorować rozbój”.

– Która godzina? – pyta Jon z zaschniętym gardłem.

– Dochodzi ósma. Idź pod prysznic. Strasznie śmierdzisz.

– Co ty tam wiesz, kaleko.

– Wiem, że śmierdzisz. I co jeszcze gorsze, wiem, jakie cząsteczki przeniknęły na twoje ubrania i włosy. Idź pod prysznic.

Przytłoczony wdzięcznością Antonii za jego troskę z poprzedniego wieczoru, Jon wstaje. W swoim tempie, które odpowiada tempu przemieszczania się płyt tektonicznych, dinozaurów, zwrotu podatku. Kiedy udaje mu się wyprostować plecy (po wielu trzaśnięciach i chrupnięciach), zaczyna przyglądać się swojej partnerce.

Wygląda normalnie. A przynajmniej na tyle normalnie, na ile może wyglądać najinteligentniejsza osoba na świecie, kiedy jednocześnie jest funkcjonariuszem tajnej europejskiej organizacji prowadzącej działalność ocierającą się o nielegalność.

„Tak, bez przecinków robi to większe wrażenie”.

– Chcę donuty – mówi Antonia. – Idź pod prysznic.

Jon nie zamierza wyjść z pokoju, nie wracając do tego, co stało się wczoraj wieczorem.

– Antonia...

– Co?

– Nie zamierzam wyjść z pokoju, nie wracając do tego, co stało się wczoraj wieczorem.

– Wczoraj wieczorem? Kiedy?

– W kontenerze.

– Zemdlałam. Idź pod prysznic.

– To już wiem. Wyciągnąłem cię stamtąd. Pytam, dlaczego zemdlałaś.

– Z powodu zmniejszonego przepływu krwi do mózgu wywołanego szokiem emocjonalnym, brakiem tlenu w kontenerze i nagłym wysiłkiem, gdy się schyliłam, żeby spróbować wyciągnąć tę kobietę. Idź pod prysznic.

– I to wszystko?

– Dla ciebie to mało?

Wyjaśnienie jest szczegółowe. Ale niewystarczające. Bo w dalszym ciągu nie tłumaczy, dlaczego miała tak bardzo rozszerzone źrenice, skoro nie wzięła czerwonej kapsułki. Ale Jon jest wyczerpany, więc po raz drugi popępnia błąd, odkładając sprawę na później.

Jutro zaświeci słońce.

– Co robisz?

- Firma, która sprowadziła kontener, to ślepy zaulek. To tylko pośrednik. Ale za odbiór odpowiadała inna firma. Jest na nazwisko figuranta. Ormianina, który nazywa się Ruben Ustyan. Ma biuro tu, w Marbelli. Idź pod prysznic.

- To pewnie tylko kolejne ogniwo w łańcuchu.

- Które zaprowadzi nas do następnego. Idź pod prysznic.

To niewiele. Ale po tym, co się stało wczorajszego wieczoru, Antonia jest zdecydowana za wszelką cenę zatrzymać Orłowa.

Jon wiąże krawat. Może i w tym ubraniu do wyrzucenia przejdzie ostatni odcinek korytarzem do swojego pokoju, ale Jon musi się upewnić, że będzie to przejście dostojne.



# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która chciała mieć pelerynę, by stać się niewidzialną”. Albo eliksir, który pozwoliłby jej zmienić swoją twarz na twarz kogoś innego. Albo mapę, która ostrzegłaby ją, gdzie znajdują się jej wrogowie.

Żaden z tych magicznych przedmiotów nie znajduje się w zasięgu Loli Moreno, tak więc zakłada kaptur na głowę i idzie skulona, jakby było jej zimno. Bo jest. Burza sprawiła, że temperatura spadła jeszcze bardziej, zostawiając w powietrzu niezdrową i lepłą wilgoć, zmieniając zimę w jesień.

Dziś Lola nie ma już gdzie spać.

Termin, jaki dała jej Yaiza, upłynął. Wyszła z mieszkania przed kilkoma minutami. Kusilo ją, by zapukać do pokoju koleżanki i prosić ją, żeby jej wybaczyła i zabrała ze sobą do Estepony. Podniosła już rękę, żeby zastukać, kiedy kostki jej dłoni zatrzymały się, nim dotknęły drewna. W wybraniu prostej drogi nie było żadnej przyszłości. Ani dla niej, ani dla syna. Bo to musi być chłopiec, oczywiście, mały Jurij, mały, piękny skurwysyn jak ojciec, nienadający się do niczego. „Albo prawie do niczego”, myśli Lola z ukłuciem tęsknoty w dolnej części ciała.

Energia i determinacja, z jakimi opuściła mieszkanie Yaizy, maleją nieco, kiedy idzie tak w kierunku Lomas Blancas. Boi się. Zaczęcie znowu od zera nagle nie wydaje jej się wcale takim złym pomysłem. Nawet jeśli na czarno. Czyścić schody od dziewiątej do ósmej. Serwować drinki od dziesiątej do szóstej. Ileż wspomnień ma z czasów, gdy pracowała jako kelnerka w Dreamers i w Mirage. Kiedy zataczający się nad ranem klienci szcicali pod kontuarem, bo nie chcieli im się iść do toalety. Albo klientka, która srała między głośnikami w głębi parkietu. Albo te wszystkie pijane

jak bele, wpeł gołe, uwalone własnymi wymiocinami przyjezdne, które trzeba było wyciągać z toalety.

„Trzeba zacząć nowe życie, ale na pewno nie będzie ono tak wyglądać”, obiecuje Lola małemu Jurijowi, głaszcząc sobie brzuch przez kieszenie bluzy. Nie wiedząc, czy zdoła spełnić tę obietnicę. Ale kto może składać obietnice, których nie można złamać.

W drodze do Lomas Blancas, na wysokości parku Zakochanych, serce zaczyna jej walić, usta wysychają.

Z naprzeciwka patrzy na nią jej własna twarz, powiększona sześciokrotnie.

Furgonetka informacyjna Policji Krajowej była powracającym żartem wśród kumpli Jurija. Sześciokołowy pojazd wożący stu pięćdziesięciocalowy ekran. Na LCD wyświetlają się twarze najbardziej poszukiwanych przestępców. Trzech z nich należy do klanu Orłowa. Poniżej znajdują się numer telefonu i adres mailowy, pod którymi należy zgłosić, jeśli się ich spotka.

– Używają okropnych zdjęć. Są tak złe, że mógłbym stanąć przed furgonetką, zrobić sobie selfie i nikt by mnie nie rozpoznał – chełpił się jeden z tych, którzy zwykle przychodzili do domu Jurija załatwiać sprawy. Jeden z Fominów, Kolia albo Wadim.

Lola patrzy na swoje dwumetrowe zdjęcie, na swoje nazwisko, datę urodzenia, i wcale nie jest jej do śmiechu. Zdjęcie jest kiepskiej jakości, ale to ona. Rozpoznaje się, uważa, że nawet dobrze na nim wyszła. A przecież nikt nie wychodzi dobrze na zdjęciach do dowodu. Policjant stojący przed furgonetką trzyma karabin maszynowy, czy jak tam to się nazywa. Czarny, z ogromną lufą. Wyglądający bardzo groźnie.

Jak gdyby jakaś broń palna nie wyglądała groźnie, jeśli nie ty trzymasz ją w ręku.

Pojazd stoi zaparkowany po drugiej stronie ulicy, policjant patrzy w jej stronę. A jeśli jest inaczej, to ona o tym nie wie, w końcu po coś noszą tę czapkę naciągniętą na same oczy. Lola nie może się odwrócić ani zmienić kierunku. Tak więc ze ściśniętym żołądkiem czeka przed przejściem na zmianę światła. Gdyby miała telefon, mogłaby go wyjąć i udawać, że

przełączyła Instagram, ale wyrzuciła go do śmieci po tym, co się stało w domu pogrzebowym. Nie ma wątpliwości, że kontrolują nie tylko komórki jej i Jurija, lecz także jej matki i numery, pod które zwykle dzwoni. W dzisiejszych czasach jest zbyt łatwo, żeby tego nie robić.

Przed jej nosem przejeżdża ostatni samochód (ogromne audi A8 z przyciemnionymi szybami), następny się zatrzymuje, światła się zmieniają i Loli nie pozostaje nic innego, jak ruszyć w stronę policjanta pilnującego furgonetki.

„Nie przystawaj. Nie skręcaj. Zachowuj się normalnie”.

Z walącym sercem i ze stłumionym oddechem Lola jest bardzo daleka od tego, by czuć się „normalnie”.

Znajduje się już prawie na wysokości policjanta. Musi zagospodarować połowę swojej siły woli, żeby nie spojrzeć mu w twarz. Drugą połowę wykorzystuje do powstrzymania chęci, by wyjąć ręce z kieszeni i jeszcze bardziej naciągnąć kaptur.

– Zimno, co? – zagaduje policjant, kiedy przechodzi obok niego.

Lola potrzebuje chwili, by zrozumieć, że głos, który się do niej zwraca, rzuca tylko nieszkodliwy komentarz. Może wynika to z tego, że puls wali jej w uszach jak na koncercie grupy Mayumana.

– Bardzo – odpowiada, nie zatrzymując się.

Mija go. I teraz cały swój wysiłek skupia na kontrolowaniu stóp, które żądają, by biegła, by oddaliła się jak najszybciej.

„Powoli. Powoli”.

Pół godziny później dociera do celu. Lomas Blancas to osiedle klasy średniej, gdzie na zmianę stoją domy jednorodzinne i te w zabudowie bliźniaczej. Lola jest wyczerpana, ma zawroty głowy i chce jej się pić. Brak insuliny zbiera swoje żniwo. Ma tak sucho w ustach, że język wydaje odgłos, kiedy dotyka nim podniebienia.

Długo już nie wytrzyma.

Nie może rozpoznać domu. Kiedyś przywiozła tu Żenię, bo ona akurat miała auto w warsztacie, ale to było ponad dwa lata temu, a teraz Lola jest

wyczerpana i zdezorientowana. „To bliźniak”, pamięta. „Prawie na samym końcu ulicy”. Kiedy jednak dociera w to miejsce, za drugim progiem zwalniającym, wszystkie wydają jej się obce.

Nogi nie mogą jej już dłużej utrzymać.

Przewraca się na chodnik, między kontenerem na szkło a peugeotem, i zaczyna płakać.

„Cholera, Jurij. Jak mogłeś być tak głupi?”

– Panienska Lola?

Lola podnosi wzrok i widzi przed sobą Żenię. To kobieta w średnim wieku. Tęga brunetka o smutnym uśmiechu. Ma na sobie džinsy i kurtkę, dźwiga parę toreb z zakupami.

Lola próbuje się podnieść, ale znowu czuje lekką, bardzo lekką głowę. Musi się oprzeć o zderzak peugeota oblepiony zaschniętym już błotem i rozplaszczonymi owadami.

– Proszę wejść do środka.

Żenia to dobra kobieta. Pracuje u nich od czterech lat. Zawsze sumiennie wywiązuje się ze swoich obowiązków, sprząta dom, prasuje i wykonuje inne prace domowe. Oczywiście bez umowy, bo Jurij już taki był. Ale dobrze jej płacili. Ten dom, w którym są teraz, to jedyny, oprócz willi Loli, w którym pracuje. W piątki, tak jak dziś.

– Jeszcze trochę kawy? – pyta kobieta, przysuwając dzbanek do filiżanki.

Lola pozwala, by ją napełniła, nie bez zakłopotania. Czuje się upokorzona, że musi prosić o pomoc swoją gospośią, wejść do obcego domu i przyjąć mimowolną gościnność innych. Tutaj mieszkają pewien kucharz i jego żona, pięćdziesięciolatki. Oboje są teraz w pracy, wyjaśnia Żenia. Lola zwraca uwagę na zdjęcie przyklejone magnesem do lodówki. Są na nich na wakacjach w Rzymie. Oboje patrzą w stronę aparatu z szerokimi uśmiechami. Mają identyczne bransoletki.

„Mogłabym mieć to z Jurijem. Tylko tego chciałam”.

Siedzą przy wysepce w kuchni, która łączy się z salonem. Wszystko dobrze ustawione, skromnie, ale przytulnie. Lola się uśmiecha, widząc, że mają jeden z tych malutkich telewizorów, trzydziestodwucalowych. Nie lubi dużych odbiorników. Przeszkadza jej widok porów na nosach prezenterek, fałszywe, lśniąca zęby. Jurij kupił jeden z tych gigantycznych, który sprawia, że Lola czuje się tak, jakby to było lustro łazienkowe z mnóstwem nieznanym. Jedno z tych powiększających. Te lustra rzadko kiedy przynoszą radość.

Loli przeszkadzało, że wydał na ten telewizor ponad dziesięć tysięcy euro. Wolałaby, żeby zrobił jej niespodziankę w postaci zegarka albo jakiejś okazałej biżuterii. Ale Jurij nie był przesadnie szarmancki czy wysublimowany. Kiedy zbliżały się jej urodziny, ona sugerowała, jak bardzo coś jej podoba. Nie zdążyła dokończyć zdania, a Jurij z szerokim uśmiechem podawał jej plik banknotów po dwieście euro.

„To wszystko minęło”.

W jej żyłach płynie rozpuszczona, trująca pewność. Jeszcze szkodliwsza w tym miejscu, gdy siedzi na środku czyjś idealnego życia, jakiego ona nigdy nie będzie miała.

– Dlaczego panienka do mnie nie zadzwoniła?

Lola waha się, czy powiedzieć jej prawdę. Mogłaby się przestraszyć.

Ale nie. Ta kobieta jest twarda. Uciekła z Ukrainy przed represjami rządu. Nie ma sensu jej okłamywać.

– Nie mogłam ryzykować, Żenia – mówi. – Policja na pewno ma twój telefon na podsłuchu.

Żenia wyjaśnia, że zadawano jej wiele pytań, choć ona niewiele wiedziała, bo nie było jej w domu, kiedy doszło do morderstwa. To ona znalazła ciało i zawiadomiła policję.

– Gdzie jest Kot?

– Zabrali go do miejskiego schroniska. Ja nie mogłam się nim zająć.

Lola rozumie. Pies waży czterdzieści kilogramów, rocznie na jego karmę wydaje się pięć tysięcy euro. Bez względu na to, jak bardzo lubi

Żenię (a to dziwne, bo Kot nie lubi nikogo), biedna kobieta nie mogła wziąć go do swojego mieszkania.

– Chcę ci coś zaproponować – mówi Lola.

Opowiada Żeni o swoim planie, a przynajmniej o tej jego części, o której kobieta powinna wiedzieć. I do której jest niezbędna.

Żenia słucha w milczeniu. Zawsze słucha w milczeniu, z przechyloną głową, z podbródkiem skierowanym nieco na prawo od osoby, która do niej mówi. Jak gdyby nie całkiem jej to dotyczyło. Zarówno wtedy, kiedy mówisz jej, żeby włożyła talerze do zmywarki, jak i wtedy, kiedy prosisz, by zostawiła swój dom, swoje życie, swoją pracę.

„Wynajmowane mieszkanie, w którym mieszka sama, i jedyne go klienta, dzięki któremu nie da rady go utrzymać. Decyzja jest prosta”, myśli Lola. I ma rację.

Żenia się zgadza.

Ale stawia warunek.

– Potrzebuję pięciu tysięcy euro. Muszę je wysłać do kraju.

– W przyszłym tygodniu dam ci dziesięć razy tyle.

– Nie. Potrzebuję ich teraz.

– Nie mam tylu pieniędzy.

– Muszę je dostać. Moja siostra potrzebuje protezy, żeby móc chodzić, a to dużo kosztuje. Jeśli coś mi się stanie, nie będę mogła jej pomóc. Pani da mi pieniądze, żebym jej wysłała, a ja pomogę.

Lola jest zrozpaczona. Próbuje ją przekonać, wyjaśnić, że musi być cierpliwa. Ale Żenia nie przyjmuje żadnych argumentów.

– Dobrze – mówi Lola. – Zdobędę te pieniądze. Spotkamy się jutro wieczorem w schronisku.

– To miejsce jest monitorowane. To nie jest dobry pomysł.

– To fatalny pomysł. Ale nie wyjadę bez mojego psa.

## 9

# Słup

Rubena Ustyana nikt nie pomyliłby z wizjonerem.

Nawet sam Ruben.

W 2001 roku Ruben (z akcentem na u, jak zawsze wyjaśnia każdemu, z kim się spotyka) wyemigrował do Włoch. W Armenii nie było przyszłości ani pracy. A przecież Ruben był otwarty na wszystko. Zanim skończył czterdzieści lat, miał się wielu rzeczy. Był kieszonkowcem, handlarzem narkotyków, alfonsem. Przyjechał do Rzymu dzięki pomocy kuzyna i został tam ze względu na liczbę turystów, których mógł oskubać na Piazza Navona. Ruben, niezbyt przyjaźnie nastawiony do sił porządkowych, jako pierwszy wściekł się, kiedy dwudziestego lipca karabinier zastrzelił Carla Giulianiego, manifestującego alterglobalistę.

– Ta cała globalizacja jest straszna. Straszna. Trzeba skończyć z nią jak najszybciej – stwierdził.

Pomijając fakt, że wtedy prowadził działalność biznesową w obcym państwie z międzynarodowymi klientami (krał portfele Hiszpanom, Japończykom, Amerykanom czy każdemu, kto mu na to pozwolił), niechęć Rubena Ustyana do globalizacji miała dołączyć do innych wielkich przepowiedni z historii.

Jak Alex Lewyt, wynalazca odkurzaczy, kiedy w 1955 roku powiedział, że za dziesięć lat wszystkie te urządzenia będą miały napęd atomowy.

Jak Thomas Watson, prezes IBM, kiedy w 1943 roku powiedział, że na świecie jest miejsce co najwyżej dla pięciu komputerów.

Nie, Rubena Ustyana nikt nie pomyliłby z wizjonerem. Ale jego zerowa zdolność przewidywania została udowodniona jako korzyść ewolucyjna. Kilka lat później, podczas urlopu w Hiszpanii, poznał Asłana Orłowa. Jak?

To długa historia z przebitą oponą, kozą i butelką wódki. Uznajmy, że to był przypadek.

Bestia spojrział uważnie na Rubena Ustyana. Niziutki, oliwkowa cera. Ze szczurzą twarzą wyglądał na nieprzystępnego. Niemieszczące się w ustach zęby zmuszały go do ciągłego uśmiechu. Zobaczył w nim człowieka bez wyobraźni i zrobił z niego kierownika burdelu w Puerto Banús.

– Możemy ufać Ormiańcowi – powiedział Orłow. – Jest zbyt gęsty, żeby to schrzanić.

Orłow powiedział dosłownie „gęsty jak niedźwiedzie gównno”, ale niektóre rosyjskie idiomy są trudno przetłumaczalne.

I tak Ruben wiódł zupełnie zwyczajne życie. Prowadził rachunki. Utrzymywał rotację kobiet, sprzedając je do innych, mniej luksusowych przybytków, kiedy zdradzały symptomy zmęczenia. Zamawiał całe palety puszek z napojami. Skuteczny menedżer w latach bańki na rynku nieruchomości.

Kiedy pękła, Ruben dowiedział się o tym jako ostatni. Hazard i prostytutka to dwa ostatnie nałogi, z których rezygnują bankrutujący. Zanim informacja do niego dotarła, minęło tyle czasu, że kiedy usłyszał, iż bańka pękła, dmuchano już kolejną.

– Całe szczęście, że wyszliśmy z kryzysu – powiedział mu Jurij.

– Z jakiego kryzysu?

– Daj mi drugie piwo, no już.

Jurij często bywał w burdelu, załatwiał sprawy, przynosił torebki z koką dla jakiegoś klienta, takie rzeczy. Jako bandzior Orłowa miał prawo dostawać kobiety gratis. Za alkohol musiał płacić. Ruben szacował, że nawet ze zniżką pracowniczą osiemdziesiąt procent pensji Jurija trafiało do jego kasy.

Nagle Jurij przestał przychodzić.

Ruben, którego zyski spadły, wyrzucił mu to pewnego dnia, kiedy spotkał go w perfumerii w El Corte Inglés. W każdej ręce trzymał torbę.

– Jurij, co jest? Nie widuję cię od miesiący. Pogniewałeś się na mnie?



- Już nie robię takich rzeczy. Jestem zakochany - powiedział Jurij z głupkowskim uśmiechem.

Ruben się zaśmiał. Jurij był jego klientem numer jeden. Gdyby oprócz piw płacił też za kobiety, Ruben kupiłby sobie jacht. Co mogło oderwać go od nałogu? Śmiał się dalej, aż jego oczy podążyły za palcem Jurija. Wskazywał wysoką i szczupłą kobietę, stojącą przed stoiskiem Louis Vuitton. Podświetlone zdjęcie przedstawiało Léę Seydoux trzymającą kwiat. Kobieta, która szperała między perfumami, uderzając złote nakrętki paznokciem pomalowanym na różowo, była identyczna jak ona. Ale piękniejsza i mniej francuska.

Ruben z trudem zdołał zamknąć usta, widząc, że kobieta się do nich zbliża.

- To Lola, moja żona.

Wtedy padła propozycja.

Od tamtego czasu minęły całe lata. Sześć? Siedem? Ruben nie pamięta. Możliwe, że nawet dziesięć. Dla niego od tamtej pory wszystkie dni są jednakowe. A także spokojniejsze. Lecz znacznie nudniejsze.

Tamtego dnia Jurij opowiedział mu o nowym biznesie, który chciał założyć. Ruben znowu zaczął się śmiać, myśląc o tym bandziorze z zakrwawionymi kostkami dłoni, jak zakłada sklepik za pozwoleniem Orłowa.

Przestał się śmiać dwa tygodnie później, kiedy Bestia przekazał mu, by zostawił burdel i robił wszystko, co nakaze mu Jurij.

A Jurij mówi mu, żeby wynajął biuro w San Pedro Norte. Budynek Palomas. Przestrzeń wewnętrzna, bez okien, tylko dwa pomieszczenia. Biurko, krzesło, gołe ściany.

Jurij sadza Rubena na krześle przed laptopem, żeby miał zajęcie.

- Co mam robić?

- Nie wiem. Nic.

- A jak zadzwonią? - pyta, wskazując telefon.

- No to odbierzesz.

– I co mam mówić?

– Że to pomyłka.

Ruben drapie się po szyi, zapala papierosa.

– A ile mi za to zapłacicie?

Jurij mu mówi.

To pięć razy więcej, niż zarabiał w burdelu.

Tak więc teraz Ruben jest pracownikiem Jurija.

Większość dnia spędza na siedzeniu w biurze. Gra w tetrisa, ogląda filmiki na YouTubie o ciekawych rzeczach. Jest taki koreański żongler, który robi sztuczki nago (na przykład zdejmuje obrus ze stołu, ciągnąc tkaninę pośladkami), który go zafascynował.

– Mógłbym siedzieć w domu.

– Musisz być tutaj, w razie gdybym cię potrzebował – odpowiada Jurij.

To prawda, że Jurij pojawia się tu prawie codziennie z aktówką i papierami pod pachą lub z notariuszem. Prosi go, by podpisał tutaj, tutaj i tutaj. Ruben podpisuje. Cały tydzień spędza na podpisywaniu. Dokumenty z niebieskimi stemplami w niebieskich teczkach. Czeki, pożyczki, podania. Pokwitowania, rachunki, przelewy. Umowy. Dyspozycje. Pełnomocnictwa. Oświadczenia.

I pisma. Mnóstwo, całe mnóstwo pism. Niekiedy nawet trzydzieści dziennie.

Ruben opanował sztukę podpisywania bez patrzenia. Dosłownie. Lewą ręką dalej gra w tetrisa, podczas gdy prawą przesuwają w górę i w dół. Jurij podtyka mu papier, mówi „już”, Ruben podpisuje, notariusz poświadcza, Ruben podnosi rękę i znowu od początku. I to wszystko bez odrywania oczu od ekranu.

Żółtateczka – pismo. Niebieskateczka – czek.

Ruben marzy o pobiciu rekordu świata, który wynosi 4988 linii. Na razie jest w połowie.

– Byłoby łatwiej, gdybyś nie kazał mi tyle podpisywać – skarży się.

– Nie narzekaj. Na pewno jesteś człowiekiem, który zarządza największą liczbą firm na świecie. Może w Europie, nie wiem.

– Ile ich jest? – pyta Ruben od niechcenia.

Jurij dokonuje szybkiego obliczenia.

– Trochę ponad siedem tysięcy.

– Jestem magnatem – chełpi się Ruben. – Jak Ramón Ortiz albo Donald Trump.

– Jasne, Ruben.

Jurij klepie go po ramieniu, a potem chowa papiery. W głębi znajduje się przeszklone pomieszczenie. W środku jest wielka szafa na dokumenty i komputer. Tylko Jurij tam wchodzi, tylko on ma klucz.

Teraz Jurij nie żyje.

Ruben był na pogrzebie tak jak wszyscy. Dostał wyraźną wiadomość od Asłana Orłowa. Teraz krążą dziwne plotki na temat śmierci Jurija i zabójczyni, którą Orłow kazał wezwać, żeby zajęła się żoną. Ale jego to wszystko nie dotyczy. On jest lojalny bratwie, więc nikt nie może go ruszyć.

Dlatego wciąż przychodzi każdego dnia.

Bo to jest jego praca.

Nie wie zbyt dobrze, na czym ona polega, teraz, gdy już nikt nie zjawia się codziennie z papierami do podpisu, ale siła przyzwyczajenia jest niezwykle mocna. W domu by się nudził, nie ma tam z kim rozmawiać.

Poza tym tutaj ma tetrisa.

Tak więc przychodzi, porusza myszką, żeby wyjść z wygaszacza ekranu, i kontynuuje partyjkę, którą przerwał poprzedniego dnia. Ma na koncie tysiąc dwieście linii i popełnił tylko jeden mały błąd w rogu (przekłete czerwone kawałki, nigdy nie ma ich jak ułożyć), więc ma nadzieję, że zdoła go naprawić.

Ktoś puka do drzwi.

Ruben nie zwraca na to uwagi. Nikt nigdy nie przychodzi.

Pukanie uparcie rozlega się dalej.

# 10

## Tablica

Palomas Building znajduje się daleko od centrum. To jeden z tych reliktyw z cudownych lat dziewięćdziesiątych. Z czasów, kiedy mafiosi nie przybywali z rosyjskich stepów, tylko ze stepów prowincji Soria. Z czasów, kiedy się nie ukrywali, tylko prowadzili kampanię wyborczą dla burmistrza na okładkach sportowych gazet „As” i „Marca”. Kiedy zarabiali i budowali bez żadnej kontroli. Ponad trzydzieści tysięcy nielegalnych lokali, dziesiątki budynków postawionych jedynie w celach rabunkowych. Prawie wszystkie przetrwały, mimo niekończących się wyroków sądowych, które nakazują ich wyburzenie. Niektóre, jak Palomas Building, porzucone na pastwę losu przez biznesmena pozbawionego skrupułów.

Nie ma portiera. Trzy czwarte biur stoi pustych. A przynajmniej według tablicy informacyjnej przy wejściu, zrobionej z niedającej się odróżnić imitacji brązu.

– To jest firma Ustyana. Usługi dla Przedsiębiorców sp. z o.o. Ósme piętro, drzwi B – wskazuje Antonia, kiedy znajduje tabliczkę, której szukała.

– Może i mafiosi, ale poczucia humoru im nie brakuje – odpowiada Jon.

– Tworzą firmy od podstaw i ułatwiają im rozpoczęcie działalności. Pod względem technicznym opis jest poprawny – mówi Antonia, wciskając przycisk windy.

Jon wzdycha. Teatralnie.

– Myślisz, że zdołasz się kiedyś roześmiać, tak żebym nie musiał tłumaczyć ci żartu? Jeden jedyny raz.

- Istnieje taka możliwość. Ty pierwszy - mówi, wpuszczając go do windy.

# 11

## Kostka

Ruben przeklina, wstaje, rusza do drzwi. Otwiera je poirytowany.

– To pomy...

Biała ściana, błysk, lekki zawrót głowy. Ruben nie wie, jak to nazwać, w każdym razie teraz leży na podłodze i trzyma się za nos.

Zadany cios spowodował złamanie, krew leje się strumieniem między jego palcami i kapie na podłogę. Lepka, gęsta krew. Ruben z niedowierzaniem patrzy na pokryte czerwienią dłoń.

Jest człowiekiem niskim, bojaźliwym. Cechy, które przynoszą korzyści kieszonkowcowi. Które nie przeszkadzają zbyt w pracy kierownika burdelu, o ile ma on pod ręką paru krzepkich facetów. Ale które bardzo utrudniają obronę słupowi, który od sześciu lat siedzi na krześle, kiedy ci sami krzepcy faceci zjawiają się przed jego drzwiami.

Ruben ich zna. To bracia Fominowie. Dwaj Gruzini, straszne skurwysyny. Obaj są wielcy, silni. Drzewa w ubraniach. Ogolone głowy i wytatuowane ręce. Pamiątka z wojska.

Ale przywieźli nie tylko to. Nabyli tam także cenne umiejętności. Jak na przykład wywieranie nacisku na kość, aż ta się złamie. To właśnie robią w tej chwili, nachyleni nad Rubenem. Jeden go przeszukuje, drugi zawzięcie miażdży mu kostkę.

Ruben jest tak zdezorientowany, że mija chwila, zanim przypomni sobie, by krzyknąć.

Jego pierwszy wrzask wydobywa się po chrzęście łamiącej się kości strzałkowej. Suchym, nieprzyjemnym chrzęście. Takim, jaki wydaje patyczek po Magnumie, kiedy łamiesz go na pół, a potem zawijasz niedbale w papierek.

Ruben krzyczy. Ból jest ostry, przesywający, ale czuje go z dala od swojego ciała, jakby przytrafiało się to komuś innemu. Ruben krzyczy z niedowierzania. Przecież jeszcze kilka sekund temu siedział sobie tu zupełnie spokojnie, grał na komputerze i miał w banku więcej pieniędzy, niż mógłby wydać do końca swojego życia.

– Co robicie? Co robicie? – pyta, jakby to jeszcze nie było jasne.

A potem dodaje, ponieważ nie może tego uniknąć, ponieważ każda osoba, która kiedykolwiek znalazła się w takiej sytuacji jak on, czuła potrzebę, by powiedzieć:

– Czy wy wiecie, kim ja jestem?

– Jasne – odpowiada jeden z Fominów. Młodszy. Jeśli Ruben się nie myli, ma na imię Wadim. Albo Kolia.

– Muszę pogadać z Orłowem. Muszę pogadać z Orłowem – mówi Ruben, próbując się podnieść, wrócić do swojego biurka. Potyka się z powodu złamanej kostki, upada, postanawia się czołgać.

Jeden z jego napastników jest od niego szybszy, podchodzi do biurka, bierze telefon Rubena i chowa go do kieszeni. Oczywiście słup nie może tego widzieć, bo wciąż leży twarzą do dołu.

– Muszę pogadać z Orłowem – powtarza Ruben, zwracając się do stóp, które przechodzą przed jego nosem.

Jedna z tych stóp zwraca się z kolei do jego prawego policzka, uderzając weń z dużą siłą. Chrząst i ból nie pozwalają Rubenowi usłyszeć, jak drugi z Fominów – Wadim, a może Kolia – rozwała drzwi szafy na dokumenty Jurija.

Ruben na kilka chwil traci przytomność. Ale kiedy ją odzyskuje, wraca do swojej śpiewki. To jedyne, czego w tej chwili potrafi się chwycić. Wiadomo już, że Ruben Ustyan jest człowiekiem pozbawionym wyobraźni.

– Proszę. Dajcie mi pogadać z Orłowem.

Upór Rubena zostaje wynagrodzony, kiedy jeden z Fominów przerywa swoje zajęcie, wybiera numer telefonu, włącza głośnik i kładzie urządzenie blisko ust Rubena.

– Skończyliście już? – odzywa się Orłow szorstkim tonem.

– Asłan. Asłan, to ja.

Głos Bestii się zmienia, gdy słyszy, kto jest po drugiej stronie telefonu. Staje się spokojniejszy. Zrezygnowany.

– Ach, cześć, Ruben.

Słyszając głos wora, Ruben wydaje z siebie radosne westchnienie ulgi. Wreszcie może wyjaśnić to nieporozumienie.

– Asłan, są tu Fominowie.

– Ja ich wysłałem.

Ruben czuje wilgoć na karku, na przedramionach, na plecach. Czuje ostry zapach, nawet ze złamanym nosem, z którego nadal sączy się krew, teraz gęstsza i z przerwami. Udaje mu się odwrócić na tyle, by zobaczyć, że Kolia (jest prawie pewien, że to on) spryskuje go zawartością puszki.

– Powiedz im, żeby mnie nie krzywdzili. Ja nic nie zrobiłem.

– Wiem. Ale widziałeś wczorajsze wiadomości na temat kontenera.

– Jakie wiadomości? – pyta osłupiały Ruben.

Orłow wybucha śmiechem.

– Naprawdę, Ruben, szkoda, że cię stracę. Trudno jest znaleźć tak przydatnych głupków jak ty. Ale nie można zostawić świadków – mówi i się rozłącza.

Kolia zabiera swój telefon, siada na plecach Rubena, łapie go za szyję i zaczyna walić jego głową o podłogę. Spokojnie. To doskonała metoda, jeśli nie ma pośpiechu, będąca odpowiednikiem rozbicia jajka o krawędź patelni. Wcześniej czy później skorupka pęka.

Ruben traci przytomność między trzecim a czwartym uderzeniem.

Kiedy ją odzyskuje, istnieje tylko ciemność. Myśli, że oślepl, ale wtedy pojawiają się płomienie.

A później krzyki.



## 12

### Trochę dymu

– Mam dowody na to, co mówię. Żartu o kocie też nie załapałaś – upiera się Jon, wciskając przycisk ósmego piętra.

– Wdrapał się na drzewo. To hasło, które ustalili on i jego przyjaciel, żeby złagodzić szok emocjonalny wywołany złą wiadomością. Oczywiście, że załapałam.

Inspektor Gutiérrez przewraca oczami. Wszystko na darmo.

„Całkowicie odporna na poczucie humoru”.

Znowu wciska ósemkę, licząc, że winda przyspieszy. W tle rozbrzmiewa jakaś wersja *Despacito*. Jon jest przekonany, że piekło musi być o wiele przyjaźniejszym miejscem od tego.

– My też powinniśmy mieć hasło – mówi Antonia.

– Po co?

– Żeby ostrzegać się przed niebezpieczeństwem czy coś takiego. Jakiś kod. Na przykład „watykańskie kamee”. Jeśli któreś z nas to powie...

Jon podnosi rękę, żeby jej przerwać, i kładzie palec na ustach.

– Słyszałaś to?

Antonia potrząsa głową. Ale Jon wie, co słyszał. Krzyk. I głuchy hałas, jakby ważący osiemdziesiąt pięć kilogramów worek pełen mięsa i kości spadł z wysokości mniej więcej siedemdziesięciu centymetrów. Tak dla przykładu. I jest coś jeszcze.

Zanim otworzyły się drzwi, poczuł swąd spalenizny. Jakby papier, plastik, coś z grilla. Grill skarbnika partii politycznej.

*Ding.*

Na korytarzu jest całkowicie ciemno, jedynie delikatne światło pochodzące z wnętrza windy oświetla kłęby dymu, które zawisają na

średniej wysokości i wdzierają się do kabiny windy.

Jon wyjmując z kieszeni latarkę.

Po jego prawej są drzwi biura A. Zamknięte. Na końcu korytarza drzwi biura B. Otwarte.

Domyśla się, skąd pochodzi dym.

– Powiadom komisarzkę i Belgrana – mówi po cichu Jon, wyjmując pistolet.

Nie było to potrzebne, bo palce Antonii latają już po klawiaturze telefonu. Wiadomość zostaje wysłana, zanim Jon skończy artykułować swoją prośbę.

– Co robimy?

Jon wskazuje sufit. Lampa jest wyrwana, kable zwisają, stłuczona żarówka leży na podłodze.

„Ten, kto chciał ciemności, dostał ją”.

– Watykańskie kamee – mówi Jon, idąc w stronę drzwi. Latarka w lewej dłoni zaciśnięta niczym sztylet. Prawa dłoń oparta o przeciwległe przedramię, wyciągnięte do przodu.

– To tak nie działa – odzywa się Antonia.

– Wiem. Trzymaj się za mną.

Inspektor Gutiérrez bardzo wyraźnie pamięta, co się stało, kiedy ostatni raz powiedział to Antonii Scott. Znikąd pojawiło się porsche cayenne, o mało ich nie przejeżdżając, i zaczął się brutalny pościg, z którego cudem uszli z życiem.

Jon czuje dziwne mrowienie na skórze głowy. Setki insektów przemykających między jego czaszką a włosami. Które ruszają się tylko wtedy, kiedy coś ma się nie powieść.

Oddycha powoli, przez usta. Dym nie jest gęsty, rozwiewa się. Cokolwiek go wywołało, właśnie się dopala.

Jon Gutiérrez nie wierzy w przypadki. Nie wierzy, że jakimś dziwnym trafem w firmie, do której się wybierają, pożar wybucha chwilę przed ich pojawieniem się na miejscu. Nie uważa też, aby wejście do potencjalnie niebezpiecznego ciemnego pomieszczenia z jednym tylko światłem było

najskuteczniejszym sposobem na zaskoczenie wroga. Jest to raczej wytatuowanie sobie na skroni tarczy. Ma na uwadze także i to, że w przeciwieństwie do pospolitych przestępców, rosyjska mafia ma dostęp do broni krótkiej. A nawet do karabinów szturmowych. Z rodzaju tych, które jeśli w ciebie celują, załatwiają cię w mgnieniu oka.

Tak więc Jon podchodzi do drzwi firmy Usługi dla Przedsiębiorców, mając – jak to się technicznie nazywa w żargonie policyjnym – jaja w gardle.

– Zostań na zewnątrz – nakazuje Antonii.

Wiązką światła z latarki omiata pomieszczenie tak, jak nauczono go w akademii. Lewy narożnik, prawy narożnik, kolejny narożnik, za drzwiami. Czysto.

Puste biurko, krzesło. Po drugiej stronie jest coś, co wygląda na drugie pomieszczenie. Drzwi. W progu leży ciało. Szerniałe, dymiące.

– Kurwa mać.

Przekleństwo działa jak zaklęcie przywołujące. Takie, które można dołączyć do magicznych słów sprawiających, że rzeczy pojawiają się znikąd. Abrakadabra, dracarys, kurwa mać. Antonia wyłania się zza pleców Jona, widzi ciało leżące na ziemi i rzuca się w jego stronę.

– Nie ruszaj się, kobieto. Ciągle to samo – powstrzymuje ją Jon. Musi jeszcze sprawdzić drugie pomieszczenie.

Przechodzi nad ciałem. Ramię do przodu, pistolet wycelowany w dół, znowu sprawdza cztery narożniki.

Lewy narożnik, prawy narożnik, kolejny narożnik, za drzwiami. Czysto.

Tylko resztki tłącego się ogniska rozpalonego na środku pokoju. Pozostałości roztopionych polimerów, smród nafty i spalonego plastiku, które sprawiają, że nie da się tu oddychać.

Na podłodze leżą kolejne dwa ciała. Jon sprawdza puls u pierwszego. Czy raczej jego brak. U drugiego nie jest to potrzebne, nóż wbity w oko mówi sam za siebie.

– Żyje? – pyta Jon, kierując latarkę w stronę Antonii.

## Dwie sekundy

Antonia, klęcząc przy dymiącym cieple, uświadamia sobie, że mężczyzna jeszcze oddycha. Odwraca się do Jona, żeby mu o tym powiedzieć, ale jest za późno. Słyszy metaliczny dźwięk, delikatne *klonk*. Tak jak wtedy, gdy przestawia się metalową skrzynkę. Znikąd pojawia się twarz, która unosi się obok twarzy Jona. Ręka ściska go za szyję.

Latarka upada na podłogę, odbija się, gaśnie z trzaskiem.

Teraz panuje absolutna ciemność.

Antonia na czworakach próbuje macać podłogę w poszukiwaniu latarki, podczas gdy mrok przed nią zdaje się nabierać życia, wypełniać się groźnymi bodźcami.

Dziki chrząknięcie.

Pocieranie ciał, materiału o skórę.

Uderzenie. Metaliczne.

Grzmot.

Chwila niepewności, cisza.

Ruch zatęchłego powietrza w pomieszczeniu, kiedy ciało upada na podłogę.

Dyszenie.

Krok.

Kolejny krok.

Palce Antonii wreszcie chwytają latarkę od strony żarówki.

Nie są jedyne. Światło się włącza, oświetlając wnętrze dłoni Antonii czerwonym i upiornym blaskiem.

– Puść – odzywa się kobiecy głos.

Antonia rozluźnia palce, puszcza latarkę.

Przez krótką chwilę, kiedy wiązka światła pada na jej białą bluzkę, dostrzega twarz młodej kobiety o przenikliwych i bystrych oczach, które przecinają ciemność na pół.

Potem ona się odchyła i kieruje latarkę w oczy Antonii, która podnosi się do klęku.

W oświetlonej przestrzeni pojawia się pistolet. Jego lufa znajduje się niecałe sześć centymetrów od czoła Antonii.

Ona przewraca oczami.

Makarow kalibru dziewięć milimetrów.

– Kto? – pyta kobieta.

Pytanie wypowiada tonem, który nie pozostawia miejsca na wątpliwości. Odpowiadaj albo kulka w łeb. Ale Antonia nie pierwszy raz znajduje się przed lufą broni. Nie pierwszy ani nie dziesiąty. I ona też nie ma wątpliwości. Nigdy nie wolno okazywać strachu, nigdy nie wolno ustąpić.

– A ty to kto? – odpowiada.

Lufa pistoletu się zbliża, muskając jej czoło, choć Antonia się nie rusza, jedynie szybko mruga, próbując zdecydować, co zrobić.

– Kto? – powtarza kobieta.

Palec zgina się na spuście. Za chwilę go naciśnie. Ma tylko dwie sekundy.

Dla innych osób dwie sekundy mogą być maleńkim wycinkiem czasu.

Nie dla Antonii.

W ciągu dwóch sekund Antonia ocenia trzy możliwe reakcje fizyczne:

- przesunąć się,
- paść na podłogę,
- spróbować chwycić pistolet.

Odrzuca je. Jakakolwiek próba zaatakowania jej bez broni jest skazana na porażkę. Podejrzana zabiła właśnie dwóch potężnych facetów i obezwładniła (Antonia słyszy jego oddech) trzeciego, jeszcze potężniejszego. Nie żeby był gruby.

Próbuje obliczyć w myślach czas reakcji policji w tej odległej części miasta. Sprawdza w swojej fotograficznej pamięci stronę z dokumentacją, którą przygotował Mentor. To może potrwać nawet pięć minut. Ile minęło, odkąd zadzwoniła? Trzy i pół minuty z marginesem błędu wynoszącym dziesięć sekund.

Jej jedyną opcją jest gra na czas. Utrzymanie się przy życiu, aż przyjadą. To, co Mentor nazywa taktyką MRW. Mylić. Rozpraszać. Wyciągać informacje.

– Ja bym nie strzelała – mówi Antonia. – To byłby poważny błąd.

Kobieta gasi latarkę, przywracając ciemność, ciężką i gęstą.

„Jest sprytna. Nie chce, bym na nią patrzyła”.

– Ja nie mówić dobrze hiszpański – odpowiada.

– Mój rosyjski też nie jest perfekcyjny – oznajmia Antonia w tym języku. Z nienagannym moskiewskim akcentem.

Głos staje się łagodniejszy, wręcz uprzejmy, kiedy obie zaczynają mówić po rosyjsku.

– Jesteś policjantką?

– Coś w tym rodzaju. Moi koledzy zaraz tu będą.

Jak gdyby wszechświat czekał na jej sygnał, w tym momencie z oddali zaczyna dobiegać dźwięk policyjnych syren.

– W filmach nigdy nie rozumiałam takich sytuacji. – Teraz głos w ciemności słychać bardziej na prawo od Antonii. – Bohater jest na łasce tego złego. Rozbrzmiewają syreny i ten zły odchodzi. Naciśnięcie spustu zajmuje tyle samo, co jego nienaciskanie.

Antonia uśmiecha się wobec niezaprzeczalnej logiki.

– To właśnie zamierzasz zrobić? Zabić nas?

Słychać kroki, czuć ruch powietrza. Nagle głos kobiety rozbrzmiewa przy lewym uchu Antonii. Sylaby po rosyjsku wymawia z zadziwiającą łagodnością.

Tuż za nią.

– Masz szczęście, policjantko. Dziś nie jesteś w moim menu.

Antonia wzdryga się zaskoczona.

Kiedy się pozbierała, za nią była już tylko ciemność.

„Zniknęła”.

Wstaje, wyjmując z kurtki telefon i włącza fleszt. Jon jest po drugiej stronie pomieszczenia, leży na plecach, nieprzytomny. Antonia klęka przy nim, jedną ręką szczypie odcinek skóry między kciukiem a palcem wskazującym, drugą mocno naciska pod nosem.

Jon wraca do siebie, wyjąwszy z bólu. Ma rozciętą dolną wargę, strużka krwi spływa mu po brodzie.

– Co robisz?

– Odzyskiwanie przytomności przez stymulację sensoryczną.

– Boli jak cholera.

– O to właśnie chodzi – mówi Antonia, która już wstaje i wraca do ciała leżącego na podłodze. – Pomóż mi go odwrócić.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Ruben Ustyan jest umierający.

Antonia o tym wie.

Wie także, ponieważ uważnie analizowała jego rany, że odwrócenie go na plecy wywoła ogromny ból.

Zresztą na to właśnie liczy.

Jon o tym nie wie i nie ma potrzeby, żeby się dowiadywał. Są takie decyzje, które musi podejmować sama.

– Pomóż mi – nalega.

Odwracają Rubena.

Ormianin krzyczy ochryplym głosem. Benzen, który zapalili na jego ciele, spalił mu przeszło czterdzieści procent powierzchni skóry, niszcząc naskórek i docierając do warstwy tłuszczu. Zakończenia nerwowe zostały zniszczone przez ogień na znacznej części pleców, ale po bokach, tam, gdzie poliestrowe ubranie stopiło się ze skórą, zachowały się jeszcze receptory bólu. To jest ta sama zasada, którą wcześniej Antonia zastosowała wobec Jona, tyle że o wiele bardziej bezlitosna. Nerwy aktywują się jednocześnie, wysyłając do mózgu miliony sygnałów ostrzegawczych, przyspieszając tętno, rozszerzając zmaltretowane drogi

oddechowe i otaczając urazy głowy. Niestety również zmniejszają jego nadzieje na przeżycie: z siedmiu minut do kilku sekund.

Próbuje się podnieść. Antonia chwytą go za rękę, mimo że dotyk spalonej skóry

*(trzeszczącej, ciepłej i szorstkiej na zewnątrz, popękanej  
jak wyschnięta katuża, śliska przy dotyku w środku)*

wywołuje w niej ogromne obrzydzenie.

– Spokojnie, panie Ustyan – mówi.

– Nic nie zrobiłem. Nic nie zrobiłem. Powiedz Orłowowi, że nic nie zrobiłem.

– Karetka już jedzie. Proszę się nie przejmować – odzywa się Jon.

Z zewnątrz dobiegają ich krzyki policjantów. Inspektor Gutiérrez wstaje, podnosi ręce i powiadamia o swoim stopniu i o swojej pozycji, bo nie chce dostać kulki.

– On to panu zrobił? Orłow? To on przysłał kobietę? Wie pan, jak ona się nazywa?

Ruben kaszle, dyszy. Walczy o każdy oddech. Jego głos jest szorstki jak papier ścierny. Patrzy na Antonię szeroko otwartymi oczami.

– Czarna Wółczyca.



# 14

## Riposta

Komisarka Romero ani trochę nie jest zadowolona.

Jest kobietą nieprzeniknioną, powściągliwą, niezbyt skłonną do okazywania uczuć. Jon potrafi jednak dostrzec jej dezaprobatę, ponieważ krzyczy w odległości dwóch centymetrów od jego twarzy. Z rozpryskami śliny i w ogóle.

– Prosiłam, żebyście uważali. Żebyście nie wkładali kija w mrowisko. A co zastają?!

Jon, który usiadł za biurkiem Ustyana, żeby komisarce było wygodniej na niego krzyczeć, pozwala się zdominować. Po części dlatego, że w ciągu dwudziestu czterech lat w policji Jon wiele razy dostawał opieprz. I wie, że lepiej jest pozwolić, żeby jak najszybciej wypluli truciznę.

„Dosłownie”, myśli Jon, rozkrzyżowując ręce, żeby wytrzeć sobie policzek.

A po części dlatego, że czuje się winny.

Ostatnio zbierał informacje na temat komisarki. Prymuska w akademii, pierwsza komisarka w Andaluzji, imponująca liczba nalotów, zatrzymań i konfiskat. W gazecie „Diario Sur” piszą o niej jako o następnej szefowej policji całej prowincji. Potem, co nieuniknione, przeniesienie do Madrytu.

„Jak w przypadku wszystkich kobiet w tym gównianym zawodzie przyglądają jej się dwa albo nawet trzy razy uważniej. Musi więc starać się cztery razy bardziej. Bezdzienna. Bez stałego partnera. Twarda jak cholera”.

Musiała mieć wolny dzień, bo jest ubrana po cywilnemu, w dżinsy i bluzę. Włosy ma zebrane w kok – ścisły jak zawsze, do tego wręcz stopnia,

że Jon się zastanawia, czy to przypadkiem nie kask. I roztacza woń złościwości, która wypycha z pomieszczenia smród pożaru.

– Dwa trupy w centrum handlowym – wylicza, zwijając każdą liczbę i rzucając nią w twarz Jona. – Osiem martwych dziewczyn wczoraj w kontenerze plus jedna w szpitalu. Dziś rano kolejne dwa trupy tutaj.

Belgrano szepcze jej coś do ucha.

– Trzy trupy. Ustyan zmarł w drodze do szpitala. To w sumie daje trzynaście.

– Czternaście. Nie zapominajmy o Juriju Woroninie – wtrąca Antonia.

Jon przebiega dłonią po szyi. Jest obolała i zaczerwieniona w miejscu, w którym tajemnicza kobieta sprzed chwili przydusiła go tak, że go zamroczyło. Nie wie, jak powiedzieć Antonii, że w tym momencie nie można się wychylać. Choć możliwe, że to nie najlepszy pomysł, bo kiedy ostatnim razem ona poprosiła go o to samo, przyłożył policjantowi wyższemu rangą. Dźwięk, jaki wydała jego otwarta dłoń, uderzając w twarz kapitana Parry, nocami wciąż podnosi mu ciśnienie.

– Nie zapomniałam o nim – mówi Romero, nie odrywając wzroku od Jona.

– Ale zapomniała nam pani powiedzieć, że był pani informatorem. I nie tylko to. Informatorem, który handlował kobietami.

„Nie brnij w to”, myśli Jon.

– Pani jest konsultantką – zwraca się do Antonii, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy.

– Antonia Scott – odpowiada. Ona też ma skrzyżowane ręce na piersi i siedzi przy biurku, tyle że zwisają jej nogi.

– Belgrano opowiadał mi o pani. Mówi, że na miejscach zbrodni jest pani niezawodna. I słyszy się różne rzeczy. W Walencji to była pani?

Antonia nie odpowiada.

Jon patrzy na jej ręce. Znowu drżą.

– Mogłaby nam pani to zademonstrować? – nalega Romero, wskazując drzwi do pomieszczenia za swoimi plecami, oświetlanego fleszami kolegów techników. – Dzięki temu dowiemy się, co się tutaj stało.

– Nie jestem tresowaną małpką.

Twarz Romero staje się jeszcze surowsza.

– Scott, pozwoli pani, że przypomnę, co jest w grze. Od czterech lat zbieramy dowody przeciwko Orłowowi. Od czterech lat, podczas gdy musimy radzić sobie z stu pięćdziesięcioma kilometrami wybrzeża i użerać się z trzynastoma zorganizowanymi mafiami. Każdego dnia umierają ludzie. Tak więc, jeśli może się pani na coś przydać, proszę to zrobić. Jeśli nie...

Antonia wciąż siedzi okopana w ciszy, którą wyposażyła w drut kolczasty i karabiny maszynowe.

„Będę musiał ratować jej tyłek”.

– Jeśli można, komisarko – wtrąca Jon. – Ja to wyjaśnię. Przyjechaliśmy tutaj, bo trafiliśmy na trop łączący kontener, w którym były zamknięte kobiety, właśnie z tą firmą, której słupem był pan Ustyan. Chcieliśmy przesłuchać go w sprawie miejsca pobytu pani Moreno, ale niestety, ktoś postanowił tu posprzątać, zanim przyjechaliśmy. Wiemy, że trzymali tu jakieś dokumenty, komputery. Wszystko spalone.

– I ci dwaj nie żyli – przerywa mu Belgrano. – A jakaś tajemnicza młoda kobieta mówiąca z rosyjskim akcentem zaatakowała was w ciemności. Kobieta, której nie widzieliście i nie możecie opisać. To wszystko już wiemy.

– Nie wiemy natomiast, w jaki sposób sama zdołała zabić braci Fominów – mówi komisarka, marszcząc czoło. – Której kartoteka jest dłuższa niż moja ręka. Dwóch potężnych facetów z doświadczeniem wojskowym. Bez użycia broni palnej.

– Bardzo szybko – mówi Antonia.

– Słucham?

– Zabiła ich bardzo szybko.

Romero zwraca się do Belgrana:

– Dopóki technicy nie powiedzą czegoś innego, będziemy pracować z hipotezą, że Fominowie zabili się nawzajem.

– Oczywiście, komisarko.

Jon stara się nie reagować. Naśladuje powściągliwość Romero, ale czuje, że na jego twarzy musi być widać, że to lekceważenie niezbyt mu się spodobało.

Ludzie pochodzący z Bilbao już tak mają. Niemal okrągła czaszka, Rhujemne, sztylety w oczach, kiedy ktoś obraża ich partnerkę. Ale milczy. Żeby był spokoj.

Żeby tego nie schrzanić.

Choć schrzani się samo.

– Znalezienie gospodyni domowej nie powinno być takie trudne, inspektorze Gutiérrez – żegna się z nimi Romero, kierując się do drugiego pomieszczenia, żeby porozmawiać z technikami. – Dajcie nam znać, jeśli pan albo zewnętrzna czegoś się dowiecie.

Komisarka wypowiada słowo „zewnętrzna” z wyraźną pogardą.

– Jeśli ma pani na myśli to, że nie jestem funkcjonariuszką, myli się pani – wypala Antonia.

Romero się odwraca.

Powietrze między obiema staje się mroźne.

– Ach, tak? A można wiedzieć, jakiego typu funkcjonariuszką?

– Nie jest pani uprawniona do uzyskania tej informacji.

Kolor znika z policzków komisarki Romero. Jej nozdrza lekko się nadymają i to jest wszystko, co pozwala zobaczyć. Ta kobieta ma niemal nadprzyrodzoną samokontrolę.

A tymczasem Jon?

Nie dowierza własnym uszom.

W porównaniu z tym, co właśnie zrobiła Antonia?

Policzek, który Jon wymierzył Parze, to pocałunek w tyłek.

– Znajdźcie Lolę Moreno, bo to wam przecież zlecono – mówi lodowatym tonem. – I wyjedźcie jak najszybciej.

# 15

## Rada

Siedzą już w samochodzie.

– Można wiedzieć, co cię ugryzło? – pyta Jon, sprawdzając szkody w lusterku wstecznym. Ma rozciętą i spuchniętą wargę, ale może to wyleczyć, przykładając bardzo zimne szkło w postaci małej butelki piwa. – Mogłaś jej powiedzieć, co się stało na miejscu zbrodni.

Antonia zapina pas. Nie przychodzi jej to łatwo z drżącymi rękami, a jej partner po raz kolejny udaje, że tego nie dostrzega.

Inspektor Gutiérrezz obiera kurs donikąd. Żeby tam dotrzeć, musi ominąć radiowozy i karetkę, która na nic się nie przydaje. Funkcjonariusz miejscowej policji stoi na końcu drogi, gdzie odcięto dostęp dla pieszych. W znaczeniu dziennikarzy. Jest tylko jedna kamera lokalnej stacji, która już jest pakowana. W dzisiejszych wiadomościach powiedzą o zawaleniu, wybuchu gazu, pożarze z trzema ofiarami. Nie trzeba było ubolewać nad materialnymi szkodami.

– Nie wyglądała na taką, która byłaby skłonna nam uwierzyć – odpowiada Antonia.

– Ja ci wierzę – mówi Jon, gładząc sobie jeszcze obolałą szyję. – Chociaż nie wiem, skąd się, do cholery, wzięła ta kobieta. Przed sprawdzeniem ciał omiotłem pomieszczenie latarką.

– Lewy narożnik, prawy narożnik, kolejny narożnik, za drzwiami?

– To jest standardowa procedura.

– Wiem. I wygląda na to, że ona też to wie. Siedziała na szafie.

Szafa na dokumenty. Metalowa, z pięcioma szufladami. Półtora metra wysokości. Jon przypomina sobie, co zrobił po wejściu. Wycelował latarką w każdy z narożników, ale w miejscu, w którym stykają się z podłogą. Tak

właśnie uczą w akademii, bo nie przewidzieli, że możesz mieć do czynienia z Batmanem.

– Kim, do diabła, była ta kobieta?

– To profesjonalistka. Bardzo niebezpieczna.

– A nie powinniśmy się upewnić, czy Romero jej szuka?

– Technicy powiedzą jej, że kobieta zabiła Forminów. Ale ta scena zbrodni nie ma znaczenia. Nie mamy szukać twojej napastniczki. Musimy znaleźć Lolę Moreno. Komisarka wyraziła się jasno.

– Ty też nie byłeś gorsza.

Wyczerpana Antonia opiera głowę o szybę.

– Nie mogę znieść, że próbowała zrzucić na nas odpowiedzialność. Zwłaszcza że jej informator ponosi bezpośrednią winę za śmierć tych kobiet.

– Posłuchaj, skarbie. Dam ci pewną radę. Bez względu na to, jak bardzo jesteś zła, nie możesz, powtarzam, nie możesz powiedzieć szefowi: „Ja rządę tu bardziej niż ty”. Nawet jeśli to prawda.

Antonia pociera kciukiem i palcem wskazującym nasadę nosa, zaciska powieki.

– Byłam... nie wiem, jak to wyrazić.

– Jak wyrazić co?

– To uczucie. Kiedy ktoś cię nęka, żeby cię wkurzyć, ale w sposób przebiegły, zawołowany, spodziewając się negatywnej reakcji z twojej strony. Musi być jakieś słowo w jakimś języku, żeby to wyrazić.

Zatrzymują się na światłach. Jon korzysta z okazji, żeby spojrzeć na nią, zaintrygowany.

– Spróbuj mi to wyjaśnić w naszym języku, skarbie.

Antonia robi jedną ze swoich trzydziestosekundowych pauz oceniających. A potem kolejną, i jeszcze jedną. Światła pozwalają na przejazd, ale nadal stoją. Ulica jest pusta w tym miejscu oddalonym od centrum. Jon po prostu zatrzymuje silnik i obserwuje zmieniające się światło.

Zielone.

Czerwone.

Znowu zielone.

„Upłynie całe życie, zanim ta kobieta zdecyduje się mówić”, myśli Jon.

– Czasami... czasami szukam słów w innych językach. Słów, których nie da się przetłumaczyć. To jest coś, co robiłam... Co robię z Marcosem. Chwytamy uczucia. Kiedy znajdowaliśmy jakieś wyjątkowe słowo, podarowywaliśmy je sobie. Oczywiście ja znajdowałam ich więcej niż on. A on musiał je notować, zapisywał je, wszystkie zapisuje na kartce.

Jon czeka. Cierpliwie. Nie komentuje mieszania czasów gramatycznych. Tak znamiennego u kogoś z tak chorobliwą precyzją jak Antonia Scott. Nie komentuje, ale odnotowuje ten fakt. Coraz częściej mówi o swoim mężu w czasie przeszłym. Jon co chwila się zastanawia, kiedy nadejdzie moment, żeby z nią o tym porozmawiać.

Nie jest to łatwe.

Na liście tematów tabu śpiączka Marcusa znajduje się na środku zagubionej świątyni w peruwiańskiej dżungli, chroniona przez tarantule, włócznie i gigantyczną skałę.

– Podaj mi jakiś przykład – zachęca ją do mówienia, kiedy staje się jasne, że utknęła w introspekcji ze szkodą dla opowieści.

– Wyjątkowych słów? Nie wiem, które wybrać.

– Pierwsze, jakie przychodzi ci do głowy.

Oczywiście nie zwraca na niego uwagi, bo się zastanawia. Być może odrzuca te nazbyt osobiste. Być może szuka idealnego okazu.

– *Boketto* – mówi w końcu.

I milknie.

– Jasne. *Boketto*. Często mi się zdarza.

– Nie, tobie się nie zdarza.

– Skąd miałbym wiedzieć?

Nagle Antonia chyba uzmysławia sobie, na czym polega konwersacja. Że trzeba używać zrozumiałych określeń.

– To japońskie słowo. Oznacza „uczucie, kiedy patrzysz w dal i zatracasz się w sobie bez wyraźnego powodu”.

– Tobie często się to zdarza – mówi Jon, starając się nie uśmiechać.  
Antonia też stara się nie uśmiechać.

– Czekaj. Myślę, że to kolejne ci się spodoba. Ciekawe, czy wiesz, o kim myślę.

*Backpfeifengesicht*. To po niemiecku.

– I oznacza?

– Twarz, która pilnie potrzebuje plaskacza.

Jon nieruchomieje z otwartymi ustami, a potem patrzy Antonii w oczy i mówi razem z nią:

– Mentor.

Oboje się śmieją.

– Chyba rozumiem, dlaczego lubisz tę zabawę.

– To nie tylko zabawa. To... coś więcej. Nie potrafię tego wyjaśnić.

„I na tym polega problem”, myśli Jon.

Ktoś taki jak Antonia, kto żyje zamknięty w więzieniu swojego mózgu, znacznie wyraźniej niż pozostali ludzie dostrzega niezaprzeczalną prawdę. Że granice twojego języka są granicami twojego świata. Nawet nie wyrażając tego w takich słowach, każdy fanatyk lektury rozumie to w sposób intuicyjny i dlatego nigdy nie ma dość czytania.

Antonia doprowadziła to do ekstremum, nauczyła się kilkunastu języków, a w tych, których nie zna, szuka słów, jakich nie da się znaleźć w tych już jej znanych.

Jon nie jest skory do czytania książek ani nauki języków. On woli oglądać seriale i podnosić kamienie. Tak więc wszystko powyższe podsumowuje w stylu sokratejskim:

„Ta dziewczyna musi się trochę poznać”.

– W tym czymś, co jest więcej niż grą, liczy się, jeśli występuje więcej niż jedno słowo?

– Idiomatyzm.

– Co?

– Zwrot. Liczy się, jeśli ma sens tylko w tym języku.

– W takim razie mam określenie na to, co robiła ci Romero.



– Jakie? – pyta Antonia, nachylając się nieco w jego stronę i zawczasu otwierając szerzej oczy.

– Wkurwiasz mnie.

Antonia zamiera, słysząc brzydkie słowo. Niemal się obrusza.

– Co jest, nie podoba ci się?

– Nie lubię przekleństw – odpowiada, wykrzywiając usta z obrzydzeniem. – Ograniczają.

Jon przewraca oczami. Co za uprzedzenie. Jak dobrze zrobiłoby tej kobiecie spędzenie trochę czasu w Bilbao. Chodzenie do lokali przy Poza i García Rivero. Jedzenie łososia z sosem *piperrada* w barze Mufi, *felipadas*<sup>14</sup> w barze Alameda. Trzy *txikitos*<sup>15</sup>, posłuchanie lokalnej fauny i minęłyby jej te głupstwa.

– Skarbie, przekleństwa to kultura. Są w stanie wyrazić emocje, których wiele innych słów nie może. Pomyśl na przykład o komisarce Romero.

Patrzy na Antonię, aż ona zaczyna rozumieć, że naprawdę prosi ją, by pomyślała o komisarce.

– Wyobraź sobie, że masz ją przed sobą. A teraz powiedz to: „Wkur...”.

Ona potrząsa głową. Zrobiła się czerwona i w ogóle.

– Nie zamierzam tego mówić. Wstydzę się.

Jon nachyla się nad swoją partnerką. Sięga do klamki po jej stronie. Otwiera drzwi.

– Zrób to albo wysiadasz.

Ona na niego patrzy, zastanawiając się, czy szantażuje ją na poważnie. Dochodzi do wniosku, że tak. Spogląda na niebo w kolorze zubożonego uranu. Chmury znowu zapowiadają burzę. Postanawia się zgodzić, żeby nie ryzykować.

– Dobrze. Dobrze.

A potem:

– Wkurwiasz mnie – mówi po cichu.

„To nie do przyjęcia”, myśli Jon, kręcąc głową.

– Głośniej. To musi cię przepelniać. Nie mówisz tylko tego, jak się czujesz. Obsikujesz swój teren, budujesz mur berliński. Mówisz: „Tędy nie przejdiesz, suko”. Jeszcze raz.

Antonia nabiera powietrza, jakby miała przyjąć Oscara.

I wreszcie:

– Wkurwiasz mnie – ogłasza pełną gębą. Er odbija się energicznie od przedniej szyby.

Jon bije brawo. Oszczędnie, jak to on. Ale w środku jest zachwycony. Czuję, że coś osiągnął. Choć do końca nie wie co.

– Dobra robota. Jak się czujesz?

– Jakbym uchwyciła uczucie.

„Nie musi tego mówić. Bije od niej taki blask, jakby połknęła coś fluorescencyjnego”.

– Tak trzymaj – odpowiada Jon, ponownie uruchamiając samochód. Nagle przypomina sobie, że nie wie, dokąd jechać. – Co teraz robimy?

Twarz Antonii odzyskuje swój typowy ponury wyraz, w miarę jak prawdziwy świat rozwiewa moment *My Fair Lady*.

– Trop pieniędzy był naszą jedyną opcją. Ale nam ją spalili.

– Kluczowe jest odnalezienie Loli Moreno. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zapadła się pod ziemię. Albo czy ktoś nie sprawił, żeby się pod nią zapadła.

– Rozważałam taką możliwość. Nie, Rosjanie nie staliby wtedy na straży przed salonem fryzjerskim matki. I zaczynam myśleć, że szukają jej nie tylko w zemście za zdradę Jurija. Sądzę, że w tym wszystkim jest o wiele więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Jon energicznie drapie się w tył głowy. Zastanawia się, czy istnieje nieprzetłumaczalne słowo na to, kiedy trzesz skórę, żeby stymulować przepływ pomysłów. Nie mówi nic Antonii, pewnie nie istnieje.

– Nie wiem. Czasami sprawy wyglądają na takie, jakie się wydają.

– Tak – odpowiada ona bardzo powoli. – Czasami.

„Co oznacza, że w twoim świecie nie, piękna. Ale ponieważ mieszkasz w moim, trzeba będzie dać ci coś zjeść”, myśli Jon, zaalarmowany

sygnałem z jej żołądka. A tu nie ma przycisku „odłóż alarm”.

– Przerwa na obiad. A potem będziesz o tym myśleć, ile tylko zechcesz.

– Nie jestem głodna – kłamie Antonia.

– Pewne rzeczy są nieuniknione.

– Masz rację. Pewne rzeczy są nieuniknione – mówi Antonia po kilku sekundach.

Jon odwraca się do niej. Usłyszał wyraz jej twarzy, zanim go zobaczył.

– Nie. Tylko nie ta mina.

– Jaka mina?

– Mina pod tytułem „tym, co powiedziałaś, podsunąłeś mi pewien pomysł, chociaż nie masz zielonego pojęcia, co to za pomysł, a teraz moje procesy myślowe działają pełną parą i nie będę zadawać sobie trudu, żeby ci to tłumaczyć”. Nie może być bardziej wkurzająca.

Antonia dodaje do tego półuśmiech, udowadniając, że Jon się myli. Owszem, mina może być jeszcze bardziej nieznośna.

Wyjmuje telefon, dzwoni do doktorki Aguado i recytuje jej listę rzeczy, których potrzebuje. Jon nie wie, co doktorka odpowiada, chociaż z pospiesznego tonu wnioskuje, że telefon zadzwonił w nie najlepszym momencie.

– Jeszcze jedno – dodaje Antonia, zanim się rozłączy. – Proszę poszukać w bazach danych kryptonimu *Czarna Wilczyca*. Czarna Wilczyca. Interpol, Europol. FSB.

Pauza. Znowu przyspieszony ton.

– Wiem, wiem. Proszę zrobić, co trzeba. Potem będziemy się martwić konsekwencjami.

## Co zrobili jej wtedy

W kabinie obserwacyjnej projektu Czerwona Królowa Mentor rozmawia z niskim, trzęsącym się, łysym i w pół ślepym osiemdziesięcioletkiem ubranym w marynarkę w szkocką kratę. Staruszek nie wygląda zbyt dobrze. Raczej jedną nogą stoi w grobie, a drugą na skórce od banana.

Nie zwracajmy jednak uwagi na jego wiek. Może to geniusz neurochemii, najwybitniejszy ze swojego pokolenia. Jego nazwisko przewijałoby się na liście kandydatów do Nagrody Nobla, gdyby nie był odrobinę niezrównoważony.

– Nie jest gotowa, żeby zacząć, doktorze Nuno.

Po drugiej stronie szyby młoda Antonia Scott, nieświadoma, że w przyszłości straci męża i odbiorą jej dziecko, dokłada wszelkich starań, żeby uporządkować szereg liczb w sekwencji logiczne. Do głowy ma przymocowane elektrody, ubrana jest tylko w szpitalną koszulę.

– Jak długo trenuje?

– Dłużej niż wszyscy pozostali kandydaci. Ale nie mogę jej wydobyć ze strefy komfortu. To bardzo frustrujące.

– Jak zareagowała na mieszankę?

Doktor Nuno wyciąga rękę usianą żyłakami przypominającymi burzę z fioletowymi błyskawicami, i bierze papier, który podaje mu Mentor.

– Wyniki są bardzo dobre. Nawet więcej niż dobre. Żaden inny kandydat nie miał tak wysokich wskaźników.

– A mimo to nie widzę rezultatów. Idzie za szybko albo za wolno. Czerwona kapsułka sprawia, że udaje jej się skoncentrować, ale tylko na krótki czas.

Nuno odchrząkuje, bierze głęboki oddech i wtedy Mentor przeczuwa, że wygłosi wykład. Mocno go kusi, żeby wysłać ochroniarzy, by go

unieszkodliwili, zabrali w ciemną uliczkę i dyskretnie sprawili, żeby zniknął. Mógłby to zrobić. I nikt by nie protestował.

– Wie pan, co odróżnia nas od zwierząt, Mentorze?

– Zakłady bukmacherskie? – pyta, bo każda odpowiedź, która nie jest poprawna, nie ma znaczenia.

– Umiejętność myślenia diagnostycznego. Należy spojrzeć na kawałki wazonu na podłodze i wiedzieć, że wcześniej to był wazon, że stał na stole i że kopnięta przez dziecko piłka ma z tym wszystkim coś wspólnego. Jeśli pan woli, kawałki wazonu proszę zamienić na trupa.

– Zostanę przy wazonie. Proszę kontynuować.

– My, naukowcy, próbowaliśmy znaleźć ślady myślenia diagnostycznego u zwierząt. Zaczęliśmy od szympanсів zwyczajnych i szympanсів karłowatych. Później zajęliśmy się delfinami. I nic. Wreszcie ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby spróbować z wroną. Włożyli jej kawałek mięsa do szklanej probówki i obserwowali. Wrona zrozumiała, że musi użyć narzędzia, aby dostać się do mięsa, i że aby to zrobić, musi uważać na otwór na środku, żeby kawałek mięsa nie spadł.

– To właśnie robi się z ośmiornicami?

– Nie. Ośmiornice potrafią wyjmować jedzenie ze słoika. To jest coś znacznie bardziej złożonego. Są probówka, otwór, narzędzie. I naukowcy odkryli, że wrona jest w stanie wyjąć kawałek mięsa nawet wtedy, kiedy przesuwali otwór.

„Koniec wstępu”, mówi sobie w duchu Mentor.

– My, ludzie, nie jesteśmy zbyt dobrzy w myśleniu diagnostycznym. Jako gatunek, ma się rozumieć. Rozwinęliśmy niezwykle złożoną maszynę mózgową, która szuka dróg na skróty, żeby funkcjonować. Tak więc opowiadamy sobie historie, żeby uprościć myślenie diagnostyczne. Albo żeby nam go sobie zaoszczędzić. Ziemia jest płaska, Paul McCartney został podmieniony na sobowtóra...

– Rząd tworzy agencję superinteligentnych tajnych agentów... – dodaje Mentor.

– Nawet ta nieudolna parodia, którą właśnie pan wykonał, jest dobrym przykładem. To, co tu robimy, wykracza poza wszystko, co kiedykolwiek zrobiono na polu neuronauki.

– Nie musi mi pan przypominać, jaki jest nasz prawdziwy cel – mówi Mentor. – Chcę, żeby pomógł mi pan odblokować Scott.

– Jeśli wysłucha mnie pan do końca...

– Mam nadzieję, że dokąds to zmierza – mówi Mentor, opierając się o szybę.

Nuno znowu odchrząkuje.

– Żeby pokazać panu, jak ważne w myśleniu diagnostycznym są historie, opowiem panu jedną.

W nazistowskich Niemczech mieszkał żydowski sklepikarz, który pewnego poranka przyszedł do swojego lokalu i zastał witrynę sklepową pokrytą swastykami i rasistowskimi wyzwiskami. Z wielkim wysiłkiem zmył farbę i otworzył sklep. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Tak więc sklepikarz czuwał przez całą noc, a kiedy zobaczył brunatne koszule z puszkami z farbą, podszedł do nich i powiedział:

– Dam wam dziesięć marek, jeśli pomalujecie tę witrynę.

Brunatne koszule z radością przyjęły pieniądze, ponieważ i tak miały wykonać to zadanie za darmo.

Kiedy odeszli, sklepikarz wyczyścił witrynę. Następnego nocy znowu na nich czekał.

– Dam wam dziewięć marek, jeśli pomalujecie tę witrynę.

I robił tak dalej, noc po nocy, aż ostatniej nocy zaproponował im jedną jedyną markę za zabrudzenie witryny. Brunatne koszule odmówiły. Nie zamierzały wykonywać pracy za tak małe pieniądze!

Odeszły i już nigdy nie wróciły.

– Co mówi nam ta historia o myśleniu diagnostycznym?

– Że sklepikarz mógł wsiąść do pociągu z tymi pięćdziesięcioma czterema markami i uciec, zanim naziści znudziliby się malowaniem i wsadzili go do obozu koncentracyjnego – mówi Mentor.

Nuno mruga zaskoczony.

– To jest, w rzeczy samej, analiza marnego myślenia sklepikarza. Ale chodzi mi o to, że my, ludzie, bardzo łatwo odbiegamy od właściwej diagnozy. Brunatne koszule nie pamiętały już, jaki był prawdziwy powód ich wysiłków, ponieważ zastąpiły motyw świadomą analizą. Arytmetyką.

– A co to ma wspólnego z Antonią Scott?

– Co robi Cristiano Ronaldo, kiedy zamierza oddać strzał na bramkę? Czy myśli o tym, żeby wyrzucić nogę do tyłu, podnieść rękę, żeby utrzymać równowagę, napiąć mięśnie brzucha, żeby zachować prosty kręgosłup?

– Po prostu kopie piłkę – odpowiada Mentor, rozumiejąc w końcu, do czego zmierza doktor Nuno.

– Ta kobieta jest najbardziej niesamowitą istotą ludzką, jaką kiedykolwiek widziałem – mówi lekarz, stukając długim, twardym i pożółkłym paznokciem w papier, który dostał od Mentora. – Jeśli nie udaje się panu doprowadzić jej do pełnego potencjału, to dlatego, że uczy ją pan diagnozowania poprzez myślenie ukierunkowane.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, co mam robić.

– Musi pan jej pomóc w znalezieniu własnej opowieści – odpowiada doktor. – Jeśli znajdzie własną opowieść, przestanie myśleć o kopaniu piłki, tylko po prostu zacznie to robić.

Nuno rwie kartkę na wiele nierównych kawałków i rzuca je w powietrze.

– I wtedy *bum*.

# 16

## Lista

Oto, o co Antonia Scott prosi doktorkę Aguado:

- o listę osób, które Lola Moreno ma wśród znajomych na Facebooku i Instagramie, z nazwiskami i adresami,
- o plik z bezpośrednimi wiadomościami, które wymieniali ze sobą w ciągu ostatnich piętnastu dni, łącznie z tymi, które zostały usunięte przez użytkowników (ale które platforma zachowuje na zawsze),
- o dostęp do maili Loli, ze szczególnym uwzględnieniem ostatniej aktywności.

Są tylko dwie możliwości. Pierwsza: Loli ktoś pomaga i w tym wypadku informacje będą dostępne w jej mediach społecznościowych.

Chociaż Antonia zamierza dołożyć wszelkich starań, by spróbować coś znaleźć w tej informacji, będzie to praca bez nagrody. Ale przyniesie ją za to ostatnia z rzeczy, o które prosi Aguado.

Co prowadzi nas do drugiej możliwości.

„Albo chroni ją ktoś bliski, na kogo nie zwróciliśmy uwagi, albo radzi sobie jak może na ulicy”, myśli Antonia. „W tym wypadku...”

– Potrzebuje, by podsłuchiowano wszystkie rozmowy pod sto dwanaście wykonane w prowincji Malaga.

– Mogę wysłać plik audio, gdy tylko osoba dzwoniąca zakończy połączenie. Teraz są digitalizowane. Ale będzie ich zbyt dużo.

Antonia nie odpowiada. Drżenie jej prawej ręki staje się coraz silniejsze. Wsuwa ją między nogę a siedzenie samochodu, żeby ukryć to przed Jonem.

– Scott?



Znowu czuje potrzebę łyknięcia czerwonej kapsułki. To przychodzi i odchodzi falami, tym silniejszymi, im intensywniejsze są bodźce, z którymi musi się zmierzyć, albo im mocniej są powiązane z jej treningiem. Mały w jej głowie szaleją jeszcze bardziej, kiedy zjawia się na miejscu zbrodni albo kiedy musi myśleć o nowych teoriach na temat danej sprawy.

W tej chwili myśli Antonii poruszają się tak szybko, że jej ciało doznaje ogromnego stresu. Ma zapadnięte policzki i głębokie cienie pod oczami. Tego poranka, gdy zobaczyła się w lustrze, ledwie się rozpoznała.

Potrzebuje czerwonej kapsułki. Ale odmawia jej przyjęcia.

– Może pani sprawdzić według słów kluczowych? – pyta Antonia, z trudem wracając do rozmowy.

– Tak, jest to możliwe. Jakie mam wprowadzić?

– Młoda, ciężarna, kradzież, apteka, lombard, szpital, supermarket, jedzenie. Niech będzie każda rozmowa, w której pojawią się dwa z tych słów. I jeszcze jedno – dodaje Antonia, zanim się rozłączy – proszę poszukać w bazach danych kryptonimu *Czarna Wilczyca*. Czarna Wilczyca. Interpol, Europol. FSB.

Jon unosi brew, słysząc to ostatnie. Federalna Służba Bezpieczeństwa nie jest organizacją chętną do dzielenia się informacjami z Unią Europejską.

– To nie jest dobry moment, żeby wchodzić do rosyjskich baz danych bez autoryzacji – mówi Aguado. – Dowiedzą się, że to my. I będę musiała za to odpowiedzieć.

– Wiem, wiem. Proszę zrobić, co trzeba. Potem będziemy się martwić konsekwencjami.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która miała wszystko”.

Powiedziała o tym Jurijowi.

Ale nie tamtego poranka, kiedy zmarł. Te znaczące i ważne momenty na krótko przed stratą ukochanej osoby nigdy nie zdarzają się w prawdziwym życiu. W powieści ojciec może przekazać synowi niepodważalną prawdę, a chwilę potem dostać zawału. Albo zostać porwanym przez tornado.

W prawdziwym życiu ostatnie, co Lola powiedziała Jurijowi, to:

– Jadę na zakupy!

Jurij odpowiedział coś niezrozumiałego przez drzwi łazienki dla gości, z której korzystał tylko do robienia tego, na co Lola nie pozwalała mu w łazience głównej (Jurij jadł dużo pikantnego jedzenia).

I to było wszystko. Żadnego smutnego buziaka, żadnego „kocham cię”.

Z perspektywy czasu zabójstwo Jurija to coś, czego można się było spodziewać i czego można było uniknąć. Łatwo jest przepowiadać przeszłość, o czym wiedzą wszyscy ekonomiści, publicyści i ich szwagrowie, którzy muszą jedynie dodać „to było jasne” do wczorajszego nagłówka.

Recz w tym, że Lola od dłuższego czasu ostrzegała Jurija.

– Mamy wszystko. Czego jeszcze chcesz?

A Jurij nie odpowiadał.

Czego może chcieć ktoś, kto ma wszystko?

„Więcej, jak każdy”.

Zdrowy rozsądek nie towarzyszył Loli zawsze, pojawiał się raczej leniwie i sporadycznie. Tak jak zamiar nauczenia się angielskiego, przejścia na

dietę czy zapisania się do siłowni. Dziewięćdziesiąt pięć procent tych pragnień materializuje się „jutro”. To prawda, że Lola niezbyt naciskała na Jurija.

Naiwna Lola, która sądziła, że jest w nim zakochana. Albo naprawdę była w nim zakochana. Jeśli chodzi o miłość, czy przypadkiem sądzić, że jest się zakochanym, to nie to samo, co być zakochanym naprawdę?

Lola uważała, że jest zakochana. I uważała, że muszą zmienić swoje życie. Może dlatego wyrzuciła pigułki do śmieci, a cieniutką szpilką przekłuwała każdą prezerwatywę. Ponieważ podświadomie chciała zająć w ciążę.

I zaszła.

Sądząc, że dzięki temu Jurij ruszy dupę.

I oczywiście ruszył dupę. Tyle że ten głupiec, ten skończony kretyń, zrobił to bez niej. Działał na własną rękę, jakby to był dobry pomysł.

A teraz Lola ma poważne kłopoty.

Ta zachłanność, to pragnienie, by mieć więcej i więcej, doprowadziły do tego, że Lola jest ścigana i grozi jej niebezpieczeństwo. Ale może to było kluczem do jej uratowania. Nie chodzi o szukanie ironii w życiu, to byłoby zbyt proste. Ironiczne.

Zapada wieczór, jest po siódmej, a słońce położyło się do kołyski morza, by tam sobie chrapać. Lola idzie ulicą Enrique del Castillo, a potem skręca w lewo w aleję Ramón y Cajal. Za trzema sklepami z telefonami znajduje się lokal Edika Gusiewa.

Na zewnątrz wisi szyld Instant Cash, ale o tym, co jest w środku, wiedzą wszyscy, którzy coś znaczą.

Gusiew to paser i skurwysyn. W obu tych dziedzinach osiągnął doskonałość.

Jest także znajomym Jurija. Przyjaciół to za dużo powiedziane. Jurij zawsze traktował go uprzejmie, ale z dystansem. Skoro nawet Jurij (który zbierał z ulicy wszystkie społeczne ekskrementy, jakie znajdował, o ile

tylko mówiły w języku Tołstoja) potrafił dostrzec, że Gusiew to trucizna, to można się domyślić, co to za człowiek.

Drzwi sklepu otwierają się z mechanicznym *ding dong*, który zdaje się nikogo nie zawiadamiać. Lola przebiega wzrokiem po tosterach, „jak nowe!”, ekspresach do kawy, „używane!”, a nawet nagrywarkach CD, „okazja!”.

Wtedy pojawia się Gusiew.

Rozpoznanie jej zajmuje mu dłuższą chwilę. Lola od wielu dni się nie maluje, jej włosy są potargane i brudne. Pod oczami ma worki w wielkości i kształcie karaibskich hamaków.

– Miło mi panią widzieć, pani Woronin – mówi po kilku sekundach niepewności. – Wygląda pani pięknie niż kiedykolwiek.

Gusiew jest niski, gruby, a na twarzy ma tyle krost, że odnosi się wrażenie, jakby w swojej poprzedniej pracy był tarczą na strzelnicy.

– Cześć, Gusiew.

Oboje patrzą na siebie z pewnym zakłopotaniem. Lola wie, że przychodząc bez uprzedzenia, postawiła go w niezręcznej sytuacji.

– Brakowało nam pani na pogrzebie jej męża.

– Nie mogłam przyjść.

– Był tłum. Przyszli wszyscy.

Lola nie potrzebuje słuchać więcej. Obowiązkiem Gusiewa jest powiadomienie Orłowa, że ją widział. Może nawet dostanie nagrodę, jeśli tamten ustalił cenę za jej głupią głowę. Ale Gusiew nie jest idiotą. Ma świadomość, że Lola o tym wie. A w związku z tym ma też świadomość, że nie ryzykowałaby, gdyby to nie było ważne.

– Co panią tu sprowadza tak... niespodziewanie?

Gusiew zna hiszpański lepiej niż wielu Hiszpanów, choć czasami popełnia błędy. I mówi cichym głosem, który ocieka nieprzyjemnymi możliwościami.

– Muszę pilnie coś sprzedać.

Nie musi mówić po co.

– Obejrzyjmy to zatem.

– Nie tutaj – mówi Lola, zerkając kątem oka na ulicę.

Gusiew przytakuje, podchodzi do drzwi i zamyka je na klucz. Odwraca tabliczkę z napisem OTWARTE.

– Proszę za mną.

Zaplecze jest ciasne, pełne pudeł i monitorów bezpieczeństwa. Miałoby cztery metry kwadratowe, gdyby nie było zawalone rupieciami. Są tu fragmenty lalki, części do zegarków, wkłady do długopisów. Gry wideo, których nikt już nie chce.

Lola nie daje się nabrać. Magazyn Gusiewa znajduje się w innym miejscu, z dala od niedyskretnych spojrzeń. Swoje prawdziwe interesy prowadzi w nocy, a polegają one na kupowaniu i sprzedawaniu wszystkiego. Naprawę wszystkiego.

– Kiedyś sprzedał dziecięcą wątrobę – opowiadał jej Jurij, kiedy jedli coś w barze.

– Zmyślasz.

Jurij wzruszył ramionami i włożył do ust kolejny plaster smażonego boczk.

Lola mu nie uwierzyła. Teraz wierzy. Stojąc w tak niewielkiej odległości od Gusiewa w tym zamkniętym pomieszczeniu, wierzy w bardzo mroczne rzeczy.

– Zobaczmy, co pani dla mnie ma – mówi zniecierpliwiony Gusiew.

Lola się nachyla, jakby miała zasnurować sobie but. Ona jednak zdejmuje bransoletkę. Założyła ją na kostkę, bo to jest wszystko, co jej zostało.

Bransoletkę podarował jej Jurij, kiedy się poskarżyła, że ta, którą ma, z różowego złota, prawie do niczego jej nie pasuje.

Jurij uśmiechnął się łagodnie i kupił jej bransoletkę. Bransoletkę, której nie potrzebowała, to była absurdałna rozrzutność, kaprys rozpieszczonej dziewczynki.

Teraz jest jej kołem ratunkowym.

To też jedyne, co zostało jej po Juriju.

Nie chciała się jej pozbywać pod żadnym pozorem. Po pierwsze dlatego, że nikt nie chciałby jej odkupić bez próby. A po drugie dlatego, że jest do niej bardzo przywiązana. Choć przyjdzie tu może się wydawać szaleństwem, ona potrzebuje pieniędzy. A Żenia odmówiła przyjęcia bransoletki w charakterze płatności. Nie ma więc innego wyjścia.

Podaje ją Gusiewowi.

Paser ogląda ją pod światło eksperckim okiem. Drugie oko, przymrużone i zezowate, jest utkwione w Loli, która wymienia zalety towaru.

– Jest od De Beers. Osiemnastokaratowe białe złoto. Trzydzieści diamentów. Musi kosztować jakies...

– Dwadzieścia pięć tysięcy euro, pani Woronin. Jak rozumiem, to prezent od pani męża. To zbyt ładna rzecz, żeby kupić ją dla samej siebie.

Obraca ją w palcach.

– Może trochę więcej, jest bardzo dobrze zachowana. A w tym roku cena diamentów mocno poszła w górę.

Lola nie może powstrzymać westchnienia ulgi, słysząc, że Gusiew nie próbuje obniżyć wartości klejnotu.

– Potrzebuję pięciu tysięcy euro. To wszystko. Jeśli da mi pan tyle, może ją sobie zatrzymać. Bardzo pan na tym skorzysta.

Gusiew się uśmiecha, przebiega dłonią po koszuli, która swego czasu była biała, ozdobionej na klatce piersiowej plamą po jajku.

– Obawiam się, że nie mogę pani dać tych pieniędzy, pani Woronin.

Uśmiech znika z twarzy Loli.

– Ile...? Ile może mi pan dać?

– Niczego. Nic – odpowiada Gusiew, machając rękami.

– W porządku – mówi Lola, wyciągając dłoń, żeby oddał jej bransoletkę. – Poszukam innego miejsca.

Gusiew uśmiecha się jeszcze szerzej. Ma białe zęby. Zadbane. Wygląda to dziwnie u tak okropnego człowieka, który lubuje się w podłości.

– Nie rozumiem mnie pani. – Odwraca się i grzebie w szufladzie. – Zostawię sobie bransoletkę i nie dam pani niczego.

Z szuflady wyciąga pistolet. Celuje nim w głowę Loli, która cofa się z przerażeniem. Plecami uderza o regał pełen pudeł.

– Nie może mi pan tego zrobić. To... niegrzeczność. Przecież się znamy. Jurij panu pomógł, kiedy był pan w potrzebie.

– Znowu się pani myli. Zrobię to, bo mogę. I proszę nie wspominać o tym idiocie, swoim mężu. Zdradził bratwę. Mogę z panią zrobić, co zechcę. Zresztą...

Patykowate ręce Gusiewa zmuszają Lolę, by się odwróciła. Jedna ręka przyciska pistolet do jej karku, druga majstruje przy zamku jej spodni.

Lola powstrzymuje jęk. Nie chce płakać. Nie chce błagać. Nie może tego uniknąć.

Palce znajdują w końcu sposób na rozpięcie spodni, zaczepiają za gumkę majtek. Paznokcie drapią ją, kiedy je ściąga. Lola czuje na skórze nieznośne swędzenie, które powoduje, że się wzdryga.

Gusiew walczy z własnymi spodniami. Oboje stoją, a Lola jest wyższa od niego o głowę, więc penetracja jest niemożliwa. Tym bardziej że jego penis jest miękki i zwiotczały.

– Gdybym wiedział, że przyjdiesz, wziąłbym coś, żeby ugościć cię, jak należy – mówi Gusiew, pocierając sflaczałym członkiem o jej uda. – Ty i twój mąż zawsze uważaliście się za lepszych od innych, prawda? No więc teraz jesteście nikim.

Łapie Lolę za włosy i ciągnie ją do drzwi.

– Biegnij, suko. Uciekaj. Może ostatecznie nie zadzwonię do Orłowa. Jak sama mówisz... to by była niegrzeczność.

# Nagranie 06

*Dziesięć miesięcy wcześniej*

**Podinspektor Belgrano:** Mieliśmy do ciebie zbyt dużą cierpliwość. I już się nam wyczerpała.

**Jurij Woronin:** Proszę jeszcze chwilę zaczekać.

**Komisarka Romero:** Już za późno, Woronin. Przyszliśmy pana zawiadomić, że jutro przedstawimy dowody w prokuraturze. Akt oskarżenia przeciwko panu jest już przygotowany, mamy wystarczające dowody.

**Lola Moreno:** Powiedziałam wam, że mogłabym pomóc.

**Podinspektor Belgrano:** Proszę pani, powiedziała pani, że przyniesie nam coś solidnego. A dostaliśmy same śmieci.

**Komisarka Romero:** Pozwól jej mówić, Belgrano.

**Lola Moreno:** Nie możemy wam pomóc w tym, czego chcecie. Ale tymczasem możemy coś wam dać.

*(Szelest papierów).*

*(Pauza trwająca czterdzieści jeden sekund).*

**Komisarka Romero:** Jest tu wszystko oprócz daty i nazwy statku.

**Lola Moreno:** Już pani mówiłam. Nie możemy się w to mieszać.

**Podinspektor Belgrano:** Jeśli uważa pani, że wykpi się jakimś głównem, to grubo się pani myli.

**Jurij Woronin:** To czterysta kilo.

**Podinspektor Belgrano:** To haszysz. Haszysz wszyscy mają w dupie.

**Komisarka Romero:** Belgrano, gdybyś był tak uprzejmy i uważał na słowa.

**Lola Moreno:** Z całym szacunkiem, komisarko. To czterysta kilo. Mnóstwo towaru. A Marokańczycy, co go sprowadzają, to źli ludzie.



**Komisarka Romero:** Pani Moreno, ten statek to punkt wyjścia. Przyjmę to jako znak dobrej woli. Zrobimy nalot. Ale to niewiele.

**Jurij Woronin:** To czterysta kilo.

**Komisarka Romero:** Cały czas pan to powtarza, jakby to coś znaczyło. Ilość nie jest ważna. Liczy się zawartość.

**Lola Moreno:** Ważna – do czego?

**Komisarka Romero:** Jeśli jutro przejmemy nawet sześć ton marokańskiego haszu, dostaniemy co najwyżej sześć sekund w ogólnokrajowych wiadomościach.

**Podinspektor Belgrano:** A połowa z tych, którzy to zobaczą, tylko wzruszy ramionami i powie: „Trzeba to zalegalizować”. Jakby to gówno przyniosło coś dobrego.

**Lola Moreno:** A zatem?

**Komisarka Romero:** Potrzebujemy heroiny. Kokainy.

**Podinspektor Belgrano:** I żadnych Marokańców. Marokańce to kpina.

**Jurij Woronin:** Mogę pana zapewnić, że...

**Komisarka Romero:** Doskonale znamy brutalność i agresję marokańskich przestępców, Woronin. Ale oni nie kupują nąglówków.

**Podinspektor Belgrano:** Rosjanie. To jest sexy.

**Komisarka Romero:** Albo dostarczy nam pan Orłowa bezpośrednio, albo będzie musiał dać nam go w kawałkach.

**Lola Moreno:** Chce pani, byśmy dla niej pracowali.

**Komisarka Romero:** Chcę oczyścić tę plażę ze śmieci. Ale nie chodzi o to, czego chce, pani Moreno. Tylko o to, co mogę wam zrobić, jeśli mi tego nie dacie.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która z trudem uciekła przed brudnym i śmierdzącym ogrem”.

Lola wychodzi na ulicę w rozchełstany ubraniu, łyż moczą jej bluzę. Światła latarni wydają jej się wyimaginowane, powietrze wątle, ulotne, jak gdyby atmosfera miała za chwilę zniknąć. Włóczy się w górę ulicy, zapinając sobie spodnie – majtki zwinęły się do połowy pośladków, ale nie czuje tego. Jej nieważkie stopy ledwie muskają płyty chodnikowe. Jakaś kobieta mówi coś do niej zatroskana, lecz fale dźwiękowe giną, zanim dotrą do jej uszu.

„To wszystko nie jest prawdę”.

„To wszystko się nie dzieje”.

Lola czuje, że tylko nitka łączy ją z ziemią, cienka i krucha nitka, niczym wata cukrowa. Przy mocniejszym podmuchu wiatru oderwałaby się całkowicie. Uniosłaby się i oddaliła za jednym podmuchem, jak drobinki puchatej kuli dmuchawca.

„To wszystko nie jest prawdę”.

„Nie zabrano mi ostatniej szansy, bym wyszła z tego cało. To niemożliwe”.

Lola, która zawsze wie, co robić. Lola, która ma w sobie chłód – suchy, gorzki niczym cmentarna gleba. Lola, która od dziecka snuje plany na czas, kiedy skończą się jej plany, po raz pierwszy ma pustkę w głowie.

Być może dlatego nie rozpoznaje siebie w tym, co robi, oddziela się od ciała, które chwiejnym krokiem kieruje się do restauracji na rogu, gdzie w lutym o tej godzinie siedzi tylko kilku roztertargnionych emerytów. Podchodzi do pierwszego nakrytego stolika i bierze nóż.

– Halo. Halo, proszę pani.

Lola nie słyszy kelnera, podobnie jak nie słyszała kobiety, która zaczepiła ją na ulicy.

– Proszę pani!

Kelner nie wychodzi za nią od razu, ponieważ w rękę trzyma zamówienie (sałatka, odmrożone kalmary po rzymsku). Kiedy rusza za intruzką, Lola otwiera właśnie drzwi do Instant Cash. Kelner się zatrzymuje, kiedy widzi, że tam wchodzi, wykonuje pospieszny syllogizm (oczywiście ma licencjat z filozofii) i stwierdza, że najlepiej zadzwonić na policję.

„Wszystko sprowadza się do prostego wyboru, uprzeć się, by żyć, albo uprzeć się, by umrzeć”, myśli Lola, wpadając na zaplecze i atakując zaskoczonego Gusiewa.

Akurat jest zajęty, maca sobie krocze, oglądając coś na monitorze. Lola nie widzi, co to, ponieważ ona z kolei jest zajęta dźganiem go w ramię i w plecy. Nóż jest jednym z tych, które kelner przynosi ci po to, żebyś walczył ze stekiem, aż poprosisz o taki, który naprawdę kroi, tak więc pierwszy atak ledwie drapie skórę Gusiewa i rozrywa mu białą koszulkę z plamą z jajka.

Drugi cios trafia w łopatkę, zginając czubek i przekierowując trajektorię ostrza, które wchodzi między kość a mięsień, ześlizguje się między nimi na odcinku sześciu centymetrów, rozrywając ciało i wydobywając z gardła Gusiewa krzyk bólu, kiedy Lola wyciąga nóż, a zgięty czubek niszczy po drodze mnóstwo włókien mięśniowych.

Trzeci cios trafia w oparcie krzesła.

Czwarty zadaje sama sobie, we własne ramię, kiedy Gusiew się na nią rzuca. Podczas gdy toczą się po podłodze, Lola uzmysławia sobie, że paser się zeszczał, i po raz pierwszy dostrzega bezwzględność i brutalność tego, co się dzieje. Zostało jej jeszcze wystarczająco wściekłości na zadanie piątego ciosu, który zatapia się w gruby i twardy brzuch Gusiewa, omijając pępek o zaledwie parę centymetrów. I tak zostaje, wbity po samą rękojęść, podczas gdy paser patrzy na nią, niczego nie rozumiejąc. Lola

rozpoznaje to spojrzenie nierealności, ponieważ takie samo miała jeszcze niespełna dwie minuty temu.

Życie jest pełne niespodzianek.

– Zadzwoń do Orłowa, *suka*. Już nie żyjesz, jesteś już martwą suką.

Lola wstaje, łapiąc się za zranione ramię. Podwija rękaw bluzy i widzi, że to tylko draśnięcie. Boli, ale da się wytrzymać. Nie może się tym teraz martwić.

Gusiew przeciwnie, nie ma innych zmartwień niż nóż, który wystaje z jego okrągłego brzucha niczym flaga wbita przez Neila Armstronga w powierzchnię księżyca. Chwyta go obiema rękami i próbuje wyjąć, ale ból, jaki powoduje ząbkowane ostrze, jest nie do zniesienia. Znowu wyje, a kilka strumieni krwi wycieka brzegami rany w kierunku południowym, plamiąc po drodze białą niegdyś koszulkę.

– Ja bym tego nie robiła. Nie widziałeś tego nigdy w telewizji? Jeśli wyciągniesz nóż, możesz się wykrwawić – mówi Lola.

Jej bransoletka leży na stole. Przechodzi nad jęczącym mężczyzną i chwilę szuka, aż w szufladzie znajduje pistolet. Biżuterię wkłada do kieszeni spodni. Broń kieruje na twarz Gusiewa.

– Sejf.

Paser musi mieć dużo pieniędzy w gotówce. To jego narzędzie pracy. Ale Gusiew nie wydaje się skłonny do współpracy.

– Nie usunęłaś bezpiecznika, suko.

Lola odwraca broń, przygląda się jej przez kilka sekund i wreszcie dochodzi do wniosku, że ta mała dźwignia na rękojeści musi być tym, czego szuka. Naciska ją ostrożnie, słyszy zadowolające *klik* i celuje w twarz Gusiewa, który wydaje jeszcze bardziej zadowolające *argh*.

– Dzięki. Sejf.

– Nie zamierzam ci niczego dawać.

Lola podnosi prawą nogę na tyle, żeby krawędzią buta musnąć rękojeść noża, wywołując kolejny krzyk.

– Mogę to robić cały dzień.

Tak naprawdę nie może, ponieważ czuje, że znowu kręci jej się w głowie i ma tak sucho w ustach, że trudno jej poruszać językiem. Musi się jak najszybciej ukłuć. Ten wieprz zadzwonił do Orłowa. Kelner może zadzwonił na policję. Musi się zbierać.

Ale nie ma insuliny, nie ma pieniędzy, by ją kupić, nie ma pieniędzy dla Żeni, a ten skurwysyn przejechał jej kutasem po nodze. Tak więc nie ruszy się stąd, nie wrywając od niego, ile tylko zdoła. Chociaż najdalej, dokąd może zajść, to do radiowozu.

„Albo do karawanu pogrzebowego”, myśli Lola, ponownie podnosząc nogę.

– Dobra. Dobra. Tam z tyłu – mówi Gusiew, wskazując punkt na regale.

Lola zrzuca za jednym zamachem mnóstwo starych filmów i odsłania sejf. Jest klawiatura numeryczna. Zdobycie kombinacji kosztuje ją tylko trzy kopniaki w żebra Gusiewa. W sekundach wychodzi jej znacznie drożej, bo mija kolejna cenna minuta.

Sejf otwiera się ze zgrzytem. W twarz uderza ją kwaśny, ziemisty zapach. Pochodzi z torebki kokainy wielkości piłki tenisowej, otwartej na mnóstwie dokumentów na górnej półce.

Na dolnej leży wiele plików banknotów po pięćdziesiąt euro, związanych gumkami. Wsadzony za gumkę papier w kratkę z odręcznym zapiskiem informuje, ile jest w każdym pliku. Lola wkłada kilka z nich do kieszeni bojówek, delektując się jękami, jakie Gusiew wydaje z siebie podczas tej operacji. Zdaje się, że kradzież boli go bardziej niż wbicie noża w brzuch.

– Już nie żyjesz, jesteś już martwą suką – powtarza nieco słabszym głosem. Powieki mu się zamykają, a palce wokół rękojęści nie zaciskają się już tak mocno jak przedtem.

Wykrwawia się.

„Wielka strata”, myśli Lola, ruszając do drzwi.

Robi krok w stronę ogólnodostępnej części sklepu, udaje jej się postawić prawą stopę poza zapleczem.

Właśnie w tym momencie przy drzwiach od ulicy pojawia się policjant. Wysoki, z brodą, zmęczony. Kładzie rękę na klamce. Z jego twarzy natychmiast znika znużenie i pojawia się zaniepokojenie, kiedy przez szybę zauważa Lolę z pistoletem w dłoni.

W tym momencie także Gusiew, który wciąż leży na podłodze, postanawia wyciągnąć rękę i złapać Lolę za piętę lewej nogi. To słaby chwyt, bo w rękach już prawie nie ma sił. Palce ślizgają się po butach Loli, zostawiając trzy ślady na białej skórze. Ale noga zaczęła się już podnosić, więc Lola nieco się chwieje, jej przepona kurczy się w odruchu strachu, a to z kolei sprawia, że palec wskazujący jej prawej dłoni się zaciska.

*Blam.*

Kula wylatuje z lufy w kierunku policjanta. O kilka milimetrów mija głowę, szklane drzwi się rozpadają. Policjant odsuwa się od wejścia z niezbyt męskim krzykiem, ale zrozumiałym, zważywszy na okoliczności.

To wszystko zdarzyło się w niespełna trzy sekundy.

Lola opera się o ścianę, żeby nie upaść, celuje pistoletem w Gusiewa (który najwyraźniej stracił przytomność), znowu patrzy na broń, niczego nie rozumiejąc. W jej niesamowicie szeroko otwartych oczach odbijają się niebieskie światła radiowozu.

Na zewnątrz słychać krzyki.

„CHOOOLERA”.

# 17

## Aleja

– Wygląda na to, że w końcu się znalazła – odzywa się Jon, wysiadając z samochodu.

– Sam to powiedziałeś – mówi Antonia, dołączając do niego w drodze do policyjnego kordonu. – Pewne rzeczy są nieuniknione.

Jon i Antonia pojawiają się w środku całego zamieszania z półgodzinnym opóźnieniem. Oczywiście komisarka Romero nie zadzwoniła do nich, żeby podzielić się postępem w sprawie lokalizacji Loli Moreno. Być może dlatego, że była zajęta otaczaniem jej dwoma radiowozami i furgonetką, które odcięły ruch na alei Ramón y Cajal, i stawianiem sześciu uzbrojonych mężczyzn, celujących pistoletami w witrynę sklepową o szerokości trzech metrów.

Antonia była skupiona na informacjach, które przesłała jej Aguado, gdy tylko pojawiło się połączenie pod numer sto dwanaście. Jej intuicja okazała się słuszna. Na szczęście. To samo szczęście, które ocaliło głowę policjanta od kuli przed witryną. Bo szczęście od śmierci dzieli tylko włos.

Do nich nikt nie zadzwonił, co strasznie wkurzyło Jona. Widać to po tym, jak mocno stawia kroki, jakby chciał rozwalić asfalt, i po zaczerwienionej twarzy. Ale sytuacja z zakładnikami nie jest najlepszym momentem na podnoszenie krzyku. Tym bardziej gdy kilkunastu emerytów nagrywa wszystko telefonami z balkonów pobliskich budynków. A przecież przez głośniki furgonetki słyhać prośbę, żeby gapie wrócili do mieszkań i odsunęli się od okien, trzaski statyczne, to pilna wiadomość od policji, trzaski statyczne, jest tu uzbrojony podejrzany i mogą zostać postrzeleni, trzaski statyczne.

„Ludzie są głupi”, myśli Jon, nie bez racji.

Antonię i Jona witają mordercze spojrzenia Belgrana i Romero.

– Kto was powiadomił? – pyta podinspektor.

– Przeczytaliśmy na Twitterze – odpowiada Jon.

– Wasz udział nie będzie już potrzebny – mówi komisarka Romero. – Znaleźliśmy podejrzaną.

– Lola Moreno, gospodyni domowa. Zapisła się do Al-Kaidy? – rzuca Jon, wskazując wyciągnięte pistolety i policjantów schowanych za samochodami.

– Ma broń palną i strzeliła w stronę funkcjonariusza, który odpowiedział na wezwanie pod sto dwanaście. Zabarykadowała się w sklepie i grozi, że zabije właściciela, niejakiego – Belgrano sprawdza w papierach – Edika Gusiewa, obywatela Rosji z zezwoleniem na pobyt stały w Hiszpanii.

– Jesteśmy wdzięczni za waszą współpracę, ale od tej pory zajmiemy się tym sami – mówi komisarka Romero lodowatym tonem. Na mundur zakłada właśnie kamizelkę kuloodporną.

– Chcielibyśmy zostać w charakterze obserwatorów do czasu jej aresztowania, komisarko – mówi Antonia głosem niewiniątka. – Jeśli to pani nie przeszkadza.

Romero przygląda się Antonii ze zdziwieniem. Spodziewała się walki o władzę, a nie pokornej prośby. Ma zbyt wiele na głowie i zbyt wielu patrzących ludzi w pobliżu, żeby odmówić.

– Postarajcie się nie mieszać.

Jon bierze Antonię na stronę.

– Widzę, że bardzo dobrze przyswoiłaś moje lekcje o uprzejmości.

– To nie był najlepszy moment, żeby jej teraz mówić, co mi robi. Musimy zostać, żeby pomóc, w czym tylko będziemy mogli. Jest tu sporo uzbrojonych twardzieli – mówi Antonia, rozglądając się z niepokojem.

Policjanci są zdenerwowani, mają naładowaną broń i są gotowi jej użyć. A jest ich wielu. Kto strzeli jako pierwszy, jest tu najmniej istotne.



Odpowiedzialność rozmywa się na grupę. A ta kobieta w środku próbowała zabić jednego z ich kolegów, którego zabrano z atakiem paniki do szpitala. Co często zdarza się w takich sytuacjach jak ta, a nigdy nie pojawia się w filmach. Panika, która nie znika wraz z funkcjonariuszem w karetce, lecz zostaje i rozprzestrzenia się na sześciu, którzy wciąż tu są. Wspina się po ich kręgosłupach, rozciąga swoje trujące pędy do płuc, które oddychają ciężiej, muska serce i przyspiesza jego bicie, po drodze do palca wskazującego opartego na spuście.

– Tak czy inaczej trzeba ją stamtąd wyciągnąć – mówi Jon.

– Już raz strzeliła – odpowiada Antonia. – Do policjanta. Jeśli się nie podda, i to szybko, wyjdzie tylko w jeden sposób.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która została uwięziona z powodu niegodziwości innych ludzi”.

Lola siedzi na zapleczu, oparta plecami o regał. Gusiew zemdłał, oddycha bardzo powoli. Śmierdzi sikami i krwią. Śmierdzi porażką.

– Proszę wyjść z rękami w górze! – ryczy głos przez megafon.

– Dajcie mi spokój! Wynocha!

Ból głowy narasta. Ulokował się za lewym okiem i rozprzestrzenia się na skronie. To tak, jakby mieć w środku wijące się szczypce.

I pragnienie.

Jej ślina jest gęsta jak klej. Gardło przypomina starą skórę wyschniętą na słońcu. Chęć picia staje się nagląca, rozpacзлиwa.

Na zapleczu Gusiewa jest tylko mała butelka wody, w której zostało tyle co nic. Chociaż brzydzi się śliny pasera, Lola poddaje się pierwotnemu impulsowi i umieszcza butelkę pionowo, żeby cenne krople spadły jej na język. To krótka i nieskuteczna ulga. A do tego obrzydliwa.

Lola podnosi butelkę do oka, patrzy przez dziurę na dno, jakby w jakiś magiczny sposób mogła ją zapełnić. Jedyne, co dostaje, to sześciokrotnie powiększony obraz umierającego Gusiewa albo już martwego.

Obojętnie rzuca w niego butelką. Ta ląduje na klatce piersiowej, ześlizguje się na fałdy podwójnego podbródka i zatrzymuje się tam na krótką chwilę, a potem spada na podłogę po drugiej stronie.

„Umrę tu”.

„Umrę sama i uwięziona z tym odrażającym wieprzem”.

Objawy hiperglikemii nasilają się, w miarę jak glukoza gromadzi się we krwi. Czuje się słaba, dezorientowana. Wzrok ma zamazany. Brzuch opuchnięty nie tylko ze względu na ciążę.

I pragnienie.

W bluzie ma tyle pieniędzy, ile potrzebuje, ale żadnego sposobu, by je wydać. Myśli o sklepach w pobliżu, pełnych wody i zimnych napojów. Myśli o rurach, które biegną w ścianach, poza jej zasięgiem.

„Umrę tu”.

„Może lepiej będzie się poddać, pogodzić z tym”.

Wciąż trzyma w ręku pistolet – przyczynę tego całego zamieszania. Przez chwilę myśli o tym, żeby użyć go przeciwko samej sobie, ale potem się śmieje. To szorstki śmiech, niczym teściowa dla cudzołożnika, niczym drzewo dla skazańca. Jest w tym śmiechu jakiś dziki humor, który odbija się od regałów zawalonych mikserami, używanymi majtkami, zepsutymi osuszaczami powietrza. Wszystkie te odpadki konsumpcyjnego społeczeństwa, które chciały być czymś ważnym, poniosły klęskę, a teraz wzbraniają się przed śmiercią.

„Nie skończę jak jakaś jogurtownica”.

Pozostać przy życiu. To, co każdego dnia przyjmowała za pewnik. Nigdy nie było tak trudno.

„Żebym tylko wiedziała jak”.

Wtedy dzwoni telefon.

Metaliczny, bezczelny dzwonek wdziera się jak intruz w cierpienie utrzymujące się w tych czterech ścianach o zapachu kurzu, koki, krwi i moczu.

Lola obserwuje urządzenie z odrazą i zdumieniem, tak jak ktoś, kto w Kinder Niespodziance znajduje skorpiona. Pozwala mu dzwonić, aż nagle połączenie się urywa.

Dzwoni ponownie.

Lola wyciąga rękę. Odbiera ze strachem, podnosi słuchawkę do ucha, jakby miał z niej wyskoczyć uzbrojony policjant albo jeden z bojowników Orłowa.

– Posłuchaj – odzywa się kobiecy głos. – *Russki?* Rosyjski?

– Niemnogo. Trochę.

– Robić, jak mówię. Wziąć pistolet. *Panimajesz?*

– *Panimaju*. – Lola rozumie. Ale niczego nie pojmuje. – Kim jesteś?

– Nie ma czas. Ty żywa? Ty chceć żywa?

Lola oddycha głęboko.

„Och, tak. Ja chceć bardzo żywa”, myśli.

– Robić, jak mówię.

## Wyjście

Romero wydaje polecenia swoim ludziom. Samochody stoją w poprzek alei. Jest szeroka, a na odcinku naprzeciwko sklepu Gusiewa rośnie kilka drzew. Na chodnikach nie ma żywego ducha. Restauracja na rogu jest pusta i ciemna, lokale z telefonami zostały zamknięte chwilę wcześniej. Jedynie witryna Instant Cash wciąż jest oświetlona.

– Gdzie jest negocjator?

– Znaleźli jedną w Kadyksie. Była negocjatorką w sprawie związanej z przemocą domową – informuje Belgrano. – Będzie tu za trzy godziny.

– Trzy godziny – powtarza Romero z irytacją. – Trzy godziny, żeby sprowadzić profesjonalistkę, która przyjedzie zupełnie wykończona. I tak jest ze wszystkim.

Jon założył kamizelkę kuloodporną i po długich namowach udało mu się przekonać do tego samego Antonię. Oprócz Belgrana i komisarki jako jedyni mają na sobie kamizelki. Kolejny dowód na alarmujący brak budżetu. Jon czytał, że kilka miesięcy wcześniej koledzy weszli na statek, na którym Kolumbijczycy przetwarzali narkotyki, i doszło do konfrontacji z bronią w rękę. Paradoks polega na tym, że *narcos* mieli kamizelki i karabiny AR-15, podczas gdy policjanci byli bez ochrony i tylko ze swoimi przepisowymi pistoletami.

Nikt nie zginął, bo *narcos* się wystraszyli. W kraju, w którym więzienia są trzygwiazdkowymi hotelami, zastanowisz się dwa razy, zanim strzelisz do policjanta. Rywalizacją jest broń sama w sobie.

Tym razem nikt nie zginął.

Ale problem pozostał.

– Co robimy? – pyta Belgrano.

- Nie będziemy czekać trzech godzin. Musimy sprawić, żeby podejrzana wyszła.

- To nie będzie potrzebne - odzywa się Antonia. - Już wychodzi.

- Mamy ruch, komisarko - informuje jeden z policjantów schowanych za radiowozem.

W drzwiach pojawia się cień.

- Nie strzelać. Powtarzam, nie strzelać - mówi Romero. - Nie chcę żadnego skandalu, rozumiano?

- Wyjdź z rękami w górze! - krzyczy Belgrano przez megafon.

Urządzenie zniekształca jego akcent z Granady, zamieniając go w mniej groźny, niż można się było spodziewać. Ale jest coś zabawnego w widoku luf pistoletów wycelowanych w oświetloną witrynę.

- Wyjdę! - odpowiada głos. Ładny, nieco ochrypliwy. Zabarwiony strachem, ale niepozbawiony piękna. - Proszę, nie strzelajcie.

Lola Moreno wygląda naprawdę strasznie. Włosy splecione i brudne, wyraźne worki pod oczami, usta popękane i wysuszone. Odwodniona skóra błyszczy w świetle samochodowych reflektorów, które odcinają jej cień na tle sklepowej ściany.

„I wciąż jest ładna”, myśli Jon.

On jako jedyny z tu obecnych nie dotknął swojej broni. Nawet komisarka wyciągnęła pistolet. A podinspektor Belgrano w lewej ręce trzyma megafon, podczas gdy prawą opiera o kaburę, którą nosi w pasie.

- Ona nie stanowi zagrożenia - ostrzega Antonia. - Niech nikt nie strzela.

Lola ma przy sobie broń, ale trzyma ją za lufę, między kciukiem a palcem wskazującym. Ręce ma w górze, plecy przygarbione. Idzie bardzo powoli, oddalając się od drzwi sklepu.

- Pani Moreno! - ryczy megafon. - Proszę rzucić broń!

- To, co się stało, to był wypadek!

- Musi pani rzucić broń teraz! To nasze ostatnie ostrzeżenie!

Lola patrzy na nich szeroko otwartymi oczami pełnymi strachu. Ale jest w nich coś jeszcze. Porusza nimi z boku na bok. Czekaając.

– Coś się dzieje – mówi Antonia.

Do tej pory Antonia stała. Teraz nachyla się, bardzo powoli. Nie żeby była dużym celem. Malutka ręka łapie brzeg kamizelki kuloodpornej Jona i jego też ciągnie w dół.

– Proszę pani, nie będę powtarzał. Proszę rzucić broń! – odzywa się Belgrano, unieważniając swoją obietnicę.

– To był wypadek. Przysięgam, że to był wypadek. Musicie pozwolić mi odejść – mówi Lola, szlochając.

Stawia kolejny krok w swoją prawą stronę, jeszcze bardziej oddalając się od wejścia do sklepu.

– Spokojnie. Proszę rzucić broń!

Komisarka Romero bierze mikrofon swojej krótkofalówki i wciska przycisk do nadawania.

– Bravo Jeden, pozwolenie na strzał neutralizujący.

– Nie! – krzyczy Antonia, próbując wstać.

Jon przytrzymuje ją w pasie.

– Bravo Jeden, słyszysz mnie?

Trzaski statyczne.

Cisza.

– Soler, gdzie ty do cholery jesteś? – denerwuje się Romero i dwukrotnie wciska przycisk komunikacji.

– Pani człowiek wyeliminowany – odpowiada kobiecie głos. Rozbrzmiewa w słuchawkach Romero, Belgrana i każdego z sześciu policjantów.

– To jest częstotliwość zarezerwowana dla policji – mówi Romero, prychnąwszy. – Proszę opuścić kanał albo...

– Pani człowiek wyeliminowany. Ja używam jego radia.

Policjanci patrzą po sobie, niczego nie rozumiejąc. Romero i Belgrano wymieniają nieco inne spojrzenie.

– Kto mówi? Czy Solerowi nic nie jest?

Romero wykonuje głową gest w stronę Belgrana. Podinspektor odkłada megafon na ziemię i daje znak jednemu z funkcjonariuszy za

samochodem.

- Facet dobrze. Ty nie ruszać.
- Proszę posłuchać, nie wiem, kim pani jest, ale...
- Prawe koło - mówi głos przez słuchawki.

Lecąc z prędkością ponad ośmiuset metrów na sekundę, kula rozrywa oponę Citroëna C4, zanim dźwięk strzału dotrze do policjantów zebranych naprzeciwko Instant Cash. Kiedy wreszcie dociera, stapia się z hałasem wybuchającego koła, wywołując ogłuszającą eksplozję. Radiowóz przechyła się na bok, podczas gdy funkcjonariusze rzucają się na ziemię, szukając miejsca, skąd pochodził strzał, i chroniąc się jak tylko mogą.

Jon też padł na ziemię. Tyle że on zrobił to, zasłaniając ciało Antonii. Która próbuje się wiercić i wystawić głowę.

- Tam wysoko - mówi Antonia, wskazując dach naprzeciwko nich.

Romero wie, gdzie jest strzelec. W tym samym miejscu, w którym ona postawiła funkcjonariusza Solera z karabinem snajperskim PSG1. Klejnot precyzji. Funkcjonariusz Soler ma dopiero dwadzieścia cztery lata, ale z bronią potrafi robić cuda. Może trafić arbuza z odległości sześciuset metrów. Czy raczej go rozerwać, ponieważ PSG1 używa naboju 7.62, zdolnych przeciąć pięciocentymetrowy blok betonu.

Zdobycie tej broni dla UDYCO Costa del Sol było wielkim zwycięstwem. Romero musiała długo naciskać, żeby z Madrytu przysłali im jeden z tych precyzyjnych karabinów, które zwykle dostają takie jednostki jak GEOS albo posterunki w takich miastach jak Bilbao czy Barcelona. „W rękach tego, kto umie się nią posługiwać, jest to broń nie do powstrzymania”, powiedziała Romero, kiedy przesyłka dotarła do komisariatu. Była fiesta.

Teraz nie ma radości.

- Musicie dostać się na pozycję Solera. Jakkolwiek - żąda Romero, leżąc na asfalcie, głowa w głowę z Belgranem.

Podinspektor czołga się w kierunku furgonetki, ale nie dociera zbyt daleko. Przez krótkofalówki ponownie rozbrzmiewa głos.



– Duży samochód lewe koło. Mały samochód tylne koło.

Eksploduje, jedna po drugiej, znowu rozlegają się na całej alei Ramón y Cajal, opróżniając bezpośrednie sąsiedztwo kordonu policyjnego z gapiów i dziennikarzy. A balkony z irytujących emerytów. Koło radiowozu pęka czysto, koło furgonetki, znacznie cięższe, przy wybuchu rozrzuca naokoło kawałki gumy.

– Komisarko, podejrzana ucieka – przekazuje jeden z funkcjonariuszy, który spod radiowozu widzi, jak stopy Loli się oddalają.

– Zatrzymać ją! – nakazuje Romero.

Funkcjonariusz wstaje, podnosi broń.

Tym razem nie ma ostrzeżenia.

Kula trafia go w lewe udo, od tyłu. Siła uderzenia jest olbrzymia, łamie kość udową na trzy części i rozrzuca jej małe fragmenty wraz z wychodzącą kulą. Zostają tam, bielutkie, na krwi i asfalcie niczym po rzuceniu kośćmi, który wygrywa krupier.

Kiedy znika hałas po czwartym wybuchu, zalega chwila ciszy. Zamrożona chwila ciszy, lecz nie spokoju. Zatrzymana chwila pełna wykrzywionych twarzy, szeroko otwartych oczu. Chwila tego rodzaju niepojętego strachu i spoliczkowanej dumy, jakie czuje myśliwy, kiedy staje się ofiarą.

„Schrzaniliśmy to”, podsumowuje Jon.

Ciszę rozrywają krzyki rannego funkcjonariusza, który obiema rękami łapie się za rozwaloną nogę. Inny policjant podchodzi do niego, zdejmując sobie pasek, robi opaskę uciskową.

– Ty nie ruszać – powtarza głos przez krótkofalówkę.

Tymczasem Lola Moreno doszła już do zbiegu alei i ulicy Enrique del Castillo. Tam natyka się na operatora telewizyjnego. Mężczyzna i towarzysząca mu reporterka patrzą na nią uważnie. Lola kieruje pistolet w niebo i strzela dwukrotnie. Operator i reporterka uciekają.

Lola też. Znika w parku Alameda i biegnie, nie oglądając się za siebie.

Tymczasem twarz komisarki Romero wyraża czystą wściekłość. Policzek na asfalcie, zgrzytanie zębami, dłonie zaciśnięte w pięści. Cała jej samokontrola oraz dystynkcja zajmują się utrzymaniem ciała przyklejonego do podłoża. Zamiast chwycić za broń i oddać strzały.

– Ile kul? – szepcze do niej Antonia, a przynajmniej ta jej część, której udaje się wydostać spod studziesięciokilogramowego ciała Baska.

– Co?!

– Ile kul ma magazynek? – powtarza Antonia.

Romero zmusza się do myślenia. Ale nie może sobie przypomnieć. Krzyki jej człowieka leżącego na ziemi nie pozwalają jej myśleć o niczym innym. Nazywa się Vázquez. Ma żonę i dwie córeczki. Raz przyszły na komisariat. Żeby zobaczyć, gdzie pracuje tata i gdzie zatrzymują złoczyńców.

– Model. Proszę mi powiedzieć, jaki model – upiera się Antonia.

– PSG jeden – odpowiada automatycznie Romero. Trzynaście wypełnionych formularzy wniosku sprawiają, że nie da się tego zapamiętać.

– W takim razie pięć. Wystrzeliła cztery – mówi Antonia.

Kopie Jona w piszczel, ten na chwilę rozluźnia ramiona na tyle, żeby Antonia się podniosła i poturlała w jego lewą stronę.

Strzał przeszywa powietrze w miejscu, które zajmowała przed sekundą, i wbija się w drzwi radiowozu, zostawiając idealnie okrągłą dziurę na żółtym pasie.

– I pięć – mówi Antonia, sapiąc.

Romero wreszcie reaguje.

– Musi zmienić magazynek! Ruszać się!

*Trzeba biec.*

*Nigdy przedtem nie strzelała z PSG1, ale analizowała jego obstrukcję. To potężna broń, zaprojektowana przez Niemców po masakrze w Monachium, żeby ich policja mogła wyeliminować uzbrojonych wrogów z dużej odległości.*

*Niestety przeładowanie go zajmuje wiele sekund. Ta niska kobieta wzięła ją z zaskoczenia. Nie spodziewała się, że nagle się podniesie, a jej ciało i trening zrobiły resztę. Palec instynktownie nacisnął spust, magazynek został pusty.*

*Nie zaprzęta sobie głowy zmianą magazynka w karabinie. Cofa się pochylona i odsuwa od krawędzi dachu. Przechodzi nad nieprzytomnym ciałem funkcjonariusza.*

*Dobrze zna zasady. Nie zabija się policjantów. Podejście do niego było proste, wyeliminowanie go z gry, nie powodując przy tym poważnych uszkodzeń, już nie tak bardzo.*

*Ucieczka absolutnie nie będzie łatwa.*

*A tym bardziej po tym, jak zraniła jednego z nich.*

*Słyszy ich przez radio, jak koordynują swoje działania, ale nie rozumie znacznej części słów, więc wyjmuje kabel z ucha i rzuca aparat na ziemię. Szacuje, że ma co najmniej czterdzieści sekund, zanim zjawią się na dachu. Unieruchomiła windę, więc przynajmniej tyle czasu zajmie im pokonanie biegiem siedmiu pięter. Kolejne siedem sekund na wyważenie drzwi na dach, które zabezpieczyła linami.*

*Zdąży na styk.*

*Biegnie w stronę zachodniej ściany budynku. Tam zostawiła linę wspinaczkową i haki. W sumie niecałe czterdzieści euro w sklepie sportowym dwie ulice dalej. Jeśli przejrzą nagrania z kamery monitoringu, będą wiedzieli, jak obecnie wygląda. To nie było idealne rozwiązanie. Ale musiała improwizować. Wiadomość, którą dostała na telefon, wysłaną przez ludzi Orłowa, zawierała tylko jeden adres.*

*Znajdowała się w odległości sześciu minut motocyklem.*

*Przyjechała w trzy.*

*Zbyt późno.*

*Cokolwiek się wydarzy, Lola Moreno nie może wpaść w ręce policji. Nie, dopóki z nią nie skończy. Później policja może zebrać to, co zostanie.*

*Zakłada kask i rękawice. Dwukrotnie sprawdza stalowy hak. Nie ma czasu na karabińczyki, uprząże czy karabinek z hamulcem, więc sejdzie bez zabezpieczenia. Przepasuje się liną między nogami, za udem, nad klatką piersiową i za ramieniem i zaczyna schodzić. Jest pewien powód, dla którego tej techniki nie stosuje się od już od stu lat, a mianowicie taki, że powoduje intensywne tarcie. Może sobie z tym poradzić. Spodnie i kurtka są z grubej skóry. Ale obciążenie pleców to już zupełnie inna sprawa. Wraz z każdym odepchnięciem ból narasta. Nogi wyrzucają ją na zewnątrz, podczas gdy ręce wypuszczają linę. Ale kiedy stopy znowu zbliżają się do ściany, zaciska zęby. Gdy podeszwy butów muskają fasadę, zgina kolana, ale to nie wystarcza. Zderzenie sprawia, że na całym kregostupie czuje smagnięcie biczem, porażenie prądem, które wyrywa z niej krzyk. Trzy metry nad ziemią jest bliska zwymiotowania. Tylko cudem się nie puszcza. U góry słyszy krzyki policjantów i wydaje jej się, że ktoś zrobił zdjęcie albo nagrał filmik z jednego z okien.*

*Ramiona zawodzą ją przy przedostatnim odepchnięciu. Ból sprawia, że traci przyczepność i obraca się wokół własnej osi, przyczepiona do liny niczym dziwne jo-jo w rękach niezdarnego dziecka. W ostatniej chwili udaje jej się chwycić na tyle, żeby upaść na brzuch, a nie na plecy. To upadek z wysokości półtora metra i nie ma jak go zamortyzować. Najgorzej oberwał kask. Czarny wizjer pęka, odstawiając oko, które spogląda na dach. Policjanci wychylają się przez barierkę z pistoletami w dłoniach.*

*Napędzana adrenaliną, przewycięża ból pleców, przetacza się po ziemi i przywiera do fasady, gdzie nie jest zbyt łatwym celem dla*

*policjantów. Motocykl stoi w pobliżu, zaparkowany za kontenerem.*

*Jeszcze tylko jeden krok. Jeszcze tylko kilka metrów.*

*Spowita chmurą bólu dociera do jednoślada. Trzysta dziesięć koni ryczy zuchwale, kiedy uruchamia silnik.*

*Słyszą strzały, które nie znajdują celu.*

*Kilka sekund później już jej nie ma.*

# Aślan

Aślan jest zdezorientowanym człowiekiem – to przede wszystkim.

Wystarczy na niego spojrzeć. Siedzi na swoim ulubionym tarasie przy promenadzie, na stole stoi jego ulubione śniadanie. Jajka zrobiły się jak guma do żucia, tosty – twarde. Kiełbaski, już zimne, ujawniają swoją prawdziwą naturę: osiemdziesiąt procent tłuszczu, dwadzieścia procent resztek mięsa.

Aślan nawet nie tknął sztucców. Siedzi tu od przeszło godziny i próbuje zrozumieć, co się stało. Dlaczego Lola Moreno nie jest martwa, tak jak nakazał. Dlaczego Czarna Wilczyca pomogła jej uciec przed policją, zamiast po prostu wpakować jej kulkę w głowę.

Przekazano mu, jak to się stało. W najdrobniejszych szczegółach. I Bestia wie, że wywołał niepokój w społeczności. Wiadomość, którą przekazał na pogrzebie Woronina była jasna. Każdy, kto zdradza Aślana Orłowa, nie przeżyje. Kirył Rebo, jego prawa ręka, puścił informację, że ona przybyła, aby dokonać zemsty.

Teraz wyszedł na głupca.

Aślan wierci się na krześle. Po godzinie nawet najwygodniejsze wiklinowe siedzisko staje się torturą dla kościstego tyłka emeryta. Nie zostaje mu nic innego, jak zadzwonić do Sankt Petersburga i powiedzieć, co się stało. Wyjaśnień będą musieli domagać się od Wilczycy.

Dzwoni kilka razy, aż w końcu odbiera zużyty, zachrypnięty, nieprzyjemny głos.

– Aślan, jak dobrze cię słyszeć.

– Pakhan. – Orłow wita się z szacunkiem tytułem należnym szefowi organizacji. Potrafi go sobie wyobrazić po drugiej stronie linii, ze swoją nieodłączną srebrną laską, ze ślepymi, pustymi oczami. Napisana brajlem książka leży otwarta na stole obok.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Orłow mu wyjaśnia, opowiada o kompromitacji z poprzedniego wieczoru. Jest nawet ranny policjant, co wykracza poza wszelkie zasady. Pakhan słucha go uprzejmie, nie przerywając.

– Wszystko przebiega zgodnie z planem – mówi staruszek, kiedy Orłow kończy opowiadać.

Zdezorientowany mafioso pochyla głowę, rozgląda się podejrzliwie. Nie rozumie. A wiele lat w bratwie nauczyło go, że nierozumienie tego, co się dzieje, jest przygrywką do pewnej śmierci.

– Pakhan...

– Nie zadręczaj się, Asłan. Rozumiem twój niepokój.

– Nie pojmuję, co się dzieje. Dlaczego ta kobieta nadal żyje?

– Po co cię tam posłałem, wor?

– Żeby stworzyć...

– Posłałem cię tam, żebyś prał nasze pieniądze. I wypełniałeś to zadanie z pewną łatwością.

– Robię, co do mnie należy.

– Ach, o to właśnie chodzi. Nie ty to robiłeś. Robił to Woronin. Prosty bojownik, który w ciągu paru lat stał się finansowym magikiem. To wyglądało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. I tak było.

Za Orłowem pojawia się cień. Przestraszony mafioso się odwraca, przekonany, że przyszli go zabić. Tak działa się zawsze, kiedy człowieka ogarnia ciemność. Ktoś się z niej wyłania i wbija ci nóż w gardło.

Tyle że tym razem nóż ma wielkość i kształt mnóstwa papierów.

– Przejrzyj te dokumenty, które ci właśnie przyniesiono, wor. Wtedy zrozumiesz, że zdrada Woronina jest o wiele poważniejsza i szkodliwsza niż rozmowa z policją.

Orłow przerzuca zapisane cyrylicą papiery, które Kirył Rebo przekazał mu ze wzruszeniem ramion. I nie może uwierzyć własnym oczom.

– To oznacza...

– To oznacza, że cię okradał. Opróżniał *obszczak* pod twoim nosem, Asłan. Gdyby to wyszło na jaw...

Orłow poczuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki. Kapuś w organizacji to wielkie niebezpieczeństwo. Złodziej – to niewyobrażalna katastrofa. Jeśli w bratwie się rozniesie, że Tambowska pozwala się okradać, to będzie równoznaczne z wymalowaniem sobie tarczy na środku czoła. W tym świątku nawet najmniejszy przejaw słabości oznacza wyrok.

– To ja wysłałem Czarną Wilczycę tydzień wcześniej, niż o nią poprosiłeś, Asłan. Nie ty. Nie twoje polecenia wykonuje, tylko moje.

– Gdybym miał świadomość...

– Być może nie posłałbyś swoich ludzi, żeby spalili dokumenty Woronina. To był błąd. Teraz znacznie trudniej będzie znaleźć pieniądze. Ale to jedyny powód, dla którego jeszcze żyjesz.

– Żona Woronina wie, gdzie są pieniądze – mówi Orłow.

– Wilczyca je znajdzie. A kiedy to zrobi, może dalej będziesz worem. A może nie.

Połączenie się urywa, choć Orłow zwleka chwilę z odsunięciem telefonu od ucha i odłożeniem go na stół.

Nie uniknął wyroku śmierci za swoje błędy. Jedynie go odłożył.

„Do czasu, aż pojawią się pieniądze. O ile się pojawią”.

Znowu przegląda dokumenty. Rachunki nie pozostawiają wątpliwości. Chociaż Woronin był sprytny, ślad, jaki zostawił, w końcu wypłynął na powierzchnię, nawet jeśli prowadzi do ślepego zaułka.

Setka anonimowych kart kredytowych, za pomocą których od miesięcy dokonuje się ogromnych płatności.

Orłow przeklina to, jaki był głupi, ufając Woroninowi. On, który zrobił tak wiele, żeby pomóc temu prostakowi.

„Jak on mógł mnie tak oszukać?”

„I na co, do cholery, wydał sześćset pięćdziesiąt trzy miliony euro?”



# **CZĘŚĆ TRZECIA**

## **LOLA**

*Skazujemy wilka nie ze względu na jego naturę, lecz ze  
względu na to, jak go postrzegamy.*

**Farley Mowat**

# 1

## Życiorys

Jon Gutiérrez wciąż jest obolały.

Nie chodzi o piszczel. Antonia Scott potrzebowałaby pół godziny i młotka, żeby nabić mu siniaka. Ale dusza, ech, dusza. Dusza Jona jest delikatnej i kruchej natury, a fakt, że Antonia zdołała go oszukać i pozbyć się z taką łatwością, wciąż go boli. Jest w buntowniczym nastroju. A grafik na dziś bynajmniej nie pomoże w tym, by poczuł się lepiej.

Jest w nim tylko jeden punkt.

Zadzwoić do Mentora.

Wezwał ich oboje na wideorozmowę punktualnie o pierwszej. I poprosił, żeby do tej godziny nie opuszczali hotelu.

Jon skorzystał więc z okazji, żeby załatwić dwie zaległe sprawy.

Jedna.

Sprawdzić, czy chłopak z Grindra wciąż nie daje znaku życia. I rozpaczliwie kląć.

Druga.

Zadzwoić do *amatxo*, która przez pół godziny wyrzuca z siebie skargi na sąsiadkę spod dwa B. Jon, zawsze skory do obgadywania sąsiadki (tej gadziny z długim jęzorem, dość przypomnieć awanturę, jaką zrobiła o pelargonie), słucha tylko jednym uchem. Obrabianie tyłka wyżej wymienionej nie bawi go już tak jak dawniej. Woda gasi ogień, a zapal gaszą lata. Ta sąsiedzka wrogość, która trwa już przez pół życia, dziś wydaje mu się małostkową i podłą stratą czasu. I od razu żałuje, że o tym myśli, ponieważ niedobrze ignorować tych, którzy nas obrażają.

„Nie bez pozwolenia *amatxo*. Byłoby dobrze”.

Kiedy Jon się rozłącza, czuje się gorzej niż na początku. Ostatnio telefony do matki stały się obowiązkiem, z mechanicznymi, zardzewiałymi i skrzypiącymi własnymi rytмами. A nie powinno tak być. W wieku czterdziestu kilku lat Jon wreszcie się uniezależnił. I nie podobają mu się emocjonalne opłaty, którymi jest to obarczone.

Jon to jedyna rodzina, jaką ona ma.

„Ale co ze mną? Kogo mam ja?”

Jak w każdej asymetrycznej relacji (a nieliczne takie nie są) jedna z osób bardziej potrzebuje tej drugiej. I szala musi się przechylić, dorzucić więcej ziaren ryżu na cięższy talerzyk, aż łańcuch się zerwie i ryż się rozsypie.

Nagle Jon nie jest już taki pewien, czy te refleksje dotyczą tylko jego matki.

Antonia otwiera mu drzwi swojego pokoju o dwunastej pięćdziesiąt siedem. O trzynastej jedenaście Mentor nadal nie dzwoni.

Siedzą więc tak, każde w jednym fotelu, nie rozmawiając. On przegląda wiadomości w telefonie. Ona czyta książkę. We własnym oszałamiającym tempie.

– Co czytasz?

Nie pierwszy raz widzi ją pogrążoną w lekturze papierowej książki. Prawie zawsze są to grube podręczniki do kryminologii. Mądre analizy dotyczące serologii albo psychopatologii w innych językach. O niewyobrażalnie długich i nudnych tytułach. Jon zmienia je zgodnie z najlepszą hiszpańską tradycją. *Mój sąsiad zawsze mówił dzień dobry. Zmywanie śladów krwi jest łatwe, jeśli wiesz jak. Marzyłem, marzyłem i w końcu zabiłem.*

Jednak ta książka, którą trzyma teraz, wydaje się inna.

– Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz się śmiał – domaga się Antonia.

Jon przysięga na to, co najświętsze. Na *amatxo*, na stek z ziemniakami, na garniturę w prążki.

Antonia pokazuje mu okładkę. Jest na niej zdjęcie buta rzuconego na podłogę. I tytuł, który wystawia na próbę męskość i kulturę osobistą inspektora Gutiérreza.

*Dzieci: instrukcja obsługi.*

Jon wstaje z fotela z kamiennym wyrazem twarzy i spogląda przez okno, za którym rozciąga się piękny pejzaż wewnętrznego patia ze strużkami wilgoci na ścianach i ciemnoczerwonymi kałużami na jasnoczerwonym lastryko.

– Będzie lepiej, jeśli zmażesz ten uśmiech, zanim twarz rozerwie ci się na pół – mówi Antonia.

– Stoję do ciebie plecami.

– A szyba to powierzchnia odbijająca.

Jon się poddaje. Odwraca się z niezbitym dowodem przyklejonym do twarzy.

– No dobra, i co? Jakaś przydatna rada?

– Prawdę mówiąc, nie. Mnóstwo wariantów „słuchaj i rób, co możesz”.

– Mogłem ci o tym powiedzieć za mniej niż dwadzieścia euro.

– Tak, ale ty nie masz zdjęć dzieci co dziewięć stron.

– To jeszcze bardziej przemawia na moją korzyść.

Kiedy Mentor pojawia się na ekranie iPada, z prawie godzinnym opóźnieniem, wygląda okropnie. Nawet Antonia, niezbyt skłonna do komentowania czyjegoś wyglądu, zdaje sobie z tego sprawę.

– Co się dzieje?

Mentor odchrząkuje i wykręca sobie palce.

– Coś bardzo poważnego, Scott. Zginęły dwie Królowe.

Jon i Antonia patrzą na siebie zaalarmowani.

– Które?

– Anglia i Holandia.

– Dlatego jesteś w Brukseli?

– Już nie jesteśmy w Brukseli. Nie mogę ci powiedzieć, gdzie jesteśmy.

Za nim widać jedynie białą gołą ścianę. Światło dichroiczne podkreśla jego zmęczoną twarz. Ma kilkudniowy zarost.

– Ale tak, dlatego spotkali się wszyscy szefowie projektu. Sytuacja jest bardzo złożona.

– Jak to się stało?

– Nie mogę wchodzić w szczegóły.

– Mamy wracać? – pyta Jon.

– Nie! – rzuca Mentor. – Nie, nie musicie wracać. Nie, dopóki sytuacja się trochę nie wyjaśni. Macie zostać tam, gdzie jesteście, z dala od Madrytu.

– Pojawiła się brudna gra – mówi Antonia.

– Nie zamierzam ci nic powiedzieć, Scott. Nie próbuj mną manipulować, dobrze wiesz, że to ja nauczyłem cię wszystkich sztuczek, jakie znasz.

Antonia odchyła się na oparcie, niezadowolona.

– Tutaj sytuacja też nie jest przyjemna.

– Wiem. Mam tu informacje, o które poprosiłaś Aguado – mówi Mentor, pokazując do kamery jakieś papiery. – Jeszcze sobie porozmawiamy o tym, w jaki sposób ci się to udało. To było nieodpowiedzialne z twojej strony. Ale w tej chwili mam większe problemy. I wy też.

– Znalazła coś o tej kobiecie?

– Och, tak. Spodoba ci się.

Mentor zaczyna czytać.

– Ołena Jowonowicz, aka *Czernaja Wołczyca*. Córka mistrza sambo, rosyjskiej sztuki walki, i szachowej arcymistrzyni. Urodziła się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku w Kstowie, mieście nad Wołgą. Zabrano ją rodzicom od razu po narodzinach, a im powiedziano, że dziecko zmarło.

– Jak cudownie.

– W Hiszpanii jeszcze do niedawna było to w zwyczaju, nie wiem, czemu się dziwicie – mówi Antonia.

- Dziewczynka dołączyła do tajnego programu KGB, wtedy dogorywającego organu. To były czasy paranoi, zanim odkryli, że mogą kontrolować świat za pomocą komputerów. Chcieli stworzyć ostateczną ludzką broń. Eksperyment, którego już wcześniej podejmowali się naziści czy Amerykanie, choć z mniejszym powodzeniem. Rosjanie uczyli się na błędach rywali. Byli zdeterminowani, by to osiągnąć, więc porwali setki dzieci. Niektóre zostały odrzucone. Inne przetrwały. Dzieci takie jak ona, obdarzone wyjątkową inteligencją i nadzwyczajnymi cechami fizycznymi.

Jonowi wydaje się, że w głosie Mentora wyczuwa nutę nostalgii i zazdrości.

„Lepiej zabierać je, kiedy są małe. Dzięki temu nie będziesz mieć agentów, którzy podejmują decyzje na własną rękę”, myśli, patrząc na Antonię.

- Po upadku muru berlińskiego program *Osobyje Deti*, czyli Wyjątkowe Dzieci, znalazł się w rękach SVR, Służby Wywiadu Zagranicznego. Kiedy dzieci dorosły, szefowie SVR mieli już świadomość, że aby zachować daczę za miastem, mercedesa w garażu i zapewnić swojej żonie operację powiększenia piersi, należało zacząć sprzedawać aktywa.

- Dlatego Azja i Afryka wypełniły się bronią automatyczną i pociskami ziemia-powietrze - mówi Antonia. - Handlarze zrobili dobry interes za pieniądze od dyktatorów i terrorystów.

- A kiedy skończyły im się bomby, sprzedali dzieci.

- Tego się obawiam. Tyle że to nie były dzieci, inspektorze, tylko broń. Nie wiemy, ile dokładnie osób z tego programu SVR sprzedał bratwie. Dane nie są jednoznaczne. Kilka, kilkanaście. W bazach danych FSB prawie wszystkie figurują jako zmarłe.

- Prawie wszystkie - mówi Antonia.

- Prawie wszystkie. Ona nie.

- Przesłość?

Mentor zapala papierosa i przeszukuje papiery.

- Mnóstwo domysłów i niewiele potwierdzonych informacji. Dwa trupy w Amsterdamie, cztery w Belgradzie. Jeden zamordowany sędzia w

Moskwie, drugi w Dagestanie. Wszyscy byli wrogami Tambowskiej.

– Świadkowie?

– Nieliczni. Wszyscy twierdzili, że tajemnicza kobieta pojawiła się znikąd.

– Brzmi znajomo – odzywa się Jon.

– Oczywiście nie ma żadnego zdjęcia – domyśla się Antonia.

Mentor kręci głową.

– Masz już drugiego ducha do swojej kolekcji, Scott.

– Coś jeszcze?

– Pozostałe informacje są tak niejasne i nie do odróżnienia od legendy, że nie ma sensu, bym je przekazywał. Nieprawdopodobne egzekucje, wrogowie zabijani dziesiątkami. Wszystko zapewne nieprawdziwe. Ale wystarczyło, żeby Tambowska podsycić strach u swoich rywali.

– Mają własnego Dziada z Workiem.

– To nie jest Dziad z Workiem – mówi Mentor. – Czarną Wilczycę wysyłają po to, by zabiła Dziada z Workiem.

Jon przejeżdża dłonią po twarzy, zakłada ręce na piersi. W końcu on jest tylko chłopakiem z Santutxu.

– No to zajebicie. Tylko tego nam tu brakowało. Czy nie mówiłaś przypadkiem, że mafiosi są nudni?



## 2

### Ostrzeżenie

– Jeszcze jedno – mówi Mentor, zanim się rozłączy. – Postanowiłem zakończyć wasz udział w sprawie Loli Moreno.

Antonia, która zgubiła się w jakimś miejscu w swojej głowie, podnosi ją ze zdziwieniem. Jon też, tyle że on z zaniepokojeniem. Cała trójka wie, co będzie dalej. Jedyna wątpliwość dotyczy słowa, jakie wybierze Antonia, żeby posłać go do diabła.

– Nie ma takiej opcji.

Mentor się nie odzywa. Zdaje się, że połączenie się zacięło, ale nie, on postanowił po prostu milczeć. Jon też. Nie zapomniał historii, którą Mentor opowiedział mu przed kilkoma miesiącami. Historii o psie, którego musiał uśpić, ponieważ nie potrafił się kontrolować. Tak więc dziwi się, że ktoś, kto tak dobrze zna Antonię Scott, wybrał tak mało odpowiedni sposób na przekazanie jej głupiej decyzji.

Upływa kilka krępujących sekund. Z rodzaju tych oznaczonych etykietą „Jeśli się odezwiesz, przegrywasz”.

– Inspektorze Gutiérrez... – mówi Mentor.

– Na mnie proszę nie patrzeć. Wie pan, co się dzieje.

– Dzieje się to, że sytuacja jest trudna. Zbyt wiele niebezpiecznych czynników. Jesteście tam sami, bez żadnego wsparcia. Ekipa z Madrytu jest zajęta pomaganiem w wyjaśnieniu tego, co się przytrafiło Anglii i Holandii. Jeśli nie każę wam wracać, to dlatego, że boję się, że coś wam się stanie.

– Musimy tu zostać. W porządku. No więc skoro już tu jesteśmy, wykorzystamy ten czas.

– Scott. Już dwukrotnie spotkaliście się z tą kobietą. To cud, że nie stało się nic gorszego. Nie jesteście jednostką interwencyjną. Wasze zadania są ściśle określone.

– Daj spokój. Będzie tak jak w Walencji.

– Ty i ja wspominamy Walencję w zupełnie inny sposób – wzdycha Mentor.

– Możliwe. Ale znajdziemy Lolę Moreno i dowiemy się, co się tutaj stało.

– Jesteś zbyt cenna, żeby stracić się przy czymś takim, Scott.

– Jak?

– Nie rozumiem.

– Jak jestem cenna? Podaj mi cyfrę.

– Nie sądzę, żeby...

– Chciałabym wiedzieć. Ile jestem warta? Tyle, co dwie kobiety? Trzy kobiety? Osiem martwych kobiet, jak tamte z kontenera?

Jon przypomina sobie smród. Zgniliznę. Krew, którą musiał zmyć z ciała Antonii, ze swojego zresztą też. Obietnicę, którą ona złożyła. Delikatny szept wydany przez drobną i niemal zdruzgotaną kobietę. Maleńki pyłek kurzu w obojętnym wszechświecie. Ledwie zakłóciła ciemność.

A jednak...

– Ja nie decyduję, dokąd jadę. Co mam robić z tym – mówi, dotykając czoła palcem wskazującym. Delikatnie i powoli.

– To niesprawiedliwe.

– Ty decydujesz, gdzie wchodzimy. Tymczasem ja decyduję, kiedy wychodzimy. A jeśli ci to nie odpowiada...

Robi pauzę.

– Jeśli ci to nie odpowiada, możesz iść do diabła.

Wykrzywiona twarz Mentora z oczami wielkości piłeczek golfowych to ostatnie, co widać na ekranie, nieruchomym przez chwilę, kiedy Antonia przerywa połączenie.

– No i jak mi poszło? – pyta, zwracając się do swojego partnera.

Inspektor gładzi brodę, udając, że myśli.

– Daję ci dziesięć za wykonanie, pięć za wybór przekleństwa i cztery za pretekst.

– Średnia sześć i trzy? – pyta Antonia z grymasem.

– Dostajesz dodatkowe punkty za minę, jaką zrobił. Powiedzmy, że siedem.

– Nie jest źle.

Jon wstaje. Wraca do okna, wkłada ręce do kieszeni. Całym ciałem daje znaki „zapytaj mnie, co mi jest”, które potrafi odebrać nawet takie zepsute radio jak Antonia.

– Co się dzieje?

– Zabawnie było patrzeć, jak ustawiasz go do pionu. Ale myślę, że ma rację.

Jon nie potrzebuje żadnej odbijającej powierzchni, żeby dostrzec rozczarowanie na twarzy Antonii. Ani oczu z tyłu głowy, tak jak ojciec Carlos na katechezie. Ten to dopiero miał supermoce.

– I jeszcze ty, no nie.

– Nie mówię, byśmy dali sobie z tym spokój – przekonuje Jon, odwracając się do niej i podnosząc ręce w pojedynczym geście. – Lola Moreno wciąż jest kluczowa, żeby złapać Orłowa. Ale teraz pojawiła się Xena, wojownicza księżniczka. I szuka tego samego, co my.

– Już raz ją spotkaliśmy. Nie jesteśmy jej celem.

Jon gładzi sobie szyję, na której wciąż ma pamiątkę z tamtego spotkania.

– Nie jesteśmy jej celem, dopóki nie staniemy jej na drodze. Sama widziałaś, co się stało z policjantem, który się podniósł.

– Już wcześniej mierzyliśmy się z mordercami. A Sandra Fajardo?

– Przebiegła żmija, która posługiwała się oszustwem. Z tym możemy sobie poradzić. Ale to...

– To tylko człowiek. Uciekła w ostatniej chwili.

– Schodząc po linie z dachu. To nie nasza liga, skarbie.

Antonia zakłada ręce na piersi.

- To co robimy w takim razie? Zamykamy się w pokoju i oglądamy telewizję?

- Nie w tym rzecz. Policja sprawdza już okolice, ale nie tędy droga. Teraz ma pieniądze, więc może się ukryć. Proszę cię tylko, byśmy przez parę dni nie biegali wszędzie jak szaleni. Poszukaj jej tutaj – mówi Jon, dotykając iPada. – I tutaj – dodaje, wskazując jej czoło.

Antonia na dłuższą chwilę wbija wzrok w minibar. Argumenty stoją w kolejce za jej zębami. Ale ostatecznie postanawia je zacisnąć i nie pozwolić im wyjść.

- Dobra. Zostaw mnie samą. Muszę pomyśleć.

# Nagranie 11

*Osiem miesięcy wcześniej*

**Komisarka Romero:** Nie tak się umawialiśmy.

**Jurij Woronin:** Umawialiśmy się...

**Podinspektor Belgrano:** Zamknij się, Woronin. Już wiemy, że jesteś kompletnym zerem.

**Komisarka Romero:** Prawda, pani Moreno?

**Lola Moreno:** Nie wiem, o czym pani mówi.

**Komisarka Romero:** Jasne.

**Podinspektor Belgrano:** Wciąż dajecie nam samo gówno.

**Jurij Woronin:** To dobre informacje.

**Komisarka Romero:** Nie takich informacji chcemy.

**Podinspektor Belgrano:** Prosiłiśmy was o informacje na temat Orłowa. A dajecie nam cynk o jego rywalach.

**Jurij Woronin:** A pan ich łapie.

**Podinspektor Belgrano:** Eliminujecie konkurencję.

**Jurij Woronin:** Chcieliście kokainy, chcieliście heroiny. No to macie. Do tego broń. Białorusini przywiozą coś w przyszłym miesiącu.

**Komisarka Romero:** Chcemy Orłowa.

**Lola Moreno:** Nie, komisarko. Chcecie tylko nagłówków. O to nas pani poprosiła. I to właśnie pani daję. Dajemy.

**Podinspektor Belgrano:** Ach, ta podświadomość.

**Komisarka Romero:** Nie to...

**Lola Moreno:** (Odzywa się w tym samym czasie, przerywa jej). Już wcześniej pani przez to przechodziła. Przy Operacji Oligarkh, przy Operacji Czerwony Marmur. Jeśli złapie pani Orłowa, minie dziesięć lat, zanim go osądzą.

*(Pauza trwająca siedem sekund).*

**Podinspektor Belgrano:** Wtedy już umrze albo będzie zbyt stary, żeby iść za kraty.

*(Pauza trwająca trzy sekundy).*

**Komisarka Romero:** Co pani proponuje, pani Moreno?

**Lola Moreno:** Proponuję zwiększyć presję. Niech pani dalej robi naloty i dostaje nagłówki. Niech pani przestanie ścigać grube ryby i weźmie się za płotki.

*(Pauza trwająca dwadzieścia trzy sekundy).*

**Komisarka Romero:** Załóżmy, że interesuje mnie pani propozycja. Jaka byłaby pierwsza z tych płotek?

**Jurij Woronin:** Jest taki transport, który wyruszy za kilka dni. Serbowie. Narkotyki i pieniądze, cel Barcelona. Samochód nieoznakowany i samochód kurierski.

## 3

# Potrzeba

Gdy tylko Jon wychodzi z pokoju, Antonia otwiera minibar i zjada batoniki.

Od rana nie przestawały jej przywoływać swoimi zmysłowymi głosami i atrakcyjnymi kolorowymi opakowaniami. Pochłania je dużymi kęsami, popija colą light, beka i czuje się lepiej, a jednocześnie czuje się jak świnia. Dychotomia ultraprzetworzonej żywności. Antonia mogłaby napisać na ten temat referat.

Gdy tylko zamienia potrzebę zjedzenia słodczy na poczucie winy, kontrolę przejmuje inna konieczność.

Od dawna przekłada tę rozmowę z samą sobą. Specjalność, w której nigdy nie wyróżniała się w sposób pozytywny.

Antonia zawsze działała jak rakieta pirotechniczna. Po podpaleniu lontu może się poruszać tylko w jednym kierunku, aż wybucha, tworząc chmurę magnezu, antymonu i soli strontu. Obejmuje to również brak zastanawiania się, co stanie się na końcu.

Teraz jednak potrafi nawet dostrzec, że ma problem.

Elektryczność, która mrowi jej ręce, klatkę piersiową i twarz, jest obecna niemal bez przerwy. Zachowanie kontroli nad oddechem jest trudniejsze, choć nie jest niemożliwe. Ale drżenie rąk się nasiliło. Teraz nie może nawet trzymać iPada prawą ręką, bo litery rozmazują się w niezrozumiałym tańcu.

Coraz trudniej jest jej kontrolować to w miejscach publicznych. Wie, że Jona nie może oszukać. Już nieraz widziała, jak celowo nie patrzył na jej trzęsące się dłonie. Albo przygląda się jej podejrzliwie, kiedy sądzi, że ona tego nie zauważa.

„Trzy kapsułki”, myśli Antonia. „Trzy, to wszystko, czego potrzebuję”.  
„Tylko trzy”.

Wydaje się, że to niewiele w porównaniu z czterema, które wzięła wczoraj, żeby utrzymać swoje myśli pod kontrolą. Otworzyła kapsułki i wysypała proszek do szklanki mleka, ufając, że tłuszcz zapewni lepsze wchłonięcie do krwiobiegu.

Zadziałało połowicznie.

Te trzy, które chce zażyć, wydają się niewielką liczbą, tyle że powinna brać tylko jedną w tych momentach, kiedy jej mózg nie może poradzić sobie z zewnętrznymi bodźcami i z nadmiarem histaminy produkowanej przez wątrobę.

*Anu ohia-azu.*

W igbo, języku, którym posługuje się osiemnaście milionów Nigerczyków, to bestia na twoich plecach, która zjada twoje pożywienie i pozwala, byś żywił się samymi resztkami.

Zdejmuje bluzkę i biustonosz, klęka przy wannie i odkręca kran. Dziesięć minut polewania głowy lodowatą wodą sprawia, że drży i jest odrętwiała, ale udało jej się zmniejszyć potrzebę. Przynajmniej do czasu, aż wyschną jej włosy.

*Anu ohia-azu.*

Antonia bardzo dobrze zna twarz tej bestii. Spośród setek, które mieszkają w jej głowie, przeskakują z liany na lianę i pokazują jej zęby.

W prawdziwym życiu widziała ją tylko raz. Pewnego niedzielnego przedpołudnia w barcelońskim zoo, w towarzystwie matki. Włochata brązowawa sierść, czarny pysk. Długie, chude ręce, długi chwytny ogon. Poruszała się na lianach po swoim wybiegu niczym duch. W jej niebieskich oczach było coś nadprzyrodzonego. Nic złego, ale oczywiście też nic przyjaznego. Wydawało się, że wie bardzo dużo.

Antonia rozpląkała się na jej widok.

- To jest czepiak. Żywi się owocami. Nie zrobi ci krzywdy - powiedziała jej matka.



Widząc, że Antonia nie przestaje płakać, Paula próbowała ją zabrać z tego miejsca, ale ona nie chciała. Stała tam i wpatrywała się w tego mądrego ducha, który uderzał w szkło swoimi dłońmi pozbawionymi kciuków, jakby chciał ją przed czymś ostrzec.

To było ostatnie wyjście Pauli Garrido z córką. Tydzień później nie mogła już opuszczać szpitala. Miesiąc później rak wygrał.

„Ten potwór o tym wiedział”, pomyślała Antonia.

*Anu ohia-azu.*

Antonia nie chce tak szybko ulec panice, ale musi mieć jasny umysł. Wyjmuje z torebki trzy kapsułki i wkłada je do metalowego pudełeczka. Na wszelki wypadek.

Zostało jej już tylko sześć.

Później będzie musiała prosić o nie Jona. Wyjaśnić mu, co się działo.

Nie przyjmie tego dobrze.

Metalowe pudełeczko chowa w kieszeni spodni, a torebkę z pozostałymi sześcioma ukrywa pod łóżkiem. Woli zmierzyć się z bestią, niż skrzywdzić Jona. Wcześniej czy później będzie musiało do tego dojść. „Ale, jak śpiewali w tamtym filmie, jutro zaświeci słońce”.

„Co za bzdura”.

Nagle słowa Jona wracają do niej bardzo wyraźnie. To, co powiedział o Czarnej Wilczycy.

„Nie jesteśmy jej celem”.

„A więc co nim jest?”

Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Antonia się ubiera i wychodzi na korytarz. Mija windę i korzysta ze schodów, gdzie nie istnieje ryzyko, że natknie się na inspektora Gutiérreza. Na ulicy wsiada do taksówki i podaje adres przy ulicy Salvador Rueda. Miejsce, w którym stoi budynek o fasadzie pomalowanej na wulgarny fiołkowy kolor.

Po drodze programuje na iPadzie dwie wiadomości dla Jona. Dwie wiadomości, które dostanie w odstępie dwóch godzin.

„Znienawidzi mnie za to. Ale to jedyne rozwiązanie”.

Taksówka zatrzymuje się przed salonem fryzjerskim Tere's. Antonia płaci, wysiada i przechodzi na drugą stronę.

– Cześć, mafiosi!

Macha rękami w stronę balkonu na drugim piętrze, gdzie są dwaj mężczyźni o słowiańskim wyglądem. Siedzą na plastikowych krzesłach w podkoszulkach i z tatuażami na rękach. Wychylają się, zdziwieni, słysząc krzyki tej nieznajomej kobiety.

– Chciałabym się zobaczyć z panem Orłowem. Przekażcie mu, że wiem, gdzie jest Lola Moreno.

## 4

# Problem

Jon Gutiérrez nie lubi obsługi pokojowej.

To nie kwestia wygody. Na wielkiej tacy przynoszą ci górę jedzenia. Raczej zimnego, żebyś się nie poparzył. Wiesz, że będzie identyczne jak twoje poprzednie zamówienie w hotelu tej samej sieci tysiąc kilometrów stąd. Bo nikt nie lubi niespodzianek. Możesz delektować się potrawami w zaciszu swojego pokoju, najczęściej obserwując w jednym z licznych luster swoje ciało w samych slipkach i skarpetach.

Możliwość kontaktu z drugim człowiekiem także jest znacząca. Otworzyć drzwi nieznanemu, który z szerokim uśmiechem narusza twoją osobistą przestrzeń, udając, że nie widzi niezastanego łóżka i porzucanej bielizny. Słuchać, jak wymienia zamówione dania. Zapewnić go, że nie potrzebujesz niczego więcej. Że zanim zadzwoniłeś, przeglądałeś kartę przez dziesięć minut. Przysiąc, że zadzwonisz, żeby zabrali tacę. Wiedząc, że zamiast tego wystawisz głowę na korytarz, rozejrzysz się niczym inspektor Clouseau i jeśli na horyzoncie nie będzie nikogo, przesuniesz tacę po wykładzinie.

Nic z tego nie przeszkadza Jonowi w obsłudze pokojowej.

„Przecież to same zalety”.

Jona Gutiérreza w obsłudze pokojowej wnerwia to, że sprawia, iż czuje się jeszcze samotniejszy. Jest to samotność rozbitka, przystani o brzasku, gwiazdy w ciemności. Samotność niedzielnego wieczoru w czwartkowe popołudnie. Samotność, której nie ukoji włączony telewizor ani ciągłe odświeżanie wiadomości na Grindrze, ani odgłosy bzykania w pokoju obok. Ona dochodzi dyskretnie. Jest to dyskrecja dzwonu z brązu, który stacza się ze schodów. Dwa razy.

„Jest czwarta po południu, proszę pani”.

Samotność Jona zamienia się w sjęstę, przerwana w najgorszy możliwy sposób. Telefonem od Mentora.

– Niech zgodnę, teraz musimy się zmierzyć także ze złym albinosem z Opus Dei.

Mentor ignoruje jego pierwsze zdanie – jak zawsze. Jon postanawia, że kiedy będą rozmawiać następnym razem, wyrecytuje mu skład Athleticu, żeby sprawdzić, czy jego teoria się potwierdzi.

– Jest pan sam?

– Tak – odpowiada Jon, sypiąc sól na ranę.

– Muszę porozmawiać z panem o Scott. Zauważył pan w niej ostatnio coś dziwnego?

Jon przypomina sobie ostatni tydzień.

Bez szczególnej kolejności. Bez specjalnej ochoty.

Wyjazdy z dala od miejsca zbrodni, butelki rzucone do Manzanares, zapadnięcie w stan katatonii po uratowaniu umierającej kobiety w kontenerze pełnym trupów, zmierzenie się w ciemności z zabójczynią, wymówienie jednego, nie, dwóch przekleństw, nakazanie zhakowania bazy danych obcego państwa, celowe przyciągnięcie strzałów snajpera, odmówienie deseru.

– Musi pan mówić konkretniej.

Mentor prychnie z irytacją. Niczym pies, któremu nie chcą dać tłustego okrawka.

– Chodzi mi o jej zachowanie. O jej fizjonomię.

Jon przypomina sobie drżącą rękę Antonii. Jak próbuje schować ją pod kurtkę.

– Możliwe.

– Muszę być pewny, inspektorze. Musi pan powiedzieć coś więcej.

– No to jest nas dwóch.

Jon słyszy trzask zapalniczki i długie wydmuchiwanie dymu po pierwszym sztachnięciu.

– Jak tam wapowanie? Działa?

– Proszę posłuchać, inspektorze. Sytuacja tutaj jest bardzo poważna. Wiem, że stara się pan ją chronić, ale muszę wiedzieć.

– A ja muszę wiedzieć, po jaką cholere pan pyta. Dzięki temu będę mógł się zastanowić, jak chronić moją partnerkę.

Mentor robi pauzę długości trzech sztachnięć i dwóch strzepnięć popiołu do popielniczki.

– W porządku. Wykryliśmy pewien problem w magazynie naszej siedziby w Madrycie.

– Jaki problem?

– Brakuje kapsulek. Zniknęło pięćdziesiąt czerwonych i dziesięć niebieskich.

„Aha”.

– Zrobił pan listę osób, które mają tam dostęp?

– Tak, jest dość krótka. Tylko ja.

– Faktycznie jest to problem.

– Pomoże mi pan teraz?

„Pierwsza zasada przesłuchania: zadawaj pytania w formie twierdzenia”.

– Uważa pan, że to Scott.

– Gdyby Scott chciała odgadnąć dziesięciocyfrowe hasło na klawiaturze numerycznej, mogłaby to zrobić. Mogłaby też zdobyć kopię fizycznego klucza. A nawet ominąć biometryczne środki bezpieczeństwa, łącznie z moim odciskiem palca. Ale zrobienie tego wszystkiego bez wykrycia przez kamery jest skomplikowane, inspektorze.

Jon mocno drapie się po głowie. To nie ma sensu.

– Gdybym ja zażył jedną z tych czerwonych kapsulek, co by się stało?

– Przede wszystkim wystąpiłyby skutki uboczne. Niemal na pewno grypa żołądkowa, zaczerwienienie skóry. Może zawroty głowy. W zależności od tego, co by pan wcześniej zjadł.

– Ale nie stałbym się mądrzejszy.

– Skład chemiczny został dopasowany do mózgu Scott. Jedyne, co robi, to pomaga jej wyregulować dopaminę i kontrolować bodźce. To ona jest mechanizmem, inspektorze, a nie kapsułki. Uważamy zresztą, że ich nie potrzebuję. Problemem jest to, co ona uważa.

– Co ma pan na myśli?

– Część mieszanki jest stworzona po to, żeby stymulować presynaptyczne uwalnianie kwasu gamma-aminomasłowego. A jej dalsze stosowanie będzie się domagać większej obecności mieszanki w organizmie.

– A po ludzku?

– Jest cholernie uzależniająca.

„Aha”.

– Dlatego nie może zażywać więcej niż jednej kapsułki na miejscu zbrodni, gdzie dzięki treningowi odczuwa maksimum bodźców. Byłoby bardzo niebezpieczne brać więcej niż jedną.

„Druga zasada przesłuchania: zadawaj pytania raz i drugi, aż dostaniesz odpowiedź”.

– I pan uważa, że ona może stać za tym wszystkim – naciska Jon.

– Proszę mi wierzyć, byłbym spokojniejszy. Choć to bardzo poważna sprawa, zaakceptowałbym to. Bardziej martwi mnie, że może się to wiązać z tym, co dzieje się w samym projekcie. A teraz proszę mi powiedzieć: zauważył pan, czy Scott zachowuje się ostatnio jakoś inaczej?

„Cóż, poza tym, że ani razu nie poprosiła mnie o kapsułkę, że ma okresowe objawy odstawienia i że jest bardziej drażliwa niż zazwyczaj...”

– Nie, nic a nic.

– W porządku – odpowiada Mentor zmartwionym głosem. – Proszę nie mówić o tym Scott ani słowa, czy to jasne?

– Oczywiście, że nic jej nie powiem. Za kogo mnie pan uważa? – obrusza się Jon, który włożył już spodnie i jest w drodze do pokoju Antonii.

## Równanie

Podróż była krótka.

Zajęła jakieś piętnaście minut. Nie zawiązali jej oczu ani nie założyli torby na głowę. Lufa pistoletu przyciśnięta do żeber – owszem, ale tylko przez chwilę. Wystarczająco, żeby zostawić ślad na skórze i dać jasno do zrozumienia, że sprawa jest poważna.

To, że pominięto zwyczajowe procedury znane z filmów, ani trochę nie uspokaja Antonii. Stamtąd pomysły czerpią amatorzy. Zawodowcy nie przywiązują takiej wagi do faktu, że zobaczysz, dokąd cię zabierają, zwłaszcza jeśli ma to być podróż tylko w jedną stronę.

Miejsce jest raczej brzydkie. Nie na poziomie domu Woronina, który jest budynkiem w złym guście. To miejsce jest zwyczajnie pozbawione gustu. Nijaki dom szeregowy, w środku białe ściany i czerwone płytki na podłodze. Tak samo jak w dziesiątkach innych, które go otaczają. Na ścianach nie ma zdjęć ani obrazów. Meble są funkcjonalne.

Prowadzą ją do kuchni.

Tutaj są tylko resztki soli na blacie, gdzieniegdzie plama oliwy. Na wpół zjedzona łopatka z nogą. Odciski palców na kawiarence z polerowanej stali. Zapomniana pestka oliwki przy nodze krzesła. Zlewozmywak pełen wody z talerzem w środku. To wszystko każe Antonii myśleć, że ktoś tu mieszkał.

„Tylko jedna osoba, która korzystała z niewielu szafek”, wnioskuje, zauważając kurz nagromadzony na niektórych gałkach, nieistniejący na tych dolnych.

– Dzień dobry pani. Obawiam się, że nie miałem przyjemności – odzywa się głos za jej plecami.

Antonia się odwraca. Orłow. Mocno opalona skóra, białe włosy. Wyraźne cienie pod oczami, których nie miał na pogrzebie. Może trochę bardziej zgarbiony. Przeciążony zmartwieniami. Drogi garnitur zamienił na dres za dziesięć euro. Marka TEX. Dopiero co kupiony, jeszcze z klipssem zabezpieczającym na prawym mankiecie.

– Nazywam się Antonia Scott – mówi.

Nie wyciąga ręki.

On też nie.

Wykonuje tylko gest w stronę dwóch bojowników.

Nie potrzeba dwóch goryli ważących dziewięćdziesiąt kilogramów każdy, żeby obezwładnić Antonię przy kuchennym stole, przeszukać ją, zabrać jej plecak. Wystarczyłoby pół goryla.

Ona pozwala to robić.

Jedna po drugiej wyjmują jej rzeczy. A przynajmniej te, które zostawiła, by mogli je znaleźć. Klucze do mieszkania. AirPods. Ładowarka. Różne kable. Powerbank, iPad, okulary przeciwsłoneczne. Legitymacja Europolu. Paczka smintów. Telefon.

Ona pozwala to robić. Nawet kiedy z kieszeni zabierają jej metalowe pudełeczko z kapsułkami.

– Co to jest? – pyta jeden z goryli.

– To na ból głowy – odpowiada Antonia.

Goryl wzrusza ramionami i wysypuje kapsułki do zlewu.

– Ty już nie potrzebujesz więcej nigdy.

Antonia próbuje nie krzyczeć.

Telefon oraz iPad dostają parę ciosów o blat, tak blisko twarzy Antonii, że kilka odłamków uderza w jej policzki. Potem dołączają do kapsułek i namoczonego talerza.

Na końcu obaj goryle przywiązują ręce Antonii do jednego z kuchennych krzeseł, owijając jej nadgarstki taśmą. Krzesło przysuwają do okrągłego stołu. Antonia zaciska usta, modląc się, by posadzili ją twarzą do zegara, lecz ten zostaje za jej plecami.

„Cholera”.



„To mocno komplikuje sprawę”.

Orłow podchodzi do stołu i siada na krześle naprzeciwko niej. Konfiguracja przeznaczona na poważne spotkania, żeby dwie osoby mogły na siebie patrzeć i odczytywać intencje tej drugiej w czasie negocjacji. Albo na przesłuchanie z torturami.

– Pamiętam panią. Była pani na pogrzebie, da?

– Myślę, że będzie łatwiej, jeśli porozmawiamy w pańskim języku, panie Orłow – mówi Antonia po rosyjsku.

– No, proszę. Nie ma prawdy w nogach – odpowiada Orłow, przyjemnie zaskoczony. To wyrażenie ma sprawić, żeby rozmówca poczuł się jak u siebie w domu.

– Ach, obawiam się, że pańscy ludzie już poprosili, bym usiadła – rzuca Antonia, wskazując głową nadgarstki.

– Konieczna ostrożność. Jak zapewne pani wie, jestem człowiekiem, któremu grożą.

– Przypuszczam, że to normalne w pańskim obszarze działalności.

Orłow macha kościstymi rękami.

– Powiedziała pani moim ludziom, że chce się ze mną widzieć.

– Muszę z panem porozmawiać.

– Właśnie rozmawiamy. Gdzie jest Lola Moreno?

– Jeszcze do tego dojdziemy. Wcześniej chciałabym osiągnąć z panem pewne porozumienie.

Mężczyzna się uśmiecha. To ostry uśmiech.

– Nie rozumiem, dlaczego pani sądzi, że jej opinia jest ważna.

– Czy przypadkiem nie wszystkie są ważne?

– To jest największa słabość Zachodu. Pewnego dnia uznali, że mogą oszukiwać ludzi, powtarzając to kłamstwo aż do znudzenia. Upierają się przy tym prawie całe stulecie. Rozszerzając kłamstwo, aby dotarło nawet do najbardziej bezużytecznego członka społeczności. I widzi pani, jak dobrze im poszło.

– Pan uważa, że lepiej używać siły?

– Siła to matematyka, proszę pani – mówi Orłow, wzruszając ramionami. – Na przykład teraz. Niech pani patrzy.

Daje znak i jeden z cyngli staje obok Antonii i uderza ją w policzek. Nie jakiś bardzo mocno, ale wystarczająco, żeby na dolnej wardze pojawiła się krew.

– Na pewno potrafi pani rozwiązać równanie, które właśnie pani zadałem.

– Jest całkiem proste – mówi Antonia, przejeżdżając językiem po wardze.

– W takim razie proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Gdzie jest Lola Moreno?

– Nie wiem.

Orłow przechyla głowę ze zdumieniem. Mruży oczy, które sprawiają wrażenie, jakby zniknęły w tej mizernej twarzy pełnej wgłębień.

„Jest jak murena”, myśli Antonia. „Wycofująca się do skały”.

– Po co więc pani przyszła?

– Bo chcę z panem negocjować.

– No to negocjujmy – mówi Orłow.

Daje znak.

Kolejny płaskacz przecina twarz Antonii, a ona czuje, jak zęby dzwonią jej przy uderzeniu. W prawym uchu nieprzyjemnie brzęczy.

– Wydaje mi się, że to nie jest sposób na negocjacje – mówi Antonia.

– Znowu przecenia pani swoją opinię. Gdzie jest Lola Moreno?

– Nie wiem.

Orłow ciągnie się za ucho, przytakuje powoli.

– W porządku. Zacznijmy od najłatwiejszego. Jest pani policjantką?

– Coś w tym rodzaju.

Jeden z goryli podaje Orłowowi legitymację Antonii. Mężczyzna kładzie ją na stole.

– Europol. Po raz pierwszy widzę kogoś od nich.

– Nie jest nas wielu. Ale wykonujemy naszą pracę.

– A na czym polega pani praca?

– Na znalezieniu Loli Moreno.

– No więc wygląda na to, że mamy... Jak to się mówi? Konflikt interesów.

– Niekoniecznie. Możemy sobie pomóc.

Orłow kładzie ręce na stole i pochyla się nieco.

– Wyjaśnij mi jak, policjantko.

– Pańskim problemem nie jest Lola Moreno. Był nim jej mąż.

– Ach, Jurij. Kiedy przyjechał, był nikim.

Następnie Orłow używa określenia, które wędruje prosto do skarbcza nieprzetłumaczalnych słów Antonii.

*Chujem gruszi okołacziwac.*

Po rosyjsku to strącać gruszki chujem.

– To znaczy, że był leniem, prawda? – pyta Antonia.

– Tak, proszę wybaczyć. Bardzo dobrze mówi pani w moim języku, może wymagam od pani zbyt wiele.

– Proszę się nie przejmować. To, czego nie rozumiem, wnioskuje z kontekstu – mówi Antonia, odwracając głowę i wypluwając trochę krwi, która leci z kącika ust.

– Bystra kobieta. Gosza, przynieś chusteczkę.

Jeden z goryli podaje mu rolkę papieru kuchennego.

Orłow odrywa kawałek i wstaje, żeby wytrzeć jej krew.

Aslan Orłow jest uprzejmym człowiekiem, jak już zostało wyjaśnione.

Antonia nie jest pewna, czy bardziej nie podoba jej się kontakt z tymi długimi gładkimi palcami, czy fakt, że urwał kawałek papieru kuchennego, nie zwracając uwagi na przerywaną linię.

– Jurij był leniem. Nagle stał się bystry. Za bystry.

– Pan nie potrzebuje Loli Moreno.

– Ona musi umrzeć.

Antonia się uśmiecha. Nadszedł czas, by postawić wszystko na jedną kartę. Po to tu przyszła.

– Czarna Wilczyca mogła ją wczoraj zabić. Miała ją na celowniku. A tego nie zrobiła.

Orłow patrzy na nią z zainteresowaniem. Z kalkulacją. W jego oczach są wagi, odważniki i centymetry.

– To dlatego pani przyszła.

– Myślę, że to jasne – odpowiada Antonia.

– Teraz rozumiem pani grę. Chce pani wymienić pieniądze na Lolę Moreno. Ile ta kobieta jest dla pani warta?

– Życie. Przypuszczam, że dla pana to niewiele. Widziałam już wyniki pańskiego równania w porcie w Maladze.

– To pani – mówi Orłow, bardzo powoli otwierając usta i oczy, jakby nagle coś zrozumiał. – I pani złożyła też wizytę Ustyanowi?

– Winna.

Bestia odchyła się na krześle i wybucha gardłowym, odrażającym śmiechem. Brzmi jak napompowany pęcherz eksplodujący od żaru ognia.

– Co za ironia. Wie pani, gdzie jesteśmy?

– Nie.

– W domu Rubena. Stał pusty, więc to idealne miejsce, by z panią porozmawiać. Oczywiście to pani go zabiła swoją ingerencją. A teraz powiedziała mi pani wszystko, co potrzebuję wiedzieć.

Wstaje, podchodzi do swojej więźniarki i nachyla się tak, że ich nosy prawie się stykają.

Gdyby Antonia miała węch, poczułaby smród maści na zapalenie stawów.

– Nie sędzę, by pani wiedziała, gdzie są pieniądze. Ale na wszelki wypadek zostawię panią w rękach moich ludzi. Chwilę to zajmie. Ale zawsze udaje im się wyciągnąć informacje – mówi, kierując się do drzwi.

– Wie pani. Matematyka.

Antonia przełyka ślinę (wymieszaną z krwią) i modli się, żeby jej własne obliczenia nie okazały się błędne.

## 6

# Czekanie

Inspektor Gutiérrez pokonuje odległość do pokoju Antonii, starając się powstrzymać gniew, który gotuje mu się w wątrobie na małym ogniu. Jego kroki rozbrzmiewają bardzo głośno.

Kostki dłoni stukają z niecierpliwością.

Nic.

Na końcu korytarza kobieta z obsługi pokojowej ciągnie wózek. Jon pokazuje jej odznakę, prosi, by otworzyła mu drzwi pokoju pięćset dwanaście.

– Nie mogę panu pomóc, musi pan zapytać w recepcji – odpowiada pracownica.

Jon wzdycha z niezadowoleniem. Odchyła ciało, podnosi nogę i ze wszystkich sił kopie w zamek.

– Nie może pan tego robić!

– Więc proszę zadzwonić na policję.

Przy drugim kopnięciu zamek ustępuje, wyrywając kawałek futryny. Jon wpada do pokoju, zaczyna wszędzie grzebać. Znalezienie torebki z zapasem zajmuje mu niecałą minutę. Możliwe, że w innych sprawach nie jest tak dobry, ale jeśli chodzi o to... to robi od dziesięcioleci.

W tym momencie dostaje wiadomość od Antonii.

*Jon, to jest zaprogramowana wiadomość. Jeśli ją dostałeś, to znaczy, że mam problem. Czekaj w samochodzie na moją drugą wiadomość. Proszę Cię, żebyś po jej otrzymaniu jechał tak, jakbyś był mną.*

Poniżej naklejka z kaczką w okularach przeciwsłonecznych.

Trudno w kulturalny sposób wyjaśnić, jakie myśli kłębią się w głowie inspektora. Jon już przedtem był mocno wkurzony, co przyspieszyło mu puls i nastawiło bojowo. Wiadomość od Antonii powoduje, że skacze mu ciśnienie, a w żyłach wrze.

Wiązanki, które rzuca w drodze do samochodu, są nie do powtórzenia.

Wsiada do audi zaparkowanego pięćdziesiąt metrów od hotelu, zdejmuje marynarkę, trzaska drzwiami, zapina pas, przekręca kluczyk, żeby system elektryczny się aktywował, nie uruchamiając silnika. Przeklina jeszcze trochę.

Zapadł już zmierzch.

Postronny obserwator przechodzący obok samochodu (z idealnie wygłuszoną kabiną) odwróciłby głowę osłupiały. Nie co dzień widzi się bowiem spektakl w wykonaniu mężczyzny, który krzyczy bezgłośnie, niczym telewizor z wyciszonym głosem, i próbuje wyrwać kierownicę. Postronny obserwator natychmiast przyspieszyłby kroku, ponieważ mężczyzna, o którym mowa, jest wielki. Nie żeby był gruby.

Wyładowanie złości nie pomaga Jonowi się uspokoić. Ani trochę.

A to, co następuje teraz, tym bardziej.

W dzisiejszych czasach czekanie na telefon, esemesa, wiadomość na WhatsAppie albo na Grindrze to tortura. Przyzwyczajeni do natychmiastowości, do potwierdzenia odczytu, do błyskawicznej odpowiedzi, staliśmy się rozkapryszeni. Dziecinni.

Wystarczy spojrzeć na inspektora Gutiérreza. Siedzi z telefonem w dłoni i co kilka sekund sprawdza, czy cztery kreski wskazujące zasięg są pełne. Zaciska dłonie w pięści, rozgląda się dookoła, na wypadek gdyby Antonia w jakiś magiczny sposób postanowiła wyłonić się zza rogu. Siedzenie pasażera jest boleśnie puste.

Czekanie czyni go bezbronnym, przykuwa do dziwnej otchłani między beczynnością a działaniem. A ponieważ nie dostaje tego, na co czeka, zaczyna mówić do samego siebie. „No dalej, dalej, już” – z przerwami, nieskutecznie. Wraz z każdym wołaniem zagrożenie rośnie. To, co dzieje się z Antonią w tej chwili, kiedy on tu czeka, staje się najgorszym rodzajem zagrożenia. Ten stan zawieszenia, w którym potwór

niepewności zmienia swój kształt, nie zatrzymując się przy żadnym konkretnym wystarczająco długo, żeby człowiek mógł się zastanowić, jak się z nim zmierzyć. Każde dziecko, które kiedykolwiek zostało samo, dobrze zna tego potwora. Zamieszkuje on w okresie, który trwa między tym, jak krzyczymy, wołając mamę, ponieważ cienie pokazały pazur i pysk żądny krwi, a momentem, w którym ona się pojawia. W trakcie tego czekania mama umarła na tysiące straszliwych sposobów, zostawiając nas na pastwę ciemności.

Każda chwila czekania, każda upływająca sekunda sprawiają, że Jon zapada się w sobie coraz bardziej i bardziej, aż jego niepokój i strach zamieniają się w jeden jedyny rozgrzany punkt. Czarną dziurę przemocy i rozpacz, która pochłania wszystko.

Wtedy przychodzi wiadomość.

*Przyjedź po mnie, jeśli bylibys tak miły. Wciśnij tutaj.*

*PS Mam nadzieję, że nie umrę.*

Poniżej naklejka z okropnym psem pokazującym górne zęby.

Jon uruchamia silnik i wciska gaz. Tak głęboko, że stopa muska asfalt.

„Oby tylko cię jeszcze nie zabili. Bo to ja planuję to zrobić”.

## Kuchnia

Antonia straciła już rachubę, ile razy została spoliczkowana.

Wciąż są ostrożni. Wiedzą, że nie mogą bić jej zbyt mocno. Antonia waży o połowę mniej niż którykolwiek z nich. Jeśli przesadzą, skręca jej kark, rozwalą głowę albo jeszcze gorzej.

Na razie rozwalili jej brew, górną i dolną wargę.

Nie przynosi im to żadnych efektów.

A tym bardziej jej.

Po jednym z ciosów Antonia traci przytomność. Nie na długo, zaledwie na kilka sekund. Budzi ją pulsujący i nieprzyjemny dźwięk karylionu w środku jej głowy. Potrząsa nią, przekonując się, że tak naprawdę jest to dzwoniący telefon. Nie słyszy rozmowy, ale w odbiciu kawiarki widzi gadających ze sobą goryli.

Trudno jej utrzymać otwarte lewe oko. Obrzęk brwi powiększa się, w miarę jak w pękniętych naczyniach gromadzi się krew. Tam nie czuje już bólu. Za ból odpowiadają jej nos, a przede wszystkim zęby. Przy każdym uderzeniu musi je mocno zaciskać, żeby nie ugryźć się w język albo w wewnętrzną stronę policzków. Nie udało jej się to za żadnym razem i poraniła już sobie wewnątrz ust. Mięśnie żuchwy zdradzają wysiłek. Podobnie jak mięśnie szyi, które napina za każdym razem, żeby podążać za kierunkiem ciosu.

Po dziesiątym już nie wydaje się to takie łatwe.

Po dwudziestym chce tylko, by ją zabili.

Mimo wszystko nie przynosi im to żadnych efektów. Antonia nie powiedziała, gdzie są pieniądze. Głównie dlatego, że nie wie. Ale podczas tej rozmowy telefonicznej coś im przekazano. Coś ważnego. Antonia jest



pewna, że to ważne. Jedna z małą chce zwrócić jej uwagę, pokazać jej coś, lecz kolejny cios sprawia, że mała znika.

– Gdzie są pieniądze? – słyszy z oddali.

– Chciałabym wiedzieć, która godzina – mamrocze Antonia po hiszpańsku.

– Co? Co tam gadasz?

– Godzina. Chciałabym wiedzieć, która godzina.

„Albo żebyście mnie przynajmniej obrócili”.

„Albo żebyście mnie nie bili”.

Spełnia się jedna z tych trzech rzeczy, kiedy jeden z mężczyzn gwałtownie odwraca krzesło. Po tym, jak kontemplowała przeciwległy róg kuchni, przekonana, że ostatnie, co zobaczy w swoim życiu, to kafelek, obserwowanie innej części świata jest dla niej błogosławieństwem. Tym się właśnie zajmuje, aż zauważa, że ten wyższy wysunął jedną z kuchennych szuflad i wybiera przedmioty, które przebijają, kroją i rozdrabniają.

„A więc nie byli ostrożni. Oni tylko do mnie mówili”, myśli Antonia.

Drugi, ten, do którego Orłow zwrócił się per Gosza, decyduje się na stalowe narzędzie. Zamroczona i ledwo widząca na oczy Antonia nie może dokładnie dostrzec, co to takiego.

Ledwie widzi kuchenny zegar, a przecież znajduje się niespełna trzy metry dalej.

– Teraz będziesz gadać? – odzywa się ten niższy.

Pokazuje jej przedmiot, który wziął wcześniej. To szczypce do owoców morza. Mogące rozszarpać chitynę egzoszkieletu dziesięcionogów. Na przykład homara. Albo lewy mały palec Antonii, którego paliczek dalszy właśnie ściska.

– Gdzie są pieniądze? Wiesz? A może gruby glina wie? Gadaj.

Przeszywający ból palca sprawia, że Antonia nagle otwiera oczy. Udaje jej się wbić wzrok w kuchenny blat. Miejsce, gdzie jeszcze chwilę wcześniej leżała łopatka z kością.

– Dobrze, dobrze. Powiem wam coś – szepcze Antonia.

Ten, który trzyma szczypce, zabiera je, nachyla się i przysuwa usta do ucha więźniarki. Ten drugi też podchodzi bliżej.

– Co?

– Nadchodzi piekło.

Ten wyższy musi coś przeczekać. To działa na jego niekorzyść, bo kiedy odwraca głowę, staje się idealnym celem, żeby zewnętrzna część łopatkki (zwana maczugą) walnęła go w sam środek kości czołowej.

Antonia nieświadomie dokonuje obliczenia. Równanie na siłę dla uderzenia pięciokilogramowego ciała, które trafia w czaszkę.

Biorąc pod uwagę, że:

- ciało porusza się z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę,
- powierzchnia styku to jakieś czterysta milimetrów kwadratowych,
- grubość ludzkiej czaszki wynosi jakieś sześć milimetrów, a jej średnia granica wytrzymałości wynosi sto pięćdziesiąt newtonów na milimetr kwadratowy.

Całkowita siła uderzenia to:

Osiem ton.

Antonia kończy obliczenie w czasie, jaki upływa między traskiem pękającej czaszki a hałasem, jaki wydaje mafioso, padając na podłogę. Z całym prawdopodobieństwem martwy.

– Nie jestem gruby – mówi Jon, rzucając łopatkę. – Jestem pełen nienawiści.

Drugi bojownik wstaje, wyjmując z kieszeni nóż motylkowy, otwiera go i rzuca się na Jona. Inspektor robi krok do tyłu, potem drugi, starając się uniknąć dźgnięcia nożem, który tnie powietrze z ostrym świstem.

Kiedy zdołał już wystarczająco go odsunąć od Antonii (co od początku było jego celem i dlatego zwlekał z tym, co robi teraz), Jon wyciąga pistolet i celuje nim w twarz mafiosa, który zatrzymuje w połowie jeden ze swoich ciosów i niezadowolony wypuszcza z ręki nóż.

– Chcę adwokata – mówi.

„Nie w ciemną bity”, myśli Jon.

- Pozwól, że zadam ci pytanie. Gdybym ja poprosił o adwokata, kiedy zamierzałeś wbić mi nóż, co byś zrobił?

Mafioso wzrusza ramionami, na jego ogłupiałej twarzy pojawia się uśmiezek.

- No właśnie - mówi Jon, po czym podchodzi i przykładła mu lufę do czoła. - Prawo obchodzi cię tylko wtedy, kiedy stoi po twojej stronie. Powiniennem wpakować ci kulkę w łeb.

Tamten uśmiecha się jeszcze szerzej, zamieniając uśmiech w drwiący i nieprzyjemny grymas.

- Ty nie mieć jaj.

- Ty nie mieć zębów - mówi Jon, zatapiając pięść w jego twarzy.

Ciało bojownika zamienia się w kukielkę, która wisi na jednej niewidzialnej nitce, kołysząc się w przód i w tył, aż w końcu pada nieprzytomne.

Korzystając z okazji, Jon kopie go w usta, dodając kolejne trzy tysiące euro do rachunku dentystycznego.

Potem odwraca się do Antonii.

Nie wygląda na zadowolonego.

## 8

# Prychnięcie

– Cieszę się, że cię widzę – mówi Antonia, uśmiechając się do niego zakrwawionymi ustami.

Jon wydaje złośliwe prychnięcie, na które chciałaby sobie pozwolić królowa Anglii.

Nic nie mówi.

Tylko podchodzi do zlewu i na dłuższą chwilę wkłada kostki dłoni pod zimną wodę. Potem myje ręce fairy, bo wciąż ma na nich resztki tłuszczu. Z obrzydzeniem zauważa, że na rękawie koszuli z egipskiej bawełny utworzyła się czarna obwódka. Przez chwilę pociera go więc pod wodą, co oczywiście jedynie pogarsza sprawę.

– Są tutaj twój iPad i twój telefon, zgniecione na miazgę. Jak, do diabła, wysłałaś mi sygnał lokalizacji?

– Zajrzyj do paczki smintów.

Jon widzi leżące na blacie opakowanie. Otwiera je, a w środku, między cukierkami, znajduje nadajnik GPS, w rodzaju tych, które zwykle wieszają sobie na szyi starszycy z alzheimerem. Pięćdziesiąt euro w każdym Media Markcie.

– Jesteś na mnie zły?

Jon przez chwilę śmieje się pod nosem, przeszukując zamrażalnik.

– Dlaczego tak myślisz?

– Przede wszystkim dlatego, że jeszcze mnie nie rozwiązałeś.

Jon nie znajduje lodu, ale jest za to torba mrożonego groszku, co jest drugim najlepszym produktem w przypadku wszelkich urazów i krwiaków. Podchodzi do Antonii i rzuca torbę na stół.

– Masz.

Antonia porusza energicznie palcami, żeby zwrócić uwagę na taśmę, która wciąż przytwierdza jej nadgarstki do poręczy krzesła.

– Radź sobie – odpowiada Jon, siadając na miejscu, które przedtem zajmował Orłow.

Antonia odpycha się stopami, co powoduje dość nieprzyjemne dźwięki, kiedy metalowe nogi krzesła przesuwają się po lastryko, aż wreszcie znajduje się przed torbą z groszkiem. Potem zgina plecy, tak że jej twarz dzieli od upragnionego zimna ledwie kilka centymetrów.

– Mógłbyś?

Jon wyciąga rękę i palcem przesuwa torbę, aż Antonia może położyć na niej głowę.

– Przepraszam – mówi.

– Skoro nie podajesz mi więcej informacji...

– Rozwiąż mnie, proszę.

– Najpierw chwilę porozmawiajmy.

– Przecież przeprosiłam.

– Już wiem, że nie rozumiesz niczego, co robią ludzie – mówi Jon, próbując uzbroić swój głos w cierpliwość. – Ale postaraj się zrozumieć chociaż to. Przeprosiny to nie jest czarodziejska różdżka, którą się pomacha, a ona nagle wymaże nasze błędy.

Antonia nie odpowiada. Jon nie wie, czy się zastanawia, zasnęła, czy może umarła w wyniku ciosów. Po chwili porusza się nieco i zmienia pozycję.

– Marcos często mi to powtarzał.

– I co odpowiadałaś?

– Że nie widzę sensu.

„Sens”.

„Że nie widzi sensu”.

– Iść dalej. Starać się nie popełniać tych samych błędów. Mówić prawdę.

– Nie okłamałam cię w tej sprawie.

– Nie. W tej akurat nie.

Jon wyjmuje z kieszeni zapas kapsułek. Otwiera plastikową torebkę. Zawartość wysypuje na stół. Potem wyciąga pudełeczko. Je też opróżnia.

Antonia się prostuje i patrzy na nie uważnie.

To, co jest w jej oczach, Jon widział już wcześniej. U ludzi z brązowymi zębami o nikłej higienie osobistej. Tę porażkę, to poddanie się. Tę pustkę, w którą kiedyś skoczyli, a której dna nie mogą znaleźć. Już nie krzyczą ani nie próbują się niczego złapać.

Z wysiłkiem odwraca wzrok.

– Zażywałaś kapsułki za moimi plecami.

Ona nie próbuje się usprawiedliwić ani zaprzeczyć. Tylko na niego patrzy.

– Dlaczego?

– Już wiesz dlaczego. Bo jej nie znaleźliśmy.

„Sandra. Wszystko raz za razem wraca do tej wariatki. Do twojego przeklętego ducha. Mam wrażenie, że odkąd się znamy, gramy tylko w jedną grę. I że jej zasad nie ustaliło żadne z nas”.

– Ukradłaś kapsułki z magazynu w Madrycie.

– Nie – zaprzecza Antonia.

Jedno oko ma na wpeł zamknięte, drugiego nie odrywa od niego. Nie zerka na małe cylindryczne czerwone i niebieskie kapsułki rozrzucone na stole. Ale Jon nie daje się zwieść. Ma świadomość, że już je policzyła, że wie, ile ich jest. Jaka jest ich łączna waga, jaki jest rozmiar buta technika, który je zhermetyzował.

„No, może nie to ostatnie. Ale nie kłamie”.

„Można to sprawdzić tylko w jeden sposób”.

– Ale wiesz, kto to zrobił.

Antonia się uśmiecha. Jak mógł w to wątpić?

– Nie powiesz mi, kto ci je dał?

– Nie.

„Mówi prawdę”.

„To jeszcze bardziej wszystko komplikuje”.

– Mentor odchodzi od zmysłów.

– Mam nadzieję, że nic mu nie powiedziałaś.

– A jak myślisz?

On potrząsa głową, odchyła się na oparcie, bardzo powoli wypuszcza powietrze, po czym znowu na niego spogląda.

– Masz rację. Przepraszam. Ty nigdy mnie nie zawodziś.

– Teraz tak – mówi Jon. Wstaje, przechodzi nad ciałem wyższego mafiosa. Z pudełka stojącego na blacie bierze nożyczki i schyla się przy krześle, na którym siedzi Antonia. – Teraz to były prawdziwe przeprosiny.

– To dlatego, że zanim przeprosiłam, wzięłam głęboki oddech?

Jon zaczyna przecinać taśmę, udając, że niczego nie słyszał.

„Daje i natychmiast odbiera”.

– Wyglądasz jak gównno.

Twarz ma opuchniętą w wielu miejscach. Najgorzej wygląda oko. Bluzka przesiąknięta krwią.

– Siniaki i rany powierzchowne. Potrzebuję tylko lodu i środków przeciwbólowych – mówi, trąc nadgarstki.

– Cieszę się. Bo to koniec – oznajmia Jon.

Swoją ogromną łapą zgarnia ze stołu wszystkie kapsułki, zbiera je w drugą i wrzuca do zlewu.

– Co ty zrobiłaś?! – krzyczy Antonia, zrywa się i biegnie do zlewozmywaka.

Jon blokuje jej drogę.

– To, co trzeba. Gubisz się, mała.

– Wykonuję moją pracę!

– Kontener, biuro słupa. Wczorajsza noc. A teraz przyjazd tutaj.

– Gdybyś ty też przyjechał, Orłow by ze mną nie porozmawiał.

– I zdołałaś coś z niego wyciągnąć? Zdały się na coś to bicie, to kłamstwo? Atak serca, o który o mało mnie nie przyprawiłaś?

Ona spuszcza wzrok.

– Przepuść mnie.

Antonia przez kilka sekund walczy z Jonem, próbując dostać się do zlewu, gdzie kapsułki rozpuszczają się powoli w brudnej wodzie, aż

dochodzi do przekonania, że miałyby większe szanse na sukces, gdyby dmuchając, próbowała rozwalić mur.

– Nie potrzebujesz ich – mówi Jon.

Antonia płacze.

– Nie rozumiesz. Nie wiesz, w jakie miejsce muszę się udawać.

Jon patrzy na ten mały pyłek kurzu w obojętnym wszechświecie i otacza go ramionami, ignorując protesty.

– Nie wiem. Ale będę tu, kiedy wrócisz.



## Co zrobili jej wtedy

– Ta kobieta jest najbardziej niesamowitą istotą ludzką, jaką kiedykolwiek widziałem – mówi lekarz, stukając długim, twardym i poźółkłym paznokciem w papier, który dostał od Mentora. – Jeśli nie udaje się panu doprowadzić jej do pełnego potencjału, to dlatego, że uczy ją pan diagnozowania poprzez myślenie ukierunkowane.

– W takim razie niech mi pan powie, co mam robić – prosi Mentor.

– Musi pan jej pomóc w znalezieniu własnej opowieści – odpowiada doktor. – Jeśli znajdzie własną opowieść, przestanie myśleć o kopaniu piłki, tylko po prostu zacznie to robić.

Sala jest czarna i pełna światła. Ściany i sufit są wyłożone materiałem izolacyjnym, tak grubym, że nie przepuszcza żadnego dźwięku. Kiedy Mentor mówi przez głośniki, jego głos wydaje się docierać jednocześnie ze wszystkich miejsc.

Czekał na ten moment całymi tygodniami. Opowieść. Historia, która sprawi, że ona przestanie myśleć.

Na tym polega problem ze świadomością. Nie mówisz swojej wątrobie, żeby wydzielala żółć, nie nakazujesz swoim nerkom, żeby wytwarzały mocz.

Możesz jednak kontrolować płuca. Możesz myśleć o oddychaniu. A kiedy przejmujesz tę kontrolę, czasami oddanie jej okazuje się niemal niemożliwe. Musisz myśleć o oddychaniu.

Mentor zastanawiał się nad tymi wszystkimi metaforami, jakich może użyć, by sprawić, że Antonia przestanie myśleć.

Sądzi, że znalazł odpowiednią.

- Nie możesz ujarzmić rzeki, Antonia. Musisz poddać się prądowi i zamienić jej siłę w swoją.

- Kontrolować, oddając kontrolę? To nie ma sensu.

- Nie wszystko ma sens i wcale nie musi go mieć. Poddaj się rzece, Antonia - mówi Mentor.

Antonia próbuje.

Antonia ponosi porażkę.

## Chwila

Antonia znowu próbuje.

Zamyka oczy.

Zanurza się w ostatnią godzinę. W czas, który spędziła na rozmowie z Orłowem. Odzyskuje szczegóły, które otrzymała podczas tej interakcji. Ubranie, zegarek, buty. Pauzy, modulacja głosu. Nie znajduje niczego z wyjątkiem tego, co przeczuwała już wcześniej. Że pościg za Lolą Moreno ma związek z czymś o wiele bardziej złożonym niż zwykle wyrównanie rachunków, niż ocalenie honoru bratwy. Orłow rozpaczliwie czegoś potrzebuje.

Coś, co ona mu zabrała.

Pieniądze, o których, co przyjął za pewnik, Antonia wiedziała, aż ona popełniła błąd, który pokazał mu, że kłamie. Tylko jaki?

Szuka dalej. Przekopuje pamięć, minuty, długie minuty spędzone na przyjmowaniu ciosu za ciosem, kiedy była przywiązana do tego krzesła.

Strzępy informacji, prawie wszystkie bezużyteczne. Detale ubrań obu zbirów. Łańcuch, jaki jeden z nich miał na szyi, gruby złoty pierścień (o którym wspomnienie wciąż pozostaje żywe w bólu jej rozbitej brwi). Telefon. Rozmowa.

Rozmowa, której nie mogła usłyszeć.

Ale owszem, mogła ich widzieć. Widziała ich obu w odbiciu kawiarki z polerowanej stali stojącej na stole. Gestykulowali.

Widziałas to. Jeśli widziałas, możesz sobie przypomnieć.

Pojawiają się małpy.

Znowu są przed nią. Krzyczą, domagają się jej uwagi. Otaczają ją.

Teraz jest sama w kuchni. W wyobrażeniu kuchni, które stworzyła w swojej głowie i w której nie ma już Jona. Są za to małpy. Weszły na szafki, na blat, skaczą po podłodze, trzymają wszystkie elementy, jakie znalazły, machają nimi przed jej oczami.

Każda z nich uważa, że jest istotna, że ma rozwiązanie, potrząsa swoim małym kawałkiem prawdy, przekonując, że to klucz do rozwiązania sprawy.

Antonia obraca się wokół własnej osi, próbuje oddzielić każdy kawałek informacji, zrozumieć go, sprawdzić, jak może wpłynąć na końcowy rezultat.

„Nie możesz ujarzmić rzeki, Antonia. Musisz poddać się prądowi i zamienić jej siłę w swoją”.

– Nie.

Nie mogę oddać kontroli.

„Nie możesz czy nie chcesz?”

Zamyka oczy.

Otwiera je ponownie.

Już nie ma jej w kuchni.

Znowu ma siedem lat.

Idzie za rękę ze swoją matką, są w zoo. Prosi o loda. Ona się zgadza. Kiedy zatrzymują się przy budce, Antonia przygląda się po raz pierwszy.

„Ślady po wenflonie na grzbiecie dłoni”.

„Szklanka wody, w której właśnie rozpuściła saszetkę z antybiotykiem”.

„Ekstremalne zasinienie skóry. Włosy, które nie są już jej włosami, lecz peruką. Żółta twardówka. Suchy, apatyczny kaszel dobywający się z płuc, które już się poddały”.

– Pójdziemy zobaczyć małpy, kochanie – mówi matka z porażką wystającą z kącika ust.

Dowody były tam, przed jej oczami.

„Wiedziałam. Wiedziałam już wtedy”.

Teraz rozumie, dlaczego rozplakała się przed klatką. Dlaczego nagle wystraszyło ją to zwierzę, które wyglądało tak, jakby skrywało jakiś sekret.

Podczas gdy to ona ukrywała go od początku. Sekret związany z tym, co potrafi robić.

„Zawsze wiedziałam jak”.

„Ale za bardzo bałam się samej siebie”.

Zamyka oczy.

Otwiera je ponownie.

Znowu jest w kuchni.

Zbiry wstają z podłogi, kierowani niewidzialną siłą, która sprawia, że czas się cofa.

Antonia znowu zostaje posadzona na krześle, zdarta z jej nadgarstków taśma wraca na rolkę, zmniejszając się obrzęki na jej twarzy.

Ponownie widzi odbicie w kawiarence.

Widzi, jak ze sobą rozmawiają.

Czyta z ich ust. Nie wychwycała wszystkiego, z powodu ciosów ma zamazany wzrok i kręci jej się w głowie.

Ale wychwytuje jedno zdanie.

Otwiera oczy.

Jon wciąż ją obejmuje.

– Chyba wiem, gdzie jest Lola Moreno – mówi, odsuwając się od niego.

Jon marszczy czoło, niecierpliwie drapie się po głowie. Tego dnia było zbyt wiele emocji. Najmądrzej byłoby się wycofać, kiedy jeszcze wychodzą na remis.

– Idziemy do samochodu. Ale po drodze wstąpimy do apteki – mówi inspektor, wskazując masakerę na jej twarzy.

Wdzięczna za to Antonia przytakuje i kieruje się do wyjścia. Żeby dotrzeć do drzwi, musi przejść nad dwoma bojownikami. Kiedy przekłada nogi nad tym wyższym, tym, którego Jon uderzył najpierw, ogarnia ją dziwna pewność, którą może wyrazić jedynie w formie pytania.

– Kochasz mnie?

Jon obdarza ją zmęczonym uśmiechem.

– Aj, piękna. Kocham cię tak, że jeszcze cię nie zabiłem.

# Kot

Jest najmniejszy z miotu.

Jego bracia i siostry jedzą jako pierwsi, jako pierwsi zajmują też najcieplejsze miejsce do spania. Pasterz wchodzi do stodoły, widzi małego i idzie dalej. Po wielu latach i wielu miotach wie już, jak działa natura. Któreś zawsze umiera. Tym razem suka miała ośmioro. Kiedy nadejdzie wiosna, przy odrobinie szczęścia zostaną trzy.

W Goris, w prowincji Sjunik w Armenii, zimy są ciężkie. Temperatury spadają do dwunastu stopni poniżej zera, nigdy nie wzrastają powyżej trzech. To piękna miejscowość położona w dziczy, przynależąca jeszcze do poprzedniego wieku. Owszem, są samochody i telefony komórkowe, bo wirus cywilizacji zakaża nawet najbardziej oddalone miejsca. Ale garstka domów ściśniętych u podnóża Gór Zangezurskich, gdzie szukają schronienia przed wiatrem, jest zamieszkała przez innych ludzi. Ludzi, którzy żyją tu z odwiecznym, atawicznym fatalizmem. Rodzą się między pustym niebem a otwartym grobem i nie unoszą brwi, kiedy ktoś im nie odpowiada albo ma o coś pretensje.

Dlatego pasterz spogląda na szczeniaka obojętnie. Inny na jego miejscu przyniosłby do stodoły miskę mleka, owinąłby małego kocem. Pasterz zaś go ignoruje i pozwala, by natura zrobiła swoje.

I tak ma wystarczająco dużo na głowie. Zimą przy stadzie jest znacznie więcej pracy. Stłoczone w zagrodzie owce domagają się wody i siana i produkują ogromne ilości obornika, który trzeba wywalać. Mając do pomocy jedynie młodszego syna (starszy zginął na wojnie siedemnaście lat wcześniej), po skończeniu pracy pasterz nie ma sił na nic więcej, tylko pada na łóżko wyczerpany.

Kiedy nadchodzi wiosna i śnieg się topi, świat staje się bardziej przyjaznym miejscem. Owce wychodzą na pastwiska, pasą się na niskiej

trawie na zboczach i trzeba tylko prowadzić je z jednego miejsca w drugie. Siedząc na perszeronie, z długim kijem w rękę i pełną torbą na plecach, pastor odzyskuje siłę i godność. Słońce wzmacnia zmęczone członki i życie znów staje się znośne.

Kiedy przyjdzie czas, psy będą pomagać.

Owczarek kaukaski to stara rasa. Sowietci mówią, że to oni stworzyli ją po wielkiej wojnie, mieszając kilka różnych ras molosów z gór Osetii Północnej z rasami z Armenii i Azerbejdżanu. Pastor krzywi się z niezadowolaniem, kiedy słucha tego kłamstwa, powtarzanego aż do znudzenia. On ma sześćdziesiąt trzy lata i jako dziecko dorastał z *nagazi*, bo tak właśnie brzmi jego nazwa. I tak samo było w przypadku jego ojca, a wcześniej dziadka. To typowe dla Ruskich, że chcą przywłaszczyć sobie wszystko, co zobaczą.

Ziemię, kobiety. Dzieci.

*Nagazi* są silne, wielkie jak dorosły człowiek, czasami nawet większe. Obdarzone gęstą brązową, a miejscami czarną grzywą oraz wielkimi, wysokimi łapami, mogą ważyć nawet dziewięćdziesiąt kilogramów. Pastor pamięta jednego wielkiego osobnika, dziadka tego miotu, który dobił prawie do stu kilogramów. Ich inteligencja, dzikość i silnie rozwinięty instynkt terytorialny uczyniły z nich obrońców stada i rodziny. A pod tym względem wyróżniają się przede wszystkim w jednym aspekcie.

Zabijają wilki.

Szczeniak przeżył zimę.

Pewnego mroźnego poranka na początku wiosny pasterz znalazł go za stodołą. W łapach trzymał gołębia. Na pysku miał resztki śniegu. Wymieszany z krwią gołębia śnieg lśnił jak brudne rubiny w porannym słońcu.

Spojrzał na psa zaskoczony. Musiał mieć dwanaście tygodni, a on już od pięciu sądził, że nie żyje, że został pożarty przez matkę. Suki dobrze wiedziały, że nie wszystkie zdołają przeżyć, więc tylko przyspieszały ten proces.



– Czy to nie ten mały? – zapytał syn.

Pasterz przytaknął.

– Nie wiem, co z nim zrobimy. Mamy ich już za dużo.

Przeżyły cztery szczeniaki. Razem z tym – pięć. Wyjątkowo silny miot. A wykarmienie czterech dziewięćdziesięciokilogramowych psów i tak jest dość trudne. Razem mogą zjeść rocznie trzydzieści owiec, a oprócz tego kurczaki, warzywa i owoce. Żadnej karmy dla *nagazi*, nie wtedy, kiedy człowiek ma jedzenie, które samo rośnie i się rozmnaża w zamian za wodę i trawę. Nie, jeśli chcesz, żeby stado przeżyło. Siedem lat wcześniej wataha wilków przedostała się do zagrody sąsiadów. Tylko jednej nocy zabiły sto dwadzieścia owiec.

Wciąż się trzęsie, gdy to sobie przypomina.

W każdym razie nie mogą go sobie zostawić.

– Zanioś go do wioski. Nikol go kupi – proponuje syn.

Na twarzy pasterza pojawia się grymas niezadowolenia. Takie zwierzę jak to powinno być wolne. A nie traktowane jak towar. Nie jest głupie i służalcze jak owce.

Powstrzymuje się, by go nie pogłaskać swoimi sękatymi i popękanymi dłońmi. Nie jest sentymentalnym mężczyzną. Ale wie, że jeśli to zrobi, nie pozwoli synowi, żeby go zabrał.

A przecież potrzebują pieniędzy.

– Dobrze.

– Jak się wabi? – zapytał Nikol, patrząc na tę pozornie łagodną kulkę sierści. Nikol jest właścicielem supermarketu i sklepu z paszą dla zwierząt i doskonale zna temperament *nagazi*.

– Bo ja wiem. Kot.

– Kot. W porządku – odpowiada, podając mu plik banknotów.

Nikol opiekował się psem przez sześć dni, bo po takim czasie na ogłoszenie odpowiedział pewien treser z Wołgogradu. Następnego dnia Kot wyleciał z Erywania samolotem transportowym. W Rosji spędził trzy tygodnie na posesji tresera, człowieka, którego interes polegał na

znajdowaniu prawdziwych górskich molosów i wychowaniu ich tak, żeby służyły bogaczom. Treser wiedział, co sprzedaje. Te psy były dumne i inteligentne. Nie urodziły się po to, żeby być zwykłymi zwierzętami do towarzystwa i wypełniać polecenia. W rosyjskich więzieniach patrolowały mury, a jeśli jakiś więzień przez nie uciekał, strażnicy spuszczały je ze smyczy i pozwalały robić swoje. Kolorowe zdjęcia z końcowym efektem zawsze wieszano potem na korytarzach, na widoku osadzonych.

Tak więc należało ujarzmić ich charakter, ale tak, żeby ich nie złamać. Jeden z tych owczarków (treser z dumą używał sowieckiej nazwy, ponieważ uważał, że stworzyli je właśnie Sowieci) prędkiej dałby się zabić, niż ulec.

Kiedy pies był już wyszkolony, trener zamieścił jego zdjęcie na swojej stronie internetowej, informując o idealnym okazie owczarka, urodzonego w ośnieżonych górach. Cena to cztery tysiące dolarów plus koszty podróży, a więc sto razy więcej, niż Nikol zapłacił za niego synowi pasterza.

Po drugiej stronie świata młody i pijany Jurij Woronin zawołał swoją żonę i posadził ją sobie na kolanach przed ekranem komputera.

– Spójrz, kochanie. Chyba już wiem, czego potrzebujemy do naszego nowego domu.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która ruszyła, by uratować swojego psa. Zdołała go wykraść i uciekła z nim w miejsce, w którym źli mężczyźni już nigdy, nigdy nie będą mogli jej znaleźć”.

Lola wie, że koszmar się niebawem skończy. Za chwilę Jack ucieknie z domu olbrzyma, schodząc po łodydze fasoli.

Ostatnie godziny były okropne. Udało jej się uciec. Policja zorganizowała akcję poszukiwawczą, rozpowszechniła jej zdjęcie w serwisach informacyjnych, ale skupiono się przede wszystkim na tym, jak była ubrana. Mając pieniędzy pod dostatkiem, Lola mogła zrobić wiele rzeczy. Najpierw weszła do sklepu odzieżowego. Bluzę wyrzuciła do śmieci. Teraz, gdy miała na sobie niezbyt twarzowy płaszcz i sportową czapkę oraz plecak na ramieniu, jej wizerunek niewiele miał wspólnego z fotografią, którą upubliczniono.

Wsiadła do taksówki, która zawiozła ją do Estepony. Tam z łatwością znalazła apartotel, gdzie nie poproszono jej o dokument tożsamości, ponieważ oczywiście o nim zapomniała, a następnego dnia ma ważne spotkanie w sprawie pracy, zapłaci podwójną stawkę za dwie noce. A niedaleko stamtąd była całodobowa apteka, gdzie sprzedano jej tak cenną insulinę. Lola się odwróciła, wyjęła z torebki banknot i drżącą ręką włożyła go do metalowej przegródki, obawiając się, że farmaceuta może ją w każdej chwili rozpoznać. Mężczyzna popatrzył na nią o kilka sekund dłużej niż to potrzebne, ale w końcu włożył insulinę i resztę do przegródki i przesunął z trzaskiem.

Niespełna dwie godziny po tym, jak strzeliła w powietrze na rogu alei Ramón y Cajal, Lola płakała w ciasnej kabinie prysznicowej, nie mogąc przestać się trząść ze strachu i paniki.

Tej nocy ledwie spała, mimo że zaryglowała drzwi stolikiem. Wzdrygała się przy najmniejszym hałasie, wyobrażając sobie, że już tu są, że ją znaleźli. Udało jej się zasnąć, kiedy słońce prześwitywało już przez rolety. Po prostu z wyczerpania. Spała do późnego przedpołudnia.

Wstała, wstrzyknęła sobie insulinę, zjadła śniadanie w jednej z kawiarni. Potem wybrała się do Mango, gdzie kupiła wygodne ubrania, okulary przeciwsłoneczne, dżinsy i buty. Mimo że szła z twarzą odwróconą do ściany, mimo że każde spojrzenie wydawało jej się podejrzane, a przez cały czas, jaki spędziła w sklepie, nie przestawała odwracać się w stronę wyjścia, nikt do niej nie podszedł, nikt jej nie rozpoznał.

Po wszystkich zdarzeniach z ostatnich dni życie toczyło się zaskakująco normalnie. Kiedy zatrzymała się na obiad w restauracji przy alei España, z mnóstwem toreb z zakupami, na moment zapomniała o swojej sytuacji i we właśnie kupionej torbie (w której nie było nic więcej oprócz kilku banknotów) szukała telefonu, żeby zadzwonić do Jurija i zapytać, co u niego.

Po chwili życie przypomniało jej o rzeczywistości z taką delikatnością, jakby oberwała kamieniem.

Rozpłakała się nad drugim daniem.

Cały czas uciekała przed wymiarem sprawiedliwości. Nie miała dowodu osobistego ani sposobu na jego zdobycie. Nie miała też przyjaciół, do których mogłaby się zwrócić, ani rodziny, która nie byłaby obserwowana.

„Mogłabym uciec, wsiąść do autobusu w kierunku Madrytu albo Walencji, tam wtopić się w otoczenie, znaleźć pracę, zniknąć”.

„Nie”.

„Nie wyjadę bez mojego psa”.

Powrót do Marbelli wiązał się z bardzo dużym ryzykiem, ale odzyskała siły i wiarę w siebie. I musiałaby spędzić w mieście tylko godzinę. Jeszcze jedna godzina i koniec.

„Co za okropne miejsce”, myśli Lola, obchodząc ogrodzenie.

Miejskie schronisko znajduje się na przedmieściach, na końcu wąskiej jednokierunkowej ulicy. Schroniska mają coś wspólnego z domami pogrzebowymi, domami opieki i cmentarzami. Buduje się je w takich miejscach, gdzie istnieje najmniejsze prawdopodobieństwo, że je zobaczymy. Bo wolimy nie wiedzieć, co tak naprawdę dzieje się za tym wysokim płotem, choć przeczuwamy, że skrywa rzeczywistość, z którą nie chcemy się zmierzyć.

Czas, wyrażony w pieniądzu, to najskuteczniejsze i najbardziej niebezpieczne lekarstwo, jakie istnieje. Dawkujemy je skromnie i egoistycznie, żeby odwrócić się plecami od najmniejszego nawet przejawu szczerości. Czas jest naszym usprawiedliwieniem dla egoizmu, który odsuwa nas od prawdy, od tego zniszczenia, jakie czynimy, od prawdy, która dręczy innych, a w ostatecznym rozrachunku dręczy nas samych. „Nie mamy czasu”, powtarzamy sobie. I w ten sposób psy nadal tłoczą się w klatkach, a staruszkowie nadal odwracają w stronę drzwi pomarszczone i pełne fałd szyje za każdym razem, gdy te się otwierają.

Nie ma czasu dla prawdy.

Nie ma też czasu dla Kota.

Jako zwierzę potencjalnie niebezpieczne (a niewiele jest bardziej niebezpiecznych od niego), wedle przepisów prawa, jeśli nie zostanie adoptowany przed upływem dziesięciu dni, będzie uśpiony.

Przed powrotem do Marbelli Lola kupiła nożyce w sklepie żelaznym przy plaza de las Delicias w Esteponie. A także rękawice robocze, żeby móc wygiąć druty ogrodzenia.

Wybiera miejsce w tylnej części działki i zaczyna pracować.

Przedostanie się do środka zajmuje jej niecałe sześć minut. Musi wyciąć sporą część ogrodzenia, bo później wyjdzie tędy z psem, a nie wie, czy nie będą musieli biec. Nie chce też, by zrobił sobie krzywdę, zaczepiając o druty.

Po wycięciu otworu o średnicy prawie osiemdziesięciu centymetrów odrzuca resztki na bok i wchodzi na teren schroniska.

W nocy nie ma tu ochrony ani pracowników. Przed niskim, zniszczonym budynkiem znajduje się podwójny rząd klatek. Spacer między nimi przypomina horror. Lola odwraca wzrok, widząc dużą liczbę zwierząt, których właściciele pewnego dnia doszli do wniosku, że w ich życiu nie ma już miejsca na ten prezent bożonarodzeniowy, na ten kaprys dziecka. Klatki są brudne, a zwierzęta zrezygnowane. Schronisko jest własnością prywatną, więc dzieje się tutaj to, czego można się spodziewać.

Kiedy Lola podchodzi, wiele zwierząt nawet nie reaguje. Nieliczne warczą od niechcenia. Inny szczeka pełen nadziei, która umiera, gdy tylko Lola przechodzi dalej. Jeszcze inny z więźniów jedynie wstaje, kiedy słyszy dźwięk kroków na betonie.

Lola dociera do właściwej klatki i otwiera ją bez wahania. Nie potrzebuje klucza, bo jest tu tylko długa stalowa zasuwka.

Pies się nie rusza. Nawet w pogrążonym w półmroku schronisku, jedynie przy świetle latarni z ulicy i drogi biegnącej kawałek dalej, zwierzę robi wrażenie. Wysoki jak stół w jadalni, szeroki jak stolik kawowy. Brązowawa grzywka okalająca głowę jest gęsta i gruba. Pysk i oprawa oczu są czarne, niczym przesłonięte maską. W półmroku widać jedynie błysk jego oczu w kolorze kawy oraz delikatne poruszanie różowym językiem.

Lola wymawia jego imię.

– Kot.

Usta układają się trochę tak jak przy buziaku, bo „o” wymawia się jak „u”, zmuszając do złączenia warg, język wysuwa się do przodu przy „k” i „t”.

– *Ko mnie* – nakazuje i nachyla się, żeby móc się z nim przywitać. – Chodź tu.

Lola uwielbia to, że reaguje tylko na polecenia wydawane po rosyjsku.

Pies natychmiast podchodzi i łapczywie liże jej twarz. Może i jest tylko masą mięśni i kości zdolną w ciągu kilku sekund pozbawić człowieka

głowy. Jeśli jednak chodzi o właścicielkę, to nie zna innych uczuć, jak tylko miłość.

– Spójrz na siebie, głupi psie – mówi Lola, dotykając jego głowy i szyi.  
– Jesteś brudny. Zdjęli ci obrozę. I schudłeś.

Kot nie wyrzuca jej, że odeszła. Ale zaczyna się denerwować obecnością innych psów, teraz gdy wie, że ona tu jest. Uderza ją łapą wielkości i o wadze małej patelni. Chce ją tylko ostrzec, ale i tak rani ją w nogę. Tak właśnie zawsze wyglądało jej życie z Kotem. Na nogach ma pełno siniaków i zadrapań.

– Dość. *Mołodziec*. Dobry chłopak.

Kieruje się w stronę dziury w ogrodzeniu z psem deptającym jej po piętach.

– *Guliać*. Wychodź.

Kot węszy przez chwilę, a potem wymyka się na zewnątrz. Lola rusza za nim natychmiast.

Na końcu działki, przy latarni, widzi zaparkowanego forda fiestę Żeni, która daje znać długimi światłami. Czeka na nią, siedząc za kierownicą.

„Całe szczęście. To wreszcie się skończyło”, mówi sobie w duchu Lola, nie mogąc uwierzyć, jakie to wszystko było łatwe.

I słusznie. Kiedy kładzie rękę na klamce, coś każe jej się odwrócić.

Kot napina mięśnie i się pochyla. Wypina pierś. Z jego szczęk dobiega nieprzyjemne i groźne warczenie.

– Dokąd się wybierasz, Lola? – odzywa się głos w ciemności.

Lola czuje, że w brzuchu uformowała się jej stalowa kula. Rozpoznaje ten głos. Tę sztuczną radość.

Kirył Rebo stawia krok do przodu. Wchodzi w oświetloną przestrzeń ze swoimi jasnymi włosami, chudym ciałem, kośćmi obleczonymi bladą skórą. Z uśmiechem na ustach, pustymi oczami jak u rekina i z pistoletem.

Z tych trzech rzeczy to nie broń przeraża Lolę najbardziej.

– Dlaczego? – pyta Lola, patrząc na Żenię.

– Zagrozili, że zabiją moją siostrę, jeśli pani nie wydam. Ona wciąż tam mieszka. A tam nikogo nie obchodzi, jeśli człowiek znika.

Rozumie ją. Żenia zrobiła to, co musiała zrobić. Jak ona sama. Jak wszyscy.

– Bardzo mi przykro.

Lola posyła jej smutny uśmiech. Niegdyś, zaledwie kilka dni wcześniej, być może by ją obrażała, przeklinała, groziła jej. Teraz nie wie nawet, czy wciąż jest tą samą osobą, kobietą, którą była. Albo czy kiedykolwiek znowu nią będzie. Jest za bardzo zmęczona. Wszystkim. Wszystkimi.

– W porządku.

Warczenie Kota się wzmaga, kiedy do Kiryła Reby dołącza drugi zbir. On także trzyma pistolet i nie przestaje celować w psa. Ma przykurczone palce i szkliste oczy. Wziął co najmniej gram.

– Lepiej pilnuj swojego psa – żąda Rebo, wskazując zwierzę.

– Wystarczy, że wydam mu polecenie – mówi Lola.

– My tylko strzelimy, *da*?

Lola zaciska zęby, zatrzymując w środku sylabę, która sprawiłaby, że Kot rzuciłby się do gardeł tych skurwysynów. Zabiłby jednego, nawet gdyby trafiły go strzały. Kiedy atakuje, żeby chronić swoją panią, potrzeba czegoś więcej niż pistolet, by go powstrzymać.

„Ale nawet jeśli zabije jednego, drugi zostanie przy życiu”.

A ona nie pozwoli, żeby na próżno zastrzelili jej psa.

– Proponuję układ. Pies jedzie z nią, a ja z wami. Choroszo?

Rebo marszczy czoło, rozważa propozycję. Strzelenie do psa to nie jest dobry pomysł. W ciągu ostatnich dni już wystarczająco zwrócili uwagę na organizację.

– Dobra.

Lola otwiera drzwi samochodu i nakazuje Kotowi, żeby wsiadł. Pies patrzy na nią z nieufnością, ale w końcu wykonuje polecenie.

Lola nachyla się do Żeni i ukradkiem wyjmując z kurtki kopertę.

– Zawieź go tam, gdzie ci powiedziałam – mówi kobiecie, podając jej kopertę. – Tam będziecie bezpieczni. Dołączę do was.



Żenia otwiera kopertę. W środku jest znacznie więcej niż pięć tysięcy euro. Wystarczy nie tylko na operację siostry, lecz także na to, by zniknąć na kilka dni.

– Nie pozwolą pani odejść – mówi kobieta, tłumiąc szloch.

– Poradzę sobie.

Żenia uruchamia silnik i odjeżdża. Zabiera ze sobą nadzieje Loli Moreno.

Odwraca się powoli i patrzy w oczy Kiryła Reby.

– Proszę. Macie, co chcieliście.

## 10

# Przyjaciele

– Zaskakujesz mnie – mówi Rebo. – Ty nie tylko głupia cipka Woronina. Nie tylko ozdoba, *da*?

Lola milczy. Słowa uznania nie są dla niej teraz priorytetem. A poza tym już zbyt długo kamufluje się na widoku, żeby nagle się ujawnić, kiedy uzbrojony psychopata mówi jej komplement.

– Nic nie mówisz. Dobrze. Jeszcze będziesz mówić.

Lola się denerwuje. Miała w zasięgu ręki wolność i zaprzepaściła ją przez głupi błąd. Wściekłość zżera ją od środka. Strach też, ale nie chce tego okazać.

– Może zaoszczędzimy sobie trudu i od razu mnie zabijesz?

Kirył Rebo znowu się uśmiecha.

To najbardziej nieprzyjemny uśmiech, jaki widziała.

Uśmiech, który zastyga mu na twarzy, kiedy z przeciwległej strony działki pojawiają się jakieś światła.

– Co to za jedni? – pyta go drugi bojownik.

Rebo łapie Lolę za ramię i przysuwa do siebie.

– Twoi przyjaciele? – pyta, przystawiając jej pistolet do brzucha. – To ty po nich zadzwoniłaś?

Lufa broni wyrывa z niej jęk, nacisk stali sprawia, że naładowana elektrycznością i lękiem fala przechodzi z brzucha na kark. Czuje impuls (mrowienie w rękach, w opuszkach palców), żeby odsunąć pistolet od rosnącego w niej życia.

Zamiast tego tylko potrząsa głową, przerażona.

Rebo zastanawia się, czy nie pobiec do swojego samochodu, ale zostawili go po drugiej stronie, żeby zacząć się na Lolę w ciemności.

Światła są coraz bliżej, a w niewielkiej odległości za nimi – kolejne.

Za ich plecami pojawiają się jeszcze jedno.

Z naprzeciwka nadjeżdżają radiowóz i czarne audi. Z tyłu kolejny radiowóz. Wszystkie trzy pojazdy ich otaczają. Hamują gwałtownie, opony ślizgają się z chrzęstem na żwirze i się zatrzymują. Z samochodów wysiada wielu funkcjonariuszy z pistoletami, którymi celują do nich, osłonięci drzwiami.

– Policja! Rzucić broń!

Nadjeżdża więcej samochodów z włączonymi syrenami.

Rebo rozgląda się dookoła, wściekły. Wciąż trzyma Lolę za ramię, a pistolet przyciska do jej boku. Reflektory samochodów zamknęły ich w kręgu światła. Ich cienie wydłużają się na ziemi.

Drugi bojewik jest zdenerwowany: zlany potem, ma przyspieszony oddech i serce w gardle. Kokaina zwiększyła jego agresywność, paranoję i pewność siebie do niebezpiecznych granic. Podnosi pistolet, celując do ciemnych kształtów widocznych po drugiej stronie jasnej ściany utworzonej przez światła. Pojawiają się krzyki, zamieszanie. Kilka gardeł jednocześnie wydaje z siebie dźwięki.

Zbir macha bronią, robi krok w stronę jednego z radiowozów.

Ktoś strzela.

Strzał trafia go w plecy. Zbir się wije, drugi strzał, z boku, trafia go w szyję. Wyrывa mu tchawicę w chmurze krwi i chrząstek, która unosi się przez chwilę w świetle reflektorów, by potem zniknąć i opaść.

Bojewik jest martwy, jeszcze zanim dotknie podłoża. Jego ciało jednak o tym nie wie. Wciąż trzęsie się w spazmach i konwulsjach, które sprawiają, że jego twarz trze o żwir w ciągu kilku groteskowych sekund.

– Chcę adwokata – mówi Kirył Rebo, puszczając Lolę i rzucając pistolet na ziemię.

– Zaraz... Macie jakieś kursy przygotowujące do tego, co macie mówić, czy co? – Słysząc głos Jona po drugiej stronie reflektorów.

# Asłan

Asłan jest człowiekiem, który nie daje się ponieść emocjom – to przede wszystkim.

Kiedy dowiedział się o zdradzie Woronina, zastanawiał się przez kilka dni, zanim przeszedł do działania.

Kiedy musiał stanąć przez bratwą i współpracownikami na pogrzebie swojego skarbnika, ważył każde słowo, które zamierzał powiedzieć, zwracając uwagę na modulację głosu, pauzy, a nawet gestykulację. Ćwiczył przed lustrem w łazience, kładąc ręce na umywalce, jak gdyby kładł je na samej Biblii Kościoła prawosławnego.

Kiedy musiał wytłumaczyć się przed pakhanem (w tajnym celu wysondowania enigmatycznego zachowania Czarnej Wilczycy), przez długi czas wpatrywał się w zwłoki jajek smażonych, zanim się na to zdecydował.

Teraz jednak jest inaczej. Nie tylko przepadła szansa na odzyskanie pieniędzy, jak mu nakazano.

Oprócz tego zabrali Kiryła Rebę.

Asłan od dziesiątek lat nie darzył nikogo bezwarunkową sympatią. Kiedyś powiedział nawet, że przyjaciel to ktoś, kogo jeszcze nie zabił. Publicznie, nie wierząc w to do końca, ale wiedząc, że musi żyć zgodnie z głoszonymi przez siebie zasadami. Inni szli przed nim niczym tarcze, ale domagali się swojej ceny. Sekret dobrej starości to nic innego jak uczciwa umowa z samotnością, tym bardziej gdy jesteś mafiosem.

Jeśli jednak jest ktoś, do kogo Asłan czuje coś na kształt przyjaźni, zdrowe i prawdziwe braterstwo, to właśnie do Kiryła. Jemu przebaczał wszelkie przewinienia, wszelkie okrucieństwa, które określił jako dziwactwa. Orłow zawsze wiedział o sobie, że jest amoralny. O Kirylenie zaś – że jest wręcz podły. Kiedy Asłan był młodszy, wyśmiewał się z czarnych

charakterów, do których tak mocno było przywiązane radzieckie kino. Z tych, co chwyтали dziewczę i wybuchali wściekłym śmiechem, który przygotowywał wejście bohatera z proletariatu.

Później poznał Kiryła Rebę.

Kiedy osiągasz pewien wiek i stajesz już w przedsionku, mając przed oczami wyjście, spoglądasz wstecz. Nawet jeśli tego nie chcesz. Orłow, który zawsze robił to, co mu potrzeba dyktowała i na co instynkt pozwalał, zabił własnymi rękami kilkanaście osób. Nigdy się specjalnie nie cieszył z samej tej czynności. Dla niego najważniejszy był rezultat. Tańczyć na grobie wroga. Cały czas tańczyć.

– Jesteśmy bezlitośni? – zapytał kiedyś Kiryła przy butelce wódki.

Na podłodze leżał trup syna jednego z rywali. Jedenastolatka.

– Mamy dobry gust – odpowiedział enigmatycznie Rebo.

Orłow zrozumiał to później, kiedy przyjechali do Hiszpanii. Dobry gust nie ma nic wspólnego z ubraniami, które nosisz, albo meblami, które wstawiasz do swojego domu. Carowie zapełniali pałace klejnotami i przedmiotami, które dziś magazyny dekoracyjne uznałyby za koszmarnie.

Dobry gust to nie moda. To harmonia. A najlepszy sposób, jaki prowadzi do jej osiągnięcia, to zabójstwo.

Dlatego Orłow darzy sympatią Kiryła Rebę. Ponieważ jako kowal własnego losu postanowił kochać to, co robi, bez żadnych ustępstw.

„Nawet żeby być gangsterem, trzeba mieć talent”, myśli Aslan. „A nie ma talentu bez pasji”.

Orłow walczy sam ze sobą, niespokojny, nie może znaleźć wygodnej pozycji w swoim ulubionym fotelu. Taras jego willi na osiedlu La Zagaleta wisi nad wzgórzem. W bezchmurne dni widać Gibraltar i wybrzeże Afryki. Wyżej, pół kilometra dalej, stoi dom Władimira Putina. Nigdy go tu nie spotkał, nie wiedziałby nawet, co mu powiedzieć. Może nieśmiało wyraziłby wdzięczność.

Zapadła noc, więc teraz widok ogranicza się do mnóstwa drzew, które odslaniają słaby księżyc i pozwalają słyszeć szmer wiatru między gałęziami. Nie ma nic do oglądania, nie ma żadnego miejsca, w które można by pójść.

Tylko jedna decyzja do podjęcia.

Jest w niej kalkulacja. Są konsekwencje i reperkusje. Zdrada. I być może jedyna możliwość, by iść naprzód. Cały czas tańczyć. Choć ma już siedemdziesiąt lat, z trudem chodzi i stoi już w przedsionku, nie chce opuścić imprezy. Bo po drugiej stronie drzwi wyjściowych są tylko chłód, wycie, ostre zęby mroku.

Aslan jest człowiekiem, który nie daje się ponieść emocjom, i dlatego jest w stanie wziąć telefon i wybrać numer, choć sądził, że już nigdy więcej nie będzie mu potrzebny.

Odbiera po pierwszym sygnale.

Czekał na jego telefon.

– Musimy rozwiązać problem – mówi Orłow.

– Bez względu na wszystko?

– Bez względu na wszystko.

Rozłącza się i wykonuje kolejny telefon. Muszą zacząć działać, w razie gdyby pierwszy plan zawiódł. A nie może się zwrócić do nikogo innego, ponieważ nie ma nikogo innego.

Nie tak wyobrażał sobie swoją starość. Sądził, że z wiekiem mógłby wyjść poza swoje ciało, swoje pragnienia i nieszczęścia. Osiąść w królestwie spokojnej niematerialności. Zamiast tego został wciągnięty przez to ciało jeszcze niżej, aż do środka swojej maszynierii. Brutalnej, mściwej, skrzypiącej i coraz bardziej zardzewiałej maszynierii.

Wstaje.

## Inna torba z lodem

Ostatecznie wszystko stało się bardzo szybko.

Oboje jadą samochodem z powrotem do Madrytu, tak jak przyjechali. Nocą, patrząc, jak linie na drodze gonią się pod maską audi. Z dziwnym poczuciem nierealności. Ramiona spięte, nogi nazbyt lekkie. Niczym żołnierz leżący plecami w błocie, a kule świszczą znowu na suchej ziemi.

Jak gdyby to wszystko nie mogło być takie proste.

– To wszystko nie może być takie proste – mówi Jon.

– Zrobiliśmy swoje – odpowiada Antonia, choć tylko połową ust. Drugą połowę zasłania jej torba z lodem (inna).

Pierwszą torbę z lodem kupili w drodze do schroniska. Na stacji benzynowej, kiedy Jon płacił, Antonia zadzwoniła do komisarki Romero. Napięcie między obiema kobietami zniknęło, gdy tylko Antonia przekazała jej, bardzo poważnym i profesjonalnym tonem, bez cienia oportunistycznego rewanżyzmu, że wie, gdzie za kilka minut będzie Lola Moreno. Komisarka Romero, kompetentna i wdzięczna za jej pracę, poprosiła o podanie miejsca spotkania i wydała jej konkretne polecenia.

A przynajmniej tak Antonia zrelacjonowała tę rozmowę inspektorowi Gutiérrezowi.

– Co powiedziała, zanim się rozłączyła, dosłownie? – zapytał Jon, który dobrze już zna streszczenia Antonii.

– „Nie spieprzcie tego”.

– Rozumiem. A gdzie jest to miejsce spotkania?

Miejscem spotkania była droga serwisowa w pobliżu miejskiego schroniska. Nachylenie terenu dawało im pewną przewagę obserwacyjną,

więc kiedy Lola opuściła ośrodek z psem, musieli tylko podjechać z obu stron. W czasie, jaki zajęło im przybycie na miejsce, mało brakowało, a cała operacja poszłaby na marne, kiedy podejrzana zamierzała wsiąść do forda fiesty, który ostatecznie odjechał bez niej.

Zaskoczeniem było to, że kiedy zbliżali się do celu, pojawili się mafiosi. Ujęcie uzbrojonej podejrzanej, trudne już samo w sobie, zamieniło się w sytuację z zakładnikami. Siedem pistoletów celowało do Rosjan, których było tylko dwóch. Kiedy zrobiło się gorąco, kiedy wszyscy naraz zaczęli krzyczeć, Antonia wiedziała, że nie da się uniknąć rozlewu krwi.

– Szesnaście trupów – tak brzmiało podsumowanie komisarki Romero, kiedy Kirył Rebo i Lola Moreno siedzieli zakuci w kajdanki, każde na tylnym siedzeniu w oddzielnych radiowozach.

– Tak. No cóż. Jeśli chodzi o to... – odezwał się Jon, drapiąc się po karku i oglądając czubki swoich butów.

I właśnie tak poinformowali Romero o tym, w jaki sposób namierzyli Lolę Moreno. I że liczba trupów wzrosła do siedemnastu.

Odbyli bardzo nerwową, długą i nieprzyjemną rozmowę.

– Będziecie musieli wrócić, żeby zeznawać przed sądem. Zostaniecie powiadomieni. Na razie cieszę się, że tracę was z oczu – powiedziała Romero w ramach podziękowania.

Jon pojechał do hotelu po walizki. Antonia została na miejscu zbrodni do czasu przyjazdu furgonetki policji sądowej, chociaż Jon wrócił jeszcze przed nimi. Przyjechali z Malagi, żeby przewieźć zatrzymanych do Madrytu.

– Stamtąd wydano takie polecenie. Nie sądzą, żeby to otoczenie było bezpieczne, aby ich przesłuchać – powiedział Belgrano, kiedy inspektor Gutiérrez go o to zapytał.

Dwoje funkcjonariuszy policji sądowej, oboje ubrani po cywilnemu, przykuli dwójkę zatrzymanych do prętów przytwierdzonych w tylnej części biało-granatowego Citroëna. Każde z jednej strony. Policjanci zamknęli boczne drzwi i zajęli swoje miejsca z przodu.



Jon i Antonia także ruszyli. Wyprzedzili furgonetkę za pierwszym rondem i to tyle.

Jonowi się nie spieszy, w żadnym momencie nie przekroczył dozwolonej prędkości. Włączył album *19 días y 500 noches* na Spotify. Przez głośniki audi płyną historie o lodowych rybach, o złym towarzystwie, które jest najlepsze, o platynowych blondynkach.

Prawie nie rozmawiają, tylko wymieniają się słodyczami i innymi zapakowanymi świństwami, które kupili na stacji benzynowej (na drugiej, bo mieli więcej czasu). Żadne z nich nie jest zadowolone. Jak mieliby być? Ale na taką pracę przecież się pisali. Mają pomagać z boku, wiedząc, że nie dostaną żadnej nagrody ani pochwały. I nie mając też wątpliwości, że gdyby ich tam nie było, rezultat byłby zupełnie inny.

Wykonują krótki telefon do Mentora, żeby go o wszystkim powiadomić.

- Dobra robota. Wolałbym, byście nie wracali jeszcze do swoich domów - mówi Mentor, gdy skończyli opowiadać. W jego głosie nie ma radości. - Jutro rano pogadamy o tym, co się dzieje. Jedźcie do hotelu i odpocznijcie.

Rozłącza się.

Antonia zasypia, wyczerpana.

Jon ścisza muzykę.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która została porwana przez potwory, które wiozły ją ciemnym powozem do straszego zamku”.

Lola próbuje się rozciągnąć, szuka wygodnej pozycji. Nie znajduje jej, ponieważ takowej nie ma. Prawy nadgarstek jest przykuty kajdankami do pręta przytwierdzonego do podwozia furgonetki, pod bardzo niewygodnym kątem. Cztery siedzenia z tyłu są rozstawione dwójkami po bokach. Kiryła Rebę posadzono po drugiej stronie, ale nie na siedzeniu naprzeciwko niej, tylko na tym drugim.

Nie ma okien ani muzyki. Ani możliwości, by się przespać. Zostaje im tylko na siebie patrzeć.

Kirył to robi. Wbija w nią wzrok.

W tych niebieskich oczach pozbawionych życia jest coś, co może ukraść ci twoje życie. Małymi kęsami.

„Gryzą. Te oczy gryzą”, myśli Lola.

Zamyka swoje i stara się myśleć, co zrobić.

Nie ma zbyt wielu rozwiązań. Policja ją przesłucha, żądając, by opowiedziała wszystko, co wie na temat organizacji Orłowa oraz tego, jak Jurij prowadził swój biznes prania brudnych pieniędzy Tambowskiej w Hiszpanii.

„Ja prawie o niczym nie wiedziałam, proszę pana. Tylko tyle, ile usłyszałam z kuchni”.

Strzępy rozmów uchwycone w przelocie w salonie ich domu, kiedy podaje bliny z wędzorem i szklanki z kisielom, i przeciera ścierką blat.

„Prawie zawsze rozmawiali po rosyjsku. Ja nie znam języka, tylko kilka słów. Przywitać się, poprosić o rachunek. Niewiele więcej”.

„Firmy? Wszystkie na nazwisko Jurija, o ile mi wiadomo”.

„Nasz dom? Samochody?”

„Ruben Ustyan? Nigdy o nim nie słyszałam”.

Lola przerywa swoją próbę. Możliwe, że są zdjęcia. Z jakiejś imprezy. Ach, ile by dała, żeby w tej chwili usunąć swoje konto na Instagramie. Ale to bez znaczenia, i tak będą mieli wszystkie zdjęcia.

„Ach, ten niski facet. Tak, kiedyś przyszedł do domu”.

„Nie, nie przedstawił się albo nie pamiętam”.

To jest kluczowe. Czteryście dwanaście razy „nie wiem”, osiemdziesiąt dwa razy „nie pamiętam”, pięćdziesiąt osiem razy „nie znam” oraz siedem razy „nic mi o tym nie wiadomo”<sup>16</sup>. Dzięki temu można się wyplątać ze wszystkiego.

W jej żyłach płynie wprawdzie krew w normalnym kolorze, ale ma inną przewagę. Przypomina sobie ten straszny czarno-biały film o Żydach w obozach koncentracyjnych. Zły facet pyta, kto ukradł kurczaka grupie więźniów, którzy czekają w kolejce. Nikt nie odpowiada, więc zły facet strzela do jednego, który pada na ziemię i umiera. Wtedy z kolejki wychodzi chłopiec. Zły facet pyta go, czy to on ukradł kurczaka. Nie. Pyta więc: wiesz, kto ukradł kurczaka? Na co chłopiec wskazuje martwego mężczyznę leżącego na ziemi. Dzieciakowi można tylko bić brawo.

Lola ma własnego martwego mężczyznę, którego może wskazać.

W dokumentach nie ma żadnych jej śladów. Nazwisko Loli nigdzie się nie pojawia. Ojciec dobrze ją nauczył. Był nieudacznikiem, ale o rachunkowości wiedział więcej niż ktokolwiek inny. Tęskni za nim. Za tymi wszystkimi popołudniami, które spędzili razem w jego ostatnich latach, kiedy to objaśniał jej triki, luki prawne. Jak zniknąć z pola widzenia, tworząc przykrywkę za przykrywką, aż człowiek staje się niewidzialny.

To nie jest idealna sytuacja. Ale mogło być znacznie, znacznie gorzej.

Chodzi o to, żeby opierać się, ile zdoła. Albo powiedzieć, co wie, jeśli zrobi się nieciekawie. Choć to wyboista droga.

Jest jeszcze kwestia pieniędzy na dobrego adwokata w związku z tym, co się stało w sklepie, za to i owszem, mogą ją przyskrzynić. Tylko

ciekawe, skąd go niby wytrzaśnie.

Nie może się zwrócić do matki. To kolejny problem. Co się z nią teraz stanie. Z nimi obiema.

Co będzie później. „Czy ostatecznie zamienię się w nią”, zastanawia się, dotykając swojego brzucha. W tego konformistycznego pasożyta. Czy będę prowadzić życie naznaczone martwą ciszą, delikatnym, lecz ciągle obecnym zapaszkiem gnicia, mając scenariusz do odgrywania podczas każdej rozmowy telefonicznej. Kiedy kończą się codzienne błahostki i Lola widzi zbliżającą się Wielką Pauzę Naładowaną Sensem przed Nieuniknionym Pytaniem. „Nie sądzisz, że powinnaś znaleźć coś lepszego?” Niczym dwie aktorki skazane na to, by odgrywać tę samą przygnębiającą scenę za każdym razem, gdy się spotykają.

„Ale pieniądze i tak brała, jakżeby inaczej”.

Jej myśli stają się coraz bardziej gorzkie i chaotyczne, w miarę jak zmęczenie bierze nad nią górę.

Zasypia. Mimo wszystko. Mimo że plany wzięły w łeb, mimo błędów, mimo że jedzie zakuta w kajdanki w stronę niepewnej przyszłości, przewiercana wzrokiem psychopaty – zasypia.

I wtedy to się dzieje.

## Tamilskie słowo

W pewnym momencie, kilka godzin później, Antonia porzuca głęboki sen. A także chrapanie, bo chrapie jak smok. Znajome światło latarni na alei Manzanares, ze swoim charakterystycznym wzorem, powoli ją budzi. Mruga i wierci się, kiedy przejeżdżają przez most Praga. Niecałe trzysta metrów od miejsca, gdzie kilka dni wcześniej w rzece znaleziono niezidentyfikowane zwłoki. Na wysokości alei Santa María de la Cabeza Antonia podnosi głowę. Wyciąga szyję, w której chrzęści. Niezadowolona potrząsa torbą (wcześniej lodu, teraz wody), której zawartość kapala na jej spodnie.

Efekt voltarenu znika. Kiedy sięga po butelkę z wodą, żeby popić kolejne dwie tabletki, przygląda się swojej zmaltretowanej twarzy w odbiciu szyby.

– Co za dramat – odzywa się ochryplym głosem typowym dla kogoś, kto właśnie się obudził.

– Woronin skończył gorzej – odpowiada Jon.

Antonia się zatrzymuje.

Świat też.

Rozwalona twarz Woronina. Strzał ze strzelby, z bliskiej odległości, w linii prostej.

*Eruparakkiratu.*

W języku tamilskim, języku z rodziny drawidyjskiej, którym mówi się w Indiach i w północno-zachodniej Sri Lance, oznacza „odciągnąć byka, żeby spojrzeć na muchę”.

Nagle przed Antonią pojawiają się wszystkie elementy:

- Jurij Woronin, zabity strzałem ze strzelby, kiedy był w kąpielówkach, we własnym domu; brak śladów włamania.
- Strzał w linii prostej, z bliskiej odległości. Celowano mu w twarz.
- Pies, owczarek kaukaski, ogromnie nieufny wobec obcych, zamknięty w ogrodzonym basenie.
- Lola Moreno dostaje wiadomość od męża, który ostrzega, że będą ją ścigać.
- Ktoś próbuje zabić Lolę Moreno w tym samym czasie, co jej męża.
- Wybielacz na miejscu zbrodni.
- Jurij Woronin był policyjnym informatorem.

Wszystko prowadzi do tego samego miejsca. Wszystko prowadzi do śmierci Woronina. Antonia pamięta niepokój, jaki czuła na miejscu zbrodni. Jak małpy skakały, próbując dać jej do zrozumienia coś, co było tam od samego początku. Ułożenie ciała. Kąt wystrzału.

*Eruparakkiratu.*

Odciągnąć byka, żeby spojrzeć na muchę.

– Pies. Pies, Jon.

– Co z psem?

– Zatrzymaj samochód.

Jon włącza kierunkowskaz, zjeżdża na prawy pas. Są na środku alei Recoletos, w drodze do hotelu, ale o tej porze właściwie nie ma ruchu.

– Daj mi prowadzić.

– Ale przecież jesteśmy już prawie na miejscu.

– Musimy wracać. Jak najszybciej. A ty nie możesz siedzieć za kierownicą.

Nie wierząc do końca w to, co robi, Jon zamienia się z Antonią miejscami. Zimno na zewnątrz (są trzy stopnie poniżej zera) trochę go rozbudza.

– Można wiedzieć, co cię ugryzło?

*Eruparakkiratu*, myśli Antonia i przysuwa fotel do przodu, żeby dopasować go do siebie. Nie żeby Jon był gruby. Zapina pas i rusza. Wykonuje nielegalny manewr, żeby zawrócić na plaza de España.

Przekracza linię ciągłą, przejeżdża na czerwonym świetle, potem na kolejnym.

Inspektor Gutiérrez, który czuł już zapach łóżka, poprawia sobie pas i przeklina zmęczenie, które sprawiło, że stracił czujność i przekazał kierownicę głęboko niezrównoważonej kobiecie. Kolejny raz. Podczas gdy obiecał, że to już się nigdy nie powtórzy.

– Przerażasz mnie.

– Zadzwoń do Mentora.

– Po co?

– Dzwoni.

Jon wybiera numer. Odpowiada zaspany głos.

– Furgonetka, którą jedzie Lola Moreno – mówi Antonia. – Musisz ją zlokalizować. Na pokładzie jest dwoje funkcjonariuszy policji sądowej. W tej chwili jedzie do Madrytu. Według moich obliczeń powinna być między Villaverde a Userą. To kwestia życia lub śmierci. Zrozumiałeś?

– Robi się – mówi Mentor bardzo poważnie. Nie prosi o wyjaśnienia. Rozpoznał ten ton.

Jon się rozłącza. On owszem, prosi o wyjaśnienia.

– Można wiedzieć, dlaczego ryzykujemy wypadek?

Antonia nie odpowiada. Jest zbyt zajęta prowadzeniem z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę na Cuesta de San Vicente w kierunku południowym.

O włos wymija taksówkę wyjeżdżającą z ulicy Ariaza, która gwałtownie hamuje. Dźwięk klaksonu już do nich nie dociera.

– Pies, Jon – mówi Antonia, kiedy są już na M30, a nikły ruch pozwala jej dociągnąć do stu osiemdziesięciu.

– Tak, tak. Pies. Zabrała go gosposia. Po co ci teraz ten pies?

– Nie teraz. W dniu zabójstwa Woronina. Nie rozumiesz? Gdzie był pies?

– Zamknięty w basenie – odpowiada Jon, otrząsając się ze zmęczenia. Przechodzi mu dzięki adrenalinie, którą wywołuje wyprzedzanie samochodów, choć jest ich niewiele, z prędkością przekraczającą o

sześćdziesiąt kilometrów tę dozwoloną. I mocnemu trzymaniu się uchwytu.

– Woronin zamknął psa. Dlaczego? Bo wiedział, że będzie miał gości.

– Znał tych, którzy go zabili. To już wiemy.

– Jasne. Ale ci, którzy go zabili, nie zamierzali go wcale zabić. Chcieli go tylko nastraszyć, żeby zaczął mówić. Jaki sens miałyby zabicie go, a potem przeczesanie domu w poszukiwaniu tego, na czym im zależało?

– Praktyczne to to nie jest. Po co w takim razie go zabili?

*Eruparakkiratu.*

– Przez pomyłkę, Jon. Grozili mu strzelbą, ale w tym momencie pies musiał się zdenerwować i zaczął szczekać. Basen jest obok grilla.

– Ten, który trzymał strzelbę, przestraszył się.

I dodają jednym głosem:

– *Bum.*

– Dobra, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego wracamy – mówi Jon, kuląc się, kiedy wyprzedzają ciężarówkę, która znajduje się niebezpiecznie blisko.

– Lolę Moreno próbowali zabić kilka minut później. Dlaczego?

– Bo nie udało się z mężem – mówi Jon, który zaczyna rozumieć.

– Myliliśmy się od początku. Cały czas uważaliśmy, że to było wyrównanie rachunków i że zamierzali zabić oboje naraz.

– Ale na pogrzebie Orłów bardzo się starał, żeby wyraźnie pokazać zdradę Woronina. Że był kapusiem.

Antonia zagryza dolną wargę, zamyka oczy, próbuje myśleć. Nie zdaje sobie jednak sprawy, że jeśli jedzie z taką prędkością, to nie jest zbyt dobry pomysł. Kierownica wymyka jej się o milimetr. Przejeżdżają tak blisko czerwonego minivana, że lewe lusterko boczne audi znika. Zostaje tylko kabel, który trzęsie się energicznie.

– Kurwa mać, Scott!

– Przepraszam – mówi Antonia, prostując kierownicę. – Wtedy Orłów nie wiedział o pieniądzach. W przeciwnym razie nie zabiliby Ustyana i nie



spaliliby dokumentów Woronina. To był jego wielki błąd, dlatego znaleźliśmy kontener.

- A zatem?

- Pomyśl, Jon. Woronin był pierdołą. Jak stwierdził Orłow, strącał gruszki chujem.

- Słucham?!

- Potem ci wyjaśnię. Był pierdołą, poznaje Lolę Moreno i nagle zostaje da Vincim prania brudnych pieniędzy i przemytu.

Jon powoli kiwa głową. To tak jak z malarstwem iluzorycznym, które pokazuje ukryty obrazek w środku innego obrazka. Kiedy już odkryjesz ten sekret, nie ma sposobu, żeby przestać go widzieć. Zakamuflowana za społecznymi stereotypami Lola przez lata śmiała się ze wszystkich. Nawet teraz potraktowano ją jak zdesperowaną ofiarę.

- Co za suka.

- To ona od początku była mózgiem. Manipulowała mężem, okradała Orłowa. Ale pewnego dnia musieli popełnić jakiś błąd i ktoś ich przycisnął. Jak działają informatorzy, Jon?

- Ty odwracasz głowę, a oni w zamian mówią ci różne rzeczy. Wszystkim się to opłaca.

- Ale czasami się ubrudzisz - mówi Antonia łagodnym głosem.

Jon nie odpowiada. Doskonale wie, co się dzieje, nawet wtedy, kiedy człowiek ma najlepsze intencje. Nie da się przebrnąć przez rzekę gówna w sukni ślubnej.

- Teraz powiedz mi, dlaczego Lola Moreno uciekła, a nie poszła na policję.

Jon też łączy fakty. Niezwykle wyraźnie. To tylko maleńka iskra, bo prawie całą pracę wykonała Antonia, pokazując mu prawdziwą Lolę Moreno. Manipulantkę, z pieniędzmi, niesamowicie inteligentną. To tylko maleńka iskra. Ale przez krótką chwilę Jon dostrzega, jak to jest znaleźć się w głowie Antonii Scott.

- Znała swojego napastnika.

- Ktoś za mocno związał się z Woroninem i także z nią. Ktoś, kto później polał wybielaczem miejsce zbrodni – ciągnie Antonia, mówiąc coraz szybciej. – Ktoś, kto został lekko ranny. Ktoś przygarbiony, kto prawie nie mógł poruszać jednym ramieniem, kiedy go poznaliśmy.

Jon powoli przęłyka ślinę.

- Cholera, skarbie. Cho. Le. Ra. Lepiej, żebyś była tego pewna.

Antonia zdecydowanie zaciska dłoń na kierownicy. Nie, jeszcze nie rozumie wszystkiego. Zostało wiele niejasnych rzeczy. Przede wszystkim tych związanych z Czarną Wilczycą. Na tej szachownicy porusza się znacznie więcej sił, niż ona potrafi zobaczyć dzięki informacjom, którymi dysponuje.

- Jestem tak pewna, że to był Belgrano, jak tego, że nie pozwolą, by Lola dotarła do siedziby UDYCO żywa.

# Nagranie 16

*Dwa tygodnie wcześniej*

**Jurij Woronin:** Nie chcę tego ciągnąć.

**Komisarka Romero:** Wydaje mi się, że już dawno daliśmy panu do zrozumienia, że pańskie preferencje nie mają znaczenia, Woronin.

**Jurij Woronin:** Nie rozumie pani. Lola nie wie, że tu jestem. Dlatego jej nie przyprowadziłem.

**Podinspektor Belgrano:** A mnie to dziwi. Przecież to ona prowadzi cię na smyczy.

**Jurij Woronin:** Ona wszystko wymyśla. Ja muszę odwalać brudną robotę, gadać z ludźmi, żeby dowiedzieć się tego, co potem wam przekazuję. W bratwie i poza bratwą.

**Podinspektor Belgrano:** I robisz to bardzo dobrze. Taka była umowa. My ułatwiamy ci różne rzeczy, ty ułatwiasz nam inne.

**Jurij Woronin:** No więc to się już skończyło.

**Podinspektor Belgrano:** A skąd ci to przyszło do głowy?

**Jurij Woronin:** Lola jest w ciąży. Chcemy to rzucić.

**Komisarka Romero:** Obawiam się, że to niemożliwe.

**Jurij Woronin:** Zrobiłem wszystko, o co mnie prosiliście!

**Podinspektor Belgrano:** I nadal będziesz to robił.

*(Pauza trwająca osiem sekund).*

**Jurij Woronin:** Nie.

**Podinspektor Belgrano:** Słucham?

**Jurij Woronin:** Powiedziałem nie.

*(Hałas krzesła upadającego na podłogę).*

**Podinspektor Belgrano:** Zobaczysz, jak spuszczę ci łomot, knypku. Aż się zesrasz.

**Jurij Woronin:** Nie tknie mnie pan. Nie tknie pan żadnego z nas.

**Podinspektor Belgrano:** Zetrę ci ten uśmieszek kopami.

**Komisarka Romero:** Podinspektorze, chciałabym wiedzieć, dlaczego podejrzany się uśmiecha, kiedy wie, że mamy go w garści.

**Jurij Woronin:** Sam pan to powiedział. Jestem dobry w dowiadywaniu się różnych rzeczy. Wiem, ile pieniędzy było w samochodzie, który skonfiskowaliście Serbom.

**Podinspektor Belgrano:** Co ty możesz wiedzieć.

**Jurij Woronin:** Sześćset tysięcy euro. A zgłosiliście czterysta tysięcy.

**Komisarka Romero:** Ciekawe, że pan o tym wie, panie Woronin. Mając na uwadze, że kierowca zginął, kiedy stawiał opór przed aresztowaniem.

**Jurij Woronin:** Bo sam go tam umieściłem.

**Podinspektor Belgrano:** Powiedziałeś, że to był transport Serbów.

**Jurij Woronin:** Skłamałem. To był transport Orłowa. Spłata długu. Sam to zorganizowałem, żeby tak wyszło. Pomogłem biednemu Jovoviciowi w załadunku. Zanim wyjechał, zapytałem, czy ma broń.

**Podinspektor Belgrano:** Musiał ją zdobyć później.

**Jurij Woronin:** Straciliśmy transport, straciliśmy kierowcę. Życie toczy się dalej, Orłow się nie wścieka.

**Podinspektor Belgrano:** Zobaczysz, jak się wścieknie, kiedy się dowie, że jesteś kapusiem.

**Jurij Woronin:** Nie powiecie mu. Bo w przeciwnym razie ja opowiem o wszystkim. Nagrałem wszystkie nasze rozmowy.

**Podinspektor Belgrano:** Chyba kurwa żartujesz.

**Jurij Woronin:** Ukryłem też kamerę w samochodzie. Streaming 4K. Wszystko sfilmowane. Nawet moment, kiedy wyciągacie z auta biednego Jovovicia i do niego strzelacie, podinspektorze.

*(Metalowe odgłosy, kopanie, krzyki. Zamieszanie trwające czterdzieści dwie sekundy).*

**Komisarka Romero:** Uspokójmy się i przedyskutujmy, jak to naprawić.

**Jurij Woronin:** Nie ma o czym dyskutować. Wy zostawiacie w spokoju moją rodzinę i mnie. Jeśli nie, będą konsekwencje.

# 13

## Cisza

Wszystko dzieje się w ciągu zaledwie trzech sekund. Ale jakich trzech sekund.

Furgonetka pokonuje ostatnie kilometry na A4 na wysokości oczyszczalni La China. To zakład, który oczyszcza ścieki prawie półtora miliona madrytczyków.

Ona, kierowczyni, nazywa się Noelia Pardeza, ma czterdzieści jeden lat i sześciolatnie dziecko. Dziś miała wolne, ale jej kolega, funkcjonariusz Alonso, dostał gorączki. No więc teraz tu jest.

Na miejscu pasażera siedzi Mateo Carmona, trzydzieści sześć lat, bezdzietny singiel. Ma trzy psy i mieszka ze swoim ojcem, który jest już w podeszłym wieku. Jest wpół śpiący, odpiął pas bezpieczeństwa, bo z tym badziewiem nie da się spać, a tak w ogóle, kto wlepi nam mandat, przecież jesteśmy z policji. To jakże głupie i irracjonalne poczucie nietykalności ratuje mu życie.

Furgonetka przejeżdża nad Manzanares i dociera na wysokość oczyszczalni. Po lewej zostawia baseny fermentacyjne i jedzie dalej. Teraz równoległe do torów kolejowych AVE, które biegną po prawej na wysokości około czterech metrów. Droga jest przerzucona nad przedłużeniem ulicy Embajadores.

Ulica jest pusta, noc idealna.

Funkcjonariuszka Pardeza utrzymuje igłę Citroëna w stałym tempie stu kilometrów na godzinę. Na czteropasmowej jezdni, w środku nocy, to bardzo bezpieczna prędkość.

Chyba że ktoś celowo w ciebie uderza.

Samochód terenowy (bez świateł) opuszcza przestrzeń pod torami kolejowymi i wjeżdża na drogę z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę – to maksimum, jakie udało się rozwinąć kierowcy na tak krótkim odcinku. Uderzenie (celne) trafia po przekątnej w drzwi Citroëna od strony pasażera i znaczną część silnika.

Przy takiej prędkości ważący półtorej tony pojazd, który przyjmuje uderzenie, do jakiego nie został zaprojektowany, staje się czymś w rodzaju loterii EuroMillions, tyle że na polu fizyki. Może się zdarzyć wszystko, pod warunkiem że pamiętamy zasadę zachowania energii. Przeniesiona energia kinetyczna jest równa tej, jaka byłaby potrzebna do zatrzymania słonia spadającego z ósmego piętra.

Gdzie idzie ta cała energia?

Przede wszystkim do kabiny kierowcy, która jest zbudowana jako moduł niezależny od tylnej przestrzeni pasażerskiej. Zderzenie zniekształca strukturę otaczającą silnik, wchłaniając część siły uderzenia. Niewystarczająco. Energia kinetyczna ciał Pardezy i Carmony, którzy w momencie, gdy pojazd zmienia kierunek, nadal jadą z prędkością stu kilometrów na godzinę, posyła ich w różne strony. Carmona zostaje wyrzucony do góry i w przód, tak że jego klatka piersiowa trafia w deskę rozdzielczą z siłą odpowiadającą pięćdziesięciokrotności siły grawitacji. Półtorej tony, którą wchłaniają po części jego żebra, a po części przednia poduszka powietrzna, która z powodu gwałtownego uderzenia nie wystrzeliła od razu. W jego klatce piersiowej serce trafia w mostek, powodując poważny, choć nie śmiertelny uraz mięśnia sercowego.

Reszta jego ciała porusza się, nieskrępowana pasem bezpieczeństwa. To właśnie ratuje mu życie, kiedy drzwi się zniekształcają i łamią, wdzierając się w przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa. Dwa zęby z aluminium i stali, które wgrzyzają się we fragmenty szkła, ale które nie mogą rozerwać mu skóry.

Chwilowego szczęścia Carmony nie podziela funkcjonariuszka Pardeza. Pas bezpieczeństwa więzi jej ciało, powodując złamanie dwóch żeber, uraz płuc i uszkodzenie śledziony. Poduszka powietrzna wystrzeliwuje, gotowa nie dopuścić do tego, by policjantka uderzyła w

kierownicę, co przy takiej szybkości byłoby śmiertelne. Sześć miesięcy bolesnej rekonwalescencji, podwyżka wynagrodzenia za obrażenia doznane na służbie i dziecko, które nie straciło matki.

Ale nie.

Szczęście Carmony odsunęło go od strefy zagrożenia, ale jego osiemdziesiąt kilogramów wagi zamieniło się w pocisk. Skręt, jaki energia kinetyczna nadała jego ciału, przechodzi na jego rękę, która na wysokości nadgarstka uderza w kość skroniową Pardezy, tuż nad uchem.

To tak, jakby uderzyć w ceglana ścianę. Nadgarstek Carmony łamie się z trzaskiem, zginając mu rękę w kierunku przeciwnym do naturalnego, aż paznokcie muskają przedramię. Złamana kość łokciowa wystaje przez rozdartą skórę.

To tak, jakby uderzyła cię ceglana ściana. Czaszka Pardezy trafia w szybę, która gwałtownie hamuje jej ruch. Ale w każdym wypadku samochodowym są trzy uderzenia. Uderzenie w pojazd, który się zatrzymuje, uderzenie ciał w środku pojazdu oraz uderzenie organów w środku tychże ciał. Mózg policjantki porusza się w czaszce, wypchnięty przez płyn mózgowo-rdzeniowy. To powinno służyć za naturalny materac, lecz przy zderzeniu z dużą prędkością ma tę właściwość, że porusza się z inną szybkością niż tkanka mózgowa ze względu na różną gęstość. Posyła więc mózg Pardezy w kierunku przeciwnym do uderzenia. Sprawiając, że podskakuje w czaszce niczym zabawka w pudełku w rękach ciekawskiego dziecka, któremu nie pozwala się otworzyć prezentów urodzinowych, dopóki nie zdmuchnie świeczek.

Jest martwa przed upływem trzech sekund.

Tymczasem przestrzeń, w której siedzą zatrzymani, miała znacznie więcej szczęścia. Nietypowe ułożenie foteli, które okazałyby się fatalne w przypadku uderzenia pod innym kątem, obraca się na korzyść więźniów. Siła odśrodkowa pierwszego uderzenia sprawiła, że pojazd obrócił się wokół własnej osi, przeciwnie do kierunku jazdy, przenosząc dużą ilość energii na opony po lewej stronie, które pękają wskutek bocznego tarcia o asfalt.



W środku Kirił i Lola krzyczą przerażeni, podczas gdy inercja przykleja ich plecy do siedzeń, a pas bezpieczeństwa pilnuje, by się nie ruszali.

W tym czasie Citroën się obraca, okrążając terenówkę, która właściwie została w miejscu, w którym uderzyła w furgonetkę. Jest o tonę cięższa i ma wyższy środek ciężkości, do tego lepsze zabezpieczenia i lepszą konstrukcję: w efekcie doznała tylko niewielkich uszkodzeń. Bok zniszczony, maska pognieciona niczym karty Panini na szkolnym dziedzińcu. Lewy reflektor rozwalony, silnik prawdopodobnie już nie odpali, kiedy się zatrzyma. Na razie jednak nadal pompuje benzynę w ilości pięćdziesięciu sześciu megadżuli na litr. Mnóstwo energii.

Kiedy Citroën się zatrzymuje, wykonawszy obrót wokół terenówki, do gry wchodzi grawitacja. Różnica wysokości między kołami, które wciąż wytrzymują, a pękniętymi oponami sprawia, że furgonetka przewraca się na bok od strony kierowcy, miażdżąc barierkę. Skręcone granatowe żelastwo spada na ulicę cztery metry niżej. Połowa karoserii zawisa nad pustką, druga połowa zostaje na jezdni, bezbronna, niczym pokonane zwierzę leżące na brzuchu.

Tutaj kończą się trzy sekundy. Ale nie kończy się dramat.

Terenówka cofa i wbija się w nadwozie. Ma o wiele mniej miejsca i mniejszą prędkość, więc tym razem nie dochodzi do gwałtownego uderzenia. To nieustające pchanie, przy którym koła terenówki dymią, szukając niezbędnej przyczepności, by ruszyć do przodu. Powoli spycha furgonetkę z drogi, aż grawitacja na powrót przejmuje kontrolę. Citroën spada z mostu, lądując na boku. Uderzenie deformuje karoserię i rozbija nieliczne szyby, które jeszcze zostały nietknięte. Wyrzuca też funkcjonariusza Carmonę (rannego, ale żywego) na poskręcany metal, będący pozostałością drzwi, od których uratował się wcześniej. Jeden z tych metalowych fragmentów przeszywa mu szczękę, rozszarpuje szyję i tchawicę. Carmona uwalnia się od tego ugryzienia i pada (martwy) na swoją koleżankę.

Kierowca i jego towarzyszka wysiadają z terenówki. Oboje mają na głowach kaski motocyklowe. Podchodzą do dziury w barierce, którą

zostawiła furgonetka, i obserwują zniszczenie. W powietrzu unosi się smród gumy i osmalonych okładzin hamulcowych.

– I po wszystkim – mówi Belgrano, podnosząc wizjer. Jego oddech tworzy kłęby pary w suchym, mroźnym powietrzu.

– Opuść to – nakazuje mu Romero.

– Tutaj nie ma kamer.

– Na wszelki wypadek.

Nadjeżdżają samochody. Jeden z nich się zatrzymuje, kierowca wyjmuje telefon. Dzwoni na policję. Kobieta, która jest z nim, celuje w nich swoim telefonem. Nagrywa wideo.

Nie ma czasu.

Więc biegną.

Motocykl zostawili na ulicy Embajadores, ukryty pod mostem. Zbiegają po nasypie, wsiadają na jednośląd i znikają. Tak jak tamtego przedpołudnia w centrum handlowym.

Tyle że tym razem dokończyli zadanie.

A przynajmniej tak myślą.

# Lola

Lola nie jest już w nastroju do opowiadania bajek.

Wypadek był kilkusekundowym horrorem. Najpierw brutalne zderzenie. Później obrót, który wbił ją w fotel. Ale najgorszy był moment, kiedy furgonetka się przewróciła. Lola poczuła, jak ziemia, cały świat, zmienia pozycję pod jej stopami. O pełne dziewięćdziesiąt stopni. Przez chwilę zastanawiała się, co się stanie z budynkami, z ludźmi, z domami. Wszystko zrównane z ziemią.

Utknęła przewieszona przez klatkę piersiową, jedna ręka zwisała do ziemi, druga przyczepiona kajdankami, włosy rozrzucone przed nią. Trzymał ją tylko pas bezpieczeństwa.

Później uderzenie z tyłu. Lola poczuła na pośladkach jego siłę, przeniesioną przez nadwozie na siedzenie. Wstrząs, po którym nastąpiła wibracja i nacisk półtorej tony aluminium i stali, która stawiała opór, podczas gdy centymetr po centymetrze pchała ją znacznie większa siła.

Furgonetka zmierza w stronę przepaści. Jest taka chwila nieważkości, którą Lola poczuła w brzuchu, tak samo jak wtedy, gdy jej ojciec z największą prędkością przejeżdżał przez zbocze w Arroyo de la Miel, kiedy ona była mała i jeździli na wakacje do Torremolinos, albo Torroles, jak nazywają to miasteczko w domu.

Furgonetka runęła w przepaść i Lola wiedziała, że umrze. Jej ostatnią świadomą myślą była twarz ojca, jak wciska gaz pod górę, przesuwając okulary, które ześlizgiwały mu się z nasady nosa. Z szelmowskim uśmiechem, wiedząc, że rozśmieszy je obie, gdy tylko samochód dotrze na najwyższy punkt, a grawitacja przyprawi je o łaskotki w brzuchu.

Furgonetka się rozbiła. Było słychać metaliczny trzask, kiedy nadwozie zdeformowało się wskutek uderzenia. Dźwięk rozbijanych szyb. I to tyle.

Lola nie umiera.

Nawet nie traci przytomności.

Po prostu zostaje tam, zawieszona.

Nie czuje ulgi, że nie umarła, jedynie zaskoczenie. Niepokojący moment po punkcie kulminacyjnym. Wszechświat udostępnił elementy układanki w taki sposób, by powstał określony rezultat, a później pojawił się zupełnie inny. To tak jak oszustwo, na którym skorzystałeś.

Prawda jest taka, że przestrzeń pasażerska Citroëna zachowała się bardzo dobrze. Lola ma tylko kilka siniaków. Trochę krwi spływa jej po palcach. Uderzenie sprawiło, że krawędź kajdanek pokiereszowała jej nadgarstki. Rany są powierzchowne.

Na tym kończą się dobre wiadomości.

Zła wiadomość jest taka, że Kirył Rebo również przeżył.

Nikłe światło wpadające przez jedno z tylnych drzwi, które się otworzyły, pozwala jej dostrzec go naprzeciwko siebie. Siedzi odwrócony tyłem, z nogami w górze. Mocno szarpie zacisk, który przywiązuje go do pojazdu. Wskutek uderzenia musiały się poluzować śruby, chociaż Lola nie może tego dojrzeć ze swojego miejsca.

Z trzaskiem i brzękiem Rebo się uwalnia. Odpina pas bezpieczeństwa.

Lola wzdyga się ze strachu. Chociaż w półmroku nie może zobaczyć oczu Kiryła, wciąż pamięta puste spojrzenie, które nie zmieniło się, odkąd wsiedli do pojazdu. Czeką więc, aż ją zaatakują. A ona jest przywiązana, zwisa głową do dołu, zakuta w kajdanki.

Bezbronna.

Ale Rebo się nie rusza.

Lola obserwuje go przez długie sekundy, aż uswiadamia sobie, co się dzieje. I dostrzega także swoją szansę.

– Próbowali cię zabić – mówi łagodnym głosem.

Kirył porusza się niespokojnie, wydaje ochryply pomruk, ale nie odpowiada.

– Orłowa nie obeszło, że tu jesteś. Myślałeś, że jest twoim przyjacielem, prawda? No to masz dowód jego przyjaźni.

Gangster wyczołguje się z fotela i idzie na czworakach w jej stronę. W ciemności jego puste oczy straciły jasnoniebieski błysk i stały się jeszcze groźniejsze.

– Nie mów tak – odpowiada, łapiąc ją za szyję.

Lola nie daje się zastraszyć. Wiele razy słyszała, jak Jurij mówił o Orłowie i Rebie. Że jako pierwsi przyjechali na Costa del Sol. Obaj nierozłączni. Jeden niczym jedwabna rękawiczka. Drugi jak żelazna pięść.

– Ile lat z nim pracujesz? – pyta Lola zduszonym głosem. – Ile wystarczy, żeby cię zdradził?

Rebo rozluźnia uścisk.

– Wypuść mnie. Wyciągnij mnie stąd, a obiecuję, że ci to wynagrodzę.

– Zaprowadź do pieniędzy.

– Uwolnij mnie szybko, zanim zjawi się policja.

Mafioso rzuca jej niepokojące spojrzenie.

Potem wyczołguje się z furgonetki. Wraca pół minuty później z niebieskim żelaznym prętem w dłoni. Wkłada go między zacisk a podwozie i podważa. Zacisk wyskakuje z uchwytu przy trzeciej próbie.

Lola się uwalnia, rozpina pas bezpieczeństwa, wydostaje się z pojazdu.

Rebo czeka na nią na zewnątrz. Trzęsie się, jest nieznośnie zimno. Zdjął kurtkę i rzucił ją na ziemię z jakiegoś powodu, którego Lola nie może zrozumieć. Na przedramionach ma tyle tatuaży, jakby to była tapicerka.

– Oszukasz mnie, zabiję – mówi Rebo, pokazując jej kawałek niebieskiego pręta.

Lola przytakuje. Rozumie.

– Będziemy potrzebować samochodu.

Słychać głosy dochodzące z mostu, którym przebiega droga ekspresowa. Rebo i Lola biegną pod wiaduktem kolejowym i dalej pustą ulicą. To tylko boczna droga. Po prawej stoi samotna hala otoczona wysokim murem. Po lewej jest zjazd w stronę Madrytu. Kolejna ulica bez ani jednego samochodu w zasięgu wzroku. Szyld, przyczepiony przez

optymistycznego przedsiębiorcę pod znakiem „ustęp pierwszeństwa przejazdu”, ogłasza czarnymi literami na żółtym tle:

## SALA PRÓB CASTLE ROCK

300 m

Lola podąża za Rebą w tym kierunku. Cztery minuty później docierają do strefy przemysłowej i trafiają na prawie pusty parking.

Rebo chodzi między samochodami, aż zatrzymuje się przed renault clio.

– Ten bardzo łatwy – mówi. – Francuskie auta, ble.

Podchodzi do tylnej szyby i wprowadza końcówkę żelaznego pręta między gumę a punkt, w którym przylega ona do karoserii. Guma nie chce ustąpić. Po wielu próbach Rebo decyduje się na rosyjski wariant wdzierania się do środka: rozbija szybę pięścią. Wchodzi przez otwór i przedostaje się na siedzenie kierowcy. Pociąga za zamek, otwiera drzwi. Odrywa plastik, który chroni kable rozruchowe.

Przez chwilę patrzy na kable, dotykając ich swoimi krótkimi guzowatymi palcami w kształcie pałeczek do bębna. Ciągnie za jeden koniec, gdzie są trzy czerwone przewody.

Wysiada i podchodzi do Loli, która obserwuje wszystko na stojąco, obejmując się, żeby zachować ciepło. Ma na sobie tylko czarną kurteczkę. Wystarcza na łagodne temperatury w Maladze. Na madryckie letnie noce jest jak kiepski żart.

Rebo sięga do głowy Loli, która cofa się z przerażeniem.

– Spokojnie – mówi. – Potrzebuję tego.

Grzebie jej we włosach i wyciąga dwie wsuwki, którymi zebrała włosy z tyłu. Wpięła je, kiedy czesała się w hoteliku w Esteponie milion lat albo dwadzieścia cztery godziny temu.

Rebo je zgina, przełamuje jedną z nich i po krótkiej walce udaje mu się zespolic jeden z kawałków, łącząc źródło dwunastu woltów z zasilaniem pomocniczym, drugi, łącząc źródło dwunastu woltów z deską rozdzielczą,

i wreszcie na końcu, łącząc te dwa z rozrusznikiem. Silnik uruchamia się z łagodnym pomrukiem.

- Dokąd? – pyta Lolę.

- Ja prowadzę – mówi ona.

- Powiedz dokąd.

- Niedaleko.

- Ile czasu?

- Godzina. Może godzina piętnaście. Samochód jest kiepski.

Rebo patrzy na nią podejrzliwie.

- Dobra – zgadza się po chwili.

Opuszcza fotel kierowcy i zajmuje miejsce z tyłu.

Lola siada za kierownicą, reguluje lusterko wsteczne. Widzi w nim oczy Reby. Groźne jak zawsze.

Wrzuca jedynekę, wyjeżdża z parkingu i kieruje się na wschód, jadąc przez most Vallecas i aleję La Paz, aż na M30. Bez GPS-a znacznie trudniej się orientować. Kiedy przyjeżdżali do tego domu, to Jurij zawsze prowadził.

„Jakie bez niego wszystko jest trudne. Dlaczego musiał być taki głupi?”

„Dlaczego musiał się postawić Romero i Belgranowi? A przede wszystkim, skąd przyszło mu do głowy, żeby działać samodzielnie? Co kazało mu myśleć, że jest do tego zdolny?”

Lola ponownie ocenia swoją sytuację. Na tylnym siedzeniu wiezie psychopatycznego mordercę uzbrojonego w twardy i ostry przedmiot. Na razie udaje jej się go kontrolować, choć nie robi sobie nadziei.

Mężczyznami łatwo manipulować. Jednymi bardziej, innymi mniej. Prawie dla wszystkich seks stanowi wystarczającą motywację. A jest to coś, co ona mogła obiecać puszczeniem oka, spuszczeniem wzroku, ramiączkiem koszulki, które zsuwa się przypadkiem. Już kiedy była bardzo młoda, wiedziała, że dysponuje bronią masowego rażenia. Tylko dlatego, że jej rysy twarzy miały określony kształt, podobnie jak jej krągłości. A ona z tego korzystała, i to jeszcze jak korzystała. Jurij był idealny do tego, żeby mogła się zakamuflować, i stał się o wiele bardziej

lukratywnym narzędziem, niż mogła się spodziewać. Jednak nie wszyscy mężczyźni są tacy prości w obsłudze.

Jeżeli nie reagują na seks albo na pieniądze, jeżeli reagują tylko na wewnętrzny ogień, którego ona nie może rozpalić na zawołanie, są znacznie bardziej niebezpieczni. Jeśli jest coś, co w Kiryle Rebie przeraża ją bardziej niż możliwość, że wyrządzi jej krzywdę, to właśnie to, że wydaje się odporny na jej umiejętności.

Tak więc Lola nie robi sobie nadziei. Rebo tylko udaje, że pozwala sobą manipulować.

„Na razie to musi wystarczyć”, myśli Lola, patrząc w lustro wsteczne. Zimne oczy cały czas są w niej utkwione. „Kiedy dotrzemy na miejsce, będzie na ciebie czekać niespodzianka. Spodoba ci się”, myśli.



# 14

## Ślad

Potężne audi zjawia się na miejscu wypadku osiem minut za późno.

Antonia zatrzymuje się przy terenówce, która wciąż stoi w poprzek drogi. Kierowcy dwóch samochodów przystanęli, żeby zobaczyć, co się dzieje i czy mogą pomóc. Inni zatrzymują się tylko po to, by wystawić głowę i sprawdzić, czy jest krew. Jeden z nich wysiada, robi sobie selfie i pospiesznie wraca do swojego auta w poszukiwaniu wi-fi.

Antonia i Jon schodzą po nasypie, omijając puste butelki i zużyte strzykawki. Pozostałości Citroëna są jeszcze gorące, ostatnie kłęby dymu uciekają przez powykręcana miazgę, która wcześniej była przodem pojazdu. Ze zgniecionej chłodnicy płyn kapie jeszcze na środkową linię drogi.

Ciała funkcjonariuszy, złączonych w nieprzyzwoitym uścisku, są widoczne przez dziurę w przedniej szybie. Nie trzeba sprawdzać, czy oddychają. W raporcie zostanie zapisane: „odniesione obrażenia nie dawały szans na przeżycie”.

– Dziewiętnaście – mówi Jon łamiącym się głosem.

Antonia nie odpowiada. Idzie prosto do tylnej części. Jedne drzwi są zdeformowane, drugie, połączone z karoserią tylko jednym zawiasem, leżą na podłodze. W środku nie ma nikogo.

– Uciekli czy ich zabrali? – pyta Jon.

Antonia nie spieszy się z odpowiedzią. Obchodzi samochód, przyglądając mu się uważnie. Bierze latarkę Jona, wchodzi do furgonetki, sprawdza mocowania, do których byli przykuci. Jedno z nich jest wyrwane. Z drugiego zwisają kajdanki.

- Rebo się uwolnił. A później pomógł Loli Moreno – odpowiada Antonia, wciąż siedząc w kucki w środku.

Wychodzi, idzie pod most. Dłonie znowu jej drżą, ale nie tak jak wcześniej. Nie straciła ani odrobiny swojej kruchości, tej delikatnej aury, która zapowiada, że za chwilę się załamie. A jednak...

„Jest w niej coś innego”, myśli Jon. Coś niebezpiecznego.

Pod mostem spędza chwilę, siedząc w kucki.

- Odjechali motocyklem – mówi, pokazując Jonowi opuszki palców z resztkami gumy.

- Skąd wiesz, że to motocykl podejrzanych?

- Ruszyli stąd – stwierdza Antonia, wskazując latarką asfalt. – To nie jest normalne miejsce na parkowanie, chyba że chcesz, aby to był pojazd, którym uciekniesz. A ślady są czyste, nie ma nagromadzonego kurzu.

- A więc przyjechali motocyklem i terenówką. Wyprzedzili citroëna, przygotowali zasadzkę i uciekli – mówi Jon.

- Sądząc, że ich zabili.

Mając tak potężne pojazdy, mogli wyprzedzić furgonetkę na tak długiej trasie. Wystarczyło tylko trochę przycisnąć...

Nagle wszystko rozumie.

- Nie tylko wyprzedzili furgonetkę.

Antonia patrzy na niego w milczeniu i przytakuje.

- To były po prostu motocykl i samochód na drodze, Jon. Nie mogłeś tego wiedzieć.

Jon kładzie rękę na jej ramieniu.

- Ty też nie.

Antonia początkowo unika kontaktu, ale potem pozwala, by wielka łapa została na jej ramieniu. Jest przeraźliwie zimno, a ciepło, które wydziela Jon, jest niczym balsam.

- Wierz lub nie – mówi cienkim głosem – ale zaczyna do mnie docierać, że nie mogę uratować wszystkich.

Jon bardzo powoli zabiera rękę.

Ogarnia go fala smutku. Nie da się poznać Antonii Scott, ale można ją zrozumieć. A on rozumiał, skąd pochodzi ta ogromna energia, która ją napędza. Ponieważ rozpoznawał w niej tę samą uczciwość, z którą sam zaczynał, to samo pragnienie sprawiedliwości, to samo współczucie dla tych, którzy cierpią. Teraz jednak potrafi nazwać też coś, co zauważa od wielu dni. Że epicentrum energii Antonii Scott nieco się przesunęło. Współczucie ustąpiło miejsca pragnieniu zemsty.

Możliwe, że to czyni ją jeszcze lepszą. Potężniejszą. Współczucie jest mgłą, w której można się zgubić. Zemsta bierze się z nienawiści, a nienawiść jest czymś namacalnym, czymś, czego można użyć jako broni.

Patrząc na zwłoki koleżanki i kolegi po fachu w furgonetce, przypominając sobie koszmar z kontenera w porcie w Maladze, Jon nie potrafi jej winić.

Trzeba robić to, co należy. A przynajmniej to, co można.

„Jeśli nie możesz ich uratować, możesz ich chociaż pomścić”.

Co nie zmienia faktu, że czuje wielki smutek.

Wyżej widać światła Gwardii Obywatelskiej. Wychylają się z mostu, zaczynają schodzić po nasypie w swoich żółtych kamizelkach.

Inspektor Gutiérrez bierze na siebie wyjaśnienia, co zajmuje wiele cennych minut. Antonia czeka na niego w samochodzie, siedząc z zamkniętymi oczami na fotelu pasażera.

Jon wsiada, rozcierając dłonie i dmuchając, żeby je rozgrzać. Robi się coraz zimniej.

– Zasnęłaś? – pyta Jon.

Ona kręci głową z zaciśniętymi ustami, nie otwierając oczu.

– Ile bym dała za czerwoną kapsułkę – mówi.

– Taa, a ja za bogatego męża. Możesz to zrobić. Zrobiłaś to już wcześniej.

Antonia oddycha nierówno.

– To znacznie trudniejsze. I bardziej...

Nie dodaje więcej przymiotników. Jon natomiast dodaje rzeczownik. Strach. To właśnie odczuwa Antonia Scott. Ona, która, jak się wydaje, nie boi się niczego, z wyjątkiem samej siebie.

– Będę potrzebowała twojego telefonu – mówi po chwili.

Jon podaje jej urządzenie i patrzy, jak je wyłącza i włącza ponownie. Tyle że po włączeniu przytrzymuje przycisk zwiększający głośność. Zamiast ekranu głównego pojawia się jakaś aplikacja. Antonia wprowadza wielocyfrowy numer, a potem aplikacja wykonuje rozpoznanie twarzy.

– Jak to zainstalowałaś na moim telefonie?

– To nie jest twój telefon. Podmieniliśmy ci go kilka miesięcy temu. Ten jest lepszy. I Apple nie wie, co robisz.

– A wy wiecie?

– Jestem pewna, że Asier\_29 w końcu do ciebie napisze. Wygląda na dobrego człowieka – mówi Antonia, nie przestając wklepywać czegoś w aplikacji.

Jon dobrze wie, na jakie strony wchodził, jakie wiadomości wysyłał, co fotografował tym telefonem. I nie chciałby, żeby wiedział o tym ktoś jeszcze. Rumieniec oblewa jego policzki w postaci suchego ciepła. Protesty ustawiają się w kolejce za zębami, ale potem przypomina sobie, że „kto igrza z ogniem, ten się sparzy”. Tak więc tylko chwyta kierownicę i patrzy w inną stronę. Aż w końcu mu przechodzi.

– To jest interesujące – mówi Antonia.

– Co takiego?

– Lola Moreno poszła po swojego psa. Zamierzała wsiąść do samochodu ze swoją gosposią, ale tego nie zrobiła. Zjawili się ludzie Orłowa i kobieta zabrała psa.

– Ten cały szofer przyprawia mnie o gęsią skórkę – mówi Jon, przypominając sobie Kirię Rebę.

– Przypuszczam, że to ta kobieta ich powiadomiła. Żenia Kuczma, Ukrainka z zezwoleniem na pobyt. Może zrobiła to ze strachu.

– Odjechała, zanim się zjawiliśmy.

- Ta kobieta mieszka na przedmieściach Marbelli. Dlaczego jej telefon mi mówi, że jest w ruchu, na drodze za Madrytem?

Antonia pokazuje mu na ekranie lokalizację telefonu Żeni Kuczmy. Dziewięćdziesiąt dziewięć kilometrów dalej.

- To jest Heimdall, prawda? - pyta Jon, uruchamiając silnik.

Antonia przytakuje.

- I zlokalizował jej telefon przez satelitę, prawda?

Antonia znowu przytakuje.

- Widzisz, jednak ma funkcję magicznej faszystowskiej satelity.

# Lola

„Była sobie raz dziewczynka, która kupiła dom w lesie, niedaleko bajkowego miasteczka”.

Lola uwielbia Rascafrię.

To niesamowicie piękne miejsce. Klasztor El Paular ma ponad sześćset lat. Kartuzi założyli go wokół komina i papierni. Wybudowanie go zajęło im dwa stulecia, a utrzymanie wymagało ogromnych wysiłków w tej dzikiej okolicy u podnóża Peñalary, na środku terenu pełnego lodowatych i kamienistych potoków oraz lasów porośniętych topolami, świerkami i brzoźami.

Lola nigdy wcześniej tam nie była. Wiedziała jednak, że Jurij i ona będą potrzebować jakiegoś schronienia na przyszłość. Miejsca, którego nikt nie zna, z dala od wszystkich i od wszystkiego. Znalazła ten dom, przeszukując portal z nieruchomościami. Działka o wielkości tysiąca siedmiuset metrów kwadratowych, przy leśnej drodze w środku Parku Narodowego Sierra de Guadarrama. Budowla z 1975 roku, która dziś byłaby absolutnie nielegalna.

– Kup ją – poprosiła Jurija.

Podczas całej operacji zachowywali szczególną ostrożność, żeby nikt nie mógł ich powiązać z tą posiadłością. Nie wyręczyli się nawet Ustyanem jako słupem, tylko skorzystali z usług piekielnie drogiego Maltańczyka.

Dom kosztował trzysta tysięcy euro. Nabycie go anonimowo drugie tyle. Ale to miejsce stało się ich romantyczną kryjówką. Wiele razy przyjeżdżali tu samochodem, dyskretnie. Kot na tylnym siedzeniu, cierpliwie chrapiący. A jak pies się cieszył z długich spacerów po niekończącym się lesie. Tym bardziej gdy przyjeżdżali tu zimą, a śniegu było na pół metra.

Wygląda na to, że dziś będzie jeden z takich dni.

Śnieg zastał ich już na wysokości zbiornika Pinilla. Droga zmieniała się stopniowo z czarnej na brudną szarość. A później na biel.

Koła clio zaczęły mieć problemy z przyczepnością na wysokości Alameda del Valle. Lola zjechała więc z drogi i wjechała do wioski.

– To tutaj? – zapytał Kirył, który nagle zrobił się czujny.

– Nie. Potrzebujemy łańcuchów, inaczej nie damy rady jechać dalej.

Zaparkowali przed restauracją, za mercedesem, który miał założone łańcuchy.

– Nie da się do niego włamać – powiedział Rebo.

Ponieważ nie mogli wziąć samochodu, ukradli łańcuchy. Siłowali się przez prawie pół godziny, żeby je zdjąć i założyć na koła clio.

– Jesteś Rosjaninem, chyba powinienes zrobić to znacznie szybciej.

Kirył wzruszył ramionami.

– Stereotyp, *da?* Jak czarni, którzy tańczą, *da?*

„Tylko tego mi brakowało, żeby urazić wrażliwość polityczną gangstera”, pomyślała Lola. Znowu wsiedli do samochodu, w którym nie było zbyt ciepło. Nawet przy włączonym na maksa ogrzewaniu, metoda, której użył Kirył, żeby dostać się do środka, zamieniła clio w lodówkę.

Trzęsąc się z zimna, dojechali do Rascafríi.

Piękno miasteczka po raz kolejny robi na Loli ogromne wrażenie. Nawet nocą, kiedy za oknem szaleje wiatr, Rascafría wygląda niczym pozostałość z minionego wieku. Ludzie są tutaj niekonfliktowi, spokojni. Nie ma dyskotek ani burdeli. Zaledwie tysiąc pięciuset mieszkańców i tylko jeden radiowóz policji, który opuszcza garaż urzędu miasta w dniu lokalnych świąt.

Słowem: raj.

Lola przejeżdża przez miasteczko, a potem skręca w stronę przełęczy Cotos. Tam natrafiają na tablicę Gwardii Obywatelskiej z informacją, że droga jest zamknięta z powodu warunków pogodowych. Lola wysiada,

przesuwa tablicę i jedzie przed siebie. Sto metrów dalej jest objazd do Arroyo del Cuco.

To dwanaście kilometrów więcej po drodze z ubitej ziemi w środku lasu. Śniegu jest już kilkanaście centymetrów. Lola zwalnia, jedzie na trzecim biegu, żeby nie stracić przyczepności, i stara się jak najmniej dotykać kierownicy. Mimo to ten ostatni odcinek zamienia się w piekło, bo koła ślizgają się niebezpiecznie co parę minut.

Nagle samochód utyka na środku drogi.

– Dalej musimy iść pieszo – mówi Lola.

Rebo wygląda na zewnątrz, gdzie coraz mocniej zacina śniegiem, i patrzy na swoje cienkie ubranie.

– Jeśli tu zostaniemy, umrzemy – nalega Lola.

– Daleko? – pyta Rebo.

– Blisko – odpowiada Lola, choć nie ma zielonego pojęcia, gdzie się znajdują.

Tylko napotykanne co kilka metrów słupki ratują ich przed zablądzeniem. To oraz fakt, że znajdowali się jedynie sto metrów od domu. Bo nie wytrzymałoby już długo na wietrze wiejącym z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

„Jeszcze pół godziny i by nam się nie udało”, myśli Lola, widząc, jak rośnie warstwa bielei.

Mimo to do bramy posiadłości docierają kompletnie przemarznięci. Z sinymi ustami i wyczerpanymi mięśniami. Lola mocno wciska przycisk domofonu. Jeśli Żenia jej nie posłuchała i nie przyjechała do domu, będą musieli przeskoczyć przez ogrodzenie. A nie będzie to wcale proste. Żywopłot, który otacza posiadłość, jest wysoki, gęsty i wysoki na trzy metry.

– Błagam, błagam – powtarza Lola, nie przestając naciskać przycisku.

– Tak? – odzywa się głos przez domofon.

Lola wypowiada hasło, które od zawsze otwiera w Hiszpanii każde drzwi, o każdej porze.



- To ja.

Brama na teren posiadłości otwiera się z ostrym i drażniącym bzyzczeniem.

Przed domem zapala się światło. Ledwie widoczne w pokrywie śniegu. Lola kieruje się w jego stronę. Z wysiłkiem podnosi nogi, żeby iść w śniegu, którego napadało już dobre czterdzieści centymetrów. Dżinsy ma przemoczone do kolan i ledwie czuje stopy.

Kiedy docierają do portyku, Lola jest na skraju omdlenia. Kirył nie czuje się wcale lepiej. Zaczerwieniona skóra, słaby oddech. Kiedy docierają do przedsionka, ledwie mogą iść. Każdy krok to istna tortura.

Żenia czeka przy drzwiach z kocem.

Lola chce go już wziąć, lecz Kirył chwytą ją od tyłu, zanim ona sięgnie po pled. Na widok Rosjanina gospodyni cofa się przestraszona.

- Pies - mówi Kirył, zmuszając Lolę, by się odwróciła, i przykładając jej do szyi skręcony koniec żelaznego pręta.

Lola patrzy na niego zupełnie wyczerpana. W jakimś momencie w odległej przeszłości jej plan obejmował wydanie polecenia Kotowi, żeby zaatakował Kiryłą, gdy tylko ten wejdzie do domu. Już dawno zapomniała o tym planie, wygląda jednak na to, że Kirył od początku brał to pod uwagę.

Podnosi rękę, do której nadal są przyłączone kajdanki.

- Żenia, gdzie jest Kot?

- W kuchni, proszę pani - odpowiada kobieta.

Z sąsiedniego pokoju dobiega drapanie pazurami.

- Idź po niego - nakazuje Kirył po rosyjsku. - I przywiąż go gdzieś, gdzie będę miał go na oku.

Żenia znika za drzwiami kuchni i po chwili wraca z psem, który ma na sobie szelki. Kot ciągnie tak mocno, że Żeni z trudem udaje się go przytrzymać.

- Pilnuj go - mówi Rebo i mocniej przyciska żelazo do gardła Loli.

- *Miesto.* Spokój - nakazuje Lola.

Kot od razu nieruchomieje. Ale nie spuszcza wzroku z Kiryła Reby. W tych oczach koloru kawy pali się wściekły ogień.

– Przywiąż go tu – nakazuje Rebo, wskazując drewnianą kolumnę na środku salonu.

Żenia wykonuje polecenie, zawiązując smycz wokół kolumny, a potem robi mocny węzeł.

Dopiero wtedy Rebo puszcza Lolę, która odsuwa się od niego beładnym krokiem i siada na podłodze przed kominkiem. Żenia włączyła elektryczne ogrzewanie domu, ale nie rozpałiła w kominku. Obok leżą przygotowane polana.

Nie używają tabletek paliwowych. Jedyne, co mają, żeby rozniecić ogień, to ogromny stos starych gazet (nieruszonych) i egzemplarz Pięćdziesięciu twarzy Greya, któremu brakuje połowy stron. Niemal zupełnie zdrętwiałymi palcami Lola wyrywa jeden rozdział i używa go do rozpalenia w kominku.

Kiedy już się pali, Lola pozbywa się przemoczonych ubrań. Naga, owija się kocem, który przyniosła jej Żenia.

Rebo nie ruszył się od wejścia, czeka na to, co zrobi Lola. Nie spuszczał z niej oka, kiedy zdejmowała ubrania, delektując się dziwną geometrią, jaką płomienie malowały na nagich piersiach i brzuchu Loli. Bez ubrania trudno jej ukryć swój stan.

– Jurij, *da?* – pyta, podchodząc do kominka.

Lola nie odpowiada. Wpatruje się w ogień, jej umysł jest milion kilometrów stąd. A może i w tym miejscu, ale milion minut wcześniej. Siedzi przed tym samym kominkiem ze swoim mężem. Przejeżdża ręką po jego czarnych włosach, które kręciły się z przodu, kiedy nie obcinał ich dłuższy czas. Boże, jaki on był przystojny. Z tymi mięsistymi wargami i z tym szerokim męskim nosem. Nie był zbyt wysoki, ale potrafił ją uszczęśliwić.

„Mogliśmy mieć wszystko, idioto”.

– Nigdy nie zabiłem ciężarnej – mówi Rebo.

- I teraz też tego nie zrobisz. Mamy umowę. Podzielimy się pieniędzmi.

Rebo podchodzi do Żeni i nakazuje, by usiadła na sofie przy kominku. Z kieszeni wyjmuje kajdanki i skruwa jej ręce za plecami. Lola uzmysławia sobie, że w którymś momencie jazdy musiał je sobie zdjąć.

„Prawdopodobnie użył moich wsuwek”.

- Wolę mówić po rosyjsku. Ty będziesz odpowiadać po hiszpańsku. Dobra? - pyta Kirył w swoim języku.

Lola przytakuje. Nie ma już sensu udawać.

- Pieniądze są w tym domu?

- Tak, w tym salonie.

- Dobra, pokaż mi je.

Nie tylko nie ma sensu się kłócić, nie ma też sensu walczyć. Nie będzie od Reby niczego żądać ani nie będzie z nim dyskutować.

Wstaje, wciąż owinięta kocem, i kieruje się do kolumny, do której jest przywiązany Kot.

- Dokąd to? - pyta mafioso, stając między nią a psem.

- Po pieniądze.

- Uciekniesz mi, suko.

- Jeśli chcesz pieniądze, musisz mi zaufać.

Rebo, który nigdy nikomu nie ufał, nie zaczyna robić tego teraz. Zrywa z niej koc, przykładając jej żelazo do pleców i zmusza, by szła przed nim.

W miarę jak się zbliżają, Kot napina mięśnie. Podnosi się nieco, choć szelki nie pozwalają mu całkiem stanąć na łapach. Wydaje z siebie nieustający, groźny pomruk.

- *Miesto*. Spokój - mówi Lola drżącym głosem.

Od wielu godzin nie wstrzyknęła sobie insuliny. Znowu zasycha jej w gardle i ma zamazany wzrok. Ale teraz nie może popełnić błędów.

Schyła się i głaszcze psa za uszami.

- Ostrożnie - ostrzega ją Rebo.

Końcówka pręta rozdziera jej skórę i czuje, jak strużka krwi spływa jej po łądźwiach.

Kot wierci się, niespokojny. Zapach krwi doprowadza go do szału.

– *Mołodziec*. Dobry chłopak – mówi Lola, dotykając szyi psa, aż pod gęstą sierścią znajduje to, czego szukała. Trochę grubszego miejsca na skórze. Tam, gdzie rosyjski treser wykonał skalpelem nacięcie wielkości paznokcia, a następnie włożył pod naskórek małe sztywne plastikowe etui.

Wodoodporne, niewidzialne.

„To tak, jakby mieć sejf z zębami”.

Szepcząc mu bez przerwy uspokajające słowa, Lola drapie paznokciem, aż udaje jej się wyciągnąć kartę microSD. Pięćset dwanaście GB. Odporną na uderzenia, wodę, pola magnetyczne. Zdolną wytrzymać nawet osiemdziesiąt pięć stopni ciepła.

Nie odwracając się, Lola pokazuje ją Kiryłowi. Gangster zabiera kartę i łapie Lolę za włosy, odciągając ją od psa.

Ona podnosi z podłogi koc, niezrażona. Owija się nim i wraca przed kominek.

– Co to jest?

– To, czego wszyscy szukają. Struktura firm Tambowskiej. Dowody przeciwko komisarce Romero i podinspektorowi Belgrano.

– A pieniądze? Są tutaj?

Lola przytakuje.

– Jest specjalny folder. W środku jest siedemdziesiąt cztery tysiące pięćset sześćdziesiąt osiem bitcoinów.

– Sześćset milionów euro – mówi Rebo, nie mogąc uwierzyć, że taka suma pieniędzy mieści się na kawałku plastiku wielkości paznokcia jego małego palca u ręki.

– Taka była suma, kiedy zabraliśmy je Orłowowi. Teraz są warte więcej. Kiedy ostatnim razem sprawdzałam kurs, prawie osiemset milionów – mówi Lola ze zdumiewającym spokojem. – I zanim wpadnie ci do głowy coś głupiego, musisz wiedzieć, że każdy z folderów jest zabezpieczony innym hasłem. Tylko ja je znam.

- To mnie nie martwi. W końcu nam je podasz - mówi Rebo z uśmiechem zadowolenia.

Słyszac liczbę mnoga, Lola odwraca się zaalarmowana.

Rebo pokazuje jej telefon.

- Torba z naszymi osobistymi rzeczami leżała w kabinie furgonetki. Musiałem poszperać trochę pod ciałami policjantów. Ale myślę, że ich to już nie obchodzi. Jako prezent wziąłem sobie to - mówi, rzucając na podłogę żelazny pręt i wyjmując pistolet zatknięty z tyłu za paskiem spodni.

Żenia, która nie ruszyła się z sofy ani nie otworzyła ust, teraz zaczyna płakać.

Lola patrzy na ten kawałek czarnego i ciężkiego metalu i rozumie, jaka była naiwna. Rebo nie wyjął broni wcześniej, żeby pokazać, że może mu ufać. Żeby pomyślała, że może go jakoś pokonać. Okazał się od niej sprytniejszy.

- Mieliliśmy umowę - mówi zrozpaczona.

- WhatsApp ma bardzo ciekawą funkcję. - Wypowiedziana po rosyjsku nazwa aplikacji brzmi komicznie w ustach Reby. *Guat-sa*. - Udostępnianie lokalizacji w czasie rzeczywistym. Tutaj nie ma już zasięgu, ale nie sądzę, by znalezienie nas dużo ich kosztowało.

- Durny skurwysyn - mówi Lola i wstaje rozsierzona. - Orłów zabiłby cię bez wahania.

- Ale przeżyłem - odpowiada Rebo, wzruszając ramionami. - Wojna to wojna.

W tym momencie otwierają się drzwi.

*Śledzenie ich było bardzo proste, przynajmniej na początku.*

*Furgonetka jechała powoli, więc musiała poskramiać kawasaki, przez co jazda stawała się nudna. Pozwoliła sobie nawet na kilkuminutowy odpoczynek na stacji benzynowej. Przegryzła coś, poszła do toalety, a potem szybko ich dogoniła. Nie chcąc ryzykować, że ją zauważą, trzymała się od citroëna na odległość prawie ośmiuset metrów.*

*Jej plan nie był taki prosty. Aby mogła wkroczyć do akcji, oni musieli się zatrzymać, tak więc czekała na swoją szansę. Najlepszy moment byłby już po wjeździe do Madrytu, gdzie mogłaby skorzystać z okazji, że policjant i policjantka byliby zmęczeni podróżą. Gdzieś na światłach albo przy znaku ustęp pierwszeństwa przejazdu.*

*Szansa nigdy się nie nadarzyła. Ponieważ ktoś ją ubiegł.*

*Kiedy zobaczyła, jak samochód terenowy uderza w furgonetkę, gwałtownie zahamowała i zjechała na pobocze. Zgasiła światła i dalej jechała bardzo powoli. Widziała więc, jak to wszystko się stało.*

*Gdy dotarła na most, dwoje napastników odjeżdżało już motocyklem. Inny samochód zatrzymał się przy uszkodzonej terenówce i ktoś dzwonił po policję.*

*Powstrzymała przekleństwo. Ten cały wysiłek okazał się daremny. Ogarnęły ją złość i frustracja.*

*Wtedy zobaczyła, że Rebo wychodzi z tylnej części furgonetki. Widziała, jak grzebie między ciałami policjantów i bierze żelazny pręt. A potem wychodzi ponownie razem z Lolą Moreno.*

*Uśmiechnęła się. Nagle jej plan stał się znacznie prostszy.*

*Rozważyła plusy i minusy wkroczenia do akcji w tym momencie. Doszła jednak do wniosku, że lepiej zaczekać i pozwolić, żeby działał Rebo.*

*Zgasiła silnik kawasaki, zsiadła i prowadziła go po nasypie, a później, w pewnej odległości od tamtych dwojga, po ulicy. Uruchomiła silnik dopiero wtedy, kiedy tamci wsiedli do clio i pojechali dalej.*

*Przy zgaszonych światłach czarny motocykl i ona byli w ciemności jedynie gęstszym cieniem.*

*Pół godziny później poczuła, że wibruje jej telefon. Zatrzymała się na poboczu, żeby sprawdzić, o co chodzi. Orłow przysłał jej wiadomość z lokalizacją Loli Moreno. Wyglądało na to, że Rebo zdołał się z nim skontaktować. Napisał też, że wysłał ekipę, i kazał jej (on jej kazał!), żeby do nich dołączyła, by wreszcie złapać Lolę Moreno.*

*Parsknęła śmiechem wobec arogancji starego głupca. Niewątpliwie czekała na niego niespodzianka. Ale nie wcześniej, niż ona wypełni swoją misję.*

*Znowu ruszyła i szybko doścignęła clio. Ale kawałek dalej sytuacja się skomplikowała. Wraz ze wzrostem wysokości pogoda się pogarszała. Wiatr siekący w górach wypełnił brudnym śniegiem drogi, które nie były już idealne i bezpieczne, lecz kręte i dwukierunkowe.*

*Widziała, jak się zatrzymują, żeby ukrasć łańcuchy, ona jednak nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Nie znalazłaby łańcuchów pasujących do koła kawasaki ani nie miała czasu, żeby ich szukać.*

*Tak więc jazda za nimi staje się nagle bardzo niebezpieczną zabawą. Nawet przy tak małej prędkości, z jaką się poruszają. Motocykl nie został do tego stworzony. Gdyby miała opony z kolcami albo nawet mieszankę w spreju, która poprawiłaby przyczepność, mogłaby lepiej wywiązać się ze swojego zadania. Ale myślenie o takich rzeczach jest tym samym, co zażyczenie sobie helikoptera.*

*Jedzie więc dalej, starając się utrzymać przednie koło w koleinie clio. To pomaga, ale dwa razy ląduje na ziemi. Kiedy samochód zjeżdża z głównej drogi na leśną ścieżkę, sytuacja staje się nie do zniesienia.*

*Poruszają się tak strasznie wolno, że wiele razy musi zatrzymywać motocykl, aby jej nie zauważyli. A coraz silniejszy wiatr też nie pomaga. Skórzane ubranie i koszulka termiczna pod spodem izolują ją trochę od zimna, ale w tych warunkach zaczyna odczuwać, że zbyt szybko traci ciepłotę ciała.*

*Mimo to nie poddaje się.*

*Postanawia zostawić motocykl między drzewami i dalej iść pieszo.*

*Oni niebawem robią to samo. Ze zdumieniem obserwuje, jak wychodzą na ten wicher w cienkich ubraniach. „Nie przetrwają nawet dziesięciu minut”, myśli. „Durne osły”.*

*Na szczęście dla nich dom znajduje się bardzo blisko.*

*Z łatwością idzie za nimi aż na teren posiadłości. Nawet nie zamknęli za sobą bramy.*

*W ten sposób, stojąc przy wejściu, słyszy całą rozmowę, chroniona przed wiatrem kolumnami na portyku.*

*Kiedy usłyszała wszystko, co potrzebowała wiedzieć, otwiera drzwi.*

*– Wojna to wojna – mówi Kirył Rebo.*

*Nagle mafioso słyszy, że drzwi się otwierają, i odwraca się w ich stronę z wycelowanym pistoletem.*

*– Coś ty kurwa za jedna?*

*– Czernaja Wołczyca – odpowiada, zdejmując kask i podchodząc do niego.*

*Kirył Rebo śmieje się okrutnie i odwraca się do Loli Moreno.*

*– Jest tu Czarna Wilczyca – mówi szyderczym tonem. – Teraz się dowiesz, czym jest strach.*

*Nowo przybyła się uśmiecha i wyciąga ze skórzanej kurtki pistolet. Pewną ręką przystawia go do skroni Reby, który nadal rechocze, i pociąga za spust. Kula rozwala mu głowę, przecinając śmiech na pół.*



# 15

## Kraksa

- Ja pierdole, ile śniegu - mówi Jon.

- Myślę, że za dużo przeklinasz.

- Myślę, że wychrzanimy się tu, jak nie wiem.

Przejeżdżając przez Rascafríę, Jon prowadzi z największą ostrożnością. Nie zatrzymują się, żeby założyć łańcuchy, bo Antonia się nie zgadza.

- Nie ma na to czasu. Aktywuj wsparcie elektroniczne - mówi mu, wciskając przycisk na desce rozdzielczej.

Samochód ma na pokładzie komputer („Za taką cenę sam mógłby prowadzić”, myśli Jon), który koryguje nagłe skręty kół. To nie żadna magia, ale dzięki temu audi już dwukrotnie uniknęło wpadnięcia w poślizg.

Za miasteczkiem sygnał znika.

- Nie ma zasięgu - mówi Antonia. - Tu, gdzie teraz jesteśmy, to ostatnie miejsce, jakie zarejestrował telefon Żeni.

A są pośrodku niczego. Przed sobą mają dwie drogi. Jedna zawraca w stronę Rascafríi. Druga prowadzi do przełęczy Cotos. Wysokość: tysiąc osiemset trzydzieści metrów. Jest tablica Gwardii Obywatelskiej z informacją, że droga jest zamknięta.

Ktoś przesunął ją na bok.

Jon spogląda na Antonię, a ona przytakuje.

- Na śniegu są koleiny - mówi, kiedy wjeżdżają na drogę.

Koleiny są słabo widoczne, więc Jonowi trudno za nimi podążać. Śnieg cały czas mocno sypie i zakrywa ślady. W pewnym momencie znikają całkowicie.

- To niemożliwe - mówi Antonia, wysiadając z samochodu. Nachyliła się nad wiązką światła rzucaną przez reflektory i uważnie przygląda się podłożu.

- Nikt tędy nie przejeżdżał - stwierdza drżącym głosem i szczękając zębami po powrocie do auta.

- Musieliśmy przegapić zjazd - mówi Jon, cofając.

- Jedź najwolniej, jak możesz - prosi go Antonia, otwierając szybę. Wystawia głowę i kieruje latarkę na ziemię oraz między drzewa.

Las jest gęsty, a pnie wyłaniają się przed nimi niczym widmowi strażnicy.

Kawałek dalej między drzewami jest prześwit. W ciemności ledwie da się go dostrzec. Na ziemi zaś - ledwie zauważalna koleina.

- Tędy - mówi Antonia, wskazując na prawo.

Jon manewruje, żeby wjechać na leśną drożkę. Biały pled przykrył ziemię, więc bardzo trudno jest podążać za śladem. Widoczność przed nimi jest zerowa.

Nagle, pokonując nieco ciaśniejszy zakręt, natykają się na stojący samochód. Jon skręca instynktownie. Wsparcie elektroniczne stara się przeciwdziałać gwałtownemu ruchowi, pchając koła w przeciwnym kierunku. Audi zahacza o samochód (to renault clio, jak zauważa Antonia, gdy przejeżdżają obok), ślizga się na śniegu, wypada z drogi, jedzie trzy metry między drzewami, aż jedno z nich gwałtownie zatrzymuje auto.

- Kolejny skasowany - odzywa się Jon, kiedy poduszka powietrzna opróżnia się na tyle, by pozwolić mu mówić.

- Dwa do jednego - odpowiada Antonia, waląc rękami, żeby odsunąć sobie z twarzy biały nylon.

- To się nie liczy jako nierozważna jazda. Jechaliśmy trzydzieści kilometrów na godzinę.

- Pewnie masz rację - przyznaje Antonia, wysiadając z samochodu, żeby obejrzeć szkody.

Na masce audi wyrosło drzewo. Karoseria się wybrzuszyła i zdeformowała, obejmując pień brzozy połową swojej powierzchni.

Samochód nie ruszy nigdzie bez pomocy dźwigu i trzydziestu godzin w warsztacie za dwieście euro za godzinę.

Jon zagląda do bagażnika i otwiera swoją walizkę. Cienki płaszcz to jedyne, co może włożyć, by chronić się przed chłodem. Antonia nie jest wcale w lepszej sytuacji. Wełniany płaszcz z rękawami trzy czwarte to wszystko, co spakowała.

– Wracajmy na drogę.

– Zaczekaj chwilę – prosi Jon.

Odsuwa walizki i stawia je na śniegu, a potem zdejmuje dywanik, odsłaniając koło zapasowe.

– Obawiam się, że będziemy potrzebować czegoś więcej niż tylko zmiany koła.

Jon podnosi koło i rzuca je na ziemię. Pod spodem znajduje się wnęka z podłużnym pojemnikiem długości jednego metra. Jon przysuwa go do przodu i wyjmuje to, co jest w środku.

– Remington osiemset siedemdziesiąt Nighthawk ze składaną kolbą, pasem na pięć dodatkowych naboji i neoprenowym paskiem – mówi Antonia z uznaniem. – To nie jest oficjalne wyposażenie.

– Nocą w lesie bywa niebezpiecznie – odpowiada Jon, wieszając sobie na ramieniu pas z lufą wycelowaną w ziemię. Na końcu zabiera dwie kamizelki kuloodporne, zakłada swoją i zmusza Antonię, by zrobiła to samo. – No już, bierz.

Razem z wielkim trudem wracają do porzuconego na drodze clio. Po dotarciu na miejsce mają ciężkie nogi i brak im tchu.

– Idźmy dalej.

Niedługo potem las nagle się kończy. Śnieg pada teraz słabiej, a wiatr znacznie się uspokoił. Dzięki temu mogą iść bardziej wyprostowani i wkrótce trafiają na mur otaczający posiadłość.

Brama jest otwarta.

Są w połowie drogi do domu, kiedy słyszą strzał.

– Zostań tu – mówi Jon, idąc w kierunku portyku.

Antonia oczywiście go nie słucha. Drzwi są otwarte, a kiedy wchodzi do środka, widzą scenerię, jakiej się nie spodziewali.

Przestronny, rustykalny salon. Drewniane belki na suficie oraz w wielu innych miejscach w salonie. Rozpalony kominek. Sofa i dwa fotele. Stół. Żadnego śladu ekscentryczności i horroru znanych z domu w Marbelli.

Na sofie siedzi skuta Ukrainka. Przy kominku, owinięta w koc, stoi Lola Moreno. Przywiązany do kolumny owczarek kaukaski warczy groźnie. Na podłodze, w charakterze dywanu, ciało Kiryła Reby, któremu brakuje znacznej części czaszki. Dwa kroki od zwłok stoi ruda kobieta o cerze tak jasnej, że odbijają się w niej płomienie z kominka, ubrana w czarny strój motocyklowy. W jednej ręce ma kask, w drugiej pistolet.

Jon wchodzi, trzymając przed sobą strzelbę.

– Rzuć broń. Teraz.

Kobieta patrzy na niego, potem przenosi wzrok na Antonię.

– Znam was. Policja.

W tym momencie Lola robi krok do przodu i popycha kobietę w klatkę piersiową. Atak ją zaskakuje, potyka się o ciało Reby i przewraca się na plecy.

– Fas! Bierz ją! – wydaje polecenie.

Warcząc, Kot rzuca się na leżącą kobietę. Nie udaje mu się dosięgnąć jej ręki, ale wbija zęby w lewe udo. Kobieta wydaje z siebie zduszony krzyk. Podnosi pistolet i celuje w głowę psa, ale nie strzela.

– Niech pani mu każe ją puścić – nakazuje Antonia.

– Ona trzyma z Orłowem!

– Nie będę powtarzać dwa razy – dodaje Antonia.

Jest nieuzbrojona i o głowę od niej niższa, ale coś w jej głosie mówi Loli Moreno, że lepiej z nią nie dyskutować.

– *Miesto.*

Pies natychmiast otwiera szczękę. Kiedy wyjmuje kły, są zabarwione na czerwono.

– Pistolet – mówi Jon, podchodząc do leżącej kobiety. Cały czas mierzy do niej ze strzelby.

Ona oddycha głęboko, starając się nie krzyknąć z bólu. Ma zaciśnięte zęby. Odmawia jednak oddania broni inspektorowi Gutiérrzewowi.

Antonia się nachyla i wyjmuje pistolet z zaciśniętych palców.

– Proszę dać mi to obejrzyć – zwraca się do kobiety.

Rana jest głęboka. Wielkie zęby owczarka kaukaskiego rozerwały spory kawałek uda. Traci bardzo dużo krwi.

– Pilnuj – mówi Antonia do swojego partnera, wskazując kobiety.

– Bez obaw.

Po chwili Antonia wraca z nożyczkami, czystymi ręcznikami, butelką wódki i rolką taśmy klejącej, którą znalazła w szufladzie w kuchni. Obcina skórzane spodnie i tak jak może, próbuje zaradzić katastrofie.

– Potrzebuje antybiotyków.

– A ja potrzebuję insuliny – mówi Lola, która jest nachylona nad ciałem Reby.

– Proszę się cofnąć – nakazuje jej Jon.

– Nie rozumie pan. Tutaj jest to, czego szukacie – mówi, pokazując mu kartę. – Pieniądze. Informacje na temat Orłowa. Dowody przeciwko Romero.

– Ja się tym zajmę – mówi Antonia, zabierając jej kartę z ręki.

– Tutaj jest więcej pieniędzy, niż zarobiliłobyście w ciągu stu żyć. Jeśli mnie uratujecie, możemy się nimi podzielić.

– Ile?

Lola podaje kwotę.

Jon gwizdże.

– Mówi pani, że są tu dowody przeciwko Romero. Co ma pani na myśli?

– Mój mąż był informatorem policji. Mieliśmy umowę. On wskazywał cele, oni robili obławy. Potem sprawy się skomplikowały. Jurij zastawił na nich pułapkę. Facet z pieniędzmi i narkotykami. Oni ukradli część tych pieniędzy i zabili faceta. Tu jest wszystko. Nagrania wideo, audio. Wszystko.

Antonia i Jon patrzą na siebie.

– Miałaś rację – przyznaje Jon.

– Tego się obawiam. To Belgrano próbował panią zabić, prawda? – pyta Lolę Antonia.

– Jurij im zagroził. Chciał zerwać naszą umowę.

– I wyszło tak sobie – mówi Jon.

– Był głupcem. Można było załatwić to dobrze na wiele sposobów. Gdyby tylko mi o tym powiedział – mówi Lola. Znowu czuje zawroty głowy i musi usiąść obok Żeni.

– W porządku. To już koniec. Nawet złapaliśmy Czarną Wilczycę – chełpi się Jon.

Antonia patrzy na kobietę leżącą na podłodze. Potem spogląda na pistolet, który jej zabrała. Na ciało Kiryła Reby. Na psa, który nie odrywa od nich wzroku, zlizując krew z pyska.

– Ona nie jest Czarną Wilczycą – mówi Antonia.

Jon odwraca się do niej z oczami jak spodki.

– Ale co ty mówisz, skarbie. Oszalałaś?

Antonia wskazuje psa, wskazuje Rebę.

– Wyjaśnij mi, dlaczego nasza zawodowa zabójczyni z zimną krwią zabija Kiryła Rebę, a nie zabija psa w obronie własnej.

Oczywiście Jon nie zna odpowiedzi.

– Jesteś Czarną Wilczycą? – pyta inspektor, nachylając się nad ranną kobietą.

– Nie. Śledziłam ją i zabiłam.

Inspektor Gutiérrez wybuchając śmiechem pełnym niedowierzania.

– Ty zabiłaś Czarną Wilczycę? W takim razie kim jesteś?

– Nazwisko nie jest ważne. Ważne jest to, że Orłowi tu jedzie.

– Pozwól, że my zdecydujemy, co jest ważne.

Kobieta powstrzymuje grymas bólu. Oddycha głęboko. Od lat nie wypowiadała tych słów. Od tak dawna, że czasami nawet wątpi, kim tak naprawdę jest.

– Nazywam się Irina Badia.

# **CZĘŚĆ CZWARTA**

## **JON**

*Dziewczynka nie poczuła bólu, kiedy gwóźdź rozerwał jej  
skórę pod lewym okiem.*



# 1

## Historia

Tę historię powinno się opowiadać cichym, rytmicznym głosem, powoli, niespiesznie.

„Była sobie raz dziewczynka...”

Miękkie samogłoski, mocne spółgłoski, fonemy z akcentem z dalekich krain.

„...która bawiła się...”

Krótkie zdania, dużo ciszy, czasami długotrwałej.

„...zwisając ze starego dębu...”

Póki nie opowie się tej samej bajki, którą ona bez przerwy opowiada samej sobie.

„...aż pewnego dnia przyszli...”

Żeby uśmierzyć ból, żeby nie zasnąć.

„...źli ludzie”.

„Była sobie raz dziewczynka, która bawiła się, zwisając ze starego dębu, aż pewnego dnia przyszli źli ludzie”.

Dziewczynka nazywała się Irina Badia. Jej siostra miała na imię Oksana. Mieszkały w gospodarstwie należącym do ich rodziców w wiosce

Czkałowe w Ukrainie.

To wszystko są tylko słowa.

Ile ich potrzeba, żeby opowiedzieć historię jednej osoby? Tysiąc? Sto tysięcy?

Tyle też nie wystarczy.

Opisanie horroru, jaki przeżyła dziewczynka, gdy przyszli po nią mężczyźni, byłoby daremną próbą. Jej rodzina umarła, a ona uciekła – to wszystko. Przeżyła, choć nie było łatwo. Aż stała się na tyle silna, żeby pokonać dwa tysiące kilometrów w poszukiwaniu kogoś, kto uczynił ją jeszcze silniejszą. Kto nauczył ją przewyższyć samą siebie.

– Ile powinna trwać walka?

– Pięć sekund.

– Nie jesteś najsilniejsza, nigdy taka nie będziesz. Jeśli twój przeciwnik wytrzyma początkowy atak, to będzie piekło. Celuj w słabe punkty, bezlitośnie, i powal go, zanim się w ogóle zorientuje, że trwa walka.

Minęło kilka lat.

Pojechała znacznie dalej, aż na drugi koniec świata, w poszukiwaniu tych, którzy odebrali jej wszystko.

Znalazła miłość albo coś podobnego do miłości.

Zostawiła go, ponieważ przekonała się, że nie był wystarczający. Że jedynie krew może wypełnić ogromną pustkę pośrodku jej serca.

Wróciła. Sama.

Im dłużej człowiek jest sam, tym samotniejszy się staje. Samotność rośnie wokół niego niczym pleśń. Jest tarczą, która blokuje to, co mogłoby go zniszczyć, a czego tak bardzo pragnie. Samotność się kumuluje, rozprzestrzenia i sama się napędza. Kiedy pleśń już się osadzi, niezwykle trudno się jej pozbyć.

Dziewczyna dalej robiła swoje. Stawała się coraz agresywniejsza i sprawniejsza. Jej walki były krótkie, ale za każdym razem musiała płacić za nie coraz wyższą cenę. Jej ciało powoli się sypało, jej plecy były

osobnym wszechświatem, w którym mieszał nieznośny ból, przejmujący kontrolę nad wszystkim.

W środku zostało jej coraz mniej walk. A serce wciąż nie zaczęło się napęlniać.

Pewnego dnia w Sankt Petersburgu dowiedziała się o miejscu pobytu ostatniego z mężczyzn, którzy nakazali wtargnięcie do gospodarstwa rodziny Badiów. To sutener nazwiskiem Orłow, który od tamtego czasu znacznie się rozwinął. Teraz miał własny klan na południu. W Hiszpanii.

Ale szefowie Tambowskiej nie byli zadowoleni z Asłana Orłowa. Wysłali zabójczynię, żeby go zniszczyć i naprawić jego błędy.

To wszystko opowiedział jej umierający mężczyzna, którego Irina torturowała całymi godzinami. *Sześciorka* z bratwy, który chciał przeżyć. Nie udało mu się to, ale jego śmierć nie poszła na marne. Nakierował Irinę na trop Czarnej Wilczycy.

Przyleciała do Madrytu tym samym samolotem co ona.

Zatrzymała się w tym samym hotelu co ona.

Kiedy Wilczyca wyszła tamtej nocy na spacer wzdłuż rzeki, Irina śledziła ją z nożem i kablem. Dopadła ją na moście. Szła spokojnie, pewna siebie. Tak jak wszyscy drapieżcy, którzy uważają, że noc należy do nich. W ostatniej chwili, kiedy Irina była tuż za nią, Wilczyca wyczuła zagrożenie. Ale zdołała zatrzymać tylko pierwszy cios.

Walka trwała w sumie trzy sekundy.

Irina ją rozebrała i pozbyła się ciała. Wcześniej jednak użyła jej kciuka, żeby po raz ostatni odblokować telefon.

Wtedy stała się nią. Informacje na temat swojego celu miała całkowicie do swojej dyspozycji. Tyle że akurat kiedy miała ruszać na jego poszukiwania, dowiedziała się, że Orłow potrzebuje jej usług. Gra stała się jeszcze ciekawsza.

Ta historia zaczyna się tak samo, jak ciągle zmieniające się bajki, które Lola opowiada samej sobie. Czy przypadkiem jest inny sposób na rozpoczęcie bajki? Istnieje jednak różnica w porównaniu z przynoszącymi

samozadowolenie kłamstwami, którymi Lola próbuje opowiedzieć siebie na nowo.

Opowieść Iriny Badii jest prawdziwa.

Na tyle prawdziwa, na ile prawdziwa może być jakaś historia.

Właśnie to Irina Badia powinna była opowiedzieć Antonii Scott. Ale świat, ogólnie rzecz biorąc, daje niewiele możliwości, by wysłuchać pełnej opowieści danej osoby przed wydaniem osądu na jej temat. Jakie są jej korzenie, aspiracje, marzenia. Jakie pragnienia skrywa nieskończone serce istoty ludzkiej. Jakie przeszkody napotkała, co sprawiło, że stanęła na twojej drodze. Jakie uśmiechy z ostrymi zębami nie pozwalają jej w nocy spać. Kto posadził rośliny z cierniami, które rozrywają jej duszę i dławią rozsądek.

Jak zrobiła sobie tę ranę pod lewym okiem.

Świat daje niewiele możliwości, by wysłuchać pełną opowieść danej osoby. A jedną z tych możliwości z pewnością nie jest sytuacja, gdy siedzisz uwięziona w górskiej chacie, do której niebawem wtargną zabójcy uzbrojeni po zęby. Bo życie nie jest takie jak film lub powieść, gdzie tuż przed decydującym momentem narrator pozwala sobie na długą retrospekcję w pastelowych barwach.

Tak więc rozmowa przebiegła w taki oto, zupełnie inny sposób.

## 2

# Streszczenie

– Nazywam się Irina Badia.

– Jesteś świetna. Rosyjskie siły specjalne? Specnaz? Grupa Alfa?

Irina kręci głową.

– Przyjaciół uczy mnie.

– Dlaczego tu jesteś, Irina?

– Orłów zabija moją rodzinę. Ja zabijam Orłowa.

Antonia zdaje sobie sprawę, że słaby hiszpański Iriny nie zaprowadzi ich zbyt daleko.

– Jak umarli? – pyta, przechodząc na rosyjski.

Irina odpowiada w tym języku. Mówi wolniej. Jej głos staje się łagodniejszy.

– Mieliśmy gospodarstwo. Chcieli moją siostrę i mnie. Rodziców zabili, siostrę wzięli na handel. Ja uciekłam.

Antonia patrzy na tę bezbronną kobietę leżącą na podłodze. Kiedy się rusza, dostrzega, że brakuje jej jednego ucha. Analizuje ją w świetle nowych danych. Wyciąga rękę do lewego policzka Iriny, niemal dotykając rany. Tej cienkiej, starej linii, która sięga do połowy policzka. I która pulsuje z taką samą częstotliwością jak ta ukrywająca się pod ubraniem.

– Ile miałaś lat?

– Osiem.

Jak na razie w tym wstępie jest mnóstwo motywacji.

– A później?

Myśli przepływają pod jej oczami, tak jak ryby pod zielonym lodem: nieosiągalne. Irina nabiera powietrza i w dwudziestu słowach streszcza dwadzieścia lat poświęcenia, przemocy i cierpienia.

– Później dorosłam i zabiłam ich wszystkich. Tych, którzy to zrobili, i tych, którzy kazali to zrobić. Zabiłam jednego po drugim.

Pewna myśl oświeciła Antonię, niczym błyskawica niebo. Nagle uprzytamnia sobie, że jej zdolności bez względu na to, jak wielkie by były, nigdy nie wystarczą, żeby zrozumieć to całkowicie.

„A bez zrozumienia, jak mogę zrobić to, co trzeba?”

Przenosi spojrzenie na Jona, który uważnie przysłuchuje się rozmowie, mimo że niczego nie rozumie.

– Musicie uciekać – mówi Irina i ciągnie Antonię za rękaw, na powrót domagając się jej uwagi. – Orłow zaraz tu będzie.

Antonia delikatnie odsuwa jej rękę.

– Skąd wiesz?

– Mam telefon Czarnej Wilczycy. Jechali za mną, kierując się sygnałem, który wysyłał Rebo.

To nie są dobre wieści.

„To absolutnie nie są dobre wieści”.

Musi podjąć decyzję, co z nią zrobić. Ale najpierw musi ją zrozumieć.

– Przybyłaś po to – mówi Antonia, pokazując kartę microSD. – Dlaczego?

– Orłow jest ostatni na mojej liście.

Antonia myśli o zawartości karty. O wszystkich nazwiskach, powiązaniach, kontaktach bankowych. Nie tylko rosyjskiej mafii, lecz także jej współpracowników i wspólników w kilkunastu krajach. Ludzi, których ludzka sprawiedliwość nie będzie mogła nigdy osiągnąć.

– Skończyła ci się lista. I chcesz stworzyć sobie kolejną.

Irina mocno naciska na ranę. Bez wątpienia cierpi.

– Za wszystkie dziewczynki, które nie miały takiego szczęścia jak ja.

Wymawia to słowo łagodnie, fatalistycznie.

*Udacza.*

Po rosyjsku to znaczy szczęście.

Po prostu.

To słowo uderza Antonię. Niczym bicz upleciony z zazdrości, drwiny i smutku. Tej kobiecie odebrano wszystko, kiedy była małą dziewczynką. Jak może myśleć, że miała szczęście? Ktoś wtargnął w jej życie, zniszczył ją. Zamienił ją w maszynę pełną nienawiści.

„Jak może myśleć, że miała szczęście?”

„Dlaczego to sprawia, że czuję się taka winna?”

### 3

## Świt

Antonia kończy rozmawiać z Iriną, a potem prowadzi krótką konwersację z Lolą Moreno. Później wraca do Jona, który zdjął płaszcz i usiadł przy stole w jadalni, skąd może obserwować trzy kobiety.

– No i?

– Sytuacja jest trudna – odpowiada Antonia, ścisząc głos.

Wyjaśnia mu wszystko.

– Kurwa. W takim razie musimy uciekać.

– To nie takie proste, Jon.

– Mamy samochód gosposi. Wsiądziemy do niego całą piątką i cześć.

– To ford fiesta bez łańcuchów, Jon. Na zewnątrz jest półtora metra śniegu. Jeśli rura wydechowa się nie zapcha, to koła będą się ślizgać. Albo spotkamy się z Orłowem na otwartym terenie.

– Możemy pojechać w przeciwnym kierunku.

– Im wyżej w góry, tym będzie gorzej. A trasa kończy się trzy kilometry dalej punktem widokowym. W tę stronę nie ma niczego. Zostaje nam tylko wrócić tą samą drogą, którą przyjechaliśmy.

Jon przejeżdża ręką po twarzy. Jest bardzo zmęczony. Ma opuchnięte oczy i umiera z głodu.

– Już dłużej nie mogę.

– Zaczekaj tu – prosi go Antonia.

Po chwili wraca z dwoma kubkami kawy rozpuszczalnej podgrzanej w mikrofalówce i paczką starych herbatników. Z rodzaju tych, które na zawsze zostają w szafce, bo nikt nie jest na tyle głodny, żeby odważył się je zjeść. Jon bierze kubek, który podaje mu partnerka. Potem wsadza do ust po dwa herbatniki naraz.



– Pieszo nie jest tak daleko. Moglibyśmy uciec przez las i dostać się do miasteczka – proponuje inspektor.

Antonia wskazuje na uwięzione kobiety.

– Jedna jest ranna, wątpię, czy da radę iść. Dwie pozostałe nie mają odpowiednich ubrań.

– Może w pokoju są jakieś ciepłe ciuchy.

– Nie, już sprawdzałam. Szafa jest prawie pusta. Tylko dwie markowe koszulki. I pudełko pełne zabawek erotycznych.

Jon dopija kawę, jeśli można tak to nazwać. Spogląda przez okno. Brudne, zużyte światło zwiastuje nadejście świtu, oświetlając ogród. To kwadratowy teren, wyłożony dywanem w postaci grubej warstwy śniegu. Wierzchołki drzew odznaczają się upiornie na tle nieba, które zmienia kolor z czarnego na szary. W przeciwieństwie do nocnej zawieruchy delikatny wietrzyk, który porusza najniższymi gałęziami, przypomina łagodną kołysankę.

Śnieżycą ustała już całkowicie.

– Pogoda nie pomaga – mówi Jon, wskazując na zewnątrz. – Szybciej znajdą dom.

Antonia patrzy na niego z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

– Ty i ja dalibyśmy radę. Moglibyśmy je tu zostawić i zabrać kartę. Zadzwonić na policję, kiedy złapiemy zasięg. Może zdążą na czas.

Inspektor Gutiérrez strząsa z brody okruszek herbatnika i się uśmiecha.

– Nie ma takiej opcji.

– Nie – przyznaje Antonia. – Ale to była ostatnia możliwość, którą chciałam, żebyś odrzucił.

– No więc zostaje nam tylko jedno.

Antonia przytakuje powoli.

– Dwoje na nawet nie wiadomo ilu – mówi Jon.

– Troje – poprawia go Antonia, wskazując Irinę.

– Chyba nie nadążam.

– Ona jest po naszej stronie.

- Ta pieprzona wariatka?

Antonia się krzywi.

- Ja nie używałabym takiego określenia.

- To jakiego w takim razie byś użyła?

- Gdybym musiała stworzyć profil psychologiczny? Stres pourazowy, egomania, zespół przewlekłej żałoby, osobowość antyspołeczna. Prawdopodobnie cechy schizoidalne, ale nie jestem pewna.

„Nieźła diagnoza”, myśli Jon. „Wystarczy, żeby ją zamknąć”.

- I co z nią zrobisz?

- Oddam jej pistolet.

- Chyba żartujesz.

Antonia bierze herbatnik i przeżuwa powoli, kręcąc głową.

- Jak możesz ufać komuś takiemu?

- A ty?

Ktoś wciska pauzę na twarzy Jona, który milczy, dopóki nie zrozumie, kogo Antonia ma na myśli.

- Ach, te sprawy, tak?

Antonia wzrusza ramionami. Nie ma się czym chwalić.

- Ale tobie nie przyszło do głowy, żeby zabijać ludzi - zauważa Jon.

- Wiesz, że próbowałam. Ale kiepsko strzelam.

Jon parska śmiechem, przypominając sobie, co się stało w tunelu z Sandrą Fajardo. To nerwowy śmiech, z rodzaju tych, którymi człowiek wybucha w ciemności pełnej potworów.

- Ale możesz to poprawić. A przy okazji, ta kawa była wyborna. Od razu pozbyłem się zmęczenia.

Antonia wyjmuje z kieszeni torebkę białych pigułek.

- Difenylmetylsulfinylacetamid.

Jon natychmiast rozpoznaje torebkę. Rzekomo miała być w schowku w samochodzie. Patrzy na pusty kubek, a następnie spogląda na Antonię przymrużonymi oczami.

- Co za podłość, skarbie. Wrzuciłaś mi narkotyki do neski.

- Jeszcze mi za to podziękujesz.

# Romero

„Nie po to zostałam policjantką”, myśli komisarka.

Patrzy na zegarek. Minęła ósma, niedługo wzejdzie słońce.

Ta noc jest strasznie długa. I bardzo smutna.

Zmęczenie wywiera na jej nastrój melancholijny wpływ. Nigdy nie była zbyt skłonna do rozpoznawania swoich emocji. A tym bardziej ich okazywania. Powszechnie wiadomo, że ostatnie, co może uzewnętrznić kobieta, która wykonuje taki zawód jak ona, to właśnie uczucia. Wszystko jest interpretowane jako oznaka słabości. Grypa, okres, najmniejsza zmiana nastroju. Skarga na jakąś sytuację z użyciem dowolnego określenia oceniającego. Jakiegokolwiek dziwactwo albo cecha charakteru, które u mężczyzny są akceptowane bez mrugnięcia okiem, dla policjantki są hańbą. Odkąd zaczęła pracować, codziennie ma do czynienia z takimi słowami jak „przydział”, „parytet”, „ozdoba”.

Tak więc eliminuje każdą cechę, która czyni z niej człowieka. Kolorowe ubranie – wykluczone. Makijaż też. W ciągu tych wszystkich lat nauczyła się nawet zmieniać język ciała.

To ciężka praca. Ale zaczynała przynosić owoce.

Aż pewnego dnia popadła w obsesję na punkcie Orłowa. I Woronina, którego traktowała jako środek, by do niego dotrzeć. Jej obsesja i zaangażowanie były tak wielkie, że skończyła tutaj.

„Tutaj”. Na skrzyżowaniu dróg, przy wyjeździe z miasteczka zagubionego w podmadryckich górach. Gdzie jest zimno jak diabli. Miejsce jak każde inne, jeśli się chce spojrzeć w przeszłość.

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy złapali Woronina za tamten bałagan z kontenerem. Szczerze mówiąc, dowody były słabe, ale Woronin łyknął

haczyk. I jego żona też. Co za źmija. Zgrywała niewiniątko, pozowała na aniołka. Ale jej, komisarki, nigdy nie nabrała. Zanim Woronin się odzywał, najpierw zawsze na nią patrzył. Nawet jeśli zapytałeś o godzinę. Za każdym pieprzonym razem odwracał się i na nią patrzył.

„Lola Moreno. Co za obrzydliwa baba”.

Romero zapala papierosa. Pali tylko wtedy, kiedy jest sama. Kolejna słabość, której pokazywania unika. Ale jakie ma to teraz znaczenie. Tutaj jest tylko Belgrano. A on wie o niej wszystko.

Podinspektor Belgrano. Wierny do samego końca. Ze swoją porywcznością i swoim charakterkiem. Zastanawia się, dlaczego nigdy nie poszła z nim do łóżka. To jedyne, czego im brakuje. Dzielili już wszystko inne. Bezsenne noce, krew. Awantury. Zatrzymania, które nie zakończyły się sukcesem. Byli przestępcy, którzy wyszli na wolność. Inni, którzy skończyli tam, gdzie ich miejsce. Było mnóstwo frustracji. Zwycięstw znacznie mniej. Ale łóżka nie dzielili nigdy.

„Tak jest dobrze”, myśli, patrząc na niego kątem oka. Stoi oparty o motocykl, nie odzywając się słowem. Zmęczony tak samo jak ona. Ale nie narzeka. Są jak rodzeństwo. Mają wspólny kodeks. A to łączy bardziej niż łóżko. Są rodziną.

„Rodzina plami. Życie ciąży”.

Wiedziała, że wykorzystanie Woronina jako informatora było niebezpieczne. Że użyje ich do tego, by wyeliminować konkurencję. Był początkującym kapusiem, podczas gdy Romero ma wieloletnie doświadczenie. Ale nie mogła przewidzieć, że ten sukinsyn zastawi na nich pułapkę.

Nie wyciągała za bardzo ręki. A przynajmniej nie bardziej niż normalnie. Przy wielkim nalocie zawsze gubiło się parę plików. Wszyscy o tym wiedzieli i wszyscy odwracali głowy. A czego się spodziewają przy tych jej nędznych zarobkach. Nie dostaje nawet trzech tysięcy brutto. Belgrano jedną trzecią tego. Tyle, co oni dostają na miesiąc, taki diler zarabia jednego wieczoru. A przemytnik dziesięć razy więcej na jednym kursie. Ale oni muszą dawać z siebie wszystko, poświęcać cenne godziny, ryzykować życiem i nadstawiać karku za jakieś okruchy. I brodzić w rzece

pełnej gówna z uśmiechami na ustach i w nieskazitelnym ubraniu. Oczywiście, że tak.

Nie wyciągała za bardzo ręki. Nie bardziej niż normalnie. Zasady były jasne. Żeby cię nie przyłapali, nie zwracaj na siebie uwagi. Nie przyzwyczajaj się do tego. Wszystko, co zostaje przed tą linią, jest twoim pieprzonym problemem. Twoim i twojego sumienia. Nikt nie uniesie brwi ze zdziwieniem.

Na przykład tacy inspektorzy, których osiem lat temu przyłapano w Marbelli. Ich znajomi. Koledzy z UDYCO. Popelnili tylko jeden błąd. Pomylili terminy. Zamiast zająć się swoją robotą i łapać to, co spadało ze stołu, usiedli przy stole i postawili na nim swój talerz.

Ona nie była taka. Nigdy.

Zależało jej tylko na tym, by dobrze wykonywać swoją pracę.

Ale ten samochód kurierski Serbów. Sześćset tysięcy euro w używanych banknotach. Tylko jeden kierowca. Szumowina z historią przemocy. Zabójstwo, rabunek, nadużycia. Belgrano cały czas o tym myślał. I ona też, dlaczego by nie. Dzięki takiej forsie można załatać wiele dziur. Zatrzymanie zostało odnotowane – kolejne osiągnięcie w nienagannej karierze komisarki Romero. I koniec pieśni.

Kiedy coś wygląda zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe, domyśl się reszty.

„Pieprzony Woronin”.

Szczerze mówiąc, nie zostało mu już zbyt wiele do przekazania. Facet był spalony. Nadszedł czas, żeby przestał dawać im płotki, tylko przekazał grubą rybę. Ale ich ubiegł. Tylko dlatego, że nie wziął jej pod uwagę. Jego żona nigdy by mu nie pozwoliła popełnić takiej głupoty. Grozić komisarce policji. Trzeba być...

Zapłacił za to. I to drogo. Nie taki był plan. Pieprzony pies wystraszył Belgrana, który zawsze był dość niecierpliwy. I wszystko wymknęło się spod kontroli. Musieli szybko załatwić i ją. Ale zawiedli.

„Co za katastrofa”.

Za bardzo zwracała na siebie uwagę. Sam Orłow zadzwonił do niej, żeby domagać się wyjaśnień. Wtedy rozmawiali po raz pierwszy. I ona powiedziała mu połowę prawdy. Tylko tyle, żeby wszyscy wyszli z tego z twarzą.

Ale w Madrycie ktoś nadstawił uszu. I zjawili się ci dwoje w poszukiwaniu Moreno.

Kiedy ją złapali, Orłow znowu do niej zadzwonił. Musiała umrzeć za wszelką cenę. Mafioso udostępnił samochód. No i druga wtopa. Dwójka policjantów nie żyje. Dwoje niewinnych ludzi. Kolejna linia przekroczona.

„Ta Lola Moreno jest jak pieprzony karaluch. Nigdy nie umiera”.

Orłow zadzwonił trzeci raz. Żeby poinformować ich o porażce i przekazać, co mają zrobić. I Romero uzmysłowiła sobie, że sytuacja się odwróciła. Że teraz była tylko narzędziem w jego rękach.

„Nie po to zostałam policjantką”, myśli znowu komisarka.

Oba samochody przyjeżdżają o świcie. Słońce nie zaświeci dziś nad górami. Niebo wisi bardzo nisko, wypełnione szarawymi chmurami i złymi przecuciami. To, co dziś robią, zostanie ukryte przed wzrokiem Boga.

Żałosna ulga przed żalonym zadaniem.

Pierwsza terenówka zatrzymuje się na skrzyżowaniu. Romero zagląda do środka. Tylko dwóch facetów, którzy na ich widok nie wykonują żadnego gestu.

– To najlepsze, co ma Orłow?

– Najlepsze, co ma Orłow, to sam Orłow – odzywa się jakiś głos za nimi.

Romero się odwraca i widzi, jak stary gangster wysiada z drugiej terenówki w towarzystwie dwóch osiłków. Bestia. Sutener, gwałciciel, handlarz narkotyków. Morderca. Musi się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć broni i nie skuć go przy masce.

Ogarnia ją fala obrzydzenia. Do niego, do samej siebie.

– Jesteście sami? – pyta Orłow.

– Tylko my. Spodziewał się pan kogoś jeszcze?

Stary patrzy w dal. Tam, gdzie zaczyna się las, który rozciąga się wzdłuż gór, aż znika, połknięty przez chmury.

- Nieważne. Znaleźliście ostatnią lokalizację, którą wam wysłałem?

- To tutaj - odpowiada Belgrano, pokazując na ekranie swojego telefonu mapę zrobioną przez satelitę. - W lesie jest dom, dwanaście kilometrów dalej, tą drogą. Potem nie ma już nic.

- Wsiadajcie do samochodu. Zakończmy to raz na zawsze.

## Inwentarz

Układają wszystko na drewnianym stole. Cztery sztuki z metalu i plastiku.

Niewiele tego.

Broń Jona ma trzynaście kul we włożonym magazynku i kolejnych trzynaście w zapasowym.

Pistolet Iriny – dziesięć kul. Bez zapasowego magazynku.

Pistolet, który miał Rebo – dwanaście kul. Bez zapasowego magazynku.

Strzelba Jona – osiem naboí.

– Zasięg dwadzieścia metrów. Potem rozproszenie śrutu zmniejsza szanse na śmiertelny strzał – mówi Antonia, kładąc palec wskazujący na kolbie.

Jon przytakuje.

– Tak na oko, ile według ciebie to dwadzieścia metrów? – pyta, wskazując za okno.

– Do brzozy.

– Aha. A dokładniej?

Ona przewraca oczami.

– Drzewo po prawej od forda fiesty.

– Widzisz, kiedy wyrażasz się jasno...

Antonia wstaje, bierze pistolet Iriny oraz ten, który Rebo ukradł policjantom.

– W końcu rozwiązaliśmy sprawę morderstwa nad Manzanares – mówi.

– Tego nie mogę ci przypisać. Sprawa rozwiązała się sama.



– A kto złapał zabójczynię?

– Technicznie rzecz biorąc, złapał ją pies – stwierdza Jon, po czym wstaje i podchodzi do uwięzionych kobiet.

Inspektor Gutiérrez prosi Żenię, aby wstała, i zdejmuje jej kajdanki.

– Musisz podjechać samochodem do bramy i zaparkować tyłem najbliżej, jak tylko zdołasz. Potem zaciągasz hamulec ręczny i wracasz tu jak najszybciej.

Gospodyni wykonuje polecenie. Antonia podchodzi do wyjścia i wciska przycisk, który zamyka bramę. W razie gdyby kobiecie strzeliło coś do głowy w ostatniej chwili.

Kiedy wraca, opowiada im o swoim planie.

– Orłów pewnie zaraz tu będzie. Nie wiemy, ilu ich jest ani jaką mają broń. Tak więc będziemy musieli jakoś wytrzymać. Na naszą korzyść przemawiają dwie rzeczy. Dom jest solidny, we wszystkich oknach są kraty. Tak więc jedyne możliwe wejście to główne drzwi.

– A jaka jest druga rzecz? – pyta Lola.

– Nie spodziewają się oporu. Ani tego, że jest nas trójka – mówi, oddając Irinie pistolet, który trzyma za lufę.

Zalega chwila niewygodnej ciszy. Nawet w kominku, w tym momencie już prawie wygasł, przestaje trzaskać.

Irina nie wykonuje żadnego ruchu w stronę broni. Jej zielone oczy nie odrywają się od oczu Antonii.

– Na pewno?

– Nie. Ale nie mam też wiele do stracenia – odpowiada Antonia.

Irina podnosi rękę. Jej palce otaczają lufę. Przez chwilę energia, jaką emanuje jej dłoń, łączy się z Antonią poprzez osiemset gramów stali.

– A my? – pyta Lola.

– Pani ją zdradziła – mówi Antonia do Żeni, wskazując Lolę.

– A ty zdradziłaś... – Jon już chce wyliczyć, ale łatwiej jest mu to streścić. – No cóż, wszystkich. Tak więc kładźcie się pod sofą i się nie wtrącajcie.

Irina się podnosi i podchodzi z Jonem do okna. Musi się o niego opierać przy każdym stawianym kroku.

– Wasz plan... zły.

– Ach, tak? Ile razy byłeś w domu zaatakowanym przez rosyjskich mafiosów?

Irina przechyla głowę, starając się zrozumieć. Następnie podnosi dwa palce.

– I jakie to było doświadczenie?

– Jedno złe. Jedno dobre.

Dołącza do nich Antonia.

– Masz lepszy pomysł? – pyta po rosyjsku.

– Ktoś musi być na dachu – odpowiada Irina w tym samym języku. – I robić wszystko, żeby nie podeszli zbyt blisko. Nie ma znaczenia, że w oknach są kraty. Jeśli podejda blisko, zginiemy wszyscy.

– Ja pójdę – zgłasza się Jon, kiedy Antonia tłumaczy mu odpowiedź na hiszpański.

– Ze strzelbą i z góry pokryjesz spory teren. Spróbują cię otoczyć, więc musisz uważać, co się dzieje za twoimi plecami.

– Jasne – mówi Jon.

Irina bierze Antonię za łokieć, prowadzi ją do okna i zaczyna rozmowę po rosyjsku.

– Ty tutaj – mówi jej, stukając w parapet kostkami dłoni. – Rozbij szyby, bo tylko przeszkadzają. Zaczekaj do momentu, aż będziesz pewna, że trafisz.

– A ty?

– Ja idę na zewnątrz, między drzewa.

– Z tą nogą, mowy nie ma.

– Potrafisz używać tego? – pyta Irina, wskazując pistolet Antonii.

– Niezbyt dobrze – przyznaje.

– No to nie dyskutuj. Szybko. Zaraz powinni tu być.

## Dach, ogród i salon

Jon zauważa ich pierwszy.

Sporo go to kosztowało. W głównej sypialni jest okno dachowe, jedyne wejście do domu pozbawione krat. Wydostanie się przez nie było istną odyseją. Najpierw musiał wejść na krzesło, by do niego sięgnąć. Potem otworzyć jak najszerzej. Jak najszerzej oznacza czterdzieści centymetrów. Matematyka mu podpowiada, że tędy nie przejdzie. Nie żeby był gruby. Wyłamuje więc pręty, które uniemożliwiają mu wyjście. Wałąc kolbą.

Na dole Antonia robi coś podobnego, sądząc po dźwięku wybijanych szyb.

Inspektor Gutiérrez od jedenastu lat nie wchodził na dach. A wtedy zrobił to po to, żeby poprawić ustawienie anteny satelitarnej u znajomych. Tak więc całe jego doświadczenie sprowadza się do tego, że, jak pamięta, dachy są nachylone i bardzo śliskie, zwłaszcza gdy leży na nich śnieg.

Dach jest jednospadowy, z arabskiej dachówki. Po lewej od okna dachowego jest duży komin. Jon ma więc wystarczająco miejsca, żeby się za nim ukryć. Znajduje się dokładnie nad drzwiami wejściowymi.

Zła wiadomość jest taka, że w tej pozycji jest idealnym celem dla każdego, kto zbliża się od tylnej części domu. Nie mija nawet minuta, odkąd Jon zajął swoje stanowisko, a terenówki właśnie wyjeżdżają zza zakrętu. Niedaleko od miejsca, w którym rozbiło się audi, choć nie było w tym żadnej winy Jona.

– Już tu są! – krzyczy Jon przez otwór kominowy.

W salonie Antonia wybija szyby pogrzebaczem od kominka, a na zniszczonej framudze kładzie koc (skradziony podczas jednego z lotów do

Iberii), żeby móc się oprzeć bez obaw. Lodowate powietrze uderza ją w twarz.

Minutę później przez otwór kominowy dociera głos Jona. Po swojej prawej stronie słyszy otwierające się drzwi salonu. Irina wychodzi.

Antonia odwraca się do Loli Moreno, która wkłada suche już ubrania.

– Pilnuj drzwi, w razie gdybym kazała ci je szybko otworzyć. A pani – zwraca się do Żeni – niech obserwuje okno kuchenne, w razie gdyby ktoś czegoś tam próbował.

Irina schodzi z portyku i idzie do ogrodu. Śnieg sięga jej pod kolana, znacznie utrudniając poruszanie. Ale jakkolwiek dziwne się to wydaje, ponowny kontakt z tą białą warstwą puchu daje jej energię, którą – jak sądziła – już dawno utraciła. Nie uśmierza bólu, ale coś jej oddaje. Z tamtego okresu spędzonego w Magnitogorsku razem z Afganem. Z człowiekiem, który zamienił ją w ludzką broń.

Oczywiście dyskrecja nie będzie jej sprzymierzeńcem. Zostawia za sobą dość wyraźny trop: ślady stóp, a nawet małe czerwone plamy, które stają się różowe, gdy tylko rozpuszczają się w naruszonym śniegu.

„Użyj tego, co masz do dyspozycji”, głos Afgana rozbrzmiewa w jej głowie.

Zamiast iść prosto do bramy, Irina skręca w stronę ściany, z której zwisa wąż ogrodowy. Odkręca kran do końca, licząc, że woda w rurze nie zamarzała. Nie korzystano z niego jednak od dawna, więc woda zaczyna płynąć dopiero po kilku chwilach. Irina chwyta węża, ciągnie go za sobą do żywopłotu i pozwala, by woda płynęła w kierunku bramy wjazdowej. Później będzie potrzebować wolnej drogi, żeby móc szybko wrócić. Woda pomoże rozpuścić śnieg.

Siedząc na dachu, Jon widzi, jak przygotowują się do wejścia. Wysiadają z samochodów. Cztery osoby z pierwszego, trzy z drugiego. Rozpoznaje Orłowa, Romero i Belgrana. Nie jest w stanie wyrazić, jak wielkie obrzydzenie wywołuje w nim widok dwójki kolegów po fachu (dwóch

osób, które donośnym głosem składały tę samą przysięgę co on) obok tego bandyty.

- Jest ich siedmioro. Belgrano i Romero też - mówi przez otwór kominowy, mając nadzieję, że Antonia go usłyszy.

Z boku widzi Irinę, jak idzie przyklejona do żywopłotu. Porusza się bardzo powoli. Z tą ranną nogą ledwie może chodzić. Wyraźnie utyka i zostawia za sobą ślad. Chwilami traci ją z zasięgu wzroku, bo kilka drzew rosnących w ogrodzie zasłania mu część pola widzenia. Nagle uświadamia sobie, że te drzewa będą problemem, jeśli któryś z napastników wykorzysta je do ukrycia się, by w ten sposób zbliżyć się do domu.

„Może ustawienie samochodu przed bramą nie było dobrym pomysłem. Utrudni im wejście, ale ta sztuczka ostrzegła ich, że tu jesteśmy”, myśli Jon.

Bo widać, że się organizują. Ktoś wydaje rozkaz, z pewnością Orłow, choć Jon nie może go zobaczyć. Jedna terenówka cofa, ustawia się przodem do bramy i zaczyna pchać. Brama wydaje metaliczny zgrzyt, terenówka nadal pcha.

Dwóch ludzi otacza dom. Jon widzi, jak skręcają za rogiem, potem traci ich z oczu, bo zasłania ich żywopłot.

„Cholera, cholera, cholera”.

Irina tymczasem zdołała dotrzeć do przedniej części ogrodu. Jest tam drewnitnia ze ścianą w kształcie zakola. Tam właśnie czeka, z pistoletem w dłoni, starając się nie myśleć o tym, jak trudno utrzymać się na nogach.

Terenówka, czarny range rover, nadal próbuje staranować bramę, wywołując krótkie, suche uderzenia. Bieg wsteczny, gaz do dechy, jazda do przodu. Koła utworzyły bruzdy. Zderzak jest w połowie wgnieciony, ale brama już długo nie wytrzyma. Jeszcze jedno uderzenie i wyskoczy z szyny, która trzyma ją w pionie. W powietrzu unosi się woń benzyny, błota i metalu.

*Klang.*

Zgrzytliwy dźwięk przebija się przez pracujący silnik. To nigdy nie przestało zadziwiać Iriny. Jak śnieg potrafi stłumić jedne dźwięki i spotęgować inne. Śnieg jest kapryśny.

Terenówka cofa, żeby pozwolić mężczyznom wejść. Pierwszy wciska się w otwór między bramą a murem. Irina zauważa niebieskie buty sportowe, dzinsy i wreszcie krępe ciało w kurtce motocyklowej.

Pozwala mu przejść. Czeka, aż pociągnie za bramę, żeby pomóc wejść następnemu. W chwili gdy nogi drugiego znajdują się w połowie drogi, Irina robi krok do przodu, opuszczając ochronę, jaką zapewniała jej drewnutnia. Przykłada pistolet do głowy pierwszego i pociąga za spust. Nie patrzy nawet na twarz drugiego, tylko się odwraca, przystawia mu pistolet do brzucha i strzela ponownie. Pierwszy jeszcze pada na ziemię, na kolana, z rozwaloną głową, kiedy drugi zaczyna krzyczeć z bólu. Kula przeszła mu wnętrzości, tworząc otwór wyjściowy wielkości piłki tenisowej.

Irina w samą porę rzuca się na ziemię. Strzały przecinają powietrze w miejscu, w którym stała przed chwilą. Toczy się po ziemi i chowa w drewnutni.

„Teraz spróbują strzelić do mnie z góry”, dochodzi do wniosku, zbyt późno.

Siedzący na dachu Jon widzi, jak upadają ci dwaj, do których strzeliła Irina, i jak ona sama pada na ziemię. Nagle nad drewnutnią pojawia się czyjaś głowa.

Starają się dostać tamtędy. Jon odkłada strzelbę, opiera się o komin, napina barki i rozluźnia ręce. Z tej odległości nie da się wcelować w głowę i ręce, które się pokazały, ale nie jest to potrzebne. Wystarczy to, co się dzieje. Strzał trafia w mur, wrywając kawałek tynku i sprawiając, że głowa i ręce znikają.

To daje Irinie czas, żeby się podniosła i kuśtykając, odeszła dalej, ale wywołało to też niestety inny efekt.

Jon ujawnił swoją pozycję.

Ci dwaj, którzy otaczali ogrodzenie posiadłości, znaleźli kąć strzału i zauważyli Jona.

Na szczęście wystają tylko część jego głowy i ramion. Huk wystrzału rozbrzmiewa mu w uszach, podczas gdy podmuch uderza w kalenicę, wyrzucając deszcz dachówek i posyłając chmurę gliny i cementu w stronę Jona, który się schyla, zanim drugi podmuch oderwie od komina jeden z kamieni.

„Kurwa mać. To broń automatyczna”.

– Mają broń automatyczną! – krzyczy Jon przez otwór kominowy.

Antonia rozpoznała już charakterystyczny stukot AK-74. To zmodernizowana wersja jego słynnego kuzyna, starszego o dwadzieścia siedem lat. Ogień selektywny, magazynki z półprzezroczystego poliamidu o pojemności trzydziestu nabojów, składana kolba.

„Niedobrze”, myśli Antonia.

Na podstawie kierunku strzałów dedukuje, gdzie są ludzie atakujący Jona. Na tyłach posiadłości żywoplot jest wysoki na trzy metry i nie ma tam dostępu do domu. Ale jeśli są w stanie zatrzymać go na dachu, nie pozwalając, by strzelił, jego możliwości stają się znacznie ograniczone. Irina wycofuje się w głąb ogrodu. A więc Antonia zostaje sama naprzeciwko napastników.

Mężczyzna, którego Irina zraniła w brzuch, utknął w bramie; ubranie musiało mu się zaczepić o żelazne pręty. Cały czas krzyczy z bólu. „Choć jeszcze o tym nie wie, już jest martwy”, stwierdza Antonia na odległość. Kula kalibru dziewięć milimetrów wystrzelona z bliskiej odległości w brzuch powoduje, że ranny wymaga pomocy przed upływem trzydziestu dwóch minut. Potem zostaje tylko podanie morfiny.

Wygłada na to, że Orłow dokonał takiej samej oceny jak ona. Terenówka cofa i znowu taranuje bramę, wykręcając żelazne pręty i miażdżąc ciało rannego, który wydaje z siebie rozdzierające wrzaski. Rozlega się strzał, tylko jeden. Wrzaski cichną.

– Zabija własnych ludzi. Właśnie takiej litości możemy się spodziewać – odzywa się Lola za jej plecami.

Wstała i teraz spogląda przez okno z oczami pełnymi strachu.

– Wracaj na swoje miejsce – nakazuje jej Antonia. – I nie przeszkadzaj z łaski swojej.

Na zewnątrz Irina zdołała wycofać się do bocznej strefy posiadłości. Utyka coraz bardziej. Ranna noga jest już prawie pozbawiona siły. Dziewczyna ukrywa się za jednym z drzew, szukając miejsca, z którego mogłaby strzelić. Nie znajduje jednak kąta, który pozwoliłby jej wyraźnie widzieć drzwi.

„Cholera”, myśli Irina.

Na dachu Jon nadal jest uwięziony. Nie ma jak wrócić do środka, nie prostując się i nie stając łatwym celem. Podnosi rękę, by sprawdzić, czy nadal tam są, i błyskawicznie ją opuszcza. Kolejny deszcz kul przysypia go do miejsca, w którym siedzi.

„Cholera”, myśli Jon.

W salonie Antonia obserwuje, jak terenówka znowu taranuje bramę, popychając do przodu forda fiestę. Koła ślizgają się po śniegu, przemieszczając samochód pomimo zaciągniętego hamulca ręcznego.

Wraz z kolejnym atakiem range rover przedostaje się na teren posiadłości, omija forda fiestę, ostatnią przeszkodę stojącą między terenówką a domem. Twarz Orłowa za przednią szybą staje się coraz większa.

„Cholera”, myśli Antonia.



## Spokojny poranek

Kiedy terenówka przedostaje się na teren posiadłości, Antonia zaczyna strzelać. Jedna kula przelatuje nad samochodem, druga ląduje w masce. Ostatnia trafia w przednią szybę, wrywając lusterko wsteczne.

Antonia ocenia rezultaty i dochodzi do wniosku, że nie są takie złe.

Ale nie zdołały powstrzymać Orłowa.

– Jeśli przejadą, już po nas! – krzyczy Antonia.

Z tylnego siedzenia terenówki, która ma opuszczone szyby, ktoś zaczyna strzelać.

Jon bardziej słyszy, niż widzi, terenówkę wjeżdżającą na teren posiadłości. Skulony za kominem nie ma wystarczającego kąta, żeby oddać precyzyjny strzał. Ale strzelba ma pewną zaletę: nie potrzebuje zbyt dużej precyzji.

Wystawia lufę remingtona, trzymając broń tylko w jednej ręce. W przypadku kogoś mniej silnego odrzut tej bestii sprawiłby, że ręka skakałaby jak kozica w rui. Ale prawa ręka inspektora Gutiérreza to nie byle jaka ręka. Kiedy naciska spust, strzelba trzyma się prosto, jakby przyspawano ją do tych pięciu palców. Jon czuje, jak strzał wywołuje drgania w mięśniach przedramienia i w stawie łokciowym.

Pierwszy strzał rozwała reflektor i jedno z kół. Jon cofa rękę, przeładowuje i znów wystawia lufę. Strzela, odrywając maskę range rovera. Przeładowuje z podwójnym trzaskiem.

Terenówka omija forda fiestę. Jeszcze pół metra i będzie miała dostęp do domu. Jako że napastnicy ukrywają się za trzema tonami samochodu, nie będzie sposobu, żeby ich zatrzymać.

„Nie”.

Jon wstaje.

Trzeci strzał posyła dwadzieścia siedem śrutów o średnicy sześciu milimetrów do chłodnicy, akumulatora i czujnika przepływu masy powietrza. Z tych wszystkich ran dopiero ta ostatnia okazuje się śmiertelna dla range rovera. Pozbawiony kluczowych informacji dla swojego funkcjonowania silnik postanawia się zatrzymać.

Jona kosztuje to bardzo drogo.

Wstając, znowu stał się celem.

Z dołu rozlega się kolejna seria. Lecące w górę kule wgrzyzają się w komin, w plecy Jona, muskają jego prawą rękę.

Jon krzyczy, opada na komin, ślizgają mu się stopy. To właśnie ratuje go od drugiego gradu kul, który wyrывa z komina kamienne odłamki.

W ostatniej chwili, kiedy ma już spaść z dachu, udaje mu się przytrzymać komina. Jedną stopę opiera o rynnę, która ustępuje pod jego ciężarem.

Antonia widzi, jak z terenówki wysiadają Orłow i dwóch bojowników, którzy z nim przyjechali. Orłow biegnie na lewą stronę ogrodu, dwaj pozostali chowają się za drzewami. Zmierzają w kierunku Iriny, która wciąż ukrywa się za jednym z drzew, czekając na swoją szansę.

„Trzech w przednim ogrodzie, dwóch martwych. Dwaj kolejni nękają Jona”, podsumowuje Antonia.

Wtedy do głowy przychodzi jej pewien pomysł.

– Są Belgrano i Romero! – krzyczy Antonia w kierunku komina. – Porozmawiaj z nimi!

Jon widzi przed oczami konstelację gwiazd. Prawa ręka krwawi, ale prawie nie czuje bólu. Boli go miejsce, w które trafiła kula. Płyta ceramiczna w połączeniu z kevlarąm zaoszczędziła mu operacji na otwartym sercu, ale efekt jest taki, że na jego plecach tworzy się właśnie siniak, ma złamane żebro, a płaszcz nadaje się tylko do wyrzucenia.

Kosztowało go to także utratę strzelby, która ześlizgnęła mu się z ramienia i spadła z dachu, zatapiając się w śniegu.

Głos Antonii słyszy tak, jakby mówiła do niego ze zbiornika z wodą.

Coś o Belgranie i Romero. Żeby z nimi porozmawiał.

„Nie jestem w stanie oddychać, a co dopiero mówić”, myśli Jon.

– Romero, słyszysz mnie? – krzyczy z całych sił. Co po trafieniu w plecy wystarcza do tego, żeby usłyszał go kołnierz jego własnej koszuli.

Jon próbuje się odwrócić i przesunąć bliżej komina. Stopy ślizgają mu się na dachówkach. Kilka z nich odpada. Ale udaje mu się oprzeć na łokciach i nieco podnieść.

Krzyczy ponownie, teraz wystarczająco głośno.

– Czego chcesz? – odpowiada Belgrano.

– Jeśli poddacie się teraz, obiecuję, że nie powiemy, że próbowaliście nas zabić.

Podinspektor wybuchu śmiechem.

– Stary, ty jesteś idiotą, czy co?

„Chyba tak”, myśli Jon, ściskając broń.

Wtedy słyszy trzy słowa dobiegające z komina.

W salonie Antonia strzela do jednego z mężczyzn, którzy chowają się za drzewami. Kula trafia w pień, co jest bardzo rozczarowujące. Jedyne efekty jest taki, że się zasłaniają i opóźniają swoje działania o kilka chwil.

Niezbyt długich. Drugi bojownik wygląda zza drzewa i strzela. On też ma AK-74. I w tej sytuacji niewiele można zrobić. Antonia odsuwa się od okna, kule trafiają w parapet i kraty.

Wtedy słyszy głos Belgrana.

– Irina! Głos za żywopłotem! – woła po rosyjsku.

Potem krzyczy trzy słowa w stronę komina.

Irina usiłuje nie wycić z bólu. Kiedy turlała się po ziemi, żeby uniknąć strzałów przy drewnianej, w jej plecach odezwało się coś, co przypominało kości toczące się po stole. L4 i L5, jej przyjazne kręgi, uparły się, żeby się przemieścić. Ale przynajmniej ból pleców pozwolił jej zapomnieć na chwilę o bólu nogi.

W takim stanie zdołała pokonać piętnaście metrów. Już prawie dotarła do domu, do miejsca, w którym woda z węża stopiła część śniegu, ale musiała zatrzymać się za ostatnim drzewem, przyczajona. Jej ciało odmawia wykonania kolejnego kroku. Przykłada twarz do pnia i czuje na policzku jego chropowatość, pozwalając sobie zamknąć oczy na sekundę. Tylko na sekundę.

„Dalej. Nie zatrzymuj się”.

Podnosi wzrok i widzi, jak Jon chwyta się, żeby nie spaść z dachu. Kolejne uklucie w plecach sprawia, że zaciska zęby, opiera się o pień, łapie powietrze.

Jej imię. Ktoś krzyczy jej imię.

„Głos za żywoplotem”.

Irina rozumie.

Zmusza łydki do podniesienia się, przesuając plecami po pniu, po czym naciska spust w kierunku głosu.

Jeden, dwa, trzy razy. Z piętnastostopniowym kątem między każdym strzałem.

Kule przeszywają żywoplot. Z drugiej strony dobiega krzyk.

– Kiedy strzeli Irina – słyszy Jon przez otwór kominowy.

Rozlegają się trzy strzały. I krzyk.

Jon prostuje się nieco, wygląda przez kalenicę i widzi, jak Belgrano łapie się za bok i pada na ziemię. Kula trafiła go tuż nad biodrem.

„Od tego nie umrzesz”, myśli Jon. „Ale będzie cię boleć, oj tak, będzie boleć”.

Romero wyrywa mu z ręki karabin, podnosi lufę w stronę żywoplotu i opróżnia magazynek. Wachlarz ognia tworzy w listowiu kilka poszarpanych dziur, wyrzucając w powietrze gałęzie cyprysowca Leylanda i odsłaniając panele ogrodzeniowe.

*Klik, klik, klik.*

– Tam już nie ma kul. Ale tutaj tak, komisarko – mówi Jon.

Deszcz kul, jaki Romero posłała przez żywopłot, nie jest największym problemem Iriny. Znowu się osunęła, a podstawa muru, przy którym posadzony jest żywopłot, chroni ją przed strzałami z drugiej strony, z których większość przelatuje ponad pół metra nad jej głową.

Największy problem Iriny polega na tym, że strzały ujawniły jej kryjówkę.

Bojewiki, którzy ukryli się za drzewami, zauważyli ją i teraz zbliżają się do niej, stosując manewr okrążający. Jeden z nich zatrzymuje ją na miejscu serią strzałów, a drugi w tym czasie porusza się, żeby ją otoczyć.

Nie ma drogi ucieczki.

Z przeszywającym bólem pleców i nogą, która odmawia posłuszeństwa, Irina nie ma jak się z tego wykaraskać.

Dlatego robi coś, czego nigdy przedtem nie robiła. Coś, czego zabronił jej Afgano. Coś, czego, jak sądziła, nigdy nie mogłaby zrobić.

Prosi o pomoc.

Antonia straciła z oczu Orłowa, ale widzi dwóch gangsterów w ogrodzie. Jeden z nich przemieszcza się w stronę Iriny, drugi, stojący dalej, dziurawi drzewo, za którym dziewczyna się ukrywa.

Jej wołanie o pomoc dociera do uszu Antonii bardzo wyraźnie.

Kule, które jej zostały, oszczędzała na moment, w którym jeden z nich jeszcze bardziej zbliży się do domu. Na dwa lub trzy metry. Tak żeby miała choćby minimalną szansę na trafienie.

Bojewik, który trzyma AK-74, stoi w odległości dwunastu metrów. Częściowo zasłonięty przez pień, z kolanem opartym o ziemię.

Antonia strzela.

Pudłuje.

Nie przestaje strzelać do momentu, aż kończy jej się amunicja.

Irina słyszy ogień osłaniający, którym Antonia pomaga jej z domu, i czuje, jak jej nadzieja się odradza. Teraz ma szansę. Wychyla się z lewej strony pnia akurat w chwili, gdy biegnący mężczyzna dociera do drzewa

rosnącego najbliżej niej. Irina strzela instynktownie, trafiając go w łydkę. Materiał jego spodni dresowych (białych z logo Realu Madryt) rozrywa się w dwóch miejscach jednocześnie. Już nie są białe.

Mężczyzna pada na śnieg jak długi, stara się jeszcze oddać strzały, ale Irina jest od niego szybsza. Jedną kulę umieszcza w jego gardle, a drugą w zuchwie.

Został drugi.

Została jedna kula.

Bojewik z karabinem automatycznym zmienia magazynek. Wciąż nie został nawet draśnięty pomimo licznych strzałów, jakie oddała Antonia. Wkłada nowy magazynek, podnosi broń.

Irina upada na plecy.

„Nie spudłuj teraz”.

Kula wchodzi przez prawe oko gangstera i utyka w mózgu.

Irina zostaje na ziemi, nieruchomo.

Ból zawładnął nią już całkowicie.

Siedzący na dachu Jon ma na celowniku komisarkę Romero.

– Rzuć strzelbę i podnieś ręce – nakazuje Jon.

– Posłuchaj, inspektorze. Jestem pewna, że możemy znaleźć jakiś sposób, żeby to załatwić.

– Z pewnością. Znajdziesz go razem z sędzią.

Romero zdradza teraz całe życie poświęcone na eliminowanie każdej cechy, która ją uczyłowicza. Łącznie z mową ciała. Ruch, który wykonuje głową, byłby niezauważony u kogoś innego. U niej natomiast jest odpowiednikiem neonowej reklamy przy Gran Vía.

Jon odsuwa od niej lufę broni i przekierowuje ją na Belgrana, który wsparł się na łokciu i wyciągnął pistolet, korzystając z okazji, że komisarka go osłaniała.

Podinspektor strzela.

Jon też.

Kula muska lewe ucho Jona. Być może wynikało to z tego, że podinspektorowi trzęsła się ręka z powodu odniesionej rany. Być może Jon przesunął się nieco w ostatniej chwili. W każdym razie on nie umiera.

Belgrano – tak.

Kula trafia go w czoło.

Romero sięga do kabury, żeby wyjąć broń. Wie, że nie ma żadnych szans w starciu z inspektorem, który jest już gotowy i w pozycji strzeleckiej z dużej wysokości. Ale wybrała własną drogę. Samobójstwo rękami policjanta. Droga krótsza, mniej wstydliva, nieskończenie mniej męcząca.

Jon się nie zgadza.

Zamiast strzelać, skacze.

To prawie niemożliwe, żeby Jon mógł zobaczyć wyraźnie twarz komisarki Romero, kiedy na nią spadał. Jest więcej niż prawdopodobne, że obraz, który zapamięta, który będzie wspominał przez następne dni, będzie owocem jego wyobraźni. Twarz z szeroko otwartymi oczami, wykrzywionymi ze strachu ustami, ręka uniesiona w obronnym geście. A kok, na co dzień tak idealny, delikatnie potargany.

Słychać suchy trzask, a może dwa trzaski w tym samym czasie. Złamane ręka i noga. Dość poważnie. Wszak sto dziesięć kilogramów Baska spadające z wysokości pięciu metrów to naprawdę duży ciężar. Bez względu na to, jak gruby jest materac śniegu, amortyzujący upadek.

## Wynik

Aslan Orłow stawia nogę na portyku, gotowy do oddania strzałów. Panuje dziwny spokój. Lekkie trzeszczenie desek pod podeszwami jego sportowych butów podkreśla niespokojną ciszę.

Nie ma oporu.

Ostrożnie, uważając przy każdym ruchu (jest starszym człowiekiem, a w jego zawodzie nie dożywa się takiego wieku bez zachowywania ostrożności), zagląda przez okno z pistoletem wyciągniętym przed siebie.

Zwłoki Reby nie robią na nim wrażenia. I tak już uznał go za martwego. Szuka tylko zagrożenia, ale go nie znajduje.

Uśmiecha się, widząc, co czeka na niego w środku. To biały, idealny uśmiech, jak z reklamy kleju do protez.

Antonia stoi z rękami w górze przed Lolą i Żenią. Nie żeby zdołała je zasłonić, ale intencje nie pozostawiają wątpliwości.

Drzwi są otwarte.

– Panie Orłow – wita się Antonia po rosyjsku, kiedy stary pojawia się w progu.

– Musi mi pani wybaczyć, nie przypominam sobie pani nazwiska. Pamiętam, że widzieliśmy się w innych okolicznościach.

– Nie były wcale lepsze – mówi Antonia.

– To prawda. Mam nadzieję, że pamięta pani naszą rozmowę.

Orłow robi krok do przodu. Jego pistolet przemierza salon, z jednej strony na drugą, w poszukiwaniu zagrożenia.

Naprzeciwko stoją tylko trzy kobiety.

Prosta robota.



- Pamiętam tę rozmowę bardzo dobrze - odpowiada Antonia, która chce, żeby nadal skupiał na niej uwagę. - Rozmawialiśmy o matematyce.

- O równaniu siły - precyzuje gangster, wymierzając pistolet w Antonię.

- Co pan powie na dwa tysiące kilogramów ciśnienia na centymetr kwadratowy?

Spojrzenie Orłowa mętnieje, niczego nie rozumie.

Lola szepcze jakieś słowo.

Z sofy, na której leżał, czekając na polecenie, Kot skacze na podłogę. Warczy. Tylko trzy susy dzielą go od Orłowa. Mafioso strzela czterokrotnie do wielkiego molosa. Trafia dwa razy. Ale to nie wystarcza. Kiedy atakuje, żeby chronić swoją panią, potrzeba czegoś więcej niż pistolet, by go powstrzymać. Ogromne łapy powalają Orłowa, zęby zatapiają się w jego gardle. Gangster oddaje jeszcze dwa strzały, w grzbiet i w brzuch zwierzęcia. Kot się miota, lecz nie ustępuje.

Nawet kiedy życie opuszcza ciało wiernego psa, szczęki nie odpuszczają. W dalszym ciągu wbijają się w szyję Orłowa. Ostatnie, co ten widzi, zanim oczy zapełni mu ciemność, to twarz Antonii, która upewnia się, że wynik równania jest zgodny z oczekiwaniami.

## Decyzja

Kiedy Antonia wychyla się znad krawędzi dachu (wejście na niego kosztowało ją znacznie więcej wysiłku niż Jona ze względu na różnicę wzrostu), inspektor Gutiérrez dochodzi do siebie. W tym zderzeniu komisarka Romero ucierpiała znacznie bardziej. Ma nogę wygiętą w nienaturalny sposób, wybity bark, a sądząc po szlochu, czuje ogromny ból, który prędko nie minie. Zderzyli się głowami, więc teraz Jon trze czoło, próbując sobie przypomnieć, jak się nazywa.

– W twoich dokumentach jest napisane „brak szacunku wobec przełożonych” – odzywa się Antonia. – Podkreślone kilka razy. Przepuszczam, że chodziło właśnie o to.

– Już mnie znasz. Skaczę z byle powodu.

Nawet Antonia musi się roześmiać.

– Wracaj do środka, no już. Potrzebuję cię.

Słowa Antonii okazują się prorocze.

Kiedy wraca do salonu, zastaje Irinę grożącą Loli pistoletem. Hiszpanka, na kolanach, z lufą przy czole, ze szlochom błaga o darowanie życia.

– Co robisz? – pyta Antonia po rosyjsku.

– Musi zapłacić za to, co zrobiła – odpowiada Irina.

Jest w opłakanym stanie. Ubranie przemoczony brudnym śniegiem, z uda kapie krew. Ledwo trzyma się na nogach. Ale równanie na siłę, które trzeba wykonać, żeby pociągnąć za spust z bliskiej odległości, daje znikomy wynik.

– Nie tak się to robi.

– Widziałam zdjęcia z kontenera. Dziewięć zamkniętych kobiet – mówi Irina. – Jak kawałki mięsa do zjedzenia przez zwierzęta bez sumienia. Ile jeszcze sprowadzono w taki sposób? Ile jeszcze umarło? Ile jeszcze było takich jak moja siostra?

– To był wypadek! – protestuje Lola, wciągając smarki. Ma rozpaloną twarz, łzy lecą jej po zaczerwienionych policzkach.

Irina wymierza jej policzek i znowu w nią celuje.

– Zamknij się – nakazuje Antonia Loli.

Hałas przy drzwiach sprawia, że wszystkie cztery kobiety (Żenia obserwuje całą scenę przywarta do ściany) odwracają się w tamtą stronę.

– Chciałbym wiedzieć, co się tutaj dzieje – mówi Jon, który wszedł do środka z pistoletem w dłoni. Lufę ma wycelowaną w głowę Iriny.

Antonia pokazuje mu gestem, żeby opuścił broń. Jon patrzy na swoją partnerkę z ukosa. Ostatecznie robi to bardzo powoli.

– Rozumiem, co cię spotkało – kontynuuje rozmowę z Iriną, cały czas po rosyjsku. – Ja też kogoś straciłam.

– Nie możesz tego zrozumieć! – krzyczy Irina. Kieruje wzrok na Antonię, ale lufa pistoletu w dalszym ciągu spoczywa na czole Loli, odpychając jej głowę do tyłu.

– Rozumiem rozpacz. Poczucie winy. Świadomość, że świat jest zepsuty i nie da się go naprawić.

– W takim razie wiesz, dlaczego muszę to zrobić.

– Ona jest w ciąży.

– Mam to gdzieś.

Antonia oddycha głęboko i kręci głową.

– Więc straciłaś te resztki rozumu, jakie jeszcze miałaś.

Irina jeszcze mocniej przyciska broń do czoła Loli. Wygląda tak, jakby za chwilę ona też miała się rozplakać.

W oczach Antonii jest małą dziewczynką.

– Nie sprzedajesz narkotyków – mówi Irina bardzo łagodnym głosem.

– Nie sprzedajesz kobiet. Nie czerpiesz korzyści z nieszczęścia innych. Zasady zostały napisane dawno temu. I nie zmieniają się.

Antonia wkłada rękę do kieszeni i wyjmuje kartę microSD. Pokazuje ją Irinie na otwartej wyciągniętej dłoni.

– Po to przyjechałaś. I dam ci to. Ale musisz ją puścić.

Jon kładzie rękę na ramieniu Antonii.

– Nie możesz dać jej pieniędzy i dowodów – mówi bardzo poważnym tonem.

Antonia na niego patrzy. W jej oczach jest smutek, ale jest także ufność.

– Nie mogę pozwolić, żeby ją zabiła.

Inspektor Gutiérrez odpowiada jej spojrzeniem. Pod jego brązowymi oczami toczy się bitwa. Okrutna bitwa, która przyniesie ofiary. Jego policyjny instynkt walczy z zaufaniem do niej. Pragnienie sprawiedliwości z potrzebą ochrony życia Loli i jej nienarodzonego dziecka.

– Jon, nie ma innego sposobu – mówi Antonia.

Wzdychając, inspektor zabiera rękę z jej ramienia.

Antonia robi krok w stronę Iriny, podając jej kartę.

– Weź ją – mówi po rosyjsku.

– Skąd mam wiedzieć, że nie strzeli mi w plecy, gdy tylko się odwrócę?

– pyta Irina z przymrużonymi oczami, wskazując Jona.

– Masz moje słowo. Jeśli ja będę miała twoje.

Irina przygląda się obojgu.

Twarz Jona wygląda jak z kamienia, ma zaciśnięte zęby, rękę ułożoną wzdłuż ciała. Jego broń jest wycelowana w podłogę, ale palce zaciśnięte na spuście wskazują na to, co naprawdę chciałby zrobić.

Antonia jest spokojna. Kartę trzyma między kciukiem a palcem wskazującym.

Irina dokonuje własnej kalkulacji. Co zajmuje jej długie, niepokojące sekundy.

Wreszcie odsuwa broń. Głowa Loli wraca do pozycji pionowej, uwolniona od nacisku stali. Lufa zostawiła na jej czole prostokąt z kółkiem u góry.

Lola oddycha głęboko, z ulgi i wściekłości, kiedy widzi, jak Irina bierze kartę z ręki Antonii i zaczyna kuśtykać do drzwi.

– A moje dziecko i ja, co będziemy jeść? – pyta, łapiąc Irinę za but i próbując ją zatrzymać. – Powiedz mi, co będziemy jeść.

Irina potrzebowała trzydziestu dwóch lat (trzydziestu dwóch swojego życia, minuta po minucie), żeby doczekać tej chwili. Czuje się czysta, beztroska, niezwyciężona, kiedy odpowiada:

– Gówno.

## Linia prosta

Sprzątnię po imprezie nigdy nie jest fajne. A tym bardziej opowiadanie o niej. Wystarczy streszczenie.

Antonii udało się dotrzeć pieszo do skrzyżowania, gdzie znowu złapała zasięg. Śnieg był wysoki i zbity, ale ona wykorzystała świeże ślady. Kobieta, która je zostawiła, utykała i krwawiła. Antonia szła powoli, by nie ryzykować, że ją dogoni.

Godzinę później w tym spokojnym miejscu zaroilo się od policjantów. Technicy poruszali się między ciałami a dziurami po kulach, zappełniając wszystko trójkątami. Zjawili się prokurator i sędzia śledczy. Również ludzie z Biura Spraw Wewnętrznych. A nawet ktoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Udział w tej całej sprawie skorumpowanych komisarki i podinspektora zamienił to wszystko w wielki bajzel. Który, jak niemal wszystkie drażliwe sytuacje, ostatecznie został zamieciony pod dywan.

Kiedy Lolę Moreno zabierają do karetki (z opadniętymi ramionami przykrytymi kocem), Jon patrzy na nią z pogardą.

– Najbardziej wnerwia mnie to, że się z tego wszystkiego wywinie.

– Z pewnością – mówi Antonia, dzieląc jego frustrację. – Ale zrobiliśmy to, co powinniśmy.

Jest zimno. Oni też są owinięci kocami, które na niewiele się jednak zdają przy lodowatym powietrzu schodzącym tu z gór. Możliwe, że niebawem znowu zacznie padać śnieg. Jon tupie, próbując się rozgrzać.

– Nie jestem tego taki pewien. Zbyt często zbaczaliśmy z drogi.

- Idąc w linii prostej, człowiek nie zajdzie zbyt daleko - odpowiada Antonia.

„Znacznie łatwiej jest wybaczyć innym, że się mylili, niż przyznać, że mieli rację”, myśli Jon.

- Może. Wiem tylko, że ja dotarłem do końca drogi.

W normalnych warunkach Antonii być może zajęłoby chwilę, zanim zrozumiałaby, co próbuje jej powiedzieć Jon. Jej partner. Jej jedyny przyjaciel. Jej najemca mieszkający trzy piętra niżej. Ale przez wiele miesięcy obawiała się, że ten moment nadejdzie. Moment, w którym on powie „dość”.

- A więc nie jesteśmy już razem - odpowiada.

- Na to wygląda.

To, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach, to więcej, niż ktokolwiek mógłby znieść. Nadszarpnęła jego zaufanie, okłamywała go, popchnęła go do granic możliwości i jeszcze dalej.

Tak naprawdę nie może go winić.

Ale nie zamierza mu też niczego zbyt łatwo ułatwić.

- I co ja teraz bez ciebie zrobię?

Dla Jona to jasne.

- Pomijając kłamstwa, głupotę, dalej będziesz dociekać, nie poddasz się. Bo jesteś detektywką. Może najlepszą.

- Może?

- Nie znam wszystkich, skarbie.

# EPILOG



- *Jak długo trwa wieczność?*  
- *Czasami tylko sekundę – odparł Królik.*

**Lewis Carroll**

# Pożegnanie

Pokój nie zmienił się za bardzo. Wszystkie rzeczy Antonii są pozbierane i schowane do pudeł.

Stan Marcosa pozostaje bez zmian.

Przy życiu wciąż utrzymują go maszyny.

Jego ciało osłabło jeszcze bardziej w ciągu tych miesięcy. Kończyny się skurczyły, skóra stała się matowa i wiotka, uwidaczniając diagnozę. Lekarze już lata temu pozbawili ją nadziei. „Nie ma żadnej szansy”, powiedzieli. Ale Antonia im nie uwierzyła. Odwróciła się plecami do rozsądku, ponieważ była zbyt dumna, żeby przyznać się do nieodwracalnego błędu.

A później poznała Jona. I on wszystko zmienił.

Ktoś puka do drzwi. Otwiera ostrożnie.

To wysoki, elegancki mężczyzna. Mężczyzna, którego potrzebuje mieć dziś obok siebie.

– Cześć, tato.

Sir Peter Scott jest zaskoczony, że córka do niego zadzwoniła. Ale przyszedł, mimo że nie widują się od miesięcy.

Przyszedł, a to najważniejsze.

– Jak tam Jorge?

– Rośnie. Nie może się doczekać, by się z tobą spotkać.

– Jutro – obiecuje Antonia.

– Powiem mu, żeby przygotował szachy.

– Tęsknię za nim – mówi. I jest to prawda.

Antonia i Peter stoją chwilę przy łóżku Marcosa i patrzą na ciało bez życia. Pustą skorupę, która kiedyś była pełna wspaniałej miłości.

– Mogę tyle robić. Mam tyle umiejętności. A nie potrafię go uratować.

Ojciec się nie odzywa. Ani jej nie obejmuje. Ciągłe odrzucanie rok po roku nauczyło go, żeby się do niej nie zbliżać. Nawet w tym momencie, w którym Antonia tak bardzo tego potrzebuje. W którym Antonia chciałaby, żeby to zrobił.

Nie otrzymuje pocieszenia, więc szuka go w samej sobie.

Od chwili narodzin wiemy, jakie jest nasze przeznaczenie. Kołyska buja się nad przepaścią, która jest gotowa ją pochłonąć. Nasze życie jest niczym więcej jak rozbłyskiem między dwiema nieskończonymi ciemnościami. Koniec, który nas czeka, okazuje się bardziej przerażający niż poprzednia ciemność, ta chwila, w której nie wiedzieliśmy, jak wyglądała nasza twarz przed narodzinami. Być może boimy się tego, co przyjdzie później, bo w głębi duszy jakaś część nas pamięta coś strasznego. Coś, o czym zapominamy, kiedy po raz pierwszy napełniamy nasze płuca powietrzem i płaczemy.

„A skoro nic nie uwolni nas od śmierci, to niech przynajmniej miłość uratuje nam życie”.

Antonia po raz ostatni całuje Marcosa w usta.

Potem daje znać lekarzowi, który cierpliwie czeka przy respiratorze.

Kiedy maszyny się wyłączają, Antonia zaczyna płakać. Wdzięczna za tyle miłości.

# Spacer

Antonia Scott pozwala sobie myśleć o samobójstwie przez pięćdziesiąt cztery długie minuty.

Odrzuciła propozycję, by wrócić do domu samochodem ojca. Woli się przejść, pobyć sama ze sobą. Żeby odzyskać stracony czas.

Pięćdziesiąt cztery minuty mogą się wydawać dużą ilością czasu.

Nie dla Antonii Scott. Nie wtedy, kiedy tak naprawdę nie potrafi się temu w pełni oddać.

Może myśleć jedynie o tym, co jest teraz.

O tym, jak ciągnąć to dalej bez Jona.

W czterdziestej ósmej minucie dochodzi do wniosku, że nie da rady.

# Zmiana

Tymczasem pod numerem siódmym przy ulicy Melancolía Jon pakuje swoje rzeczy.

Nie wkłada w to całego serca, mówiąc szczerze.

Jego ubrania są dość drogie i przy pakowaniu wymagają szczególnej uwagi. Potrzebne są torby odzieżowe, bibułka, wysokie kartony z drążkiem.

Nie kupił żadnej z tych rzeczy, więc tylko wrzucił do walizki bieliznę, kilka par spinek do mankietów (nie wszystkie), kosmetyczkę, dwa ręczniki i trzy słoiki domowego dżemu figowego. Część łupu, którym reszta najemców płaci Antonii za wynajem, a którego zjedzenia odmówiła pod żalonym pretekstem, że nie lubi fig, a dżem tuczy.

Spogląda na zegarek.

O tej porze nie znajdzie żadnego otwartego sklepu, w którym mógłby kupić materiał do pakowania. Ale powinien być otwarty „wok” przy ulicy Olivar. Idealne miejsce na późną kolację. A potem obejrzy parę odcinków serialu, którego oglądanie przerwał w połowie, zanim zaczęło się to całe zamieszanie. I zaśnie przed telewizorem.

A jutro kto wie. Może dwa razy się zastanowi, czy wracać do Bilbao.

Jon wychodzi na ulicę. Kiedy ma już skręcić za rogiem, słyszy za sobą czyjeś kroki. Drobne, kobiece kroki. Odwraca się z uśmiechem na ustach. Ale to nie jest Antonia. To szczupła, dobrze ubrana i uśmiechnięta kobieta. Ma miłą twarz.

- Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, jak dojść na ulicę Atocha?

- To tam, cały czas prosto - odpowiada Jon, maskując rozczarowanie.

Kobieta natomiast się uśmiecha. Potem wyciąga z kieszeni strzykawkę i wbija mu ją w szyję.

– Co do kur... – mówi Jon, odpychając ją.

Miła twarz to ostatnie, co widzi, zanim czyjeś silne ramiona chwycą go od tyłu i zanim ogarnie go ciemność.

# Pozdrowienie

Telefon Antonii dzwoni, kiedy idzie przez Lavapiés, na wysokości ulicy de la Cabeza.

– To nie jest dobry moment.

– Posłuchaj mnie, Scott – mówi Mentor. – Mamy już dowód. Twój duch okazał się bardzo prawdziwy.

– Nie rozumiem.

– Przez telefon nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Ale już wiemy, co przytrafiło się w Anglii i Holandii.

Antonia wreszcie pojmuje, co Mentor ma na myśli. I cieszy się gorzką rzeczywistością. Istnieje tylko jedna gorsza rzecz niż krzyczenie w samotności, kiedy masz rację: gdy przyznają ci ją za późno.

– To był White.

– Jestem z powrotem w Madrycie. Bierz szybko inspektora i przyjeżdżajcie.

Antonia się rozłącza i przyspiesza kroku.

Kiedy skręca w ulicę Olivar, tuż przed dotarciem do domu, widzi to.

Dwaj mężczyźni szarpią się z trzecim, żeby wsadzić go do furgonetki. Mężczyzna bezsilnie wymachuje rękami. Na głowie ma czarny worek, ale Antonia nie potrzebuje widzieć jego twarzy, żeby wiedzieć, kim jest.

Elegancka kobieta w płaszczu i o miłej twarzy odwraca się i ją zauważa. Antonia jest za daleko, żeby dostrzec zaskoczenie w jej oczach, mały prezent, którym jest fakt, że ona patrzy na to, co się dzieje. Ale Antonia nie potrzebuje tego widzieć, żeby wiedzieć.

Sandra Fajardo pozdrawia ją ręką, a potem wsiada do furgonetki.

Antonia biegnie w tamtą stronę, wiedząc, że jest za daleko. Furgonetka oddala się w dół ulicy, zostawiając za sobą Antonię. Ale ona się nie

poddaje. Biegnie dalej, aż płuca jej płoną, a serce wali jej w piersi jak młot pneumatyczny.

Kiedy się zatrzymuje, z rękami na kolanach, walcząc o oddech, dostaje wiadomość.

*Mam nadzieję, że o mnie nie zapomniałaś.*

*Zagramy? W.*



# Nota od autora

Historia o Antonii Scott dojrzewa od dziesięciu lat i obiecuję, że kiedy nadejdzie właściwy moment, opowiem ci, Czytelniku, jak to się wszystko zaczęło. Tymczasem proszę, żebyś dalej strzegł sekretu moich powieści.

Ach, i jeszcze jedno.

Tak.

Antonia i Jon powrócą.



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

# Podziękowania

Podziękowania zechcą przyjąć:

Antonia Kerrigan i cały jej zespół: Hilde Gersen, Claudia Calva, Tonya Gates i pozostałe, jesteście najlepsze.

Carmen Romero, Berta Noy i Juan Díaz, którzy uwierzyli w Antonię Scott i Jona Gutiérreza. Cały zespół działu handlowego Penguin Random House, który robi wszystko, co w ich mocy, żeby zabierać książki do najdalszego zakątka. A także Eva Armengol, Nuria Alonso i Irene Pérez, które pomogły mi wypromować moją. Raffaella Coia, która zrobiła adiustację i złożyła książkę.

Juanjo Ginés, poeta, który mieszka w Jaskini Szaleńców i bawi się w Ogrodzie Turków i który zasługuje na mocno spóźnione podziękowania sięgające siedmiu książek wstecz.

Javier Cansado, Dani Rovira, Mónica Carrillo, Alex O'Dogherty, Agustín Jiménez, Berta Collado, Ángel Martín, María Gómez, Manel Loureiro, Clara Lago, Raquel Martos,

Roberto Leal, Toni Garrido, Carme Chaparro, Ernesto Sevilla, Luis Piedrahita, Miguel Lago, Goyo Jiménez, Berto Romero i wielu innych bardzo słusznie „dreczonych” przez Artura González-Camposa.

Szczególne podziękowania zechcą przyjąć nadinspektor Antonio Rodríguez Puertas oraz wszyscy odważni mężczyźni i wszystkie odważne kobiety z UDYCO, którzy każdego dnia bronią stu pięćdziesięciu kilometrów wybrzeża prowincji. To, z czym się mierzą, mogłoby wypełnić trzy powieści oparte na faktach. Gdybym jednak przedstawił je w tej książce, oskarżono by mnie o konfabulacje (tego słowa używają ograniczone umysły).

Costa del Sol to ulubione miejsce organizacji mafijnych z różnych krajów oraz uzbrojonych grup płatnych zabójców, przy których błędą ci z

*Czarnej Wilczycy* (i którzy niestety są bardzo prawdziwi). Członkowie UDYCO z Malagi rzadko kiedy pojawiają się w telewizyjnych wiadomościach, mimo że w samym tylko 2018 roku dokonali ponad pięciuset zatrzymań, skonfiskowali czterdzieści tysięcy kilogramów narkotyków oraz setki milionów euro w gotówce. To dyskretna i sumienna praca wykonywana pośród śmiertelnych porachunków między gangami (z dziesiątkami zabitych), gróźb i strachu. To, o czym Romero opowiada Jonowi, bazuje na faktach: tylko w 2018 roku zdarzyły się w Marbelli porachunki z wykorzystaniem bomb, zabójstwa strzałami z motocykli i rowerów, napady na rezydencje, porwania, okaleczenia twarzy *a là Joker*, strzały z kałasznikowa w restauracjach... I po wyjściu z chrztu, co gangsterzy podpatrzyli w *Ojcu chrzestnym*.

Nadinspektor Rodríguez Puertas jest zresztą człowiekiem, który skonfiskował trzydzieści cztery miliony euro w kokainie ukrytej w nutelli. Za tę część historii również mu dziękuję.

Co się tyczy korupcji: to prawda, że w przeszłości w UDYCO zdarzały się zepsute jabłka, ale godna pochwały praca policji i prokuratury zdołała przyprzeć te osoby do muru i doprowadzić do tego, by odsiedziały wyrok. Są to jednak pojedyncze przypadki w ramach ogromnej grupy ludzi, która dokonuje olbrzymich poświęceń. Mimo to rzeczywistość, jak zawsze, ośmiesza fikcję. W 2008 roku pewien nadinspektor i trzech inspektorów UDYCO z Marbelli zostało aresztowanych za to, że przeszli na drugą stronę i stworzyli siatkę chroniącą handlarzy narkotyków. Niech to będzie przypomnienie dla „naszych wiarygodnych przyjaciół”, parafrazując Alfreda Hitchcocka.

Podziękowania zechcą przyjąć także:

Rodrigo Cortés, który jest dla mnie nieustanną inspiracją oraz wiernym przyjacielem i który pomógł mi przejrzeć maszynopis.

Manuel Soutiño – kolejny raz, już ósmy.

Arturo González-Campos, zawodowy rysownik i król podcastów z powołania. Mam nadzieję, że zaprosisz mnie kiedyś do udziału w którymś ze swoich programów.

Alberto Chicote, który też spędził nad tym maszynopisem długie godziny.

Gorka Rojo, doradca w sprawach baskijskich i fizyki teoretycznej dotyczącej łopatek.

James Gunn, Andrea Köhler, Pablo Neruda, Arturo Pérez-Reverte, John Carpenter, Gabriel García Márquez.

Joaquín Sabina i Pancho Varona, którzy zapewнили mi ścieżkę dźwiękową.

Cruz Morcillo i Pablo Muñoz, autorzy książki Palabra de Vor, która jest wyczerpującą (i przerażającą) analizą działalności rosyjskiej mafii w Hiszpanii.

Najważniejsza osoba w moim życiu: Bárbara Montes. Moja żona, moja kochanka, moja najlepsza przyjaciółka. Świat jest lepszym miejscem tylko dlatego, że Ty w nim jesteś. Kocham Cię i mam nadzieję, że będziemy żyć wystarczająco długo, żeby obejrzeć razem Fase 24.

Oraz Ty, Czytelniku, za to, że dzięki Tobie moje książki odniosły sukces w czterdziestu krajach. Dziękuję z całego serca. Ostatnia prośba: nie opowiadaj nikomu zakończenia ani nie pisz mi na ten temat komentarzy w mediach społecznościowych, a zwłaszcza o tym, co wyznałem Ci w nocy od autora. Jeśli zamieszczasz recenzję na stronie internetowej księgarni albo na Goodreads (dziękuję, to naprawdę bardzo pomaga), nie wspominaj o zakończeniu ani słowem, nawet pod oznaczeniem SPOILER, ponieważ każdy mógłby to zobaczyć, co zepsułoby niespodziankę.

Ściskam mocno

*Juan Gómez-Jurado*

Copyright © Juan Gómez-Jurado 2019

Autor reprezentado por Antonia Kerrigan, Agencia Literaria

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Copyright © for the translation by Barbara Bardadyn 2023

Redakcja – Kornelia Dąbrowska

Korekta – Aneta Wieczorek, Anna Strożek

Projekt typograficzny i skład – Katarzyna Kotynia

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Midjourney

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788382107098

ISBN epub: 9788382107104



---

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas,

energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski,

Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś,  
Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata  
Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał  
Rędziak

**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)**

**[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

**[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)**

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Otchłań

Część pierwsza. Antonia

1 Zwłoki

2 Kabel

3 Most

Lola

4 Wideorozmowa

Lola

5 Pośpiech

6 Tabliczka

7 Trójkąt

8 Dziewięć strzałów

9 Rozczarowanie

Lola

10 Drugie miejsce zbrodni

11 Przyspieszenie

12 Ostrzeżenie

11 (bis) Hamowanie

13 Cisza

14 Kod

15 Wyostrzony słuch

Lola

16 Obietnica

Aślan

Część druga. Wilczyca

\*\*\*

1 Matka

2 Wiadomość

Lola

3 Świeczka

Nagranie 01

4 Opakowanie

5 Kontener

6 Wyjście obronna ręką

7 Kolejna obietnica

Nagranie 04

\*\*\*

8 Świt

Lola

9 Słup

10 Tablica

11 Kostka

12 Trochę dymu

13 Dwie sekundy

14 Riposta

15 Rada

Co zrobili jej wtedy

16 Lista

Lola

Nagranie 06

Lola

17 Aleja

Lola

18 Wyjście

\*\*\*

Aslan

Część trzecia. Lola

1 Życiorys

2 Ostrzeżenie

Nagranie 11

3 Potrzeba



4 Problem

5 Równanie

6 Czekanie

7 Kuchnia

8 Prychnięcie

Co zrobili jej wtedy

9 Chwila

Kot

Lola

10 Przyjaciele

Aslan

11 Inna torba z lodem

Lola

12 Tamijskie słowo

Nagranie 16

13 Cisza

Lola

14 Ślad

Lola

\*\*\*

15 Kraksa

## Część czwarta. Jon

1 Historia

2 Streszczenie

3 Świt

Romero

4 Inwentarz

5 Dach, ogród i salon

6 Spokojny poranek

7 Wynik

8 Decyzja

9 Linia prosta

## Epilog

Pożegnanie

Spacer

Zmiana

Pozdrowienie

Nota od autora

Podziękowania

Karta redakcyjna

Przypisy

## POZNAJ POPRZEDNIĄ KSIĄŻKĘ O ANTONII SCOTT

W Madrycie popełniono morderstwo niemożliwe.  
Aby rozwiązać sprawę inspektor Jon Gutiérrez nie ma nic do stracenia.  
Godzi się na propozycję współpracy z enigmatyczną Antonią Scott.  
Nie jest policjantką. Nie używa broni i nie posługuje się odznaką,  
ale mimo to rozwiązała już kilka zawiłych spraw kryminalnych.  
Jest też uważana za najinteligentniejszą osobę na świecie.



**ABY RAZEM ZŁAPAĆ SPRAWCĘ  
SĄ GOTOWI ZROBIĆ WSZYSTKO**

**Szukaj w dobrych księgarniach**

**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUAE NON

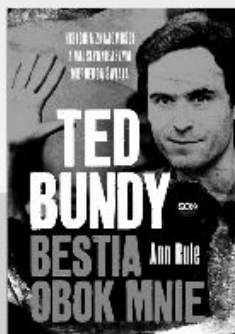
[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)  
[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)

## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQN**STORE.PL

labotiga.pl

- 1 Trece TV – ultrakonserwatywna stacja telewizyjna, której właścicielem jest Konferencja Episkopatu Hiszpanii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki)
- 2 Neska (bask.) – mała, dziewczyna.
- 3 *Amatxo* (bask.) – mamusia.
- 4 UDYCO – Unidad de Droga y Crimen Organizado (Wydział ds. Narkotyków i Przestępczości Zorganizowanej).
- 5 GRECO – Grupos de Respuesta Especial para el Crimen Organizado (Specjalne Grupy Reagowania na Przestępczość Zorganizowaną).
- 6 Tabernari (bask.) – barman.
- 7 *Pilotak* (bask.) – piłki; tu w nawiązaniu do gry w pelotę, która polega na odbijaniu piłki o ścianę (fronton).
- 8 *Kokotxas* (bask.) – tradycyjny baskijski gulasz rybny.
- 9 *Ardo beltza* (bask.) – czerwone wino.
- 10 *Aitas* (bask.) – rodzice.
- 11 *Muxutxus* (bask.) – buziaczki.
- 12 *Agur* (bask.) – cześć, do widzenia.
- 13 Sepblac – urząd odpowiedzialny za walkę z przestępczością finansową.
- 14 *Felipadas* – baskijska kanapka z anchois, sałatą i majonezem; słynie z niej właśnie bar Alameda w Bilbao.
- 15 *Txikitos* – małe szklaneczki wina.
- 16 Nawiązanie do zeznań przed sądem infantki Krystyny, siostry króla Hiszpanii Filipa VI, z 2014 roku w sprawie przestępstw korupcyjnych, jakich dopuścił się jej mąż, Iñaki Urdangarin. Krystyna dokładnie tyle razy i takimi słowami odpowiedziała na pytania sędziego, który ostatecznie uznał, że infantka nie wiedziała o działaniach męża.